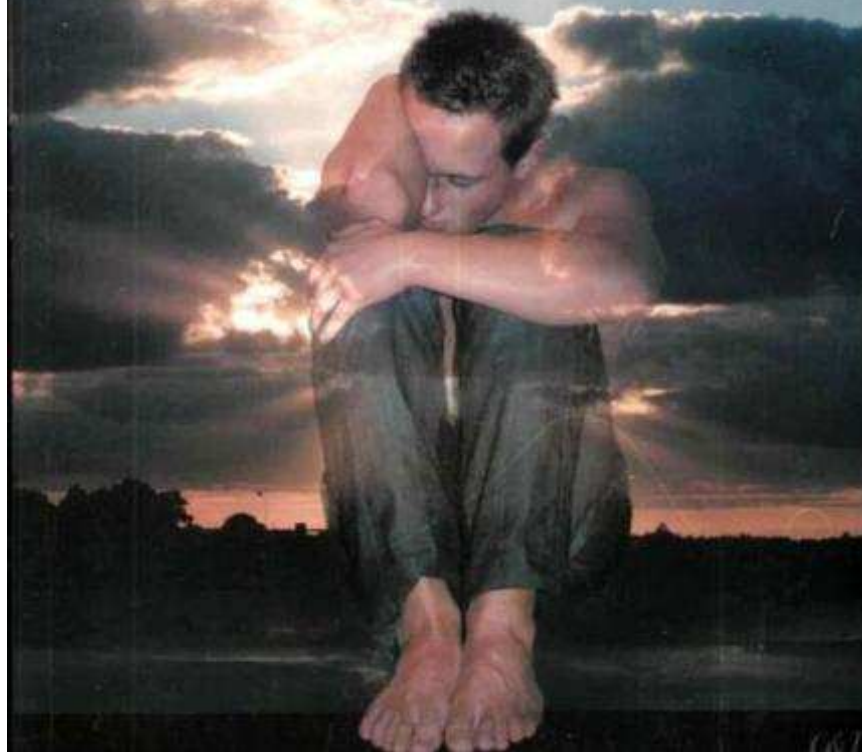



DOBRA
POWIEŚĆ

Tawni O'Dell

BOCZNE DROGI

DEBUT LITERACKI POWINIEN BYĆ O MIŁOŚCI...
ALE ŻEBY AŻ TAK...





**TAKIEJ POWIEŚCI MŁODEJ AUTORCE
MOŻNA TYLKO POZAZDROŚCIĆ I... CZYTAĆ, CZYTAĆ, CZYTAĆ!**

„...masz całe życie przed sobą, ale ty się czujesz, jakbyś już wszystko przeżył”.

Harley Altmyer powinien być teraz w college’u i mieć parienek na kopy. A nie siedzieć na tym zadupiu w Pensylwanii i harować na dwóch etatach w lokalnych sklepach.

Mogłoby to tak wyglądać, gdyby matka nie zabiła ojca i nie wylądowała w więzieniu. A Harley za kilka tygodni skończy dwadzieścia lat i już tyle odpowiedzialności życiowej spadło na jego głowę. Musi pracować, bo ma pod opieką prawną trzy siostry. Sam się na to zgodził.

Tyle że w tym wieku burza hormonów też ma swoje prawa. Randki z koleżankami Amber, najstarszej siostry, wychodzą mu beznadziejnie. Od czego jednak ponętna trzydziestolatka z sąsiedztwa... Zwłaszcza że Jody, młodsza siostra Harleya, ma świetny kontakt z córką pięknej sąsiadki i jest jak zaga-
dać. Reszta pozostanie kwestią czasu...

Tawni O’Dell w rodzinnej Pensylwanii umieściła akcję swojej powieści. I od razu zwróciła uwagę samej Oprah Winfrey tym debiutem: „Boczne drogi” zostały wybrane książką miesiąca. Doczekały się kilku przekładów w samej Europie i sprzedano prawa do filmu na ich podstawie, a Tawni O’Dell napisała od tego czasu dwie kolejne historie – równie chwalone.

ISBN 978-83-7470-141-9



9 788374 701419

C&T

25 zł

Mojej siostrze, Bean

Tawni O'DELL
BOCZNE
DROGI

Przekład:
WIESŁAW MARCYSIAK

C&T
TORUŃ

Tytuł oryginału: BACK ROADS

Copyright © Tawni O'Dell, 2000

Copyright © for the Polish edition by „C&T”, Toruń 2008

Copyright © for the Polish translation by Wiesław Marcysiak

Opracowanie graficzne:

MAŁGORZATA WOJNOWSKA-SOBECKA

Redaktor wydania:

PAWEŁ MARSZAŁEK

Korekta:

MAGDALENA MARSZAŁEK

Skład i łamanie:

KUP „BORGIS”

Toruń, tel. (0-56) 654-82-04

ISBN 978-83-7470-141-9

Wydawnictwo „C&T”

ul. Św. Józefa 79,

87-100 Toruń,

tel./fax (0-56) 652-90-17.

Toruń 2008.

Wydanie I.

Druk i oprawa:

Wąbrzeskie Zakłady Graficzne Sp, z o.o.

ul. Mickiewicza 15,

87-200 Wąbrzeźno.

1.

Kiedy razem ze Skipem, niezliczoną ilość razy, próbowaliśmy zamordować jego młodszego brata, Donny'ego, to było tylko dla zabawy. Powtarzam to zastępcom szeryfa, a oni tylko biorą do ręki styropianowe kubki z kawą i odchodzą jedynie po to, aby wrócić po kilku sekundach; dźwigają tłuste dupska i sadowią się na metalowym blacie biurka przede mną, rzucają mi smutne, zmęczone spojrzenia, które w zasadzie uszłyby za czule, gdyby nie było w nich tyle nienawiści. Mówią mi, że nie interesuje ich Skip i Donny. Nie interesuje ich to, co robiłem w dzieciństwie. Teraz mam dwadzieścia lat. Będę SĄDZONY JAK DOROSŁY. Słowa padają z ich ust wielkimi literami z posmakiem przeżutego tytoniu i zawisają w jarzeniowym świetle w pokoju. Sięgam po nie, ale zanim uda mi się ich dotknąć, rozplywają się, a jeden z szeryfów bije mnie po poplamionych dłoniach w kolorze zdechłej róży. Nie pozwalają mi ich umyć.

Pytają o tę kobietę. Śmieję się. Którą kobietę? Życie z kobietami układa mi się paskudnie. Bez względu na wiek, kształty, rozmiary i poziom czystości.

— Tę martwą kobietę w biurze starej kopalni za torowiskiem — wyjaśnia jeden z nich, robiąc minę, jakby zaraz miał się porzygać.

Zamykam oczy i wyobrażam sobie to miejsce. Dach z dziurami na wylot. Gnijące deski podłogi zasypane szkłem z rozbitej szyby, przedrzewiałe śruby i bolce, kawałki pogiętego żelastwa, które przed wielu laty były częścią większej całości. Kiedy w końcu tam ją zabrałem, nie prosiła mnie, abym to wszystko posprzątał. Powiedziała, że nie chce tu niczego zmieniać, bo wie, że to miejsce ma dla mnie specjalne znaczenie. Powiedziała, że uwielbia ten spokój zepsucia i porzucenia, które przejęły tu rządy. Lubiała sztukę, a czasami już sam sposób, w jaki opowiadała, stawał się niczym malowidło.

W środku we mnie wzbiera wściekłość; powstaje starannie i zgrabnie, niczym idealna piramida z patyków. Ręce zaczynają mi się trząść, więc siadam na nich, żeby policjanci tego nie widzieli.

— To biuro kopalni, to była nasza tajna kryjówka, moja i Skipa — odpowiadam z uśmiechem, kiedy we mnie z rykiem budzi się do życia ogień. Niedługo zostanie ze mnie czarny, spopielały szkielet, który rozsypie się przy najdelikatniejszym dotknięciu. Lecz nikt z zewnątrz nie będzie o tym wiedział.

Szeryfowie potraszają głowami, pojękują i parskają na wspomnienie o Skipie. Jeden z nich kopie składane krzesło, które przelatuje przez pokój. Inny odzywa się: — Chłopak jest w szoku. — Drugi dodaje: — Dzisiaj nie wydobędziemy z niego nic ISTOTNEGO ani SENSOWNEGO. — Sięgam do tych słów, a tym razem dostaję cios w bok głowy zamiast w lepkie ręce.

— Lepiej zacznij gadać — mówi szeryf, zatrzymując się przy pustej puszcze po kawie, aby wypluć przeżutą, brązową bryłę, a potem do tej sugestii dodaje słowo: — synek.

Tylko jego znam spośród nich wszystkich. Pamiętam go z procesu mamy sprzed dwóch lat. Zeznał, że poddała się bez oporów, gdy zastrzeżliła mojego tatę. Śmierdzi teraz jak mokra kanapa.

Zaczynam mówić, ale znowu są to te same rzeczy o mnie i o Skipie; to, jak godzinami przesiadywaliśmy w starym biurze, jedliśmy kanapki z mielonką i snuliśmy plany przeciw Donny'emu. Kryjówkę nazywaliśmy tajną, chociaż Donny dobrze wiedział, gdzie jesteśmy. To była tajemnica, ponieważ on nie mógł się tam dostać. Był za mały, żeby wejść na wzgórze i przedrzeć się przez zjadliwe chaszczki otaczające to miejsce niczym naturalny drut kolczasty.

Wymyśliliśmy wspiane rzeczy. Raz nagięliśmy młodą brzozę i umocowaliśmy przy ziemi śledziem do namiotu, a do niej przywiązaliśmy pętlę z liny. Potem zwabiliśmy Donny'ego w sam środek za pomocą ciastka z kremem zapakowanego w lśniącą folię. Drzewko miało się uwolnić i zadać mu śmierć szarpnięciem za kostki, ale za późno zorientowaliśmy się, że nie obmyśliliśmy mechanizmu, który uruchomi tę katapultę, a Donny po prostu zjadł ciastko i poszedł sobie.

Innym razem rozsypaliśmy garść kulek na stopniach ganku z tyłu domu i zawołaliśmy Donny'ego, by wyszedł z domu. Mieliliśmy dla niego pudełko markiz. Wypadł na dwór i zamiast poślizgnąć się na kulkach i upaść, stanął jak wryty, usiadł i zaczął się nimi bawić.

Kiedy indziej obiecaliśmy mu kartonik języków w polewie karmelowej, obsypanych preparowanym ryżem, jeżeli pozwoli nam związać sobie nogi i ręce, i położyć go na torach kolejowych. Jednak tory były towarowe — te same, które biegną przy starej kopalni — i wszyscy wiedzieliśmy, że pociąg tu nie jeździł jeszcze przed naszym urodzeniem. Donny znudził się, czekając na śmierć, i wierzgając na brzuchu, poczołgał się do domu.

Nasz najgenialniejszy plan to ten, kiedy położyliśmy rurki z kremem pod otwartymi drzwiami do garażu, a sami schowaliśmy się z pilotem. Włączyliśmy mechanizm, kiedy Donny usiadł, aby zjeść rurki. Albo nie nie zauważył, albo zupełnie nie przejmował się, że ciężkie drzwi ze zgrzytem zbliżają się ku jego czaszce. Patrzyliśmy jak oniemiaли, nie wierząc, że w końcu nam się uda, ale nie wytrzymałem, podbiegłem i uratowałem go przed niechybną śmiercią.

— Wtedy byłem najbliżej morderstwa — wyjaśniam — aż do tej chwili, kiedy tata...

Przerywa mi szeryf. Nie chce, abym znowu o tym zaczynał. Wie wszystko o mamie i tacie. Wszyscy wiedzą. Było o tym w gazetach i telewizji.

Przypominam sobie, że to on wtedy tam był. Nie ja. Mnie nawet w domu nie było. To on wszedł i zastał mamę, jak z wiadrem czerwonej, pianistej wody spokojnie zmywała plamy z tapety w kuchni, gdy tata leżał pół kroku dalej w kałuży smolistej krwi z oczyma wbitymi prosto w nią jak myśliwskie trofeum. To on znalazł moją małą siostrę skuloną w jednej z psich bud, całą pokrytą wymiocinami, ponieważ płakała tak bardzo, że aż zwymiotowała. Choć Jody nigdy nawet nie lubiła taty. To szeryf patrzył też, jak zamykano go w worku na zwłoki. Nie ja. Nigdy więcej go nie widziałem. Na pogrzebie trumna była zamknięta. Nie mam pojęcia dlaczego. Mama strzeliła mu w plecy.

Minęły już prawie dwa lata, przypomina mi szeryf. Nikogo już to nie obchodzi. To nie jest ISTOTNE.

— To zdefiniujcie, co jest istotne — mówię.

Zastępca szeryfa, który ciągle mnie bije, chwyta mnie za poły myśliwskiej kurtki mojego taty i podnosi z krzesła. Pod pachami ma wielkie plamy od potu. Dzisiaj jest trzydzieści stopni. Ciepło, jak na pierwszy tydzień lipca.

— Mów o tej kobiecie — krzyczy do mnie.

Nie wiem, dlaczego nie używają jej nazwiska lub imienia. Chyba czekają, aż ja je powiem. Aż przyznam się, że ją znałem. A pewnie, że tak. Wiedzą, że ją znałem.

Zastępca rzuca mnie z powrotem na krzesło, a SĄDZONY JAK DOROSŁY pojawia mi się przed oczyma, jaskrawe i bzyzące jak neon. Nie wiem, dlaczego nie mogę o niej mówić. Za każdym razem, kiedy otwieram usta, mówię coś o Skipie, a on nawet nie jest moim przyjacielem.

Zawsze wiedziałem, że Skip stąd odejdzie. Jego nieustanne knowania nigdy nie pasowały do tych cichych, zranionych wzgórz tak, jak ślepe uwielbienie Donny'ego do słodyczy. Donny będzie tu zawsze. Widzę go co rano w drodze do pracy w Shop Rite, jak niby kolek w płocie czeka na poboczu na szkolny autobus.

— Skip jest teraz na studiach — mówię.

Nadal wpatruję się w te słowa, więc nie widzę zbliżającej się pięści. Czuję, jak ciepła krew spływa mi po brodzie, zanim dotrze do mnie ból. Jasnoczerwone krople pryskają na kurtkę, tam gdzie jej krew zdążyła zaschnąć brązową skorupą. Namawiają mnie, abym zdjął kurtkę. Ludzie zawsze namawiają mnie do tego.

Słyszę głos szeryfa: — Jezu Chryste, Bill, musiałeś to zrobić?

Zdaje się, że szeryf będzie startować w wyborach w przyszłym roku. Będę już pełnoletni i będę mógł zagłosować, jak będę chciał. GŁOSOWAĆ JAK DOROSŁY. Chyba jednak zagłosuję przeciw niemu. Nie chodzi o to, że nie lubię faceta i nie wiem nic o jego stosunku do spraw związanych z utrzymaniem prawa, więc nie powiem, że się z nim nie zgadzam. Mój głos będzie oparty wyłącznie na zapachu.

Dotykam rozbitego nosa i postanawiam powiedzieć mu PRAWDĘ. Czyja to wina. Kogo winić. Kogo należy zamknąć. Więcej nie mam czego się bać. Co stracę, rezygnując z wolności? Czego zabraknie na świecie, kiedy mnie nie będzie?

Powiedziałem jej kiedyś, że w niczym nie jestem dobry. Przejechała kciukiem po moich ustach, spierzchłych od całowania, i odpowiedziała, że przetrwanie to mój talent.

2.

Kiedy Skip wyjechał na studia, nawet się nie pożegnał. Ja dowiedziałem się od Amber; słyszała, jak Donny mówił o tym w autobusie.

Podczas całego pierwszego roku na studiach napisał do mnie raz. W następnym roku chyba wcale nie miał zamiaru pisać, ale w końcu przysłał list i zaprosił mnie do siebie w odwiedziny. Obaj wiedzieliśmy, że nie pojedę, i dlatego mnie zaprosił. List przeczytałem kilkanaście razy, potem odłożyłem do szuflady z katalogami z damską bielizną, które zawsze podbierałem z pokoju Amber.

Następnego dnia popełniłem błąd, mówiąc Betty o tym liście. Betty lubiła, kiedy opowiadałem jej o Skipie. Szczególnie jej się podobało, jak opisywałem nasze próby zabicia Donny'ego. Zdaje się, że w ogóle nie powinienem mówić jej o tych sprawach, ale ona poprosiła mnie kiedyś, abym opowiedział o miłych wspomnieniach z dzieciństwa, a tylko to przyszło mi do głowy.

Chciała wiedzieć, jak się czułem po otrzymaniu listu od Skipa, skoro nie zamierzałem go odwiedzić. Oderwałem wzrok od okna, gdzie sinoszare gałęzie drzew na tle białego nieba wyglądały niczym żyły na udach Betty. Staralem się nie patrzeć na jej nogi, ale nosiła spódniczki zbyt krótkie jak na starszą panią. Nie spojrzałem na nią, ale fakt, że przestałem wyglądać przez okno, był sygnałem między nami, że usłyszałem jej pytanie. Jednak odpowiedź była tak oczywista, że nie zamierzałem mówić tego na głos.

— Chyba wiem, co chcesz powiedzieć, ale może po prostu powiedz to mimo wszystko — zachęcała mnie z uśmiechem. — Traktuj mnie jak idiotkę.

To właśnie zawsze mówiła, kiedy zachęcała mnie do mówienia. Musiała przeczytać w jakimś podręczniku, że nastolatki nie potrafią oprzeć się takiej zachęce.

— Muszę pracować — powiedziałem ostatecznie.

— W ten weekend?

— Tak.

— A w następny?

— Też.

— W każdy?

Nic nie powiedziałem, a ona oparła się plecami w fotelu.

— Masz inne powody, aby nie jechać?

Wierciłem się na odległym końcu kanapy i próbowałem znaleźć coś nowego w pokoju, na co mógłbym patrzeć, ale nic się tu nie zmieniło. Biurko. Okno. Fotel. Stolik z lampą. Kanapa. Stolik z pudełkiem chusteczek higienicznych. Drzwi. Betty. Nie miała nawet oprawionego dyplomu

ani biblioteczki. Kiedyś zapytałem ją o to — myślałem, że wszyscy psycholodzy mają biblioteczkę — a ona odpowiedziała, że to nie jest jej prawdziwy gabinet; tutaj przyjmowała tylko przypadki rządowe. Zauważyłem, że pożałowała tych słów, a ja pozwoliłem jej na to.

— Kto będzie wtedy pilnował Jody i Misty? — powiedziałem po chwili.

— A kto ich pilnuje, jak jesteś w pracy?

— Mówię o nocy.

— Amber jest wystarczająco duża, żeby zająć się nimi przez noc.

— Amber — parsknąłem i zamilkłem.

Znowu zacząłem gapić się przez okno, a Betty sięgnęła pod bluzkę i poprawiła ramięczko stanika, kiedy uznała, że nie patrzę.

— Z twojej reakcji wnioskuję, że nie układa się najlepiej między tobą a Amber — powiedziała i pozwoliła mi podążyć się przez chwilę, po czym zapytała: — Jak sądzisz, dlaczego tak jest?

Na parkingu wylądowała wrona i zaczęła odklejać od asfaltu rozplaszczoną dżdżownicę. Początek marca był ciepły i wszyscy nabierali się, że już przyszła wiosna. Ziemia odmarzała. Budziły się robaki. Dziewczyny wyciągały ubrania na lato.

Co rano w drodze do pracy przejeżdżałem obok ziewającej grupki dziewczyn o gołych nogach w szortach i mini, jak czekały na szkolny autobus razem z Donnym-Konusem. W przeszłości zwalniałem i obserwowałem je we wstecznym lusterku, aż znikaly za zakrętem, ale ostatnio widok dziewczyn działał mi na nerwy. To była wielka część stawania się mężczyzną: odkrycie, że jest różnica między pragnieniem seksu a jego potrzebą.

— Amber mówiła, że się stara — upierała się Betty. — Powiedziała mi, że dużo więcej pomaga w domu.

— Nabierasz mnie teraz, tak? — zawołałem.

— Wcale nie. Nie zgadzasz się z tym?

Zaśmiałem się. Najprawdziwiej. Szczerze: ha ha ha.

— To dlaczego tak powiedziała, skoro to nieprawda? — zapytała Betty.

Podciągnąłem stopę na kolano i zacząłem wydobywać kamyk z podeszwy roboczego buta; te buty zamówiłem z katalogu Searsa. Amber śmiała się z czerwonych sznurowadeł. Nie przejmowałem się tym. Wytrzymały wieczność. Nie jak to gówno z przeceny, które ona kupowała za moje pieniądze.

— Bo poza tym, że jest leniwa i głupia, to jeszcze kłamie — odparłem.

— Skąd mam wiedzieć, że to ona kłamie, a nie ty?

Wydobyłem kamyk i na poważnie zastanawiałem się, czy nie pstryknąć nim w Betty, ale zamiast tego włożyłem go do kieszeni myśliwskiej kurtki po tacie.

— Chyba znikąd — odpowiedziałem, czując, jak płonie mi twarz. Z głośnym tąpnięciem opuściłem stopę na podłogę.

— Nie chciałam cię zdenerwować.

— Na pewno tak. Chciałaś, żebym się wściekł i powiedział coś znaczącego.

Już wcześniej popełniłem ten błąd. Wspominanie takich rzeczy jak ta, gdy mojej mamie oczy zaszyły łzami, kiedy ja, trzylatek, powiedziałem: „Mam kształt człowieka” — albo jak moja mama chowała już nieaktualne psie numerki po szczepieniach na wściekliznę, bo uważała, że są ładne. Zawsze wiedziałem, kiedy przypadkiem powiedziało mi się coś ważnego, ponieważ Betty spoglądała na mnie, jakbym nagle stanął przed nią nagi, a do tego zadziwiająco szczerze obdarzony przez naturę.

Uśmiechnęła się, chwyciła kosmyk włosów koloru cyny i założyła sobie za ucho. Jej włosy wyglądały kosztownie, ścięte pod kątem i lśniące niczym kask. Nie pasowały do reszty. Przypominały mi przejażdżki na kucyku na wiejskich jarmarkach i nowiutkie, świeżo naoliwione siodła na grzbietach zestarzałych i zaniedbanych kuców.

— Wszystko, co mówisz podczas tych spotkań, ma znaczenie, Harley.

Osunąłem się tyle, ile mogłem, nadal pozostając na kanapie.

— Mogę już iść?

— Jeszcze nie. Spróbujemy rozwiązać ten problem. Chyba dobrze byłoby, żebyś wyjechał na dzień lub dwa. Jeżeli nie ufasz Amber, to może ktoś inny zajmie się twoimi siostrami w nocy? Jakiś krewny albo sąsiad?

— Mówiłem już, że mama nie ma żadnej rodziny, a krewni taty nie chcą mieć z nami nic wspólnego...

— Jak myślisz, dlaczego tak jest?

— Chyba dlatego, że jesteśmy spokrewnieni z mamą.

— Z ojcem też jesteście.

— Nie tak blisko.

Znowu uśmiechnęła się do mnie, a ja obracałem w palcach kamyk w kieszeni i wyobrażałem sobie, że tkwi w samym środku jej czoła, a z niego ścieka jaskrawoczerwona strużka krwi. Ona zresztą dalej by gadała, gdybym ja w nią rzucił tym kamieniem.

— A wujek Mike? Zdaje się, że pomaga wam ostatnio?

— Przynosił mi piwo; skrzynki Black Label. To chyba jest pomoc. Chociaż Rolling Rock bardziej by się nadało, moim zdaniem.

Obrzuciła mnie stroskanym spojrzeniem. Wyraźne, młode oczy spoglądające z niepokojem z pomarszczonej twarzy, jak dziecko uwięzione w masce. Nienawidziłem, kiedy starzy ludzie zachowywali w sobie coś młodzieńczego, jak Bud, który razem ze mną pakował zakupy w Shop Rite i przez cały czas żuł gumę. Łatwiej było myśleć o nich, jakby byli cały czas starzy, a nie młodzi, i teraz powoli umierali.

— Alkohol nie rozwiąże twoich problemów — oświadczyła Betty, marszcząc brwi.

— Nie mówiłem nic o alkoholu. Mówię o piwie.

— Gdyby pracownik opieki społecznej znalazł u ciebie w domu alkohol, dziewczynki natychmiast trafiłyby do rodzin zastępczych. Jesteś nieletni.

— Wisi mi to.

— Wisi ci, że siostry pójną do rodzin zastępczych?

— Nie.

— Hm, to w dziwny sposób to okazujesz...

— Muszę już iść.

Wstałem i z tylnej kieszeni džinsów wyciągnąłem firmową czapkę Redi-Mix Concrete. Betty zerknęła na zegarek i powiedziała: — Mamy jeszcze piętnaście minut.

Zarzuciłem czapkę na głowę i naciągnąłem daszek po same oczy. — Najmocniej więc przepraszam podatników — powiedziałem i skierowałem się do drzwi.

Falszywa wiosna trwała zaledwie tydzień, a potem, jakby dla ukarania robaków i dziewczyn za ich optymizm, zrobiło się przejmująco zimno. Chuchałem na dłonie i pocierałem jedną o drugą, potem wetknąłem je pod pachy, idąc szybko do samochodu. Nie wiedziałem, dlaczego się spieszę. Przecież ogrzewanie i tak nie działało.

Lokalny ośrodek terapii zachowań znajdował się w tym samym długim, niskim budynku z brązowej cegły co wydział ruchu drogowego i biuro okręgowego weterynarza. Po drugiej stronie skrzyżowania

znajdowała się restauracja Eat N' Park, która pozbawiła Denny'ego interesu (nawet śniadania *Wielki Szlem* nie mogły się równać zapiekankom z Eat N' Park) oraz ciąg pawilonów z wypożyczalnią Blockbuster Video, salonem fryzjerskim Fantastic Sam's, sklepikiem Dollar Tree i chińską restauracją o nazwie „U Yee”. Zawsze do niej wstępowałem po wizycie u Betty.

Jack Yee, właściciel lokalu, wystawił głowę i uśmiechnął się jak szalony, kiedy wszedłem, a jego żona też się uśmiechnęła i pomachała z odległego kąta, gdzie zawsze przesiadywała przy stoliku z gazetą. Obawiałem się, że jestem ich najlepszym klientem, a zaglądałem do nich tylko raz w miesiącu, żeby kupić bułkę z jajkiem za dwa dolary.

Jack próbował namówić mnie na kurczaka generała Tso.

— Ostry, ostry — powtarzał z uśmiechem.

— Nie, dziękuję — odpowiedziałem, chociaż byłem głodny jak wilk, a w domu czekały na mnie tylko mac z serem w niebieskim kartoniku i parówki. Dzisiaj gotowanie wypadło na Misty. A miała dwanaście lat.

Yee dał mi za darmo parasolkę dla Jody i ciastko; jeszcze zapytał o nią. On i jego żona spotkali ją tylko raz, ale byli nią zachwyceni. Nie mogli się powstrzymać przed dotykiem jej włosów. Sięgały jej aż do tyłka i były koloru złotych liter na kościelnym śpiewniku.

Wszystkie nasze dziewczyny miały długie włosy — mama też — ale Jody wzbudzała największy podziw. Mama miała najbardziej rude. Misty najbardziej zaniedbane. Włosy Amber najczęściej było czuć zasmrodzonym, starym kocem z paki półciężarówki jakiegoś gacha.

Wziąłem brązową torebkę i postawiłem obok na siedzeniu, potem spędziłem pół godziny w drodze z Laurel Falls do Black Lick; patrzyłem, jak powiększa się plama tłuszczu z bułki z jajkiem przylegającej od wewnątrz do papieru. Miałem straszną ochotę ją zjeść. Spuściłem okno, aby pozbyć się zapachu frytury, ale zimno było zbyt dokuczliwe. Zanim pokonałem ostatni zakręt przed domem, jechałem tak szybko, że mój dodge ram cały się trząsał.

Nasz dom był jedynym przy Fairman Road — nieutwardzonym, trzykilometrowym skrócie łączącym dwa odcinki wiejskiej drogi, która tutaj zawracała. Miejscowi nazywali ją Strzelnicą, bo zanim tata zaczął klecić nasz dom przy końcu drogi, tyle saren zbierało się na przecince, że myśliwy ukryty pośród drzew mógł strzelać na chybił trafił i zawsze mu się poszczęściło. W każdym sezonie myśliwskim tata musiał zamykać psy

w garażu, a mama kazała nam się bawić w domu, bo bała się, że ktoś nas postrzeli. Nigdy nie czułem się bezpieczniejszy niż wtedy, kiedy razem z Amber bawiłem się w wojnę pod karcianym stolikiem przykrytym kocem i nasłuchiwałem huku karabinów na zewnątrz, a po nich nagłej i przejmującej ciszy.

W ciągu ostatnich kilku lat sarny przerzedziły się. Nawet najgłupsze zwierzęta wyczuły, że to miejsce stało się niedobre.

Wóz podskoczył na wykrocie i bułka zleciała z siedzenia na podłogę, gdzie wylądowała w stosie pustych kubków po kawie, zgniecionych torebek od McDonalda i taniej, szarej wiatrówki z napisem na plecach reklamującym firmę od sprzętu AGD „Barclay's Appliances”. Trafił tam też jeden z dinozaurów Jody i zdjęcie ślubne moich rodziców.

Znalazłem to zdjęcie wepchnięte na dno worka ze śmieciami kilka miesięcy po zabójstwie. Ostry róg taniej żółto-złotej ramki zrobił dziurę w plastiku i zadrapał mnie w łydkę, gdy stojąc w bieliźnie, wiązałem krawat. Dziura zrobiła się większa i śmieci rozsypały się po całej kuchni, i zaraz zamarłem, szykując się na otwartą dłoń taty, która trafi mnie w podstawę czaszki, i na drobne, świetliste gwiazdki niczym pyłki dmuchawca unoszące się w powietrzu, które pojawiają mi się przed oczyma i rozmnożą, aż nic nie będę widział poza chłodną, białą nicością. Wtedy przypomniałem sobie, że on nie żyje.

Dziewczynki spały, więc sam posprzątałem bałagan. Wyciągnąłem zdjęcie i szedłem wyrzucić je do kubła na zewnątrz, kiedy coś skłoniło mnie, abym wrzucił je do półciężarówki.

Nigdy się jemu nie przyglądałem. Kiedy przypadkiem je zauważyłem, zakopywałem je pod śmieciami, ale ono zawsze w jakiś sposób wydstawało się na wierzch: tata w białym garniturze i lśniącej koszuli we wzorek w mieniające się kolorami ciapki niczym stopione szkło witrażowe, o wiele za dużo włosów i za duży kołnierz, wąs à la Burt Reynolds, krwistoczerwony goździk w klapie, trzyma mamę w talii i śmieje się po pijacku do któregoś z kumpli poza kadrem; mama w przezroczystej, koronkowej sukience, z toną makijażu na oczach, długie, białe kolczyki z piór i z fryzurą niczym kask, jak Farrah Fawcett-Majors, z ramionami zgarbionymi do środka i głową odsuniętą od oddechu taty, wyglądała, jakby powstrzymywała wymioty. To przeze mnie miała sporo porannych nudności.

Sięgnąłem stopą i pchnąłem teraz to zdjęcie pod stertę śmieci.

Pierwszy kilometr naszej drogi prowadził prosto pod górę, a nad nią zrastały się drzewa, latem tworząc tunel z liści, zimą ze śniegu, natomiast przez resztę roku namiot z nagich gałęzi niczym zwęglonych palców. Nasz dom stał na szczycie. Po drugiej stronie drogi była przecinka; rozciągała się zielono i gładko, aż znikiała za zboczem pośród falujących wzgórz koloru rdzy, sadzy i zniszczonego, żółtego dywanu. Linie wysokiego napięcia i plujące dymem bliźniacze kominy elektrowni Keystone w oddali były jedynymi śladami ludzkiej działalności. Kiedy ludzie pytali mnie, dlaczego zostaliśmy w tym domu, mówiłem im, że podoba mi się widok, a wtedy uważali mnie za jeszcze większego wariata niż przed zadaniem pytania.

Poza Bankiem Narodowym w Laurel Falls, jedyne, co mogło mnie stąd wygnąć, to widok czterech pustych psich bud. Za każdym razem, kiedy parkowałem wóz i zamiast szczekającego chórkę, do którego przywykłem od czasów, gdy tylko zacząłem kojarzyć dźwięki, witała mnie cisza, nienawidziłem siebie za to, że je zawiodłem. Lecz karma dla psów kosztowała krocie. Udało mi się znaleźć domy dla trzech i zatrzymałem Elvisa, mojego skundlonego owczarka. Teraz wolno mu było wchodzić do domu, ale denerwował się tym. Podobnie dziewczęta. Jeżeli jakimś cudem tata powstałby ze zmarłych i wpadłby wściekły do domu, to tylko za sprawą psa leżącego akurat na środku salonu.

Misty otworzyła właśnie drzwi i wypuściła Elvisa na dwór. Wyszła za nim i stała na ganku, milcząca i wyczekująca, obracając w palcach różowe kryształki górskie na brudnej, kociej obroży, którą nosiła na nadgarstku. Obroża należała do kotki, którą tata przyniósł jej na dziesiąte urodziny. Przeżyła zaledwie dwa miesiące, gdy znaleźliśmy ją zastrzeloną w lesie.

Pamiętam, że mama bardziej niż ktokolwiek przejęła się tą śmiercią. Zalała się łzami na widok puchatych zwłok z zakrzepłą krwią, które Misty przyciągnęła na podwórko za ogon. Mama wzięła Misty w ramiona i trzymała ją, gdy ta stała sztywno i wpatrywała się w ciało oczyma szklistymi jak brązowa butelka po lekarstwie. Potem kłękła, powoli zdjęła obrożę i zapięła sobie na rękę, a mama cały czas ścisnęła ją za ramiona. Zdaniem mamy później, była w szoku.

— Przywiozłeś bułkę z jajkiem? — zawołała Misty, pocierając nagie ramiona i stopy w kolanówkach jedna o drugą.

Rzuciłem torebkę. Elvis zatrzymał się w drodze, by mnie przywitać, i obserwował jej lot. Spadła na zamrożone błoto i pies doskoczył, aby

ją powąchać. Misty spojrzała na mnie bez uśmiechu i zeszła po paczkę. Nie wiedziałem, czy jest zła, czy zraniona, czy mało ją to obchodzi. Za sprawą maski z piegów wyglądała na bardziej poszkodowaną, niż w rzeczywistości była.

Ruszyłem przez podwórko. Zatrzymałem się przy betonowej bryle, z której sterczała odcięta rura: kiedyś podpora do anteny satelitarnej taty. Postukałem w nią czubkiem buta i upomniałem się, że muszę pozbyć się reszty rury, zanim ktoś się o nią skaleczy. Talerz podzielił losy psów, a my zostaliśmy tylko z czterema kanałami. Jody straciła Disneya. Misty Nickleodeon. Amber MTV i Foxa. Wtedy wszystkie były zbyt przygnębione sprawą mamy i taty, aby tym się zajmować, ale teraz już nie, więc codziennie musiałem wysłuchiwać od nich.

Wszedłem do środka i wytarłem buty o wycieraczkę przy drzwiach, ale nie zdejmowałem ich tak, jak kiedyś.

— Przywiozłeś mi ciastko z wróżką i parasolkę? — zapytała Jody z salonu.

Przechodząc, powiedziałem, że Misty ma torebkę. Nad oparciem kanapy przerzuciłem pluszowego dinozaura i Jody podniosła głowę z poduszki.

- Trójróg Iskierka — wykrzyknęła. — Zgubiłam go.
- Wiem. Znalazłem go.
- Gdzie?
- W samochodzie.

Głowa zniknęła i odpowiedziała mi kanapa: — Dzięki.

Poszedłem do kuchni, gdzie zastałem czwartkowy garnek wrzącej wody na kuchence i pięć parówek rozłożonych na papierowym talerzu gotowych do podgrzania w mikrofalówce. Otworzyłem szarkę i chwyciłem paczkę precli. Za mną weszła Misty, zajadając swoją kanapkę z jajkiem.

Nie zauważyłem z daleka, że znowu pomalowała oczy fioletowym cieniem Amber. Mama nie pochwalaby u niej makijażu, ale zrezygnowałem z kontrolowania wszelkich kobiecych spraw na rzecz Amber w dniu, kiedy Misty przysłała do mnie w zeszłym roku i oznajmiła, że na pewno zaczął się jej okres.

Znowu spojrzałem na parówki i wykonałem obliczenia: jedna dla Jody, jedna dla Misty, trzy dla mnie.

- Amber nie je?
- Idzie na randkę.

— Co?

Misty rozdarła pudełko z szarego papieru, wyciągnęła paczkę z serem i wrzuciła makaron do garnka. Woda wzburzyła się i Misty zmniejszyła ogień.

— Mówiła, że się wściekniesz, ale ja mogę popilnować Jody. Jestem już duża.

— Nie w tym rzecz.

— Wiem. Amber mówi, że specjalnie chcesz, aby została w domu, tylko żeby zepsuć jej zabawę. Nie żeby pilnować małej...

Rzuciłem torebkę na blat i precle wysypały się na podłogę. Elvis rzucał się na nie, kiedy wybiegłem z kuchni. Misty dużym palcem stopy z paznokciem pomalowanym na niebiesko odsunęła jedno ciastko i dalej mieszała makaron. Zastukałem do pokoju Amber tak mocno, aż spadł z drzwi indiański łapacz snów, bo trzymała go w ręku, kiedy je otworzyła. Miała na sobie czerwony, koronkowy stanik i dżinsy biodrówki, a rozdrażnienie malujące się na jej twarzy ustąpiło uśmiechowi pełnemu satysfakcji, kiedy zobaczyła, że jej się przyglądam.

— Dzisiaj masz zająć się dziećmi — wrzasnąłem na nią, żeby usłyszała mnie przez muzykę z radia nastawionego na pełen regulator.

Odrzuciła się do mnie plecami i podeszła do toaletki, przesadnie kołysząc biodrami, a górna część tatuażu kolibra wyzierała na mnie nad krawędzią dżinsów. Zdawało się, że ptaszek macha do mnie zielonym skrzydłem.

Amber wzięła szczotkę i pochyliła się.

— Misty ma dwanaście lat. Może zająć się sześciolatką — powiedziała z głową zwisającą w dół spod zasłony rudoblond włosów.

— Nie powinny być same w domu późno w nocy — odparłem.

— W czym problem? Dlaczego można zostawić je same w dzień, a nie w nocy? Ty sam pewnie boisz się ciemności.

Amber skończyła i wyprostowała się, zarzucając włosy do tyłu, wyginając szyję i odsłaniając gardło: kobiecy gest, na widok którego zawsze mnie przechodził dreszcz.

Stałem w drzwiach; nie chciałem wchodzić. Każdy centymetr ścian i sufitu pokrywały tu powiązane ze sobą i pofarbowane we fioleto lub błękitny chusty i fragmenty prześcieradła. W jedynym oknie wisiały sznury ciemnogrnatowych koralików w kształcie gwiazdek. Półki za łóżkiem zastawione były świeczkami w psychodelicznych kolorach, większość

z nich była zapalona. Połączenie kolorów i mrocznego oświetlenia sprawiało wrażenie, jakby pokój był na wpół przetrawiony. Szybko podszedłem do radia ustawionego na półce zaaranżowanej z pustaka obok sterty numerów „Glamour” wartych przynajmniej tyle co sto kilo psiej karmy. Wyłączyłem radio. Amber w proteście odrzuciła szczotkę na toaletkę, gdzie z łoskotem wpadła między przybory do makijażu i spinki do włosów.

— Z czym masz problem?

— Nie słyszę cię.

— Nie to, chcę wiedzieć, jaki ty masz problem — powtórzyła, przewracając pustymi, niebieskimi oczyma. — Czy ta Betty-o-Rety powiedziała może Harleyowi-Lujowi, że zasługuje na odrobinę szacuneczku, co? Szacuneczku od dziewczynek?

Złożyła usta jak do pocałunku. Nic nie powiedziałem.

— Nie muszę dzisiaj siedzieć w domu — dodała i wyciągnęła z szuflady ciasny sweter w paski, który wyglądał jak gwiazdkowy prezent dla sznaucera. To niesamowite, ale wcisnęła w niego głowę i materiał naciągnął się, wpierv przybierając kształt jej twarzy, a potem piersi.

Znowu zauważyła, że jej się przyglądam, i uśmiechnęła się tryumfalnie. — Przyszaj — powiedziała. — Nie możesz znieść tego, że ja mam życie, a ty nie.

— Zdefiniuj to życie — odparłem.

Uśmiech pojawił się i znikł. Sięgnęła po szczotkę i potraktowała fryzurę kilkoma ostrymi pociągnięciami, potem zaczęła nią lekko poklepywać w otwartą dłoń, tak jak tata robił drewnianą łyżką mamy, zanim dobrał się do któregoś z nas.

— Wiesz, z czym masz problem? Jesteś wkurzony, bo musisz pracować. A przecież i tak musisz pracować. To nie to samo, co studiować albo włóczyć się z kumplami, albo robić coś z sensem. Ty nawet nie oglądasz telewizji.

Zaśmiałem się, chociaż to nic a nic mnie nie śmieszyło.

— Z sensem, tak? — powtórzyłem. — Czyli pieprzyć się z facetami na skrzyni pickupa?

Szczotka poszybowała z jej dłoni i trafiła mnie w ramię.

— Oddałbyś wszystko, żeby się z jakąś pieprzyć — zasyczała.

Chciałem podnieść szczotkę i pobić Amber do nieprzytomności. Chciałem na tej jej ślicznej buzi zrobić wielkie, czerwone pręgi i żeby jej

z uszu tryskała krew. Nie dlatego, że jej nienawidziłem. Nie dlatego, że na to zasługiwała. Nie dlatego, że chciałem, aby się mnie bała. Po prostu dlatego, że dobrze by było.

Tak samo musiał czuć się tata, zanim złożył mnie pasem, i trochę mnie pocieszyło to, że pragnienie skrzywdzenia kogoś to nic osobistego. Różnica między mną a tatą polegała na tym, że on zawsze przechodził do tego i bił kogoś z nas; i był o wiele szczęśliwszy.

Wiem, że Amber nigdy nie przyszło do głowy, że mogę ją skrzywdzić. Wierzyła, że przemoc to przejaw siły, a mnie uznawała za słabego. Inaczej nie ryzykowałaby takiej prowokacji wobec mnie. Nie znosiła bicia. Podniosłem szczotkę i oddałem jej. Przez chwilę oboje ją trzymaliśmy i czułem, jak drży. Amber wróciła do przygotowań. Ja poszedłem szykować się do pracy.

Amber miała najlepszy pokój w domu: mój. Wcześniej mieszkała razem z Misty, aż pojawiła się Jody, wtedy dostała mój pokój, a mnie wykopali do piwnicy. Nie chciałem tam się przenosić i nigdy nie starałem się, żeby to pomieszczenie uczynić bardziej przytulnym. Łóżko z wiszącą nad nim nagą żarówką, komoda, radio; jedna z betonowych ścian przemalowana zieloną, łazienkową farbą, kwadrat fioletowego, włochatego dywanu i parę pułapek na myszy: to jedyne oznaki życia tu na dole.

W nocy przeważnie leżałem na wznak i wyobrażałem sobie, jakby to było, gdyby żarówka rozbiła mi się o czoło i szklana igła przekłułaby mi gałkę oczną albo wpadła do ust, a ja bym ją połknął.

Skip mówił, że jak komuś weszło takie szkło pod skórę i nie zostało natychmiast usunięte, to trafiało do krwi, a potem żyłami do serca i zabijało człowieka. Kiedyś w ten sposób próbowaliśmy zabić Donny'ego — wokół starego biura kopalni walały się tony rozbitych szyb — ale Donny nie pozwolił sobie wbić szkła, nawet za ciastka z dżemem.

Gdyby żarówka rzeczywiście kiedyś pękła i odprysk szkła zabił mnie, chciałbym być pochowany z odłamkami szkła powbijanymi w twarz. Ludzie myśleliby, że to białe płatki róż, dopóki nie podeszliby bliżej.

Pociągnąłem za sznurek i po kilku mrugnięciach zapaliło się światło. Za dzień lub dwa pociągnę za sznurek, a żarówka się przepali z głuchym puknięciem, a ja nie wiedziałem, gdzie mama trzymała nowe. Kiedy wsadzili mamę do więzienia, zabrała ze sobą różne domowe sekrety:

w której szufladzie są koperty; jak zrobić galaretki; który płyn do kąpieli daje najwięcej baniek; kto jest na co uczulony i kto się czego boi.

Już chciałem złamać się i prosić ją o pomoc, kiedy potrzebowałem formy do babeczek, które Jody miała zabrać do szkoły w swoje urodziny. Minęło już półtora roku od skazania mamy, a ja nie miałem od niej wiadomości poza tym, czego dowiedziałem się z drugiej ręki, od dziewcząt. Nie dzwoniła, nie pisała, podobnie jak nie złożyła apelacji. Oczywiście ona też nie miała wiadomości ode mnie.

Wiedziałem, że to głupie siedzieć tak i obwiniać się nawzajem o to, kto kogo zawiódł jako pierwszy. Zupełnie nie różniło się to od pytania: „Co było pierwsze, jajko czy kura?”, skoro i tak nie miało to znaczenia, bo przed nimi musiał być Bóg.

Obojętnie, jak bardzo się starałem, nie widziałem powodu, aby utrzymywać z nią kontakt. Nigdy nie miała wyjść. Przestała być naszą matką. Zrozumiałem to dogłębnie, gdy tylko zobaczyłem, jak usiadła na tylnym siedzeniu wozu szeryfa, osunęła się z ulgą, pełna spokoju, jakby szła spać po szczególnie długim i ciężkim dniu. Jedynie ja nadal nie rozumiałem dlaczego.

Okazało się, że Misty wie, gdzie jest forma, i oszczędziła mi telefonu do mamy. Misty zawsze piekła w niej babeczki z borówkami dla taty. Mama nie chciała tego robić dla niego, bo potem smarował je grubo masłem, a martwiła się o jego poziom cholesterolu. Powiedziała mi kiedyś, że zazdrości kobietom, które żyły w dawnych, dobrych czasach, kiedy musiały się martwić jedynie tym, czy Indianie i pumy nie zabiją im mężów. A to już leżało poza mocą żony.

Przebrałem się w czarne spodnie i niebieskie polo, które musiałem nosić w Shop Rite, i z powrotem założyłem kurtkę taty, szarpnąłem za sznurek i wyłączyłem światło. Zacząłem wbiegać po schodach, biorąc po dwa stopnie, potem zawróciłem i cofnąłem się po list od Skipa; wepchnąłem go do kieszeni.

Misty już jadła. Jody miała pełen talerz, ale była zajęta pisaniem w czerwonym notesie całym pokrytym nalepkami. Po jej stronie na brzegu stołu stało rzędem jakieś dwadzieścia dinozaurów. Trójróg Iskierka zajmował honorowe miejsce w samym środku razem z ciastkiem z wróżką. Elvis skamlał i drapał pod tylnymi drzwiami.

Sięgnąłem po bochenek chleba.

— Nie ma bułek? — zapytałem.

— Skończyły się — odpowiedziała Misty.

— Dlaczego ty nie jesz? — zapytałem Jody.

Rzuciłem trzy kromki chleba na talerz, na środku każdej położyłem parówkę i polałem musztardą i keczupem, zawiąłem je i pochłonałem dwie, zanim Jody odpowiedziała.

— Piszę listę moich rzeczy do zrobienia. Parówek i tak nie lubię.

— Od kiedy? — zapytała Misty.

— Od zawsze.

— Zawsze jesz parówki.

— Ale już nie takie.

Wszyscy spojrzeliśmy na jej talerz z Królem Lwem z parówką pociętą w krążki i kałużą keczupu, w którą je wrzuciła.

— Teraz wolę w całości — oznajmiła. — Esme powiedziała, że parówki pokrojone w talarki to pierwsza przyczyna zadławienia na śmierć wśród dzieci w Stanach Zjednoczonych. Nie wiedziała tylko, jak jest na całym świecie. Powiedziała mi dzisiaj w autobusie.

— Trudno, ryzykuj — odparła Misty.

— Nie zjem.

— Musisz.

— Nie.

— Harley — Misty zwróciła się do mnie. — Powiedz jej, że musi zjeść.

— Nie obchodzi mnie to — powiedziałem i przełożyłem makaron z serem na swój talerz.

— Zjem, jak ją naprawisz, poskładasz.

— Jak mam ją naprawić? — zapytała Misty, mrużąc oczy, aż stały się fioletowymi szparkami w jej piegowatej twarzy.

— Klejem — stwierdziła Jody z całą powagą.

Uśmiechnąłem się do niej. Czasami mnie rozśmieszała.

Misty przenosiła wzrok między nami. — Jak będziecie jeść klej, to dopiero was zabije — pouczyła nas.

— To zrób mi inną — poprosiła Jody.

— Nie zrobię.

— Zrób...

— Zjedz ostatnią Harleya

— Nie ma mowy. Ja ją chcę — powiedziałem.

— Zamień się z nią — prosiła Misty.

Jody wątpiaco spojrzała na moją parówkę. — Na niej jest musztarda — stwierdziła. — Ściągnij ją.

Misty nagle sięgnęła ręką. Chwyciła moją ostatnią parówkę, wyluskała ją z chleba i musztardy tymi swoimi niebieskimi paznokciami i plasnęła ją na talerz przed Jody. Potem podniosła go i przerzuciła pokrojoną parówkę na mój.

Jody przez moment obserwowała całą sytuację, potem obrzuciła ją zniesmaczonym uśmiechem i poprosiła o karton soku. Misty patrzyła na nią w osłupieniu, a brak emocji na twarzy zwiastował wzbierającą w niej burzę.

— Nie mamy już więcej — powiedziała powoli.

— To chcę mleka.

— Sama sobie weź.

— Nie umiem nalać z dużego dzbanka. Zawsze rozlewam.

Zamknąłem oczy i wyobraziłem sobie, że podnoszę pusty rondel i wykonuję zamach z całych sił; wpierw trafiam w głowę Jody, zwałam ją z krzesła, a potem uderzam Misty i patrzę, jak pluje zakrwawionym makaronem z serem.

Zamiast tego wstałem i nalałem Jody szklankę mleka i podałem jej. Kiedy siadałem, dostrzegłem jej listę.

KARMIE DINOZAŁRY

KOLORUJE OBRASEK DLA MAMY

JESZDŹE DO SZKOŁY

JESZDŹE DO WIENSIENIA

OGLONDAM LEWIZJE

MUFIE PACIESZ ZA DUSZE TATY

IDE SPAĆ

Nie powiedziałem jej jeszcze, że nie zabiorę jej jutro do mamy. Ostatni raz byliśmy przed trzema miesiącami, ale nadal nie potrafiłem się zmierzyć z kolejną jazdą powrotną do domu. Zawsze były takie same: cała trójka wciśnięta do kabiny mojego pickupa; Jody płacze; Misty każe jej być cicho, a Amber przeklina mnie, bo nie chciałem wejść zobaczyć się z mamą.

Pismo Jody przypomniało mi mapę, którą mama narysowała jako dziecko, aby mogła znaleźć drogę do domu w Illinois, kiedy starsza ciocia-babcia i wujek, których nigdy wcześniej nie spotkała, zawieźli ją do Pensylwanii, gdzie odtąd miała mieszkać, bo mama i tata z bratem norodkiem zginęli w wypadku samochodowym.

Mama tylko raz pokazała mi tę mapę. Miałem kłopoty z własną mapą, którą znalazłem w książce w bibliotece szkolnej, odrysowałem

i przyniosłem do domu. Według tej książki mapa miała się sprawdzić poczynając od dowolnej dziecięcej sypialni, a ja przez całe dni zastanawiałem się, jak dostać się na niesamowitą wyspę w kształcie smoka, gdzie było pełno wulkanów plujących lawą w kolorze tęczy.

W końcu poddałem się i poszedłem z nią do mamy. Mama zabrała mnie do swojej sypialni i pozwoliła mi wejść na łóżko, a sama sięgnęła po Biblię z górnej szuflady komody. Mama często czytała Biblię, ale nigdy nie chodziła do kościoła. Mówiła, że nie lubi chrześcijan.

Przyniosła ją i podała mi zamkniętą. Pozwoliła mi przebiec kciukiem po brzegach stron pomalowanych szkarłatem, tak jak zawsze robiłem. Strony, ściśnięte razem, wyglądały jak czerwona aksamitka i były takie same w dotyku, ale rozdzielone, cięły jak żyłka. Otworzyła Biblię z tyłu i wyciągnęła złożoną kartkę.

— O takim czymś mówi się, że to antyk — powiedziała z uśmiechem. — Narysowałam to, jak byłam w twoim wieku. To jakieś osiemnaście lat temu.

Rozłożyła kartkę. Był to rysunek kredkami zaczynający się w żółtym domku z różowym dachem i marszczonymi firanami, z kwiatami w ogrodzie i drzewem z uśmiechniętą wiewiórką. Potem mocna, prosta czarna kreska przecinała papier i skręcała pod kątem prostym; kończyła się niczym. Na górze kreski było napisane SZOSA 80.

— Mapy — wyjaśniała, kiedy przyglądałem się rysunkowi — sprawdzają się tylko wtedy, jeżeli miejsca, do których chcesz dotrzeć, istnieją...

Poczułem na przegubie uścisk Jody. Ciągnęła mnie za rękę, a ja w jej twarzy zobaczyłem milczący upór mamy, spojrzenie, które sprawiało, że chciałem spisać się jak najlepiej albo postąpić najgorzej, w zależności od tego, jak silny się czułem w danej chwili. Zapytała mnie, czy chciałem posłuchać jej wróżby.

— Muszę iść do pracy — powiedziałem. — Powiesz mi jutro.

— Nie — odparła.

Puściła mnie, przełamała ciastko i delikatnie wyciągnęła pasek papieru.

— „Zmartwienie to procent płacony od kłopotów, zanim się zjawia” — przeczytała, uśmiechając się do mnie.

— Wspaniale — rzuciłem.

Elvis niemal przewrócił mnie, kiedy wyszedłem na dwór. Usunąłem go z drogi kopnięciem i wsiałem do wozu, włączyłem głośno radio i

zamknąłem obydwójce drzwi. Nie bałem się ciemności; szanowałem je. Na zewnątrz noc była taka nieprzenikniona, że połykała tylko snopy światła.

Starałem się o niczym nie myśleć podczas jazdy, ale ciągle przed oczyma pojawiała się lista Jody, i list od Skipa, i Amber pieprząca się z jakimś facetem na skrzyni pickupa.

Zanim wjechałem na parking przed Shop Rite, wprowadziłem się do dość paskudny nastrój. Na szczęście nocki w tygodniu były znośne, od kiedy otwarto dwudziestoczegogodzinny Super Wal-Mart. Znałem ludzi, którzy kupowali tam żywność o trzeciej nad ranem tylko dlatego, że mieli taką możliwość.

Zaparkowałem, schowałem kluczyki do kurtki taty, gdzie trafiłem na list od Skipa. Wbrew samemu sobie wyciągnąłem go i ponownie przeczytałem, i w samym środku opisu stowarzyszenia Skipa nagle uświadomiłem sobie, że cała nasza przyjaźń zaistniała tylko dlatego, że byliśmy jedynymi chłopcami mieszkającymi w najbliższym sąsiedztwie i nie było nikogo innego.

Dziwne, jak coś takiego przytrafiało się komuś w paskudnych momentach. Nie wpadłem na to, kiedy byłem szczęśliwy.

3.

Jak powiedziałem, byłem w kiepskim nastroju. Na szczęście do dziewiątej w Shop Rite zrobiło się pusto. Koniec z mamrotaniem do klientów: „Miłego wieczoru”, którym i tak było obojętne, czego im życzę. Zazwyczaj wymykałem się przy pierwszej okazji i szedłem zapełniać półki, żebym nie musiał słuchać rozmów kasjerek o bezrobotnych mężach albo statystyce cyst jajników na terenie trzech sąsiadujących stacji.

Kiedy zacząłem tu pracować, ja i moja rodzina byliśmy akurat na językach. Czasami myślałem, że to jedyny powód, dla którego ktoś mnie w końcu zatrudnił. Większość pracodawców uznawała, że pochodzę z niestabilnego środowiska i nie chciała mnie u siebie. To trochę załamywało, bo od innych różniłem się tylko tym, że o mnie mówiono w wiadomościach o jedenastej.

I zdaje się, że Rick, tutejszy kierownik, wykorzystał mnie, by pokazać swoją tłustą gębę w telewizji — wyobrażał sobie te reporterki w

minispódniczkach, na wysokich obcasach: Jest ze mną Rock Rogers, kierownik Shop Rite, gdzie pracuje syn Bonnie Altmyer skazanej za zabójstwo męża — i myślał, że będę przyciągać nowych klientów. Ludzie wpadaliby, aby na mnie popatrzeć, i wtedy musieliby coś kupić, żeby nie wyglądali na idiotów. Nie wiedziałem, co spodziewali się zobaczyć. Obszlinionego wariata? Faceta, który załamywał się i zanosił płaczem co parę minut?

Tak czy owak wyszedłem na dziwolągą, ale lepiej być dziwolągiem i zarabiać, niż dziwolągiem na zasiłku, więc wziąłem pracę w Rite Shop. Kilka miesięcy później dostałem też drugą pracę w Barclay's Appliances, hurtowni sprzętu gospodarstwa domowego.

Było trudno, kiedy wszyscy gapili się na mnie i szeptali za moimi plecami, ale wolałem plotki od bezpośredniej konfrontacji. Najgorsze było, kiedy ludzie próbowali o tym ze mną rozmawiać, a zawsze były to kobiety. Niektóre miały dobre intencje, ale większość szukała okazji do plotek na wieczór przez telefon.

Nigdy nie wiedziałem, co mówić. Czasami kusiło mnie, żeby im powiedzieć, co naprawdę się wydarzyło.

Jednego dnia jesteś chłopakiem zadowolonym, że udało ci się przetrwać szkołę i zdobyć ten ważny kwitek, i myślisz sobie, że może uda ci się dostać pracę w Redi-Mix Concrete, gdzie twój tata od zarania rozwodził cement, albo w Sharp Pavement przy układaniu chodników. Dobra pensja i dobry kapelusz, tata zawsze ci to powtarzał. Dobre ubezpieczenie zdrowotne, nie żadne gówniane, na sztukę. Dobre plany zarobkowe. Dobre dodatki. Tata znał faceta, któremu wypadł dysk, kiedy prznosił stół bilardowy u szwagra, a zeznał, że stało się to przy załadunku w pracy w sieci 7-Eleven, i dostał trzy miesiące zwolnienia z leżeniem, z pełną pensją.

Tymczasem jest lato, a wzgórza mienią się wszelkimi odcieniami zieleni, możesz wziąć psa na spacer i wędrować kilometrami, nie widząc żywej duży, a jak robi się zbyt późno, możesz spać na ziemi; obudzisz się pokryty rosą wśród połyskujących traw, z zapachem mokrej ziemi i mokrego psa.

W takie poranki starasz się nie myśleć o reszcie świata. Starasz się nie myśleć o fascynującym życiu, jakie ludzie wiodą w telewizji, i o tym, jak nawet byle gówno wydaje się wspaniałe w telewizji i lepsze od tego, co ty robisz. Starasz się nie myśleć o modelkach w katalogu z damską bielizną, który znalazłeś u swojej siostry, i o tym, że nigdy nie będziesz

miał kobiety, która choćby trochę przypomina jedną z nich. Starasz się nie myśleć o tym, że pewnie nigdy nie będziesz miał żadnej kobiety, a ten jeden raz, kiedy ci się udało, popsuleś tak paskudnie, że nie chcesz nawet o tym myśleć, ale mimo to musisz spróbować jeszcze raz. Starasz się nie myśleć o tym, że stracisz jedyne przyjaciela, kiedy odejdzie na studia, i o tym, że już straciłeś siostrę, bo zaczęła dojrzewać. Starasz się nie myśleć o fakcie, że masz osiemnaście lat, a ludzie nieustannie powtarzają ci, że masz całe życie przed sobą, ale ty się czujesz, jakbyś już wszystko przeżył, to co można było tutaj, a żeby jechać gdzie indziej, za bardzo tchórzysz.

Ale przynajmniej masz rodzinę, z którą możesz wytrzymać, choć to są tylko siostry. Przynajmniej masz dwoje rodziców, po ślubie, którzy mieszkają z tobą pod jednym dachem. Jednego dnia jesteś właśnie takim chłopakiem, a nazajutrz przypisują ci opiekuna społecznego i psychologa, i masz wybór być PEŁNOPRAWNYM DOROSŁYM z trójką PODOPIECZNYCH na utrzymaniu albo SIEROTĄ bez NIKOGO.

Czasami miałem ochotę to właśnie im powiedzieć, ale wiedziałem, że uznają to za nudy.

W dni powszednie na nocnej zmianie pracowali tylko trzej pakowacze i było nas o dwóch za dużo. Rick wiedział o tym i zawsze wyznaczał mnie razem z Budem i Churchem, ponieważ nie dawali sobie rady w godzinach szczytu. Byli koszmarnie powolni: Bud, bo był stary i nigdy nie przestawał gadać; Church, bo był opóźniony. Wielu ludziom nie podobało się to słowo, ale Church je wołał, więc go używałem. Nie cierpiał takich zwrotów jak „inwalida”, „nienormalny” i „specjalnej troski”, ponieważ we własnym mniemaniu nie był nikim takim.

Kiedyś sprawdził słowo „opóźnić” w słowniku i był mile zaskoczony, że jest to czasownik. Według definicji: „zmniejszyć szybkość przebiegu czegoś”. I uznał, że to do niego idealnie pasuje.

— Tak jak samochody zwalniają, kiedy są roboty drogowe — wyjaśniał mi starannie, używając wielkiej puszki groszku jako pomocy wizualnej.

Zrozumiałem. Nie uznawał siebie za kompletną beznadzieję.

Church miał trudności z układaniem towaru na półkach — kwestionował ułożenie każdego produktu — a Bud miał artretyzm w kolanach, ale ja uwielbiałem proste zadania, których tak zwyczajnie nie mogłem schrząnąć. Lubilem wyjechać ze stertą kartonów w spokojną, opustoszałą alejkę i zapęłniać puste przestrzenie. I nigdy nie zastanawiałem się,

dłaczego kostki rosółowe są na półkach z przyprawami, a nie z zupami, ani czy krakersy serowe to bardziej przekąska niż ciastka, czy raczej ciastka niż przekąska. Powiedziałem Churchowi, że zwariuje, jak będzie się przejmował opiniami innych ludzi.

Odsunąłem się od kas i zostawiłem Buda, gdy rozmawiał z kasjerkami, a Churcha na ławce, gdzie skubał strupa na gruzłowatych łokciach.

W drodze do magazynu naliczyłem trzech kupujących. Żaden nie zbliżał się do alejki z jedzeniem dla zwierząt, więc załadowałem platformę pięciokilogramowymi workami z karmą dla kotów i ruszyłem. Przejeżdżałem obok Konserw Warzywnych i Żywności Regionalnej, kiedy zauważyłem, jak kobieta w dzinsach i krótkim, szarym sweterku powoli pcha wózek wzdłuż półek. Z początku pomyślałem, że to raczej dziewczyna. Miałem taką nadzieję, bo wtedy może bym zebrał się na odwagę, aby z nią porozmawiać. Z tyłu wyglądała idealnie.

Zatrzymałem się i patrzyłem. Kołysała głową z boku na bok, jakby w rytm kroków. Nie wiedziałem, czy robi to w rytm piosenki w radiu Lite FM, stacji, którą Rick kazał nam puszczać. Miałem nadzieję, że nie. To była „Muskrat Love” — szczurza miłość.

Zatrzymała się przed chińszczyzną i sięgnęła po sos sojowy z górnej półki, a kiedy ja wpatrywałem się w pas odsłoniętej skóry nad dzinsami, gdzie podciągnął się sweter, zorientowałem się, że to jest mama Esme. Poczulem, jak się rumienię, i rozejrzałem się dla pewności, czy nikt mnie nie zauważył. Wtedy przypomniałem sobie, że przecież nikt nie widzi moich myśli.

Państwo Mercer mieszkali około trzech kilometrów na wschód od zbiegu Strzelnicy i Black Lick Road; byli naszymi drugimi sąsiadami pod względem odległości, zaraz po rodzinie Skipa. Było ich czworo: Esme, jej młodszy brat, Zack; tata i mama, Callie.

Nie był to pierwszy raz, kiedy zwróciłem uwagę na ciało Callie Mercer. Od czasu do czasu widywałem ją w sklepie albo kiedy Jody bawiła się z Esme i musiałem ją potem odbierać. W dniu pogrzebu taty przyniosła nam lasagnę, a kiedy skazano mamę, nadziewanego kurczaka. Kiedyś zaglądała do nas, żeby sprawdzić, jak sobie radzimy, ale ostatecznie wrogość Amber i mój brak umiejętności prowadzenia rozmów położyły temu kres.

Raz nawet rozmawiałem o niej ze Skipem. Latem, w ostatniej klasie liceum, kiedy wędrowaliśmy torami i postanowiliśmy przejść na skróty

przez jej teren, i zobaczyliśmy ją, jak pluska się w strumieniu z dziećmi w przemoczonych dżinsach z obciętymi nogawkami i różowej górze od bikini, a ja wtedy bezgłośnie wydobyłem z siebie: „Popatrz no...”

Skip myślał, że żartuję. Powiedział, że jestem chory. Powiedział, że chce posunąć czyjaś matkę to tak samo, jakby chciało się to robić z własną kuzynką.

A ja odpowiedziałem, że gdyby podeszła i wtuliła się w niego mokrymi szortami, a potem szepnęła mu do ucha, że chce się z nim rznąć, to spuściłby się w gacie, zanim zdążyłby cokolwiek odpowiedzieć.

Spojrzał na mnie dziwnie i powiedział, że naprawdę jestem chory.

— Cześć, Harley.

Zauważyła mnie. Nie żebym miał cokolwiek przeciw, ale nigdy nie wiedziałem, co mam jej powiedzieć. Nie byłem pewien, czy powinienem z nią rozmawiać jak z mamą Esme, czy z panią Mercer z lasagna, czy może dziewczyną w różowym staniku.

— Cześć — odpowiedziałem.

— Co u ciebie? — zapytała z lekka zaniepokojonym głosem, zupełnie jakby czekała na tę odpowiedź od kilku dni.

— Dobrze.

— A co u dziewczynynek?

— Dobrze.

Uśmiechnęła się lekko. — Jody powiedziała Esme, że nie chcesz się zgodzić, żeby Amber miała prawo jazdy.

Na samo wspomnienie Amber i jazdy samochodem miałem ochotę coś kopnąć, ale starałem się zachować rozsądek.

— Mówiłem tylko, że może je mieć, jak znajdzie pracę i wykupi sobie ubezpieczenie — wyjaśniłem ze złością. — Bo jak tylko dostanie prawo jazdy, firma ubezpieczeniowa podciągnie ją pod moją polisę, obojętnie, czy pozwolę jej jeździć moim pickupem, czy nie. Tylko dlatego, że razem mieszkamy. A to wyniesie jakieś tysiąc dolców.

— Harley...! — Callie zaśmiała się i dotknęła mojego ramienia. — Jesteś wspaniały — dodała.

Nie miałem pojęcia, co to znaczy, ale dzięki temu uszła ze mnie złość i poczułem suchość w ustach.

— Widzę, że stałeś się prawdziwą głową rodziny — powiedziała, nadal się uśmiechając. — Esme namawia mnie, żebym znowu zaprosiła Jody na obiad. Myślałam o poniedziałku. Pasowałyby tobie?

W poniedziałek wypadł dyżur Jody w kuchni, ale chyba sami możemy nasypać sobie płatków.

— Pewnie — odparłem.

Pani Mercer dorzuciła do wózka puszkę kielków bambusa i paczkę suszonych grzybów. Musiałem chyba dziwnie na nią patrzeć, bo znowu się uśmiechnęła i wyjaśniła, że zamierza ugotować zupę na ostro-kwaśno.

— Lubisz chińską kuchnię? — zapytała głosem pełnym poruszającej szczerości.

Wyobraziłem sobie, jak zapisuje moje odpowiedzi na te wszystkie pytania, żeby mogła je później wyciągnąć i wspominać z czułością.

— Tak — odpowiedziałem.

— Według tego przepisu wychodzi duża porcja. Dam Jody trochę, żeby zabrała do domu. — Wepchnęła za ucho kilka kasztanowych kosmyków. Większość włosów miała spiętych, ale były gęste i wzburzone, i zawsze wyglądały na zwichrzone, obojętnie, jak je uczesała. — Bardzo dobrze robi mi się dzisiaj zakupy — powiedziała jeszcze, najwyraźniej zaskoczona własnymi słowami.

— Tak?

— Bo nie ma dzieci. Zostały w domu z Bradem.

— Ach, tak.

Znowu obdarzyła mnie wylewnym uśmiechem i podniosła obie dłonie zaciśnięte w pięści, jakby błagała o coś. Potem powoli rozprostowała palce, jakby otwierała papierowy wachlarz.

— Cudownie jest robić zakupy samemu i to o tej porze. Pusto tak dookoła. Od tygodni nie robiłam nic bardziej relaksującego. — Z uznaniem powiodła wzrokiem po półkach, jakby właśnie odkryła, że układanie jedzenia to sztuka. — Boże, zabrzmiało to żałosnie. Żeby ekscytować się zakupami.

— To nie takie żałosne jak sama praca — powiedziałem.

Jej uśmiech zniknął nagle, jakby była czymś dotknięta, aż pomyślałem, że ten stan może być długotrwały. Zamknęła dłonie, jakby to były umierające kwiaty. Zerwała je z powietrza i wepchnęła do kieszeni dżinsów.

— Chyba bardziej żałosne — powiedziała, a jej głos nabierał twardości. — Muszę kończyć — dodała. — Jak za późno wrócę, to Brad się wścieknie i cały sens samotnych zakupów będzie zmarnowany.

— Pewnie. — Pokiwałem głową.

— Pamiętaj o usprawiedliwieniu dla Jody na poniedziałek, żeby mogła wysiąść razem z Esme.

— Dobrze.

— To cześć — powiedziała Callie.

Pojechałem dalej, jakby zaszokowany tą niespodziewaną przemianą w niej. Myślałem, że tylko dzieci tak się zachowywały: szaleńczo szczęśliwe w jednej chwili, a zaraz potem mocno przygnębione czymś, czym nikt inny się nie przejmował. Czuję do siebie odrazę za to, że zepsułem jej dobry nastrój.

Po chwili pomyślałem, że przerwę układanie towarów i wrócę na kasę, żeby tam być, jak ona będzie wychodzić, ale przecież nie będę mógł z nią rozmawiać przy innych ludziach, a nawet gdyby, prawdopodobnie jeszcze bardziej pogorszyłbym sprawę.

Kiedy w końcu zawędrowałem do frontu, jej już dawno nie było. Bud opowiadał kasjerkom o wściekłym skunksie, którego rano zauważył koło domu.

— Ta ciepła pogoda pobudziła wszystko zbyt wcześnie — powiedział im.

Jedna z kasjerek kiwnęła głową i odpowiedziała: — Dzisiaj minęłam chyba ze cztery martwe świstaki na poboczu.

— Raz leżał koło naszego domu zdechły kot — wtrącił Church z ławki. — I mama kazała nie dotykać.

Podszedłem i usiadłem obok niego. Odwrócił głowę w moją stronę i spojrzał małymi, szarymi oczyma. Nosił chyba najgrubsze szkła, jakie kiedykolwiek widziałem. Czasami zastanawiałem się, czy rzeczywiście ich potrzebuje, czy też może jakiś okrutny lekarz zapisał mu je tylko dlatego, że był upośledzony i one dopełniały obrazu.

— Mama kazała nie dotykać — powtórzył specjalnie dla mnie.

— Dobrze mówiła — odparłem.

— I co, zastrzeliłeś go? — zapytała Buda druga kasjerka.

— Cholera, nie — odpowiedział, wydmuchując szybki, różowy balon i strzelając nim głośno w ustach. — Nie zastrzelę skunksa, bo zasmrodzi całe wzgórze.

— Ale mówiłeś, że był wściekły.

— Harley — Bud zawołał do mnie. — Ty zastrzeliłbyś wściekłego skunksa?

Zaledwie wypowiedział to pytanie, już kasjerki widziały aferę wywołaną rozmową o broni w mojej obecności. Poderwały się i skupiły na

mnie całą uwagę, do czego nigdy sam nie potrafiłem ich nakłonić, kiedy na przykład prosiłem o sprawdzenie ceny.

Nie wiem, co spodziewały się usłyszeć ode mnie: „Nie, zastrzelilibym raczej kogoś z rodziny”. Albo: „Daj spokój, Bud. Wiesz, że biuro szeryfa skonfiskowało wszystkie strzelby ojca po tym, jak mama zrobiła w nim dziurę na wylot remingtonem”.

Kiedyś jeszcze dam im to, czego tak bardzo chcą.

— Chyba nie — odpowiedziałem.

Church klepnął się po wychudzonym udzie, jakbym powiedział najlepszy żart na świecie. Obserwowałem jego twarz i zobaczyłem całe jego nieuniknione życie opisane przez poszczególne części: krople śliny tryskające z ust, kiedy się śmiał, pryszcze na brodzie, bliznę na czole, gdzie jakiś dzieciak trafił go samochodzikiem w drugiej klasie, gładkie, szare oczy, ruchome za szklami niczym kamyki w słoju.

— Dobrze mówisz, Harley — zahuczał.

Zazdrościłem mu.

Kiedy wróciłem, w domu było ciemno. Nikt nie pomyślał, żeby włączyć dla mnie lampę na ganku, ale to mi nie przeszkadzało. Pamiętam, jak raz pokłóciłem się z mamą o to, że nie zostawiała dla taty światła w te noce, kiedy pił. Powiedziałem jej, że jak mężczyzna wraca samochodem do własnego domu, to zasługuje na to, aby zobaczyć zapalone światło, obojętnie, co robił. A mama odpowiedziała, że jeżeli mężczyzna zrobił coś, co wymagało wybaczenia, to najmniej zależało mu na zapalonym świetle na ganku.

Wtedy nie zgadzałem się z nią, ale teraz zrozumiałem, o co jej chodziło. Nie chciał, aby mu przypominano, że ma kogoś na utrzymaniu.

Na dźwięk zatraskiwanych drzwi pickupa z lasu przybiegł Elvis. Podbiegł, oparł się łapami o moją pierś i całego mnie obwąchał. Czasami przynosiłem mu skrawki mięsa. Zrezygnował i poszedł za mną do domu, przez chwilę wahał się w drzwiach, jakby nadal się spodziewał, że któryś z butów taty trafi go w brzuch, potem wszedł. Fartuch mamy na oknie darł się i haczył od jego skoków.

Misty spała na kanapie, a telewizor rzucał migoczące cienie na jej twarz. Pusta puszka po Mountain Dew i otwarta torba z rozsypnymi grillowanymi chipsami leżała na podłodze. Poszedłem do lodówki po piwo i osunąłem się na skraj kanapy, obok jej stóp. Próbowałem oglądać telewizję, ale znudziło mnie.

Z kurtki taty wyciągnąłem list od Skipa, znowu go otworzyłem i poszukałem fragmentu, w którym opisywał, jak posunął dwie różne dziewczyny, od kiedy zaczął studiować. Wierzyłem mu. To tylko jedna dziewczyna na rok, a jemu dobrze szło z dziewczynami. Nie był prawiczkim, kiedy wyjeżdżał. Miał dziewczynę przez jakiś czas w pierwszej klasie. Była to koleżanka Brandy Crowe, tej, z którą mi prawie udało się to zrobić.

Brandy już wyszła za męża. Miesiąc temu widziałem jej zdjęcie ślubne w *Gazette* z Laurel Falls. Ślub w Walentynki. Ona i jej mąż pewnie leżeli w nocy w łóżku po porządnym rżnięciu i śmiali się ze mnie: jedyny facet w Ameryce, który nie wiedział, jak należy używać gumy. Nie obchodziło mnie to. Jej mąż pochodził z Penns Ridge, a tam pełno było wieśniaków żujących siano.

Tej nocy, kiedy mi nie wyszło z Brandy, poszedłem spać do starego biura w kopalni. Nie mogłem znieść myśli o powrocie do łóżka w piwnicy niezmieniony, skoro mocno wierzyłem, że wrócę fizycznie i duchowo inny. Położyłem się bezpośrednio na potłuczonym szkle i zardzewiałych bolcach, i nic nie czułem. Poniżenie sprawiło, że byłem cały odrętwiały.

Raz w środku nocy obudził mnie zapach butwiejącego drewna, mielonki wieprzowej i żółtej musztardy, ale chyba musiałem sobie wyobrazić tę kanapkę. Wielki, biały księżyc przeświecał przez nieregularne dziury w dachu i rzucał na mnie niesamowitą, srebrną poświatę. Wtedy przypomniała mi się mama, jak w Boże Narodzenie czytała z Biblii o aniele Gabrielu, jak zwiastował Maryi Dziewicy w jej domu i wyjaśniał, jak Duch Święty zstąpi na nią, a siła Najwyższego spłynie na nią, i wtedy będzie nosić w sobie Chrystusa.

Mama czytała mi to co roku, a ja wyobrażałem sobie przeczystej urody dziewczynę, nagą, skąpaną takim samym srebrem, o dużych i przestraszonych oczach, ale uśmiechniętych ustach; Bóg pełza po niej całej, a ona myśli, że to księżyc. To właśnie światło księżyca sprawiło, że wróciłem tej nocy do domu. Nie chciałem mieć Boga na sobie. Nawet przypadkiem.

Złożyłem list od Skipa i włożyłem z powrotem do kieszeni, potem zamknąłem oczy i pozwoliłem sobie na jedną, szybką fantazję o jurnych studentkach, zanim skończyłem piwo i wyszedłem za dom upewnić się, czy pokrywa kubła na śmieci jest dobrze zamknięta przed szopami.

Łatwiej jest wyrwać niedźwiedzia ze snu zimowego niż obudzić Misty. Nawet nie próbowałem i wziąłem ją na ręce niczym pannę młodą, i zanosłem do łóżka. Położyłem ją, a jej ręka z kocią obrozą zsunęła się i zwisła. Wziąłem ją za tę rękę i położyłem jej na piersi. Jeszcze miała chleb i musztardę pod paznokciami.

Jej część pokoju bardzo się zmieniła przez ostatni rok. Spakowała większość pluszaków i wszystkie lalki Barbie. Plakat ze Spice Girls zastąpiły galopujące konie, a toaletka zagracona była lakierami do paznokci i szminkami zamiast kucykami o różowych i fioletowych grzywach.

Na nocnym stoliku, między jej łóżkiem a Jody, stało w ramach zdjęcie, na którym była ona i tata. Oboje uśmiechali się obok wypatroszonego kozła o wytrzeszczonych oczach, leżącego ze spętanymi nogami w poprzek maski dodge'a. To był pierwszy, śmiertelny strzał Misty. Odwróciła to zdjęcie całkowicie przodem w swoją stronę.

Zauważyłem wetknięty za nie złożony skrawek papieru. Wyjąłem go i rozpoznałem kwadratowe literki z trudem wypisane przez Jody.

TO FBREF NATUŻE.

Uśmiechnąłem się i odwróciłem kartkę, żeby sprawdzić, czy nie napisała czegoś jeszcze. W świetle jej dinozaurów wyglądało to na kontrowersję. Poszukałem jej wzrokiem i zobaczyłem jedynie czubek blond czupryny wystający z góry wypchanych pluszaków.

Ostatnią papierową parasolkę dołączyła do kolekcji w jednorazowym kubku. Trzymała też wszystkie wróżby, rozłożone i wygładzone, a potem starannie ułożone w kopercie z napisem WRUSZBY.

Miała jakieś trzy lata, kiedy pierwszy raz kupiłem jej ciastko z wróżką. Yee właśnie otworzył lokal i zajrzałem tam razem ze Skipem po szkole. Mama pokazała Jody, co robić z takim ciastkiem. Przełamała je i pozwoliła Jody wyciągnąć pasek papieru. Jody zapytała mamę, co jest napisane, a mama puściła do mnie oko i powiedziała: — Że Barney ciebie kocha.

W tamtym okresie Jody była po uszy zakochana w Barneyu.

Mina Jody kompletnie mnie wtedy zdruzgotała. Całkowicie uwierzyła w siłę ciastka. Wymieniliśmy z mamą uśmiechy; promieniowała bezinteresowną, spełnioną radością. Tata też tam był, ale oglądał telewizję.

Nigdy nie widziałem, aby tata śmiał się tak szczerze jak mama. Moim zdaniem, szczęście było dla niego jeszcze jedną gwałtowną emocją,

czymś, co zamienił na poklepywanie po plecach i walnięcia w ramię, a używał jako wymówki, aby się upić i niszczyć.

Jako dziecko myślałem, że tak jest ze wszystkimi mężczyznami, i martwiłem się, że mężczyźni potrafią czuć jedynie złość, a wszelkie inne emocje musiały właśnie z niej wyrastać. Kiedy zapytałem o to mamę, powiedziała, że chyba mam rację. Czasami szczerłość mamy przeszkadzała jej w wychowywaniu nas.

Złożyłem kartkę i odłożyłem na miejsce.

Wyłączyłem lampę z arką Noego, która kiedyś należała do mnie, potem do Amber, do Misty, a teraz do Jody. Większość pastelowych kolorów złuszczyła się z Noego i zwierząt, pozbawiając ich rysów, przez co wyglądali jak duchy.

Poczekalem, aż wzrok mi przywyknie do ciemności. Słaba poświata księżycy powoli sączyła się do pokoju. Dosyć, aby nadgarstek Misty zamigotał; wszystko inne pozostało czarne.

Wyszedłem z pokoju i skierowałem się korytarzem obok pokoju rodziców po prawej stronie. Nikt tam nie wchodził od dnia, kiedy siostra taty, Diane, przyjechała zdjąć pościel z łóżka, spakować jego ubrania i osobiste rzeczy. Tak je nazwała: osobiste. Uczyla w trzeciej klasie i myślała, że wie wszystko.

Czasami uchylałem drzwi i zerkalem do środka, na ogołocony materac, różowy jak ciało, który kiedyś wydawał mi się taki miękki, i na oprawiony w ramki plakat z plażą nowożeńców nad jeziorem Erie, która była dla mnie taka egzotyczna, i na pusty flakon w kształcie baleriny z perfumami o nazwie Moonwind, którą to nazwę zdecydowanie uznawałem za piękną. Teraz wiedziałem, że to wszystko jest szajs.

Na dole, u siebie w pokoju, rozebrałem się, sprawdziłem światelko na grzejniku — ostatnio sprawiało kłopoty — i położyłem się do łóżka. Elvis zakręcił się kilka razy na dywanie i ułożył, posapując.

Następne, co skojarzyłem, to był jakiś ruch i stłumione głosy. Spojrzałem na zegar. Była druga trzydzieści pięć.

Usiadłem i postawiłem stopy na podłodze. Usłyszałem jęk. Potem śmiech. A później zaczęło się rytmiczne stukanie meblem.

Nie wiem, jak długo tak siedziałem na łóżku, nasłuchując z zacisniętymi pięściami, zanim uzmysłowiłem sobie niewiarygodny fakt, co się dzieje. Musiało minąć trochę czasu, bo kiedy otworzyłem pięści, na dłoniach miałem odznaczone krwawe półksiężycy pomimo obgryzionych paznokci. Amber wiedziała, że nie wolno jej robić tego w domu.

Wstałem i wciągnąłem dzinsy, narzuciłem kurtkę taty i poszedłem po rugera magnum kaliber czterdzieści cztery od wujka Mike'a. Biuro szejryfa rzeczywiście zabrało wszystkie strzelby taty, ale wujek Mike uważał, że jest mi potrzebna broń. Nigdy nie wiadomo, kiedy może pojawić się jakiś wściekły skunks.

Naboje trzymałem w szufladzie razem z katalogiem damskiej bielizny.

Zakradłem się na górę. Planowałem wyjść tylnymi drzwiami i przestrzelić mu pickupa, jak wóz Bonnie i Clyde'a, ale nasza kuchnia była dokładnie naprzeciw salonu, tuż po prawej stronie kanapy.

Zobaczyłem go nad nią. Nawet na nią nie patrzył. Głowę miał odchyloną do tyłu i zamknięte oczy. Jeżeli chodzi o Amber, to widziałem tylko jej nagie nogi obejmujące jego goły tyłek.

Zatrzymałem się i wycelowałem broń w jego głowę.

To byłoby takie łatwe. Powinno być, ale nie było. Nie było łatwo zastrzelić kogoś, obojętnie, jak bardzo nienawidziłeś jego albo tego, co robił. Obojętnie, jak bardzo byłś wściekły albo jak bardzo cierpiełeś. Nie było łatwo. Jak mamie to się udało?

Odwróciłem się od nich i przeszedłem do kuchni, uderzając w krzesło po drodze; nie obchodziło mnie już, czy mnie słyszą. Z trzaskiem otworzyłem tylne drzwi, ustawiłem się na podwórku i zacząłem strzelać w powietrze.

Zrezygnowałem ze strzelania do samochodu, bo wtedy nie mógłby odjechać w diabły, co było moim głównym celem. Nie byłem wariatem – powiedziałem sobie, czując lekką ulgę. Wariaci nie myśleli z wyprzedzeniem.

Chłopak Amber wybiegł z domu, próbując naciągnąć spodnie. Uderzyło mnie, że nie był za bardzo bystry, bo inaczej uciekałby od strzałów, a nie biegł w ich stronę.

Amber wyszła za nim w majtkach i obcisłym swetrze.

– Mówiłaś, że mocno śpi – krzyknął do niej chłopak.

– Przestań, Harley! – Amber zawołała do mnie. – Skurwysynu! Ty chuju!

Chłopak schwycił ją za rękę i potrząsnął nią. – Przymknij się! – krzyknął.

– Ty gnoju! Nienawidzę cię! – Nie przestawała krzyczeć.

– Nie masz domu? – zapytałem chłopaka, przestając strzelać, aby przeladować broń.

- Że co?
- Nienawidzę cię! — wrzeszczała na mnie Amber.
- Zamknij się! — krzyknąłem do niej.
- Wiesz, która godzina? — zapytałem.

Głos miałem zaskakująco spokojny i rozsądny, ale wcale tak się nie czułem. Wzbierały we mnie wewnętrzności i cały zacząłem się trząść. Dobrze, że nie musiałem celować do niczego.

- Jutro szkoła — wyjaśniłem mu.
- On, kurwa, zwariował — powiedział chłopak, szamocząc się z rozporkiem.
- Nie musisz iść — powiedziała do niego Amber.

W odpowiedzi zaśmiał się szaleńczo i krzyknął: — No jasne!

Zauważyłem, że w drzwiach, za Amber, stoją Misty i Jody. Nie obchodziło mnie, czy widziały, że jestem gotów kogoś zastrzelić, ale nie chciałem, aby widziały półnągą Amber i domyśliły się, co robiła.

— Wynoś się stąd — powiedziałem do chłopaka, wycofując się do domu.

Rzucił mi wściekle spojrzenie i dobiegł do pickupa.

— Wracać do łóżek — powiedziałem dziewczynom, przeciskając się obok nich.

Zaczęły zasypywać mnie pytaniami, ale uciszyłem je spojrzeniem.

— Ty gnoju — Amber ciągle na mnie krzyczała.

Wszedłem do salonu i oparłem karabin o ścianę w narożniku, potem pochyliłem się, oparłem się barkiem o kanapę i zacząłem przesuwając ją w stronę głównego wejścia.

- Dostyć tego w moim domu — sieknąłem.
- Harley, co ty robisz? — zapytała Misty.
- Do łóżek.
- Kurwa, to nie jest twój dom — krzyknęła Amber.
- Harley, co robisz? — jeszcze raz podjęła Misty.
- Zejść mi z drogi.

Otworzyłem i zablokowałem drzwi. Trudno było samemu obrócić kanapę na bok, żeby wymanewrować nią przez drzwi, ale udało mi się.

- Co ty robisz? — Teraz Amber chciała wiedzieć.
- Używałaś czegoś? — zapytałem ją.
- Co?

— Nie widziałem, żeby mu na kutasie wisiała guma, a może miał czas, żeby ją zdjąć?

- Odpierdol się, Harley.
- Jak wpadniesz, to sama będziesz sobie radzić.
- Już sama sobie radzę, gnoju!

Rzuciła się na mnie i zaczęła okładać mnie po plecach. Zrzuciłem ją ostro i ściągnąłem jakoś kanapę po schodach na podwórze.

Wyszło mi z pamięci, czy napełniłem benzyną zapasową bańkę. Tata zawsze mi to zlecał. Nienawidził, kiedy zapuszczał traktor na pierwsze letnie koszenie i kończyła mu się benzyna.

Poszedłem do szopy i otworzyłem drzwi. Czarny wąż długości mojej nogi powoli pełził z jednej strony na drugą. Nie miał nawet siły zwinąć się, kiedy się zatrzymał. Ogłupiała go wczesna wiosna, tak samo jak dżdżownice i wściekłego skunksa Buda. Teraz zamarznie na śmierć. Wziąć motykę i odrąbać mu głowę, to byłoby dla niego bardziej humanitarne, ale jak przeżyje, będzie zwalczać szczury w garażu i krety, które ryły podwórko.

Zostawiłem go i wziąłem bańkę z benzyną. Potrząsnąłem nią. Starczy, żeby oblać kanapę. Poszedłem do kuchni po zapalki.

Amber nie było, kiedy wróciłem przed dom. Misty i Jody stały na schodach. Misty znowu zaczęła mnie pytać, co robię, ale zamilkła, kiedy kula żółtych płomieni buchnęła z tapicerki. Krew odeszła jej z twarzy, aż piegi stały się bardziej widoczne na bladej skórze, były czarne jak fusy po kawie. Rzuciła mi wściekłe spojrzenie i wbiegła do domu ze łzami złości w oczach. Tylko dlaczego. Ta kanapa była gówniana.

Nagle całe ciało przeszył mi ból. Prawdopodobnie od przesuwania kanapy. Tacie przy wnoszeniu pomagał wujek Mike i mąż cioci Diane, Jim, kiedy zmarła babcia i tata odziedziczył ten mebel.

Usiadłem na trawie i patrzyłem, jak płonie. Podeszła Jody i stanęła po drugiej stronie ognia; na swoim drobnym ciałku miała jeden z moich białych T-shirtów i w rozgrzanym powietrzu migotała jak duch.

Nie pytała, dlaczego to zrobiłem, i cieszyłem się z tego powodu. Podeszła do mnie i usiadła; położyła mi głowę na ramieniu.

- Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć mamę — powiedziała.
- Jasne — mruknąłem.

Spojrzała na mnie, marszcząc gładkie czoło jak zatroskana dorosła.

— Co to ta guma?

— No zaraz — powiedziałem szybko, szukając czegoś, co bardziej odwróci jej uwagę niż płonąca kanapa. — A gdzie się podział Elvis? Nie widziałem go, odkąd się położyłem.

Jej twarz rozpromieniała. — Ja już wiem.

Zerwała się i pobiegła do jednej z bud, a moja koszulka trzepotała wokół jej nóg. Wsadziła głowę do środka, szybko wyciągnęła i wykonała gest dłonią, jakby wyczarowała królika z kapelusza. Elvis wyłonił się powoli, wciągnął w nozdrza powietrze i z ziewnięciem położył się na piachu.

4.

Skończyło się na tym, że zabrałem Jody do mamy, ale tylko pod warunkiem, że Misty i Amber zgodziły się nie jechać. Zrozumiałem, że problem polega na zabieraniu wszystkich trzech, więc zapytałem Misty przy śniadaniu, czy zgodzi się nie jechać tym razem. Nadal była wściekła z powodu kanapy taty. Rzuciła mi szybkie, posępne spojrzenie i powiedziała, że za żadne pieniądze nie spędzi ze mną dwóch godzin w samochodzie. Amber nie wychodziła ze swojego pokoju.

Zanim odebrałem Jody ze szkoły, przez dwie godziny rozładowywałem lodówki w Barclay's, czyściłem je i ustawiałem w salonie, a potem kolejne trzy godziny to samo z transportem zmywarek, suszarek i kuchenek — razem z Rayem, facetem, który przez cały czas wściekał się na swoją żonę i dzieciaki.

Wpadłem w kolejny paskudny nastrój i źle się z tym czułem, ponieważ wiedziałem, że będę musiał wykrzesać z siebie garść fałszywego entuzjazmu po wizycie Jody u mamy. Przeważnie była to rola Amber i przyznaję — obojętnie, jak bardzo nienawidziłem zachowania Amber — potrafiła pocieszyć Jody.

Kiedy podjechałem, Jody stała w oknie sekretariatu. Miała na sobie plecak, a w rękę różowy płaszcz, który w tym roku zrobił się dla niej za mały. Była ubrana w kwiecistą sukienkę i rajtuzy przetarte na kolanach, i srebrne, dziecięce, wojskowe buty, które Amber kupiła jej na Gwiazdkę w zeszłym roku.

Większość dzieci ubierała się specjalnie na widzenia w więzieniu. Niektóre były zmuszane przez ciotkę albo babkę, ale inne, tak jak Jody, same dokonywały wyboru. Łatwo je było zauważyć. Zawsze starały się nie pobrudzić.

Nie rozumiałem, jaki to ma sens, poza tym, żeby powiedzieć mamie: „Popatrz na mnie. Patrz, jaka jestem śliczna i żałosna w tej sukience.

Patrz, co straciłaś”. Prawdopodobnie była to ta sama fanatyczna potrzeba, która z kolei pchnęła ich matki do kroku w przepaść.

Przez większość drogi Jody paplała o zającu wielkanocnym, który niedługo przyjdzie, i o dziewczynach, które przyniosły pluszowego dziobaka z metką i opowiadały wszystkim, że za parę lat rodzice sprzedadzą go za milion dolarów, i o tym, jak w stołówce podano parówkę w cieście kukurydzianym na patyku jako gorące danie. Ostatnio zrobiła się z niej prawdziwa gaduła i cieszyłem się z tego; tylko czasami było to denerwujące.

Przez długi okres, po tym, jak mama zastrzeliła tatę, Jody nie mówiła. Zaczęła moczyć się w nocy i nic nie chciała jeść poza galaretkami. Chodziła do innego psychologa, nie do Betty. Był to facet z brodą, który nie wiedział dokładnie nic o niczym. Chciał ją skierować na obserwację. Amber wtedy spanikowała.

Przez następny miesiąc, za każdym razem, kiedy wracałem do domu po kolejnym nieudanym dniu poszukiwania pracy, Amber siedziała na kanapie z Jody na kolanach, nic nie mówiąc ani nie robiąc, tylko ją trzymała. Aż pewnego dnia, kiedy wróciłem, bawiły się dinozaurami i jadły prażoną kukurydzę, i od tej pory wszystko było w porządku.

Metodą prób i błędów odkryłem, że najlepszym dniem na odwiedzi-ny są piątki. Mało kto się wtedy pojawiał. Tylko idiota chciał zaczynać piątkowy wieczór wizytą w więzieniu.

Weekendy były najgorsze. Parking dla odwiedzających to niekończący się ogonek ubranych odświętnie dzieci, kurczowo trzymających rysunki i prace szkolne.

Założę się, że do więzienia dla mężczyzn nie przychodziło tyle dzieci. Na pewno nie mieli specjalnych pokojów widzeń — nazywanych Pokojem Uścisków — gdzie skazańcy mogli dotykać swoich dzieci. Na pewno u nich ścian w stołówce nie pokrywały rysunki kredkami przedstawiające rodzinę na tle domu oraz klasówki z ortografii nagrodzone słoneczkami. (Jody powiedziała, że mama mówiła, że kartki przyklejają do ścian owsianką, bo nie wolno im używać taśmy, pinezek ani sznurka. Mówiła, że budyń z tapioki też się sprawdza).

Wyobrażałem też sobie, że odwiedzający męskie więzienie to głównie prawnicy i kurwy.

To miałoby sens. Więzienie było odbiciem rzeczywistego życia, i zaw-
sze mi się wydawało, że jak kobieta miała już dziecko, to nic innego

się w jej życiu nie liczyło. Bycie tatą mogło jakoś opisywać mężczyznę, ale bycie mamą definiowało kobietę.

Jody nie przestawała mówić, dopóki nie wyłonił się budynek. Więzienie było dobrze widać z szosy. Leżało w dolinie, takiej, którą każdy lokalny bank umieszcza w swoim kalendarzu, tylko tam na zdjęciu jest wielka, czerwona stodoła, a nie olbrzymi, kanciasty, betonowy budynek, który rzucał ostre cienie niczym blizny na łagodne wzgórza w tle. Kiedy rząd budował to więzienie, potrzebny był tylko odosobniony teren i nic innego za tym się nie kryło, ale przy okazji spisali się wspaniale, ukazując różnicę między brzydotą Człowieka a pięknem Przyrody.

Nie zwracałem szczególnej uwagi na to, co mówi Jody, ale podobała mi się ekscytacja w jej głosie, tak samo jak wtedy, gdy słuchałem Callie Mercer w Shop Rite. Jej trajkotanie uspokajało i odwracało uwagę — jak wtedy, gdy mama używała odkurzacza — a kiedy przestała, ogarniała mnie dziwna panika.

Zauważyłem, że wpatruje się w widok za szybą, i próbowałem wymyślić jakiś temat, aby odwrócić jej wzrok, ale zanim coś wymyśliłem, zapytała: — Co to jest zastrzyk śmierci?

— Gdzie o tym słyszałaś? — zapytałem szorstko.

— Od Tylera Clarka w szkole. Powiedział, że mama go dostanie.

Spojrzałem na nią. Nadal patrzyła przez okno.

— Esme powiedziała, że to podaje się starym psom, kiedy nie mogą umrzeć. Powiedziała, że ludzie ich nie dostają, bo ich nie potrzebują. Umierają sami.

— Ma rację.

— Ale mama nie umrze?

— Nie.

— Nie chcę, żeby umarła. Nawet jeżeli zabiła tatę.

Moje dłonie uderzyły w kierownicę. Czasami robiły coś takiego. Działy samodzielnie. Pickup zjechał na bok, potem znowu wskoczył na właściwy pas. Jody chwyciła się deski rozdzielczej.

— Cholera, nie mogę mówić o tych sprawach, jak prowadzę. Dobra? — powiedziałem do siostry.

— Dobra — odpowiedziała. — A co ci jest?

— Nic.

— Smutno ci?

— Nie.

- Właśnie, że tak.
- Nie, jestem tylko... — powstrzymałem się. Z sześciolatką nie można było wygrać tego sporu.
- Smutny — powtórzyła.
- Jody — zacząłem niezdarnie. — Nie możesz tego zrozumieć.
- Nie mów, że jestem za mała — sprzeciwiła się. — Nie jestem.
- Właśnie, że jesteś.
- Nie jestem.
- Jesteś, bo... nieważne.
- Powiedzieć ci kawał?
- Pewnie.

Zjechaliśmy z szosy w wiejską drogę. Pole po prawej było teraz puste, ale pod koniec lata całe będzie pokryte słonecznikami, jak tylko sięgnąć okiem. Więźniarki nie widziały tego z wewnątrz, ale mama była aresztowana w sierpniu, więc będzie o nich wiedzieć.

- Co mówi wampir, jak zrobisz mu przysługę? — zapytała Jody.
- Nie mam pojęcia.

Zanim odpowiedziała, na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech: — Dziękuję.

Zaśmiałem się. Całkiem dobry kawał.

Poczekala, aż otworzę jej drzwi, gdy zaparkowałem, a wtedy powiedziała: — Dziękuję — i znowu się zaśmiała. Chwyciła obrazek, który narysowała dla mamy: zestaw owoców pokolorowanych odbłaskowymi mazakami z napisem na górze: OWOCE SOM SDROWE. W szkole uczyła się o grupach pokarmowych. Na dole zawsze podpisywała obrazki: TFOJA CURKA JODY. Przeszła przez parking, uśmiechając się do mnie przez ramię. Niczego się nie bała.

Nie planowałem widzenia z mamą tym razem. Zamierzałem siedzieć w poczekalni, jak zawsze, i czytać archiwalny egzemplarz „Motocykli”. Do wyboru było to albo „Dom i Ogród”. Lecz Jody uczepiła się mojej ręki i upierała się, żebym też poszedł. Nie chciała iść sama. Wymyślałem różne wymówki, a strażnik z wykrywaczem metali, który nieopodal czekał, aż podejdziemy, powiedział do Jody: — Daremne prośby, mała. Niektórzy nie mogą tego wytrzymać.

Dlatego właśnie złamałem przyrzeczenie, że nigdy więcej nie wejść do mamy. Bo ktoś obcy w poliestrowym mundurze i gumowcach śmiał się ze mnie. Czasami nie cierpiałem być facetem.

Jody chętnie poddała się badaniu detektorem po tym, jak zgodziłem się wejść. Za pierwszym razem, kiedy ją sprawdzano, myślała, że szuka ją cukierka.

Przed rokiem mówiono o rewizjach osobistych z uwzględnieniem jam ciała w przypadku gości udających się do Pokoju Uścisków po tym, jak kobieta wykorzystała dziesięcioletnią córkę do przemycenia elementów pistoletu.

Z zasady nie wierzyłem w karę śmierci, ale kiedy dowiedziałem się, gdzie ta kobieta kazała dziewczynce chować metalowe części, pomyślałem, że ktoś powinien zabrać ją za dom i strzelić w łeb. Komisja regulaminowa mogła wtedy szybko zadziałać. Niektóre gówniane sprawy były bardzo proste.

Zamiast tego zainstalowano więcej kamer.

Weszliśmy pierwsi. W pokoju były cztery fotele. Jeden z nich na biegunach. Od razu domyśliłem się, że musi być dla kobiet z małymi dziećmi. Wtedy to powinienem wyjść, ale nagle drzwi się otworzyły i pojawiła się ona w nędznej koszuli, jakby szpitalnej. Żółtej. Wyblakłej jak słoneczniki. Ktoś miał takie poczucie humoru.

Jody podbiegła do niej. Strażnik odsunął się i zamknął za sobą drzwi. Mama pochyliła się i wzięła Jody na rękę, zanim mnie zauważyła.

Nie rozpoznała mnie z początku, a może to ja w jakimś stopniu nie chciałem, aby mnie poznała; po części chciałem, aby wymamrotała jakieś przeprosiny za nieporozumienie, żebym na powrót mógł jej nie znać.

Chciałem, żeby powiedziała: „Przepraszam. Przez sekundę myślałam, że to mój syn...”

„Nic się nie stało — odpowiedziałbym. — Ja też przysięgłbym, że pani jest moją mamą”.

W zasadzie zupełnie nie wyglądała na moją mamę. Nie była podobna do siebie w żadnej fazie swojego życia. Ani do tej niespokojnej dziewczyny ze ślubnego zdjęcia, walczącej z suchymi spazmami. Ani do ślicznej, beztrudnej mamy z końskim ogonem z czasów, kiedy byłem mały. Ani do tej zmęczonej i nerwowej, jaką stała się później. Ani płochliwej, zmartwionej, jaką była w ostatnich latach. Ani mamą — znowu — wolną od kłopotów, odjeżdżającą z domu na zawsze, ze skutymi nadgarstkami, w ubraniu poplamionym krwią męża.

Schudła. Postarzała się. Wyglądała na niespokojną, ale nie mocno. Otaczała ją aura wyczerpania, udręczonego spokoju, jakby w końcu osiągnęła wymiar boskiej kobiecości, gdzie troski i rozczarowanie były konieczne i dobre. Rdzawe włosy miała ścięte krótko, zupełnie jak ja. Nie mogłem uwierzyć, że Amber to nie wkurzało i całymi potem dniami nie zrzedziła o jej włosach.

— Harley? — wydobyła z siebie.

Było to stwierdzenie faktu, chociaż zabrzmiało jak pytanie. Zostałem zidentyfikowany. Zauważony. Dostrzeżony. Puściła Jody i wyprostowała się powoli.

— Harley — powtórzyła i oczy jej zaszyły łzami.

Ruszyła do mnie. Myślałem, że chce mnie uderzyć. Nie wiedziałem dlaczego. Nigdy wcześniej mnie nie biła. Cofnąłem się, ale ona ujęła moją twarz w dłonie, przyjrzała się jej, jakby to była buzia noworodka, a potem przytuliła mnie z całych sił.

— Moje dziecko — powiedziała prosto w moją nagą szyję, a nie zabrzmiało to ani głupio, ani naiwnie, czy fałszywie. To było kolejne stwierdzenie faktu.

Trafił do mnie jej głos. Mogłem przekonać się, że patrzy na mnie albo obejmuje ktoś obcy, a tylko jej głos był dla mnie miły i nie chciał ode mnie nic w zamian. Uświadomiłem to sobie, jeszcze zanim dotarło to do uszu.

Próbowałem, ale ręce odmawiały mi posłuszeństwa i nie chciały się podnieść, aby ją objąć albo odepchnąć. Opuściły mnie wszelkie uczucia oprócz tępego bólu między oczyma. Moja wolna wola została zmiażdżona między przypływem miłości a ścianą nienawiści, która wyrastała naprzeciw niej. Przyszło mi do głowy, zbyt późno, że widzenie z mamą po raz pierwszy, odkąd zaczęła odbywać karę dożywocia, było czymś wielkim.

Przestała mnie obejmować i najwyraźniej nie zauważyła albo nie obchodziło jej, że ja jej nie objąłem. W końcu byłem dorosłym mężczyzną. Nigdy nie widziałem, aby tata kogokolwiek obejmował poza mamą i Misty.

Odeszła na bok i Jody stanęła między nami, obejmując mamę w talii.

— Ściąłaś włosy — powiedziałem, zaskoczony tym, jak łatwo odzyskałem głos.

— Jakiś czas temu — odpowiedziała, najwyraźniej zadowolona z tego, że w końcu coś mówię, podobnie jak w końcu zacząłem trafiać do nocnika i nie spryskiwałem już ściany za nim. — Podoba ci się?

Wyprostowałem plecy, jakby była wrogiem, którego trzeba pokonać.

— Nie.

Zaśmiała się tylko. Jody podsunęła jej swój obrazek, a mama wzięła go i zaczęła się zachwycać, potem szybko rozejrzała się po pustym pokoju, zanim trafiła wzrokiem na mnie, pełna troski. Myślałem, że znowu mnie dotknie, ale tylko zapytała niespokojnie: — Gdzie Misty?

Pytanie zaskoczyło mnie chwilowo swoją niestosownością. Wzruszyłem ramionami. — Postanowiła nie przyjeżdżać — odparłem.

— Dlaczego?

— Harley poprosił ją, aby nie jechała — Jody poprawiła mnie.

Wbiłem w nią wzrok.

— Przecież ją o to prosiłeś.

— Dlaczego? — zapytała mama.

— Bo one się kłócą — wyrzuciłem z siebie, a potem poczułem się głupio. — Kłócą się w samochodzie i to mnie denerwuje.

Mama uśmiechnęła się ciepło z tego wyznania, a jej oczywista duma i czułość wobec mnie pozbawiła mnie wszystkich zatwardziałych cech, jakich nabrałem przez ostatnie półtora roku. Dobrze, że Amber tego nie widziała.

— No cóż, to jak tam ona się ma? — dopytywała się mama.

— A kogo to obchodzi?

— Harley. — Mama mnie delikatnie zganiała. — Co się z tobą dzieje?

Co się z tobą dzieje? Powtórzyłem w duchu, starając się nie zaśmiać na głos. Moją obolałą głowę wypełnili rozwścieczeni generałowie stąpający po polach bitewnych usianych ciałami, którzy wypytują ocalałych o to samo.

— Nic — odpowiedziałem.

— To dlaczego powiedziałeś: „A kogo to obchodzi?”

— Bo... bo chciałem wiedzieć kogo...

— Mnie ona obchodzi — stwierdziła zdecydowanie mama. — I ciebie też.

— I mnie też — zapiszczała Jody.

Przeniosłem wzrok z Jody na mamę i z powrotem. Pomyślałem o Mistry i Amber, że też tu są, i że cała czwórka spotykała się tutaj od półtora roku, uprzywilejowane członkinie tajnego stowarzyszenia Pokoju Uści-sków. Wyobrażałem je sobie, jak się śmieją i plotkują. Rozmawiają o ubraniach i fryzurach, i pluszakach. I ani razu nie zaprzętnęły sobie głowy faktem, gdzie są i co się stało. Nie przejmowały się winą i wstydem ani opłacaniem rachunków.

Nagle do mnie dotarło: dziewczęta nie brały tych wszystkich bzdur do siebie. Nie czuły się przez nią opuszczone.

To nie powinno mnie zdziwić. Zawsze bardziej niż ja tolerowały błędy mamy; były bardziej skłonne wybaczać jej, gdy zapomniała, kto bardziej woli dżem truskawkowy, a kto winogronowy; albo kto dał jej dobry prezent na urodziny, a kto coś głupiego. Broniły jej w sytuacjach, kiedy ja spodziewałem się przeprosin.

Założyłem, że ich wyrozumiałość brała się z tej samej płci. Była to kolejna z kobiecych spraw, których nigdy nie pojmem, podobnie jak nie chciały, abyś im się naprzykrzał, ale jak tego nie robiłeś zbyt długo, to dopytywały się, dlaczego ich nie nękaś. Albo jak interesowało ich tylko to, czy wyglądają dobrze, ale kiedy tylko mówiłeś im, że wyglądają dobrze, to się obrażały, bo sugerowałeś, że coś innego jest nie w porządku. Albo jak obsesyjnie chciały udowodnić, że są tak samo dobre jak mężczyźni, robiąc rzeczy zarezerwowane dla mężczyzn, kiedy właśnie były od nich lepsze przez brak naturalnych zdolności do tego.

To tylko parę rzeczy, których nauczyłem się jako więzień w ciągu lat spędzonych pośród nich. Jedyne, czego dowiedziałem się o mężczyznach, obserwując tatę, to jak zadowolić się czymś pomniejszym.

— A wiesz, gdzie jest Amber? — zapytała Jody.

— Amber to już duża panna — odpowiedziała mama. Zarzuciła głową, jak to robią kobiety o długich włosach, żeby nie wpadały im do oczu. Potem raptownie podniosła rękę do głowy i na moment zanurzyła palce w krótkich włosach, co ją rozczarowało.

— Może jest zajęta czymś innym — mówiła dalej; objęła się rękami, jakby było jej zimno, i zrobiła kilka kroków. — Wiem, że zaczęła umawiać się z chłopakami.

Niewinny sposób, w jaki to powiedziała, przypomniał mi pewien obrazek: chłopak w garniturze przytrzymuje drzwi samochodu dla dziewczyny w sukience, a jej tata pyka z fajki i wołał: „Kochanie, bądź

w domu przed dziesiątą”. Wtedy także uświadomiłem sobie, że nie miałem pojęcia, co dziewczyny mówiły mamie o naszym życiu i o mnie.

— Zdefiniuj może to umawianie się — powiedziałem.

Mama spojrzała na mnie w sposób, który mówił, że nie ma teraz czasu i sił na odszyfrowywanie ukrytego znaczenia w mowie nastolatków; usiadła w jednym z foteli z niewystudiowaną swobodą kogoś, kto w domu klapnie na własną kanapę. Jody zaraz wskoczyła jej na kolana, położyła jej głowę na piersi i zaczęła trajkotać. Mama zaczęła ją lekko głaskać po głowie, a jej bliskość działała niczym ciepły kompres przyłożony do naciągniętego mięśnia. Pocałowała ją we włosy, uśmiechnęła się i pokiwała głową nad łańcuszkiem jej wypowiedzi. Tę scenę widziałem odgrywaną w domu setki razy. Tu nic się nie zmieniło.

Odrzuciłem się do nich plecami i podszedłem do jednej z kamer zwisających z sufitu; zjrzałem w obiektyw. Ciekawiło mnie, ile filmów z takimi scenami posiadał stanowy system penitencjarny. A kiedy tak stałem, próbowałem wymyślić, co teraz zrobić.

Betty poradziłyby mi, abym zadał to najważniejsze pytanie. Idź i zrób to teraz. Zawsze mi powtarzała, że nie odzyskam równowagi, dopóki nie zapytam mamy, dlaczego to zrobiła. Zapytałem ją kiedyś, co oznacza ta „równowaga”, a ona odpowiedziała: „Spokój”.

Powiedziałem jej, że wiem, dlaczego mama to zrobiła. Nawet adwokat mamy i prokurator stanowy zgadzali się co do powodu, jedyna różnica polegała na tym, że jeden prezentował to jako miłość matki, a drugi jako jej nienawiść. Pytanie brzmiało: „Jak mogła to zrobić?”, a ja nie chciałem poznać odpowiedzi.

Potem zastanawiałem się nad wielką awanturą z mamą. Nieważne o co, ale na to też się nie zdecydowałem. Mama i ja nie potrafiliśmy dobrze się z sobą kłócić. Żadne z nas nie potrafiło włożyć serca w konfrontację. Betty nazywała to „internalizacją”; ja lenistwem i strachem.

Zawsze uważałem, że mama i tata są dla siebie stworzeni, kiedy dochodziło do kłótni. Mama była dla niego idealną przeciwniczką, ponieważ przyjmowała wszystko to, z czym on wychodził, dopasowując intensywność własnej cierpliwości do intensywności jego gniewu, aż w końcu on męczył się i wycofywał, a ona wracała do własnego życia.

Raz tata urządził wielką awanturę, kiedy mama robiła niedzielne śniadanie. Wściekł się do tego stopnia, że wziął całą wytłoczkę jaj i cisnął nimi po całej kuchni. Żółte gluty spływały po ścianach i tworzyły kleiste kałuże na podłodze.

Misty była jeszcze mała i siedziała w wysokim krzeselku; śmiała się i klaskała. Amber zerwała się i uciekła. Jako dziecko, uważałem to, co robił tata, za super, ale jako jego syn rozumiałem, że zaraz może mnie schwycić i cisnąć mną o ścianę. Zostałem na krześle i czekałem.

Kiedy wyczerpał mu się arsenał, wrócił wściekły do stołu i jednym potężnym ruchem ręki zmiotł talerze na podłogę, a potem wyleciał jak burza na dwór.

Nasłuchiwaaliśmy, co teraz robi, zanim zdecydujemy, jak my mamy się zachować. Czekaliśmy, aż zaskowyta któryś z psów albo ryknie silnik kosiarki, a może odezwie się pickup, albo zalegnie złowroga cisza.

W końcu usłyszeliśmy silnik samochodu. Wróciłem do jedzenia. Amber podeszła do stołu. Misty wyciągała główkę i rozglądała się, wreszcie wskazała drzwi i powiedziała: — Da da.

Mama sięgnęła po ścierkę i spojrzała na ciemnożółtą jatkę na ścianach, jakby słońce wykrwawiło się w jej kuchni. Potem podeszła do listy zakupów i dopisała: JAJKA.

Odróciłem się teraz i przyjrzałem mamie z Jody na kolanach. Zauważyła, że się jej przyglądam.

— Chcesz coś powiedzieć — stwierdziła.

— Gdzie trzymasz zapasowe żarówki?

— Pod zlewem w łazience, głęboko w tyle, po prawej stronie — odpowiedziała bez zająknięcia.

— Są tam jakieś?

— Nie wiem, Harley. — Westchnęła. — Dużo czasu minęło.

Powiedziała to ze zbytnią łatwością i nagle zrozumiałem, że zaakceptowała nasze nowe życie, podczas gdy ja jedynie przystosowałem się do niego. Nigdy nie wiedziałem, na czym polega różnica, ale teraz stało się dla mnie jasne, że akceptuje się coś z chęcią, natomiast przystosowuje się po to, aby przeżyć.

Nie chciałem tam dłużej być. Zaczęło do mnie docierać, jakie to małe pomieszczenie. Nie miało okien. Fotele były przymocowane do podłogi. Fotel bujany przypięty łańcuchem. Nie było poduszek. Ani obrazów na ścianach. Tylko kamery produkcji japońskiej.

— Wiem, kochanie. To bardzo ładnie — usłyszałem, jak mówi mama.

— Harley myślał, że mój banan to półksiężyc. — Jody zaśmiała się.

Przełykałem kilka razy, ale nie mogłem zebrać wilgoci w ustach, mimo że czoło miałem całe mokre, aż kapało mi po policzkach. Zebrałem

krople palcami i doniosłem do ust. Słone. Pot. Klaustrofobia: to było to słowo. Całkowicie normalna reakcja na ciasny pokój bez okien. Nie byłem wariatem. Wariat zabiłby tamtego chłopaka.

— To zabawne, że podpisujesz swoje obrazki tak samo, jak kiedyś Harley — mama mówiła do Jody. — Choć oczywiście on nie podpisywał ich „twoja córka”.

Jody znowu zaśmiała się.

— On podpisywał „twój syn”. Amber i Misty nigdy tego nie robiły. Chyba zakładały, że wiem, kim są.

— Harley rysował tobie obrazki?

— Oczywiście. Na pewno pokazywałam tobie niektóre z nich. Wszystkie je trzymam w piwnicy w pudełku razem z wypracowaniami Amber i Misty. Uwielbiał rysować...

Znowu lekko pocałowała Jody w czubek głowy i delikatnie potarła policzkiem o jej włosy. To były uroczyste strony macierzyństwa. Nadal cieszyła się nimi, chociaż nie musiała cierpieć tych złych. Klótni. Gorączkowania. Rachunków. Plam. Koszmarów sennych. Pytań. Przyszłości.

Ona nadal miała nas, dzieci, ale my nie mieliśmy jej.

— Tacie się jednak to nie podobało — mama wyjaśniała Jody. — Uważał, że Harley bardziej powinien zajmować się sportem i polowaniem. Jak typowy mężczyzna.

— To głupio — stwierdziła Jody.

— No, tak. Pamiętam, jak wyciągał Harleya na dwór i rzucał w niego piłkami. Jak bił go, jeżeli nie... — Zamilkła, odchrząknęła. — Och, czy ja wiem? Wujek Mike robił to samo z Mikem Juniorem, a teraz jest na uniwersytecie na stypendium sportowym.

Odłożyła rysunek na podłogę wierzchem do dołu, a ja wyobraziłem go sobie umazany tapioką.

— Ty chcesz tu być — rzuciłem nagle szorstkim głosem.

Mama poderwała głowę. — Harley, to śmieszne.

W myślach ujrzałem jej mapę. Poczulem, jak coś mnie ciągnie po czarnej linii tam, gdzie nie ma nic. Spojrzałem dalej i zamiast żółtego domku zobaczyłem mamę narysowaną kredką, taką, jak ja kiedyś ją rysowałem. Uśmiechnięta postać z kresek w sukience, o jasnoszarych oczach i ciemnorudych włosach. Ciągle pamiętałem nazwy tych kredek: popielaty i ugier.

— Wcale nie — odparłem. — Ty chcesz tu być.

Lekko zepchnęła Jody z kolan i wstała.

— Harley — powiedziała ze strachem i zrobiła krok w moją stronę. Pot zaczął zalewać mi oczy. Zamrugalem powiekami, ale nadal nie widziałem jej wyraźnie. Ręce zaczęły mi się trząść jak u sparaliżowanego starca. Spojrzałem na nie i zobaczyłem tworzące się na nich krople potu wielkie jak krople deszczu. Oddech przyspieszył, aż nie potrafiłem zużyć nadmiaru powietrza.

— Harley! — powtórzyła, tym razem z większą siłą.

Ruszyła na mnie. Słyszałem, jak woła moje imię. Padło z jej ust nagle i gwałtownie, jak uderzenie batem.

Kolana ugięły się pod mną i upadłem na podłogę. Jej dłonie znalazły się na mojej twarzy. Trzęsły się tak samo jak moje. Kazała mi się uspokoić. Położyła mi głowę na sercu.

Krzyknąłem. Odsunąłem ją od siebie i dźwignąłem się na nogi, z trudem chwytając powietrze. Pobiegłem do drzwi i próbowałem je otworzyć, ale były zablokowane. Zacząłem walić pięściami i krzyczeć, aby mnie wypuścili.

Wpadło dwóch strażników i od razu rzuciło się do mamy. Widziałem, jak Jody ratuje obrazek i chowa się za fotelem. Jody też się dostosowała.

Osunąłem się na podłogę.

Strażnicy odepchnęli mamę do kąta. Mama uniosła ręce do twarzy i krzyczała: — Nic mu nie zrobiłam.

Wtedy po raz pierwszy zobaczyłem słowa w powietrzu. Zawisły mi przed oczyma niczym błysk aparatu.

TFUJ SYN HARLEY.

5

Pod widzeniem z mamą postanowiłem, że mój największy problem życiowy to pozbyć się tej rury z podwórka, która została po antenie satelitarnej taty, nie AKCEPTOWAĆ jej. Przez cały weekend przyglądałem się rurze. Mogłem odpilować ją zupełnie blisko ziemi, ale to byłoby bardziej niebezpieczne, bo przykryłaby ją trawa, a Jody zawsze latem chodziła boso. Mogła skaleczyć stopę o ostry metal, a nie mieliśmy ubezpieczenia zdrowotnego. Mielibyśmy, gdybyśmy przeszli na zasiłek. Albo gdybym znikł i dziewczęta trafiłyby do rodziny zastępczej; wtedy miałyby ubezpieczenie. Opieka Społeczna dokładnie mi to wyjaśniła.

Mógłbym spróbować wykopać całą bryłę cementu, ale to trwałoby wieczność. Mógłbym użyć dynamitu, ale wybuch naruszyłby studnię. Prawdopodobnie najlepiej byłoby odciąć rurę jak najniżej i przykryć ją czymś zauważalnym.

Idąc do pickupa w poniedziałek rano, postanowiłem, że tymczasem może być to kanapa, dopóki nie znajdę czegoś lepszego.

Poczerniała jej zgliszcza Misty przykryła starą narzutą koloru strupa. W powietrzu ciągle unosił się zapach benzyny, spalonej pianki i innych sztucznych materiałów. Kopnąłem kanapę, żeby sprawdzić, czy coś już się tam zagnieździło. Ustawiłem ją na miejscu i poczułem się jakoś lepiej.

Przepracowałem cały dzień w Barclay's, potem zdecydowałem, że płatki śniadaniowe na obiad nie są warte jazdy do domu, a później drogi powrotnej na zmianę w Shop Rite. Wieczór był cieplejszy. Zdecydowałem się na paczkę chipsów i colę w markecie, i poszedłem pokręcić się przy myjni samoobsługowej w nadziei, że pooglądam sobie trochę dziewczyn. W połowie drogi, gdy myślałem o ściętych szortach i namydlonych udach, przypomniałem sobie, że muszę odebrać Jody od Esme Mercer. Mogłem zadzwonić. Mama Esme wysłałaby Jody do domu. Jednak pojechałem tam.

Według miejscowych standardów dom Mercerów był dziwny, ponieważ nie stał frontem do drogi, tylko w stronę wzgórz, ponieważ składał się z samych okien i ponieważ zbudowano go z kosztownego cedru, bez sidingu, zostawiając naturalne drewno. Sześć lat później wszyscy ciągle zastanawiali się, kiedy go pomalują.

Nigdy nie byłem u nich w środku, ale z podjazdu widać było frontowy pokój pełen roślin i wiklinowych mebli. Jody mówiła, że nazywają go „dżunglą” i że mama Esme siada tam co wieczór, jak skończy zmywać naczynia i wykąpie Zacka.

Paliło się światło, chociaż jeszcze nie było ciemno. Dni robiły się coraz dłuższe. Jeszcze tydzień i będzie zmiana czasu na letni. Nie tęskniłem za dodatkową godziną ani upałem. Niespecjalnie przepadałem za chłodem, ale lubiłem być ubrany. W zeszłym roku, kiedy odwieszałem do szafy kurtkę taty, czułem się, jakbym pozbywał się własnej skóry.

Zaparkowałem obok niebieskiej celicy Callie. Jeepa grand cherokee nie było. Pojechał nim jej mąż, Brad. Był wiceprezesem Banku Narodowego Laurel Falls. Prezesem był ojciec Callie. To był mały świat.

Ich dwa psy szczekały i rzucały się na łańcuchach, dopóki nie wysiadłem i nie poznały mnie. Wtedy jasny, skundlony collie zaczął skomleć, a czarny labrador biegał wkoło budy jak oszalały. Psy nigdy nie zapominają, kto obdarza ich czułością, obojętnie jak rzadko się zjawia. Podszedłem do nich i rozplątałem labradora; podrapałem oba po piersi, aż oczy zaszyły im mgiełką.

Otworzyły się drzwi i wybiegła Jody. Psy znowu zaczęły szczekać. Zobaczyła mnie, zasepiła się i wbiegła z krzykiem z powrotem do środka: — To on. Ja nie chcę już jechać.

Przez chwilę podziwiałem widok. Posiadłość Mercerów schodziła do okrągłego stawu pośrodku trawnika koloru filcu na stole bilardowym. U podnóża wzgórz wił się czysty strumień, połyskujący kamykami; to były ich wzgórza. Należały do nich. Nie tak jak nasze. My tylko na nich mieszkaliśmy.

Dziadek Callie zapisał jej w spadku dwadzieścia hektarów razem z prawami wydobywania minerałów, co znaczyło, że staruszek nigdy nie odsprzedał ich kompaniom węglowym, podczas gdy wszyscy inni dookoła pozwalali grabić własne ziemie.

Poza Matką Boską, był drugą nieżyjącą osobą, którą naprawdę chciałbym spotkać.

Przez drzewa na wzgórzach dostrzegłem tory kolejowe, te same, które prowadziły do biura kopalni za domem Skipa, te same, którymi chcieliśmy wędrować do Kalifornii po stuknięciu Donny'ego.

Potem wybiegł Zack Mercer. Skrzywił się na mój widok, zakręcił na pięcie i pobiegł do nóg mamy. Ona schwyciła go delikatnie za ramiona i kazała mu poruszać się wolniej.

Podniosła wzrok i obdarowała mnie kobiecym uśmiechem.

— Jak się masz, Harley? — powiedziała.

— W porządku — odpowiedziałem.

Wtedy gwałtownie odwróciła głowę w stronę psów, obrzucając je twardym, wojskowym spojrzeniem. — Cisza — krzyknęła ostro.

Esme i Jody wypadły z domu i pobiegły w stronę huštawek. Zack pośpieszył za nimi.

Callie opanowała się i podeszła do mnie, znowu uśmiechając się niepokojąco. Przypomniałem sobie nasze spotkanie w Shop Rite i to, jak przeszła od dziecięcego podniecenia do głębokiej depresji, niczym za sprawą pstryknięcia palcami.

— Właśnie rozmawiałam przez telefon z Misty — powiedziała.

Nie miała na nogach butów, ale bez zmrużenia oka przeszła po ostrym gresie na podjeździe, aż zastanawiałem się, co musi czuć stopami.

— Zadzwoiłam, żeby ci powiedzieć, że Jody może zostać jakiś czas, a potem wysłałabym ją do domu — mówiła dalej. — Powinniśmy to wcześniej zaplanować.

— No trudno — odparłem.

— Dzień okazał się całkiem ładny. Nie gorąco ci w tej kurtce?

— Nie.

Zbliżyła się do mnie. — Jadłeś obiad?

— Tak.

— Ale jeszcze nie byłeś w domu...

— Zjadłem w mieście.

— O.

Znowu odniosłem wrażenie, że robi notatki. Nie z ciekawości, ale ponieważ chciała zrekonstruować mnie później na własne potrzeby, jeden po drugim nierzeczywistym kawałku, jak domek z kart.

Uniosła gołą stopę i przetarła nią wierzch drugiej.

— Hm, i tak mam coś dla ciebie. Wejdiesz na chwilę?

— Do środka? — zapytałem.

Znowu odwróciła się do mnie i zawołała do Esme, żeby nie bujała brata tak wysoko.

— Tak, do domu — dokończyła.

— Pewnie.

Staralem się nie patrzeć, jak idzie przede mną, ale jej dzinsy były dopasowane, jakby ktoś posypał jej skórę jasnoniebieską kredą. Dzinsy były noszone i prane tak wiele razy, że materiał — założę się — musiał być w dotyku jak ucho szczeniaka. Staralem się o tym nie myśleć i jednocześnie nie patrzeć.

Wnętrze domu też było całe w drewnie. Nawet podłogi. Oprócz kuchni. Tam posadzka wykonana była z kamieni o różnych odcieniach szarości osadzonych w zaprawie i mocno wypolerowanych.

Był to jeden z tych domów, gdzie pokoje nie były oddzielone ścianami, a parter nie miał swojego sufitu, tylko otwartą przestrzeń aż po dach. Kuchnię od salonu odgradzał wielki, kamienny kominek, a ściana ze szklanych półek pełnych bibelotów i zdjęć w ramkach oddzielała salon od „dżungli”. Między półkami nie było nic poza powietrzem, przez

co wydawało się, że rośliny znajdują się we wszystkich pomieszczeniach.

Nie zauważyłem telewizora, więc uznałem, że duży salon z kominem pełni funkcję formalną, coś, czego my nie mieliśmy, chociaż mama zawsze chciała taki mieć. Mówiła, że w przyzwoitym domu powinien być jeden pokój przeznaczony na telewizję, gdzie przesiadywała cała rodzina, i drugi bez telewizora, na przyjmowanie gości. Nigdy nie widziałem w tym sensu, bo wszyscy, których znałem, podczas odwiedzin woleli siedzieć przed telewizorem.

Ten pokój jednak nie wyglądał oficjalnie. Meble były najwyraźniej podniszczone i zavalone zabawkami. Przez drzwi na końcu zobaczyłem lustro na komodzie i niepościelone łóżko.

— Usiądziesz?

Jej głos odwrócił moją uwagę od łóżka. Byłem za to wdzięczny.

Pokazywała wzrokiem na stół i krzesła. Krzesła były zrobione z bambusa, miały poduszki koloru trocin. Stół miał szklany blat. Był jeszcze zastawiony po obiedzie.

— Kupiliśmy ten stół, zanim urodziły się nam dzieci — wyjaśniła, gdy zauważyła, że mu się przyglądam. — Jak dotąd, nikomu nie udało się zrobić w nim dziury talerzem, chociaż Zack próbuje.

Podeszła ze ścierką i przetarła tackę na wysokim krześle Zacka. Obiad pachniał wspaniale, jabłkami, miodem i węglem drzewnym.

Nawet nie pamiętałem, jak smakuje prawdziwe jedzenie. Mama nie była najwspanialszą kucharką na świecie, ale teraz oddałbym wszystko za kawałek nijakiej pieczeni rzymskiej albo jej rozgotowanego kurczaka.

— Macie ładny dom — oznajmiłem.

Wzdrygnąłem się na dźwięk własnych słów. Trudno było wymyślić coś mniej błyskotliwego, nawet gdybym próbował przez cały dzień. Najgorsza postać w najgorszym serialu telewizyjnym zaczęłaby dużo lepiej.

Wiedziałem, że postacie w telewizji były fikcyjne, ale przecież nadal mogłem próbować być tak bystry i śmieszny jak one; jednocześnie nie można przy tym oczekiwać, że ktoś zrezygnuje z rzeczywistego życia.

— Dziękuję — odpowiedziała.

— Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby ktoś wykladał podłogę prawdziwymi kamieniami — dodałem. — Widziałem już gdzieś cegły.

— Jest straszna, jak upuścisz coś kruchego — powiedziała. — Rzeczy roztrzaskują się w trymiga. Ale jest ładna. Uwielbiam te kamienie.

Ku mojemu zaskoczeniu, osunęła się na kolana, nadal trzymając mokrą ścierkę, i dała znak, abym przyłączył się do niej. Uklęknąłem razem z nią, a ona wskazała błądy, srebrno-szary kamień pełen połyskujących odłamków, czarnych i koloru kości słoniowej.

— Jak uważnie się przyjrzysz, to zobaczysz, że wzdłuż biegnie różowa żyłka. Nie widać jej, jak tylko rzucisz okiem. Naprawdę musisz się przypatrzeć.

Przyjrzałem się i miała rację. Nie mogłem się też oprzeć, aby na nią nie patrzeć. Zastanawiałem się, ile czasu spędzała, wpatrując się w kuchenną podłogę, żeby zauważyć coś takiego.

Usiadła na piętach i otarła się o mnie ramieniem. Miałem na sobie kurtkę. Choć skóra nie zetknęła się ze skórą, to fala gorąca popędziła w kierunku mojego krocza, aż dostałem mocnej erekcji. Niezbyt dobrze się z tym czułem. Zrozumiałem, że to całkiem naturalne, ale rozdzierała mnie zbyt szybko, jak ogień wędrujący po ścieżce z rozlanej benzyny.

W końcu zerwałem się na nogi i usiadłem przy stole. Ona nadal wpatrywała się w kamień. Nic nie poczuła.

— Harley, poproszę cię o coś — powiedziała, wstając, aby zanieść kilka talerzy do zlewu. — Zjedz dla mnie ten ostatni kotlet.

Poprawiłem zawartość spodni. Rozporek przyprawiał mnie o przejmujący ból. Założyłem ostatnią parę slipów dzisiaj rano. Pieniądze, które zamierzałem przeznaczyć na nowe, wydałem na Happy Meal i nowego dinozaura dla Jody, aby nic nie mówiła o zachowaniu mamy.

— Nie, dziękuję — odparłem.

— Och, proszę.

— Już jadłem.

— Taki duży facet jak ty nie może poradzić sobie z takim małym kotlecikiem?

Nic nie mówiłem. Czekałem, aż odpowie jakiś duży facet.

— Proszę — powtórzyła. — Inaczej dostaną go psy.

— A twój mąż? — zapytałem.

— Nie będzie chciał — odpowiedziała, jakby podenerwowana. — Wyjechał na obiad.

— No dobra — przystałem.

Wbiłem widelec w kotlet, jakbym bał się, że może mi uciec, i wrzuciłem go na brudny talerz przed sobą.

— A chcesz piwa? — zapytała.

— Pewnie.

Wróciła z michelobem. Już miałem go w rękę, kiedy zapytała: — Czekaj. Jesteś pełnoletni, tak?

— Hm, nie według prawa.

— Ile masz lat?

— Dziewiętnaście. No, dwadzieścia. Prawie dwadzieścia. Skończę za parę miesięcy.

— Tak? — Odetchnęła i usiadła naprzeciw mnie. — Mój Boże, ale z ciebie dziecko.

Nie mogłem uwierzyć, że nie skłamałem. Mogłem równie dobrze powiedzieć jej też o Brandy Crowe, i jak odbiło mi w więzieniu u mamy, i jak sikałem w majtki, kiedy tata uderzył mnie za mocno, i jeszcze o innych wstydliwych sprawach, które pokazałyby jej, że jestem kompletnym idiotą.

— Myślałam, że jesteś starszy — dodała.

— Jestem stary, jak na swój wiek — odpowiedziałem z ustami pełnymi mięsa.

Zaśmiała się. To nie miało być śmieszne. Byłem śmiertelnie poważny. Ale skoro uznała to za żart, to proszę bardzo. Starczy zapytać obojętnie jaką kobietę, co dla niej jest najważniejsze w mężczyźnie, a ona odpowie, że poczucie humoru. Oczywiście, one wszystkie kłamią, ale poczucie humoru musi się liczyć, bo inaczej nie mówiłyby o nim.

— Jest świetny — powiedziałem o kotlecie i nie po to, żeby jej się podlizać. To było najdelikatniejsze, najbardziej soczyste, pełne smaku mięso, jakie kiedykolwiek miałem w ustach.

— Dziękuję — odpowiedziała z uśmiechem.

Najwyraźniej komplement na temat jedzenia spodobał się jej bardziej od poprzedniego o domu.

— Jody też smakowało. Sama zjadła całe dwa kotlety...

Drzwi otworzyły się z trzaskiem i do środka wbiegła trójka dzieci. Dzieci Callie miały skórę koloru wanilii i czarne oczy; Esme kruczoczarne włosy, jak Królowa Śnieżka, a Zack płową czuprynę.

Stanęły jak wryte obok siebie. Esme oparła się o Zacka, a on pchnął ją oburącz. Esme, o twarzyczce jak aniołek, pokazała mu język, a Zack zaśmiał się niczym żołnierz, który widział niejedną bitwę.

— Zapomniałyście zamknąć drzwi — upomniała je Callie.

— A możemy dostać coś do jedzenia? — zapytała Esme.

— Dopiero co był obiad — powiedziała Callie. — Wróćcie zamknąć drzwi.

— Chcemy deser.

— Chcemy deser — jak echo powtórzył Zack.

— Jeszcze nie pozmywałam. Może później.

— Jadłaś te kotlety? — zapytałem wtedy Jody.

— Tak — odparła. — Bardzo smaczne.

— Przecież nie lubisz kotletów.

— Nie lubię twoich kotletów. Smakują jak serwetki.

— Chyba chodzi w nich o marynatę. — Callie zaśmiała się. — Jest bardzo prosta. Ocet jabłkowy, sok cytrynowy, miód, sos sojowy. Mogę dać ci przepis.

— I jeszcze na zupę fasolową z makaronem — dodała pospiesznie Jody.

— Ta też jest łatwa — powiedziała Callie i zachnęła się: — Gdzie wy macie buty?

Wszystkie dzieci były na boso.

— Na dworze — odpowiedziały.

— Jeszcze nie ma lata — zganiała je. — Idźcie założyć buty. Natychmiast.

— A Cruz przyszedł dzisiaj do szkoły w szortach — Esme spierała się, zadzierając brodę z wyższością.

— Jaki Cruz?

— Cruz Lewandowski.

— A co mnie obchodzi Cruz?

— Jego ojciec jest pedagogiem — wytknęła Esme.

Nawet Callie przewróciła oczyma. — Jego ojciec uczy WF-u. Teraz idźcie po buty, a Zack, na ciebie już pora.

Znowu wybiegły, a dudnienie ich stóp o drewnianą podłogę przypominało odwrót małej armii.

Callie usiadła naprzeciw mnie i z westchnieniem otworzyła sobie piwo.

— W ich klasie jest sześciu Cruzów. Wiesz, o co w tym chodzi? — zapytała mnie. — Jedyne Cruz, jakiego ja znam, to ten generał z Boliwii, Santa Cruz, i raczej tutejsi nie na nim się wzorują.

— To chyba jakiś facet z serialu — odpowiedziałem.

— Och, tak. To miałoby sens.

Popiła piwo i zapatrzyła się w przestrzeń. Skończyłem kotlet. Chyba nie zauważyła tego, ale sięgnęła do miski z ziemniakami i pchnęła ją w moją stronę, nie patrząc. Wszystkie matki posiadały ten sam odruch „pustego talerza”.

— To śmieszne, jak można lubić jakieś imię, a kiedy znajdzie się powód, że jest głupie, to wszystko jest zrujnowane — powiedziała jakby mimochodem. — I na odwrót. Imię może wydawać się głupie, aż nagle znajdujesz powód, dla którego staje się ciekawe albo sentymentalne, i wtedy ci się podoba...

Nie słuchałem jej, ale coś do mnie docierało. Zajęty byłem opychaniem się ziemniakami i gapieniem się na nią, bo ona nie patrzyła na mnie, więc nie musiałem się martwić kontaktem wzrokowym. W zagłębieniu szyi miała idealny, czarny pieg, niczym ziarnko pieprzu.

— Zawsze zastanawiałam się nad Misty — powiedziała. — Czy twojej mamie po prostu spodobało się to imię, czy może Misty urodziła się w mglisty dzień, skoro to właśnie znaczy?

Przełknąłem ostatnią łyżkę ziemniaków. Była w nich chyba tona czosnku. Też były świetne.

— Imię wybrał tata — odpowiedziałem. — Tak samo miała na imię jakaś dziewczyna w głupawym serialu-tasiemcu, jak był mały. Chyba też pojawiła się potem w jakiejś rozkładówce. Tacie nigdy nie przeszło...

I znowu: ja mówiłem poważnie, a Callie zaśmiała się. Podniosła butelkę do ust i zachichotała. Widziałem jej język przez brązowe szkło.

Znowu zrobiło mi się gorąco, ale tym razem rozchodziło się powoli, nie wybuchło nagłym płomieniem. Uświadomiłem sobie, że prowadzimy rozmowę.

— A skąd wzięła się Esme? — zapytałem.

— Tak miała na imię modelka i kochanka mojego ulubionego malarza. Francuskiego impresjonisty.

Uniosła palec, dając mi znak, abym poczekał, a potem zsunęła się z krzesła i wyszła z pokoju. Wróciła, dźwigając wielki, lśniący album. Położyła go przede mną i otworzyła na cikliwym obrazku z kwiatami w wazonie, butelką wina i karczochem, potem usiadła znowu i wróciła do piwa. Przez grzeczność przyglądałem się stronie.

— To wygląda jak Pierre Bonnard — powiedziałem.

Westchnęła. Pierwszy raz słyszałem takie westchnienie nie w telewizji dla dorosłych.

- Wiesz kto to Pierre Bonnard? — zapytała.
- Pewnie — odparłem.
- Musisz mieć dobrego nauczyciela sztuki.
- Nie mam żadnego nauczyciela sztuki — odpowiedziałem. — Nie miałem lekcji sztuki od trzeciej klasy.

Odstawiła piwo i zmarszczyła brwi. — Nie wierzę. Nie mów, że w końcu obcięli sztukę — powiedziała ze złością. — Wiem, że grozili tym od lat. Mają czelność tłumaczyć się brakiem pieniędzy, jednocześnie finansując nowe stroje do futbolu i kilka odtwarzaczy wideo, żeby dzieciaki oglądały „Moby Dicka”, zamiast czytać.

Już nie mówiłem jej, że jedyny film o wielorybie w szkolnej bibliotece to „Uwolnić orkę”. Nie mogłem uwierzyć, jak bardzo przejmowała się sztuką i książkami. Wiedziałem, że studiowała poza stanem na bardzo szacownym uniwersytecie, o którym nikt tu nawet nie słyszał, bo nie mieli tam dobrej drużyny futbolu. Miałem nadzieję, że nie jest snobką, która chciała wyjść na ulice i sprowadzić cywilizację do stanu naturalnego, a my wszyscy mieliśmy się gapić z rozdziałionymi gębami, gdy ona będzie przedstawiać nam swoje oświecone poglądy, jakby wymachiwała tubylcom przed oczyma migoczącymi paciorkami.

Chciałem jej to powiedzieć, żeby zobaczyć, czy jeszcze bardziej się wścieknie. Zastanawiałem się, jakby to było, gdyby ją tak zdenerwować, żeby się na mnie zamachnęła. Wtedy musiałbym ją chwycić i przytrzymać. Wyobrażałem sobie, że walczy ze mną i wzywa pomocy, a ja zatykam jej usta dłonią. Próbowalaby mnie ugryźć, a ja wetknąłbym jej palec do środka. Zaczęłyby się dławić, ale ja wpychałbym je coraz głębiej do gardła, aż upadłaby na kolana. Wtedy obróciłbym ją i przycisnął jej twarz do ulubionego kamienia...

— To mnie martwi — mówiła dalej. — Mam ochotę natychmiast pojechać do domu dyrektora, zadać mu to pytanie i niech się tłumaczy, niech wyjąka z siebie te śmieszne tłumaczenia.

Prawie jej nie słyszałem przez krew pulsującą mi uszach. Dłonie pod stołem bolały mnie niemiłosiernie; spojrzałem na nie. Zaciśnięte knykcie pobielaly. Powoli i z bólem otworzyłem pięści i zobaczyłem nowe pręgi obok zaschniętych półksiężyców pękniętej skóry, które zrobiłem sobie w piątek w nocy, słuchając, jak Amber pieprzy się chłopakiem, który był na tyle głupi, żeby nie uciekać przed strzałami. Samo to wystarczyłoby, żebym mu przestrelił wóz. To byłoby moje USPRAWIENIE. Zamrugalem oczyma. Słowo zawisło w miejscu twarzy

Callie. Jeszcze raz mrugnąłem i Callie wróciła.

Patrzyła wprost na mnie i przez chwilę byłem pewien, że czyta w moich myślach. Przelknąłem ślinę i miałem nadzieję, że pot nie zaleje mi twarzy.

— Nikt nie obciął sztuki — objaśniłem. — Sztuka to przedmiot do wyboru.

— Och. — Rzuciła mi ukradkowy uśmiech pełen zażenowania. — Dlaczego jej nie wybrałeś?

— Bo nachodziła na zajęcia własne.

Popiła piwo. — To jakim cudem wiesz, kto to Pierre Bonnard?

Złożyłem pulsujące dłonie. Nic nie bolało bardziej. Bardziej od zadrapania przez człowieka bolało tylko ludzkie ugryzienie. Tata ugryzł mnie tylko raz, a to dlatego, że ja pierwszy go ugryzłem. Mama mówiła, że jako jedyne z dzieci przechodziłem fazę gryzienia.

— Mama miała komplet pocztówek, które kiedyś należały do jej mamy — wyjaśniłem. — Dostała je jako pamiątkę z Art Institute w Chicago. Mama stamtąd pochodzi. Na jednej był jego obraz. „Stół nakryty w ogrodzie”.

— Wiec znasz jego prace? — pytała rozochociona.

— Znam te pocztówki.

Patrzyłem, jak pulsuje jej gardło, gdy przelykała piwo. Odwróciłem od niej spojrzenie i skierowałem wzrok z powrotem na album.

Na początku nie podobał mi się obraz wybrany przez Callie tak bardzo jak ten mamy. Obraz na pocztówce miał sporo ciepłego, zielonego światła i miękkich, rozmazanych kolorów, obrus z jasnoróżowym paskiem: przy takim stole chciałbym siedzieć z Jody.

Obraz w albumie przedstawiał zaciemiony kąt w pokoju. Okno było otwarte, a na dworze było jasno, ale światło nie wpadało do środka. Kwiaty były oślepiająco białe, ale wyglądały na woskowane i martwe. Była otwarta butelka, chociaż nadal pełna, ze słabym, brązowym winem. Jednak najbardziej martwił mnie karczoch. Jego ostre liście miały niebiesko-czarną obwódkę, a każda końcówka miała czerwoną kropkę, tak jaskrawą, że aż wyglądała na mokrą.

Przyjrzałem się znowu i zrozumiałem, dlaczego z początku mi się nie podobał: bo wywoływał u mnie dreszcze, ale właśnie dlatego był to lepszy obraz. Prawdopodobnie o wiele trudniej było przestraszyć kogoś karczochem niż skusić go słonecznym ogrodem.

— Lubię impresjonistów — stwierdziłem.

Zaraz pożałowałem, że to powiedziałem. Natychmiast uświadomiłem sobie, że muszę coś dodać.

Nieporadnie szukałem czegoś w myślach, nie ufając żadnemu ze spostrzeżeń. Jeszcze kilka minut wcześniej myślałem, że impresjonistą jest Dana Carvey — ten parodysta imitujący wiecznego kandydata na prezydenta, Rossa Perrota.

— Nie obchodzi ich, jak coś wygląda — ośmieliłem się. — Bardziej interesuje ich to, co ktoś czuje, patrząc na daną rzecz...

Uśmiechnęła się do mnie. To był piękny uśmiech; oczami, nie tylko ustami; uśmiech prosto z serca, nie z głowy, ponieważ dotknąłem czegoś w niej, czego nikt inny więcej już nie dotykał. Nie wiem, skąd o tym wiedziałem, i chociaż chciałem ją wykorzystać fizycznie na setki sposobów, nie chciałem zbliżyć się do jej duszy.

— To definicja impresjonizmu — powiedziała cicho.

— Tak, wiem — skłamałem. Wstałem od stołu. — Spóźnię się do pracy — powiedziałem. — Muszę iść.

— Przepraszam — odpowiedziała, wstając. — Nie wiedziałam, że idziesz do pracy. Poczekaј chwilę.

Wyszła i wróciła z plastikowym pojemnikiem, w którym coś chlupotało.

— Zupa ostro-kwaśna. — Podała mi pojemnik. — Mówiłeś, że lubisz chińszczyznę.

Wpatrywałem się w pojemnik, ale nie brałem go.

— Proszę — nalegała. — Tylko Esme i ja ją lubimy. Mam jeszcze sporo.

Wziąłem. I nawet nie podziękowałem za zupę. Za obiad też nie podziękowałem. Przyszło mi to do głowy dopiero w samochodzie. Powinienem wrócić i coś powiedzieć.

Kiedy odjeżdżałem, przyłapałem się na tym, jak wpatruję się we wzgórze i zastanawiam, czyjej dziadek podarował jej te góry przed ślubem czy po.

— A gdzie jest tata Esme? — zapytałem Jody.

Wyciągnęła z plecaka jakieś szkolne papiery. Chciała mi je pokazać teraz, w samochodzie, bo kiedy wrócę z pracy, będzie już spała.

— Jej mama powiedziała, że ma dzisiaj wychodne z chłopakami — odpowiedziała. — Mówiła, że jak ona ma wychodne, to tylko żeby kupić jedzenie. Mówiła, że tak dzieje się w małżeństwie.

Popatrzyłem na słoneczko na sprawdzianie z dodawania i odejmowania i skinąłem głową.

Gdybym miał ładną żonę, która potrafiłaby gotować, nigdy bym nie wychodził z domu, najwyżej do pracy, żebym mógł ją utrzymać. Przez resztę czasu uprawiałbym z nią seks i jadł, i byłbym nieprzytomny ze szczęścia.

Nie wiem tylko, czy ona byłaby szczęśliwa. Zastanawiałem się, czyby mnie to jakoś obchodziło.

6.

Zdecydowałem się, że podczas następnego spotkania za miesiąc powiem Betty o widzeniu z mamą. Z początku w ogóle nie chciałem o tym rozmawiać, ale Betty nie była taka zła, więc postanowiłem to zrobić dla niej. Swego rodzaju osobistą przysługę. Syn rozmawia z matką pierwszy raz po tym, jak zamordowała mu ojca: taki erotyczny sen psychiatry.

Kiedy jej powiedziałem, nieomal spadła z krzesła. Bardziej się podsekcytowała niż wtedy, kiedy opowiadałem, jak to tata zabierał na polowanie Misty zamiast mnie i za każdym razem mówił mi: „Ona bardziej jest mężczyzną, niż ty kiedykolwiek będziesz”.

Psychiatrzy uwielbiają, jak ojcowie pogardzają synami. Słowna kastracja, tak to nazwała. Bez względu na nazwę, miał rację.

Misty nie była twardzielem. Była delikatna, piegowata i miała błyszczący koński ogon koloru żółdzia, długie, gęste rzęsy niczym drobne piórka jak puch ze skrzydła pisklęcia. Ale zdecydowanie była chłopczycą. Szczególnie przy tacie. Razem oglądali zawodowe zapasy i razem jeździli kosiarką. Tata zabierał ją na Penns Ridge Speedway oglądać wyścigi podrasowanych samochodów seryjnych. I zdecydowanie miała większe skłonności do polowania ode mnie.

Kiedy zacząłem mówić o mamie, Betty wstała, wyszła z biura i wróciła ze szklanką wody. Zrobiła to samo, kiedy powiedziałem jej o tacie i Misty. Domyśliłem się, że przeczytała o tym w jakimś podręczniku psychologii, który trzymała w swoim drugim biurze, gdzie przyjmowała prawdziwych pacjentów, a nie przypadki z opieki społecznej. Prawdopodobnie można było znaleźć wśród nich cały rozdział o wodzie i

chusteczkach jednorazowych oraz kiedy stosownie jest je zaproponować.

Niektóre elementy wizyty w więzieniu pominąłem, ale niczego nie zmyślałem. Może powinienem, bo Betty wyglądała jednak na nieco rozczarowaną. Końcem ołówka z gumką cały czas stukła w skroń i powtarzała: — Więc nie omawialiście niczego ważnego — i nieustannie pytała, dlaczego zaprzętały mnie pola słoneczników przed więzieniem, a ja odpowiadałem: — Nie wiem.

— Kiedy planujesz ponowne widzenie?

— Nie wiem — odparłem.

— Ale planujesz? To był duży krok z twojej strony, Harley. Musisz dalej iść naprzód.

Tak naprawdę to musiałem ciągle wyglądać przez okno. Dobrze, że gabinet Betty znajdował się na tyłach budynku, a nie od frontu, gdzie okna wychodziłyby na Eat N' Park. Nie było co patrzeć na parking, ale otaczające go klony były ładne. Pokrywały je teraz młode, jasne liście i mnóstwo helikopterów z nasionami.

— Na pewno nie chcesz zdjąć kurtki? — zapytała mnie.

— Na pewno — odpowiedziałem.

Westchnęła, założyła nogę na nogę i spojrzała w notatki. Zaczęła stuknąć ołówkiem w czoło, jednocześnie poruszając czubkiem buta w powietrzu. Zauważyłem jej buty. Nie były to jej typowe czółenka, które rozchodziły się po bokach. Te były delikatnie srebrnozielone, jak odwrotna strona liścia. Bez żadnego śladu, nawet na podeszwie.

Nie całkiem pasowały do jej grubej, szarobrazowej spódnicy. W zasadzie nie kolor był zły. Przyszedł mi na myśl Kopciuszek, który nagle na powrót znalazł się w lachmanach z jednym szklanym pantofelkiem nadal błyszczącym na nodze.

Betty zauważyła, że przyglądam się jej butom, zdjęła nogę z nogi i schowała stopy pod fotel, jakby chciała ukryć jakiś wypadek.

— Wróćmy do twojej uwagi, że wydaje ci się, iż mama bardziej troszczy się o dziewczynki niż o ciebie. Dlaczego sądzisz, że tak właśnie jest?

— Wiem, że tak jest — poprawiłem ją.

— To dlaczego? Dlaczego bardziej troszczy się o nie?

— Bo to dziewczyny.

— Dlaczego to ma znaczenie?

— Rodzice zawsze bardziej troszczą się o córki niż o synów — powiedziałem.

— Na przykład?

— One mogą zejść w ciążę. Uniosła brwi i spojrzała na mnie.

— Nie wszystkie naraz — dodałem, sfrustrowany.

— Martwisz się, że twoje siostry zajdą w ciążę?

— Nie.

— Ale myślisz, że twoja mama tym się martwi?

Osunąłem się na kanapie, starając się znaleźć odpowiedź, na którą ona nie mogłaby zareagować kolejnym pytaniem. W końcu zrezygnowałem.

— Nie. Mnie chodziło o sam fakt.

— Dobrze. — Skinęła głową. — A o co jeszcze można się martwić?

— One łatwiej mogą się zranić.

— Chcesz powiedzieć fizycznie czy emocjonalnie?

— Tak i tak.

— Myślisz, że uczucia Amber łatwiej zranić niż twoje?

Z trudem bronilem się przed zamknięciem oczu i w żołądku mi burzało. Dzisiaj sam zjem bułkę z jajkiem. Pieprzyć Misty.

— Amber nie ma uczuć — stwierdziłem.

— W takim razie nic nie rozumiesz.

Czekała, aż coś powiem, a ja nie mówiłem. Zaczęła poprawiać spódnice. Sięgała jej aż do kolan i zakrywała całe uda. Myślałem o jakimś komplemente, że niby takie dłuższe suknie lepiej jej pasują, ale nigdy nie powiedziałem żadnej kobiecie cegokolwiek choćby w przybliżeniu miłego, a ona prawdopodobnie pomyślałaby, że przechodzę kolejny przełom i pobiegłaby po więcej wody dla mnie.

— Wróćmy do twojej mamy i do tego, co mówiłeś wcześniej, jak dobrze jej było w Pokoju Uścisków. Mówiłeś, że to ci nie przeszkadzało, ale mi wydawało się, że raczej tak. Dlaczego? Nie powinieneś cieszyć się, że mama jakoś się trzyma?

Nie chciałem więcej rozmawiać o mamie, ale jak nie mówiłem o niczym, to i tak Betty nie przestawała się czepiać. Zaryzykowałem inny temat w nadziei, że zapomni o mamie, tak samo jak Elvis zapominał o parówce, gdy dostał kawałek bułki z keczupem.

— Rodzice bardziej martwią się córkami niż synami, tylko dlatego, że mogą zejść w ciążę — upierałem się twardo.

— W niektórych przypadkach tak właśnie może być — przystała. —
Może porozmawiamy o tym jeszcze, jak skończymy o...

— To prawda we *wszystkich* przypadkach — napierałem.

— Hm, tego nie wiem.

— Ale tak jest.

— To prawda, że dziewczyna może zająć w ciążę, jednak do tego
trzeba chłopca. Nie sądzisz, że rodzice martwią się, że ich synowie też
prowadzą aktywne życie seksualne?

— To nie to samo.

— Dlaczego nie?

— Facet może odejść.

— Dziewczyna może usunąć ciążę.

— To nie to samo.

— A co byś zrobił, gdyby dziewczyna zaszła z tobą w ciążę?

Poruszyłem palcami w butach. Chciałem z tym skończyć i zacząć
już nosić tenisówki. Nogi mi się gotowały.

— Ożeniłbym się z nią — odparłem.

— To ciekawe.

— Dlaczego?

— Bo odpowiedziałeś tak szybko i pewnie, a jednak nie wiesz nic o
okolicznościach. Na przykład, gdyby ci się ta dziewczyna specjalnie nie
podała.

— Ale uprawiałem seks z dziewczyną, tak?

— Tak. Więc twierdzisz, że uprawiałbyś seks tylko z dziewczyną,
którą ci się podoba.

— Skoro ona uprawiała seks ze mną, toby mi się podobała.

— Harley... — Betty zaśmiała się, aż lekko zamigotały jej włosy po-
kryte srebrem.

Ze wstrętem i wstydem odwróciłem się do okna. Mówiłem serio.

— W porządku — powiedziała Betty. — A jeżeli jej nie pokochasz?

Zaczynała mnie wkurzać. Zastanawiałem się, czy wziąć do siebie jej
niskie mniemanie o mnie, czy może było to tylko coś, co wyczytała w
kolejnej książce: „Nastoletnia młodzież nie posiada morale i będzie się
pieprzyć z każdym”. Kiedyś chciałem odwiedzić jej prawdziwy gabinet i
obejrzeć te książki, a na pewno miała ich setki. Mogłem się założyć, że
znalazłbym w nich to wszystko wstrętne i głupie, co mi mówiła.

— A gdyby żona i dziecko przeszkadzały w twoich planach na przyszłość? — Nie ustępowała. — Albo gdybyś nie miał źródła utrzymania?

— Gdyby wpadła przeze mnie — wybuchnąłem ze złością — oznaczałoby, że jestem głupi.

Zamknąłem się i na powrót gapilem się przez okno, ale czułem, że ona wpatruje się we mnie. Wiedziałem, że zapyta mnie dlaczego. DLACZEGO? DLACZEGO? DLACZEGO? Dlaczego oznaczałoby to, że jesteś głupi? Dlaczego tak się czujesz? Dlaczego niby twoja mama zastrzeliła tatę? Dlaczego sądzisz, że tata ciebie nie lubił?

— Nie ma na to wytłumaczenia — odpowiedziałem, zanim poprosiła mnie o wytłumaczenie. — Przecież to może się zdarzyć, chyba że coś z tym się zrobi. Nie mam współczucia wobec ludzi, którzy przypadkiem zachodzą w ciążę. To sami idioci, tak jak ta idiotka, która pozwała McDonalda, bo oparzyła się u nich kawą.

— Niektórzy ludzie nie uważają tej pani za idiotkę. Wygrała dużo pieniędzy.

— Tak, wiem. A ten O. J. Simpson chodzi na wolności. To wszystko dowodzi, że sądy są popieprzone. A mnie chodzi o to, że ludzie są odpowiedzialni, jak sami coś spieprzą.

Przeważnie nie używałem takich słów przy Betty. Widziałem, że to jej przeszkadza, a sama nie wiedziała, jak ma zareagować. Dać mi wodę? Podsunąć chusteczkę? Poklepać po dłoni? Raz spróbowała tego. Opowiadałem o tym, że pozbyłem się psów, i rozplakałem się. To był jedyny raz, kiedy przy niej płakałem.

Pamiętam dotyk jej starej dłoni; była zimna i sucha, i przez ułamek sekundy ten dotyk sprawiał mi przyjemność, ale wtedy poczułem przypływ nienawiści do niej, bardziej niż do kogokolwiek dotąd w życiu. Wyrwałem rękę i wybiegłem. Pomiąłem dwa kolejne terminy spotkań, nawet wtedy, kiedy zrozumiałem, że znienawidziłem ją za to, że tak naprawdę wcale nie czułem do niej nienawiści.

Zacisnęła dłoń w pięść i zakaszłała w nią.

— Więc ożeniłbyś się z nią z czystej odpowiedzialności? — zapytała mnie.

— Chyba tak.

— Czy mogę posunąć się do stwierdzenia, że ożeniłbyś się z nią, aby ukarać siebie?

— Chyba.

— Harley, ty słyszysz, co mówisz? Poświęciłbyś się innej osobie na resztę życia, tym sposobem karząc samego siebie. Myślisz, że na tym powinno opierać się małżeństwo?

— Nie wiem.

— Nie wiesz?

Oparła się w fotelu i zerknęła na nietknięty styropianowy kubek wody na stole obok chusteczki i mojej czapki z napisem Redi-Mix.

— A twoi rodzice? — zapytała. — Pobrali się, bo twoja mama była w ciąży. I byli bardzo młodzi. Byli głupi?

— Tak.

Spojrzała na mnie swoimi młodymi oczyma w starej twarzy, a ja odwróciłem wzrok. Próbowwała mnie zrozumieć. To zawsze denerwowało mnie jak diabli. Woląłem, kiedy trzymała się swojej roboty, która — o ile się orientowałem — polegała na tym, by zmuszać mnie do mówienia o sobie bez opamiętania.

— Czy według ciebie twoi rodzice mieli dobre małżeństwo?

Musiałem jej to oddać, niewielu ludzi potrafiłoby zadać to pytanie z poważną miną.

— Tak myślałem.

Ponownie skinęła głową. — Co ciebie skłoniło do takiego myślenia?

Mocno się nad tym pytaniem zastanowiłem. Nie wiedziałem dlaczego. Przeważnie mówiłem pierwszą rzecz, która przychodziła mi do głowy. — Dobrze im się układało — odpowiedziałem.

— Lubili się?

— Tak. To znaczy, nie czulili się ani nie pisali listów miłosnych, nic w tym stylu.

— To skąd wiesz, że się lubili?

— No, mama zawsze wychodziła do samochodu, jak tata przyjeżdżał do domu, chociaż wiedziała, że i tak wejdzie prosto do domu. Ścisnęła go... Nie żeby go obmacywała ani nic w tym rodzaju. Bardziej tak jak mamy ścisnąć dzieci, kiedy je znajdują, jak zgubiły się w sklepie.

— A twój ojciec? Czy było widać po jego zachowaniu w stosunku do mamy, że ją lubi?

Znowu się zastanowiłem.

— Hm, kiedy mama opowiadała o swoim dniu, o tym, jak gotowała obiad, tata po swoim zamykał oczy i twarz miał pełną spokoju. Jakby

słuchał wiersza. Tylko on nienawidził wierszy, ale właśnie tak się wtedy czuł.

Betty uśmiechnęła się. — Niewiele z tego, co opowiadałeś o ojcu, czyniło go ludzkim.

— Co to znaczy?

— Zawsze opisywałeś go, jakby był czarnym charakterem z kreskówki. Typem osoby; nie osobą. Bardzo często wykorzystywane dzieci tak właśnie opisują agresywnych rodziców. Postrzegają ich jako potwory albo świętych.

— No, był typem — powiedziałem podejrzliwie.

— Nie sądzisz, że był bardziej skomplikowany, niż się z pozoru wydawał?

— Zdefiniuj jakoś bliżej to „skomplikowany”.

— Korzystający z emocjonalnych i psychologicznych czynników podczas reakcji na daną sytuację, nie tak jak nierozumne zwierzę, które reaguje tylko na bodźce fizyczne i instynkt.

— To drugie. — Zaczęło mnie to denerwować. — To był mój tata.

— A to, co właśnie mi opisałeś?

— Nieważne.

— Lubieś ojca, Harley?

Co kilka miesięcy zadawała mi to samo pytanie, a ja zawsze odpowiadałem w ten sam sposób.

— Nie znałem go na tyle, żeby wiedzieć, czy go lubię.

— A instynktownie jak na niego reagowałeś?

— Był w porządku.

— Szanowałeś go jednak, prawda?

Wzruszyłem ramionami.

— Robił to, co miał robić — odparłem.

Uniosła brwi i spojrzała na mnie. — Nie wyłączając bicia dzieci? To też miał robić?

— On uważał, że tak.

— Dobrze — powiedziała twardo. — Dlaczego tak sądzisz?

— Nie chcę rozmawiać o tacie — powiedziałem beznamiętnie i dalej gapiłem się przez okno.

Dała mi trochę czasu, abym dojrzał, potem wstała i podeszła do starego biurka z szarego metalu; takie już dawno temu wyrzucono nawet z gabinetów szkolnych dyrektorów. Otworzyła brązowy, skórzany notes, lekko dotknęła czegoś palcem i zamknęła go na powrót.

Zapytałem ją kiedyś, skąd ma ten notes, bo nie wyglądał na taki, który Hallmark sprzedaje w supermarketach. Wyglądała na nieco zaskoczoną moim pytaniem, potem wyjaśniła, że kupiła go w innym mieście i że czasami trzeba trochę poszaleć, i kupić sobie coś specjalnego.

— Zastanawiałeś się nad odwiedzinami u Skipa? — zapytała, nadal stojąc.

— Akurat teraz to kupiłem nową bieliznę — powiedziałem.

— Nie widzę związku.

— Mam kłopoty z pieniędzmi, więc zakup bielizny to duży wydatek. Nadal nie rozumiała.

— Nie stać mnie — wyjaśniałem dalej. — Potrzebowałbym wtedy kasy na benzynę, na jedzenie, piwo i inne gówna. Nie mam tyle.

— Rozumiem — powiedziała, chociaż wiedziałem, że wcale nie rozumie.

Wtedy zauważyłem, że opiera rękę o oprawę notesu. Prawdopodobnie sądziła, że powinienem zaszaleć.

— Przez jakiś czas nie pytałam o twoją sytuację finansową. Jak mają się sprawy? Na pewno majątek ojca przeszedł już postępowanie spadkowe.

Majątek ojca. To mnie rozśmieszyło. Miałem na sobie majątek ojca.

— Mówiłem już, że miał jedynie jakieś ubezpieczenie na życie w pracy. Rząd zabrał trzecią część, a reszta poszła na poczet wydatków na dom, obrońcę mamy, pogrzeb...

Głos mnie zawiódł, zanim zdążyłem dokończyć listę. Koszt pogrzebu tak bardzo mnie zszokował jak ceny karmy dla psów.

Miałem dosyć. Sięgnąłem po czapkę leżącą na stole i przewróciłem przy tym wodę. Wiedziałem, że powinienem przeprosić i spróbować pomóc w sprzątaniu, ale nie mogłem się ruszyć. Woda rozlała się połykliwą kałużą na ciemnobrązowym blacie i zaczęła ściekać na dywan, aż przypomniała mi coś, od czego skurczył mi się żołądek, ale nie mogłem skupić się na konkretnym wspomnieniu.

Najrozmaitsze wspomnienia napływały mi do głowy i uciekały. Wszystkie plamy, jakie w życiu zrobiłem, i wszystkie kary, jakie za nie otrzymałem. Trzepnięcia w głowę. Pacnięcia w twarz drewnianą łyżką. Manto paskiem i uderzenia grzbietem dłoni. Tata reagował spontanicznie, bez uczucia. Lanie przychodziło, gwałtowne, ale bezosobowe i

konieczne, jak oberwanie chmury. Gdyby Betty kiedyś była świadkiem tego, przyznałaby, że są instynktowne.

Zerwała się z fotela i próbowała zetrzeć wodę chusteczką, która rozpadała się jej w rękę. Słyszałem, jak mówi, żebym się nie martwił i nie wychodził, ale odzyskałem władzę w nogach i uciekłem. Biegłem przez całą drogę do pickupa i z piskiem opon wyjechałem z parkingu. Betty wybiegła za mną i stała przed budynkiem, staruszka o młodych oczach z przemoczonymi, białymi skrawkami moich wnętrzności w dłoni.

Byłem tak roztrzęsiony, że prawie zapomniałem zatrzymać się u Yee. Musiałem kiepsko wyglądać, bo Jack Yee niepewnie się uśmiechnął i zapytał, czy podać mi szklankę wody. Zaśmiałem się i rozplakałem.

Przez pierwszą część drogi do domu czułem, że zwymiotuję. Wszyscy jak jeden mąż palili przed domami śmieci, bo był ładny wieczór. Zapach palonego plastiku, ściętej trawy, zasranych pieluch wypełniał kabinę pickupa i mieszał się z tłuszczem z bułki z jajkiem.

Wielu ludzi nadal miało na drzewach i krzewach pozawieszane jajka wielkanocne. Niektórzy trzymali je aż do Halloween. Inni wyciągali ozdoby ogrodowe, które będą stać na trawnikach aż do sezonu polowań, kiedy to będą musieli je usunąć, żeby do nich nie strzelano.

Zobaczyłem kobietę, której nie znałem z nazwiska, ale mijałem ją przez całe życie. Zieloną ścierką polerowała lśniąca niebieskawo-zieloną kulę. Pomachałem do niej, a ona odpowiedziała tym samym gestem.

Zauważyłem, że wystawiła Matkę Boską obok wodopoju dla ptaków, za olbrzymimi czerwonymi muchomorami w żółte kropki, na których przysiadły dwa elfy. Jej Matka Boska to nie była ta szara, kamienna statua, którą wszyscy teraz kupowali, ta, która ma wzrok skierowany w ziemię, jakby była nic niewarta. Ta Maryja była staromodna, plastikowa, ubrana w jasny błękit, spoglądała ku niebu z lekkim uśmiechem na pomalowanych różowo ustach. Takie mama lubiła najbardziej. Lubiała kolorowe szaty i błogie, białe twarze. Nigdy nie widziała takiej, aż dopiero kiedy jechała z Illinois, po stracie rodziny; myślała, że to znak od Boga, że to będzie dobre miejsce na dom. Całą drogę przez naszą dolinę liczyła madonny.

Całkowicie odzyskałem spokój, zanim pokonałem ostatnie koleiny na naszej drodze. Tętno wróciło do normy. Ręce były posłuszne. Potrafiłem wybrać myśl i skupić się na niej. Nawet nie przejąłem się, kiedy

spojrzałem na podłogę w samochodzie i zauważyłem ślubne zdjęcie rodziców, które wyłoniło się z najświeższej warstwy śmieci. Jedynie postawiłem na nim nogę i odepchnąłem je pod spód.

Kiedy zajechałem przed dom, Elvis uniósł głowę tam, gdzie leżał, na zwęglonej kanapie. Kiedy ulotnił się najgorszy smród spalenizny, uznał ją za swoje miejsce.

Dziewczyny nie wspominały o wstawieniu innej kanapy do środka. W pokoju położyły poduszki na podłodze i z nich oglądały telewizję. Od czasu do czasu udawało mi się przekazać im jakiś komunikat.

Milcząca Misty nie zjawiała się na ganku po kanapkę z jajkiem. Jody nie wybiegła z błaganiami o ciastko i parasolkę. Nie zastanawiałem się nad tym, dopóki nie położyłem ręki na klamce. Wtedy nagle byłem bezwzględnie przekonany, że wszystkie nie żyją. Ktoś je zastrzelił i złożył na stercie pośrodku salonu, w miejscu kanapy. Nie mogłem odróżnić jednej od drugiej, aż zauważyłem oczy, otwarte i puste, spoglądające z zaskoczonych i zakrwawionych twarzy. Szare oczy Jody, takie same jak u mamy. Ciemne oczy Misty jak u taty. Niebieskie oczy Amber, podobne do moich. Wtedy domyśliłem się, kim są. Kim były. Nie były już nikim. Były płataniną lepkich, czerwonych rąk, nóg i włosów. Mnóstwa włosów. Żółtych, rdzawych i kasztanowych.

Elvis zaczął warczeć. Takim go nie widziałem. Miał pysk nisko przy ziemi, a zad wysoko, uszy płasko na głowie; fąfle zasłaniały zęby. Czarne futro na grzbiecie zjeżyło się niczym szczotka, którą te wszystkie włosy czesano. Na futrze była krew. W jakiś sposób wiedziałem, że do niego nie strzelano. To była krew dziewczyn. Stał zbyt blisko, kiedy padły strzały. Tak jak ja. Warczał na mnie. Spojrzałem w dół i zauważyłem krew na butach i dżinsach. W rękach trzymałem karabin od wujka Mike'a.

Upuściłem broń i aż wzdrygnąłem się, słysząc trzask jej uderzenia o podłogę. Ponownie spojrzałem w dół i zobaczyłem torebkę z chińskiej restauracji na podłodze ganku przed głównymi drzwiami. Elvis warczał na mnie. Nie na żarty.

— O co chodzi, stary? — zapytałem drżącym głosem.

Na dźwięk mojego głosu natychmiast przestał warczeć. Nastawił uszu, przekrzywił łeb i odskoczył, machając ogonem.

Pochyliłem się powoli, odnalazłem torebkę i sprawdziłem, czy ciastko Jody nie pękło.

Może niedługo zapytam Betty o te sceny, które odgrywają mi się w głowie. Prawdopodobnie to nic takiego, ale czasami przerażały mnie, bo wydawały się takie realne. Nie tak, jak działo się to ze snami, ale tak jak życie wydawało się realne. Powiem jej o nich tylko dlatego, że może istnieć na nie jakiś sposób — jakaś pigułka, którą zażyję — bo, jak powiedziałem, czasami mnie przerażały.

Otworzyłem drzwi. Normalnie nie oznajmiałem swojego przybycia, ale dzisiaj zawołałem: — Halo, są wszyscy?

Jody wybiegła z kuchni, z oczyma wielkimi z podniecenia.

— Gdzie byłeś? — zapytała mnie. — Dlaczego jesteś tak późno? Nie mogliśmy już dłużej czekać. Zrobiłyśmy się głodne...

Przerwała, żeby wydać dźwięk, który słyszałem tylko u małych dziewczynek; coś między wraskiem, westchnieniem a jękiem.

— Nie zapomniałeś. Amber mówiła, że zapomnisz. Powiedziała, że skoro się spóźniasz z jakiegoś powodu, to na pewno też zapomniałeś.

Podbiegła do mnie, schwyciła torebkę i utuliła mi nogi. Dotknąłem jej jedwabistych włosów.

— Nie zapomniałbyś? — powiedziała i wzięła mnie za rękę.

— Nie — zapewniłem ją i pozwoliłem zaprowadzić się do kuchni.

— Gdzie byłeś? — Amber wybuchła. — Mogłeś zadzwonić.

— Nigdzie nie byłem — odparłem.

— A dlaczego masz na sobie kurtkę? Wszyscy faceci, jakich widzę, chodzą w szortach, a ty dudnisz tymi buciorami i nosisz kurtkę myśliwską. Bóg jedyny wie, że jest z ciebie przypadek psychiczny. I dobrze by było. Bo jak nie, to jesteś największy ciołek na ziemi.

Zdjąłem kurtkę i powiesiłem na oparciu krzesła, nie żeby zadowolić Amber, ale ponieważ w kuchni było za ciepło.

— Lepiej być niepoczytalnym niż niemodnym, to chciałaś powiedzieć? — zapytałem i sięgnąłem po bułki.

— Bystry jesteś — zadrwiła.

— A ty masz na sobie moją koszulkę — stwierdziłem.

Wszystkie trzy zakładały do spania moje T-shirty. Jak się ubierałem, to połowę czasu spędzałem na przeszukiwaniu szuflad sióstr.

— Zdejmij ją — skończyłem, zapominając, do kogo mówię.

Obrzuciła mnie niesamowitym uśmiechem i zanim zdążyłem ją powstrzymać, wstała i zaczęła ściągać T-shirt przez głowę. Pod spodem miała tylko majtki. W zasadzie to stringi w motylki. Podciągnęła

koszulkę wystarczająco wysoko, żeby zasłonić twarz, i przez jeden moment pełen winy wpatrywałem się tępo w miniaturowy trójkącik tkaniny, gdzie spotykały się uda, potem w biodra, brzuch, łuk żeber, aż ogarnęła mnie odraza, której się spodziewałem.

Zerwałem się z krzesła, chwyciłem ją mocno za rękę i pchnąłem z powrotem na krzesło.

— Kazaleś mi ją zdjąć — wrzasnęła na mnie.

— A gdzie to byłeś? — zapytała Misty.

Oboje odwróciliśmy się na jej głos. Z mechaniczną obojętnością przeżuwała bułkę, trzymając ją w pewnej odległości od twarzy, z łokciem opartym o stół. Zauważyłem, że kocia obroża nie zsuwała się już z jej przedramienia. Mocno siedziała na nadgarstku.

— Spóźniłeś się godzinę — powiedziała do mnie.

Spojrzałem na zegarek na mikrofalę i zapomniałem o Amber. Misty miała rację.

— Sam tego nie rozumiem — odparłem. — Jak mogłem się spóźnić godzinę?

— Może porwali cię kosmici — zasugerowała beczelnie Amber — a potem dali ci jakieś prochy, żebyś zapomniał, co się wydarzyło. Paskudnie. Pierwszy kontakt seksualny, a ty nic nie pamiętasz.

Zaśmiała się histerycznie z samej siebie. Nie winiłem jej za to tym razem. Jak na Amber, była to bystra obelga.

— Może się zgubiłeś — podsunęła Jody, otwierając parasolkę i obracając ją w palcach. — Chciałam jeszcze jedną fioletową — oznajmiła z uśmiechem. Miała chyba sześćset fioletowych.

— Miałam nadzieję, że znikniesz na dobre — powiedziała Amber, kiedy przestała się śmiać. — Wtedy mogłabym zrobić prawo jazdy.

Przerwałem w połowie przygotowywanie sobie hot dogów. Teraz była moja kolej, abym parsknął śmiechem.

— To nie jest śmieszne, Harley — wściekła się. — Nie zatrzymasz mnie na zawsze. Powinam pożyczyć samochód od kogoś znajomego i załatwić sobie. Nie zrobiłam tego tylko dlatego, bo wiem, że byś mi nie pozwolił zbliżyć się do pickupa...

— Myślałem, że raczej ze strachu, że cię zabiję.

— Nie masz odwagi nic mi zrobić.

— Ty tego nie rozumiesz, co?

— Czego nie rozumiem?

Rozejrzałam się dookoła. Krzesła mamy i taty nadal stały przy stole. Jedno w każdym ze szczytów. Nie usunęliśmy ich, tak samo jak nie posprzątałyśmy ich pokoju. To aż nadto oznaczałoby AKCEPTACJĘ.

Misty siedziała dokładnie na wprost mnie, nadal przeżuując bułkę. Obserwowała mnie i Amber, przenosząc wzrok z niej na mnie, wyniosła i cierpliwa, jakby już dotarła do końca naszego sporu i czekała, aż ją dogonimy.

Jody pracowała nad listą rzeczy, które miała do zrobienia. Większość poleceń była krótka, oprócz tego większego na samym końcu, którego nie mogłem dostrzec.

— Nie stać mnie — powiedziałem powoli do Amber. — Którego słowa nie rozumiesz?

— Ja zrozumiałam wszystkie — odparła Jody.

— Nawet gdybym był najwspanialszym facetem, jakiego ziemia nośiła, którego jedynym zadaniem byłoby uszczęśliwić ciebie — mówiłem dalej — nie zarabiam dosyć pieniędzy, żeby dać sępom z ubezpieczalni tysiąc pieprzonych dolarów. Rozumiesz?

Amber wyduła usta i wydmuchnęła powietrze nosem zdenerwowana. — Nie rozumiem — powiedziała. — To jak tata dawał radę?

— Tata dobrze zarabiał.

— Jeżdżąc gruszką z cementem?

— Tak — krzyknąłem.

— To dlaczego nie możesz jeździć gruszką?

— Mogę jeździć, ale nie mogę dostać takiej pracy. To duża różnica.

W końcu rozszyfrowałem ostatni wpis na liście Jody. **SHOWAĆ ZOMB POT PODUSZKĘ.**

— Wyleciał ci następny ząb? — zapytałem niezbyt entuzjastycznie.

— Tak — powiedziała, wskazując kolejną dziurę w zgryzie.

— I zdaje się, że nie możesz pozwolić sobie na ćwierćdolarówkę — szydziła Amber.

— Harley nie płaci za ząb — Jody zapewniła nas wszystkich. — Wróżka Zębuszka płaci. Tylko nie rozumiem, dlaczego wróżka daje mi ćwierć dolara, a Esme pół. Esme mówi, że to dlatego, że ja używam aquafresh zamiast crest.

— Jeżeli chodzi o Esme — Misty zwróciła się do mnie — to jej mama przyniosła prezent dla ciebie.

Amber obrzuciła ją spojrzeniem. — Nie nazwałabym tego prezentem — parsknęła.

— O czym mówicie? — zapytałem.

— Zajrzała po południu i zostawiła ci jakieś przepisy i książkę — wyjaśniła Amber, praktycznie wypluwając w moją stronę słowa „przepisy” i „książka”. — Stajesz się pedalem czy co?

— Co — odparłem.

— A co to pedał? — zapytała Jody.

— Równie dobrze możesz być pedalem, skoro nie możesz znaleźć dziewczyny, żeby zrobiła to z tobą...

— Co to za książka? — zapytałem.

— Olbrzymia — Jody wystrzeliła, zanim Amber zdążyła otworzyć usta. — Wielka jak książka telefoniczna.

— O czym?

— O Art Institute of Chicago — odpowiedziała Amber pełna zdziwienia i odrazy.

— I pani Mercer na wierzchu przykleiła karteczkę ze stronami, które masz obejrzeć — poinformowała obojętnie Misty.

Amber rzuciła jej kolejne wściekłe spojrzenie.

— Odkąd to znasz się na sztuce? — zapytała mnie podejrzliwie.

— Znam się na wielu rzeczach, o czym ty nie masz zielonego pojęcia.

— Och, to przepraszam — rzuciła opryskliwie. — To takie tajemnicze i skandaliczne, żeby pani Mercer przynosiła ci przepisy i album. Zupełnie jakby uważała ciebie za kobietę czy coś w tym rodzaju.

— Coś w tym rodzaju — powtórzyłem, a Jody zaśmiała się. Uśmiechnąłem się do niej.

— Proszę, śmieć się — powiedziała Amber, zarzucając włosami. — Ale ta kobieta powinna dostać dożywocie. Według mnie zrobiła się na bóstwo, zanim tu przyszła. Koszmar, jak ona się ubiera.

Nie wiedziałem, na jaką uwagę odpowiedzieć wpierw. Wybrałem tę, która mnie najbardziej interesowała. — Co takiego złego jest w tym, jak ona się ubiera? Nigdy nie widziałem, żeby ubierała się inaczej niż w dżinsy.

— No, tak, ale zawsze są o wiele za ciasne jak na kogoś w jej wieku.

— W jej wieku?

— Powinieneś zobaczyć, co miała na sobie tym razem.

— A co miała? — zapytałem.

Amber z obrzydzeniem wykrzywiła twarz. — Różowe szorty z niską talią i skróconą koszulkę pofarbowaną w paski. To było żenujące.

— Jesteś zazdrosna, bo takie same szorty chciałaś z Fashion Bug — wtrąciła Misty.

— Dlaczego to miało być żenujące? — zapytałem, powoli żując chleb z serem i wyobrażając sobie Callie Mercer w skąpych szortach i kusej koszulce z wzorkiem.

— Bo jest stara. Te kobiety są takie żalodne. Naprawdę myślą, że jak skończą trzydziestkę, to faceci chcą jeszcze na nie patrzeć?

— O tak, ta biedna Kim Basinger — powiedziałem. — Naprawdę, żal patrzeć.

— Kto jest Kim Basinger? — zapytała Jody.

— Ty wiesz, o co mi chodzi — dodała Amber.

Skończyłem jeść. Jedzenie zajęło mi dziesięć sekund. Poszedłem do lodówki po colę i wróciłem do stołu, ale nie usiadłem. Byłem już spóźniony. Wypilem kilka długich łyków z puszki i beknąłem.

— Nie mogę się doczekać, żeby ciebie zobaczyć, jak skończysz trzydziestkę, Amber — stwierdziłem.

— Wtedy nie będziesz mnie znał. Już mnie tu nie będzie.

— Bo będziesz mieszkać przy drodze w przyczepie z piątką dzieci i bez męża.

Wbiła we mnie lodowate spojrzenie. — Wiesz co, Harley? Chciałam ci zrobić wielką przysługę, ale teraz możesz się pieprzyć.

— Przysługę? — zaśmiałem się. — Jedyna przysługa z twojej strony to znaleźć pracę.

— A jeżeli znam kogoś, kto chciałby się z tobą umówić?

Myśli przeskoczyły mi natychmiast do albumu, przepisów i różowych szortów. Odwróciłem się od stołu. Musiałem się zaczerwienić. — Nie jestem zainteresowany — oznajmiłem.

— Nawet nie wiesz, kto to taki.

— Jeżeli to twoja znajoma, to nie jestem zainteresowany.

Zacząłem wychodzić. Musiałem się przebrać. Bo spóźnię się do pracy. Amber zerwała się od stołu, okrążyła mnie i stanęła przede mną.

— A jeżeli znam kogoś, kto chciałby z tobą... — przerwała i koniuszkiem języka dotknęła górnej wargi — się pieprzyć — dokończyła szeptem.

— Odejdź.

- Mówię poważnie.
 - Poszła!
 - To Ashlee Brockway. Jej brat Dusty chodził z tobą do klasy. Ona czuje coś do ciebie. Nie wiem dlaczego.
 - Ile ona ma lat?
 - Jest w moim wieku.
 - Szesnaście? Daj spokój.
 - A o co ci chodzi? Ty masz dopiero dziewiętnaście.
 - Prawie dwadzieścia.
 - No? Ona też kiedyś skończy siedemnaście.
 - Daj spokój.
 - Jak będziesz tak się wymądrzał, to dokąd zajdziesz? Ona już nie jest dzieckiem.
 - Jest dzieckiem.
 - A ty kim jesteś?
- Zadzwonił telefon. Poprosiłem Misty, aby odebrała.
- Przeczytać ci moją wróżbę? — zapytała Jody.
 - Jak chcesz, Harley — powiedziała Amber i przysunęła się tak blisko, że jej sutki pod koszulką nieomal ocierały się o moją klatkę piersiową. Nie miała na sobie stanika. Gdybym nie powstrzymał jej przy stole, prawdopodobnie pokazałaby mi. Takiego widoku desperacko pragnąłem i desperacko chciałem go uniknąć; jak widoku taty w zamkniętej trumnie.
 - Aha — dodała, mrużąc oczy w jaskrawoniebieskie kreski. — Na bezrybiu i rak ryba.
 - To samo mam we wróżbie — zapiszczała Jody.
- Amber odwróciła się i poszła pod prysznic, kręcąc pośladkami pod moją koszulką.
- Dzwoniła pani Shank — rzekła Misty, wracając od telefonu.
 - Kto?
 - Od Shanków. Mieszkają za Malone'ami. Jeszcze przed mostem. Ci ludzie z poidelkiem dla ptaków i niebieską piłką. Doug i Cruz jeżdżą z nami autobusem.
 - I co?
 - Powiedziała, że widziała cię, jak zjechałeś samochodem z drogi i siedziałeś tak przez godzinę. Nie chciała ci przeszkadzać, bo wyglądało, że nie masz na to ochoty, ale chciała się upewnić, że bezpiecznie dotarłeś do domu.

- Że co?
- Nie musiałeś kłamać w takiej sprawie — dodała Misty, najwyraźniej mną rozczarowana. — Ona by zrozumiała.
- Że co? — powtórzyłem.

Ona też wyszła z kuchni. Spojrzałem na Jody, która znowu coś pisała. Nagle zupełnie nie wiedziałem, co mam teraz zrobić.

Bombardowały mnie dźwięki. Zmysł słuchu zrobił się wyczulony do bólu. Słyszałem, jak ołówek Jody drapie o papier z listą rzeczy do zrobienia, wiedziałem, że pisze: SMUFIĆ PACIESZ ZA DUSZE TATY. Słyszałem, jak Misty uderza w poduszkę, sadowiąc się przed telewizorem, i wiedziałem, że to jest ta płaska, zatęchła, z niebieskiego dżinsu, którą tata zabierał na nocne polowania. Usłyszałem Elvisa na dworze, jak trąca nosem miskę, wiedziałem, że jest nadal głodny. Słyszałem, jak bieżąca woda chlapie na nagą, namydloną skórę Amber, i wiedziałem, gdzie Amber się dotyka.

Chciałem, żeby Betty doznała tego samego. Może wtedy zrozumiałaby, dlaczego na pewne pytania się nie odpowiada.

Poszedłem do pokoju Amber i wyciągnąłem jej szkolny album. Poszukałem Ashlee Brockway. Nie była odrażająca.

7.

Nie pamiętałem, kiedy tata uderzył mnie po raz pierwszy, ale za to pamiętałem, kiedy uderzył Amber. Miała trzy lata i była największym problemem w moim życiu. Nie mogłem przy niej oglądać kreskówek z He-Manem, bo mama mówiła, że Szkieletor jest za straszny. Dostawałem burę, jak zostawiłem na wierzchu moje lego, bo ona mogła się udławić klockami. Musiałem dawać jej do zabawy moje resorówki, ale jak zbliżyłem się choćby trochę do jej kuchenki, to dostawałem po głowie. Wiele razy sam chciałem ją uderzyć, ale nie robiłem tego, bo wtedy też bym dostał lanie.

Tata uderzył ją za to, że przewróciła mu piwo. Oglądał spokojnie telewizję z kanapy, a w następnej chwili wyrzucił wielką dłoń i schwycił jej rączkę jak w imadło, łatwo i automatycznie, jakby sięgał po puszkę. Szarpnął ją do siebie, aż jej głowa odskoczyła do tyłu, zamachnął się i spoliczkował.

Uderzenie twardą, dorosłą dłonią w miękkie, dziecięcy policzek było głośne; nigdy takiego nie słyszałem. Nawet głośniejsze od jej krzyku. Zobaczyłem, jak przerażenie pełne zdziwienia wypełnia jej oczy i ujrzałem w nich samego siebie. Nie moje odbicie, ale dowód na moje istnienie, takie samo. Wiedziałem, że tata zabił w niej odwagę.

Z drugiego pokoju przybiegła mama i stanęła w drzwiach, aby przyrzec się scenie. Potem spojrzała na mnie, błagając mnie o odpowiedź, której nie mogłem jej dać, bo byłem za mały. Chciałem, aby odeszła od niego, bo nas krzywdził, ale jednocześnie chciałem, żeby została dla nas, bo należeliśmy też do niego. Byłem dzieckiem i nic nie wydawało się bardziej niesprawiedliwe niż to, kiedy ktoś odbierał tobie to, co należało do ciebie.

W końcu zabrała Amber i wyszła, mruczając coś w jej włosy.

Tej nocy Amber przyśniło się coś złego. Przyszła do mnie do łóżka zamiast do mamy i taty. Nie mogłem zasnąć, kiedy wtuliła się we mnie. Leżałem tak aż do świtu, myśląc o tacie, czując tę samą bezsilną frustrację jak wtedy, kiedy widziałem, jak sikał na połyskującą, białą zaspę czystego, świeżego śniegu.

Amber umówiła mnie na randkę. Nigdy nie rozmawiałem z Ashlee i nigdy nie miałem ochoty. Chciałem jednak wsadzić jakąś część mojego ciała w jej ciało i byłem gotów chodzić głodny przez tydzień, żeby uzbierać dosyć pieniędzy i zabrać ją gdzieś, a potem przekonać ją, by mi pozwoliła, ale nic o niej nie chciałem wiedzieć. Nie obchodziło mnie, jaką lubi muzykę, ani czy kocha rodziców, ani kim chce być, jak dorośnie. Zdrowy rozsądek powinien podpowiedzieć mi, że to zły znak.

Tej nocy nie spałem i gapiałem się w żarówkę po ciemku, zastanawiając się, czy to ostatnia noc mojego dziewictwa. Starłem się za dużo o tym nie myśleć, bo dokładnie nad tym samym się zastanawiałem, kiedy spieprzyłem sprawę z Brandy Crowe. Nie mogłem się jednak powstrzymać.

Podniecenie. Strach. Pożądanie. Obrzydzenie. Niedobrze mi się robiło od tego mętlika. Jak mogłem mieć tak sprzeczne uczucia do tej samej czynności? Jak mogłem czuć coś w stosunku do dziewczyny, której nigdy nie spotkałem? Jak mogłem kochać kogoś, nie będąc osobiście zaangażowanym? Było coś złego w takich uczuciach. Coś zbyt aroganckiego. Nawet dla ludzi.

W końcu przegnałem myśli na tyle, że mogłem zasnąć. Głównie martwiłem się, by nie zwariować. Ostatnio hołubiłem to, tak jak koleś traktowali swoją erekcję. Po raz ostatni uporządkowałem własne uczucia w stosunku do Ashlee i ułożyłem w głowie w ładnej, schludnej linii. Nie chciałem, aby mówiła. Nie chciałem, aby osądzała albo odczuwała cokolwiek. Ale chciałem, aby była żywa. Aby była ciepła.

Rick nie dał mi wolnego w piątek wieczorem, ale powiedział, że mogę wyjść wcześniej. Zapytał, czy się z kimś umówiłem. Powiedziałem, że nie, ale to go nie powstrzymało i wygadał się przed kasjerkami, Budem i Churchem, że idę na randkę.

Kiedy wychodził na początku naszej zmiany, bardzo głośno oświadczył, że mogę poczęstować się z pudełka z kondomami w dziale farmaceutycznym, bezpłatnie, bo takim był właśnie facetem. I miał rację. Właśnie takim facetem był.

— Ignoruj go — powiedział do mnie Bud. — Jest tylko zazdrosny, bo nawet żona nie zbliża się do tej jego tłustej dupy.

Kasjerki zaśmiały się. Jedna powiedziała, że to prawda. Jak inaczej wytłumaczyć to, że są bezdzietni? Wszyscy wiedzieli, że jego żona nie miała problemów z płodnością od czasu, kiedy miała bóle żołądka w zeszłym roku.

— A nie miała tej całej laparoskopii? — zapytała druga kasjerka.

Tamta pokiwała głową. — No tak, nacinają ci wtedy pępek i wprowadzają do środka rurkę z laserem i małym teleskopem na końcu, żeby widzieli jajniki.

— Tak robili mojej szwagierce, jak poroniła.

— Inaczej jest przy poronieniu — wtrąciła trzecia. — Wtedy masz łyżeczowanie, czyszczą ci macicę.

— Czyli wysysają to, co w środku, jakby małym odkurzaczem, dobrze mówię?

Jakaś kobieta podjechała wózkiem do jednej z kas i rozmowa skończyła się, ale szkoda została wyrządzona. Żeńskie narządy Ashlee tymczasowo straciły swój mistyczny urok. Nie po raz pierwszy kasjerki zrzuwały mi kobietę. Były jak nauczycielki angielskiego usuwające przyjemność z całkiem dobrej książki, rozkładając ją na tematy i strukturę zdania.

Church wstał z ławki, aby zapakować towar, ale zatrzymał się, zaskoczony, i powiedział: — Jakby miało padać, mama by mi powiedziała. Zawsze każe mi wtedy zakładać prochowiec.

Zerknąłem na niego, ale tylko na moment. Kontakt wzrokowy z Churchem to jak spojrzenie w jego duszę z drugiego końca teleskopu.

— Nie chce, abym zmókł — dodał.

— Racja — przyznałem.

— Raz się rozchorowałem, jak zmokłem. Nie żartuję.

— Wierzę.

— To czerwony prochowiec. Widziałeś go.

— No tak.

— Żółte są dla dziewczyn. — Nagle zaśmiał się ostro i odwrócił się w stronę Buda. — Możesz sobie gadać, Bud — zawołał, wytykając go palcem. — Żółty jest dla dziewczyn. Gadaj zdrów.

Bud puścił do mnie oko. — Church, ale ja zawsze myślałem, że żółty jest dla dziewczyn.

To wprawiło Churcha w nieopanowaną histerię. — Kurde, dziwny jesteś, Bud — powiedział, gdy się uspokoił. Zdjął okulary i wyciągnął chusteczkę z workowatych, czarnych spodni, żeby wytrzeć łzy z oczu. — Ty i Harley — powiedział, potrząsając głową. — Dziwni jesteście.

Skończył, starannie założył z powrotem okulary na nos i złożył chusteczkę w idealny kwadrat, zanim wepchnął ją do kieszeni.

— Lepiej zadzwonię do mamy i powiem, żeby przyniosła mi prochowiec. I gumowce. Raz jak zmokłem, to się rozchorowałem. Nie żartuję.

Odszedł do telefonu na monety przy bankomacie. I nic już nie mówił, dopóki nie znalazł się poza zasięgiem słuchu, a wtedy zaniósł się śmiechem.

Zmiana minęła mi gładko, a nastrój też mi się poprawiał od ostatniego wieczoru. Zapelnianie półek i jarzeniowe światło przeważnie miało na mnie taki wpływ. Staralem się do tego podchodzić optymistycznie. Może spodoba mi się Ashlee Brockway. Może była dojrzała jak na swój wiek. I jeszcze coś istotnego: podobałem się jej... a przynajmniej tak jej się wydawało... a dziewczyny, jak myślały, że podoba im się facet, to tak, jakby faktyczne im się podobał.

Rozpakowałem osiem kartonów mrożonego ciasta, zamknąłem zamrażarkę i cofnąłem się, by zerknąć na siebie w szybie. Niczego mi nie brakowało. Żadnych wyraźnych uchybień. Ale z drugiej strony nie było też we mnie nic szczególnie ujmującego. Włosy miałem nieokreślonego koloru. Ludzie mówili, że są rudawe, a nawet ryżawe, inni, że kasztanowe. Jody raz mi powiedziała, że mam włosy koloru zgrabionych liści.

Oczy miałem niebieskie, ale nie tak niesamowicie niebieskie jak gazowy płomień u Amber. Jak byłem mały, uważałem, że wyglądają jak niebieski brystol, kiedy się go zmoczy; i uznawałem, że to dobrze.

Miałem dobre ciało. Nie ćwiczyłem ciężarami i nigdy nie będę, chyba że trafi mnie kryzys wieku średniego; ale dużo dźwigałem w pracy, więc miałem silne ramiona i dobrą klatkę. Tata prawdopodobnie wiedział, co mówi, skoro uznał, że dobrze grałbym w futbol.

Podziwianie własnych proporcji rozochociło mnie. Wprost z działu chłodniczego przeszedłem do farmaceutycznego. Okienko do przyjmowania recept zamknięto o dwudziestej, więc nikt tam się nie kręcił. Chwyciłem paczkę prezerwatyw. Ich widok we własnej dłoni pozbawił mnie wszelkich wahań względem Ashlee. Jeśli o mnie chodzi, mogła jeszcze mieć same mleczaki.

Wepchnąłem paczkę do kieszeni spodni. Zostało mi tylko piętnaście minut do końca zmiany. Nie było Ricka, żeby kazał mi je przepracować, więc postanowiłem wcześniej przebrać się w normalne ubranie. Ciągnąc za sobą wózek, skierowałem się do magazynu i musiałem przejść przez dział warzywa i owoce. Zatrzymałem się przed bananami.

Ćwiczyłem zakładanie kondomów na banany niezliczoną ilość razy od tamtej nocy z Brandy Crowe, kiedy to rozwinąłem go przed założeniem. I potem próbowałem go założyć. Teraz taki drobiazg mnie nie powstrzyma.

Niestety, Brandy też nie próbowała mnie przed tym powstrzymać. Wtedy pomyślałem, że na pewno jest tak samo niedoświadczona jak ja, ale okazało się, że jest po prostu głupia, napalona i okrutna. Powiedziała, że mogę już zacząć, chociaż ledwo był założony, był pełen powietrza i wyglądał jak balon, w który kłown może wcisnąć parówkę na przyjęciu dla dzieci. Próbowałem i zdaje się, udało mi się wsadzić na centymetr, choć fiutem czułem tylko nadmuchany lateks, i wtedy kondom spadł. W tym momencie miałem ochotę ryzykować ciężą, chorobą, a nawet śmiercią, ale Brandy powiedziała nie, także proponowanym przeze mnie alternatywom, które ciężą skończyć się nie mogły. Wiedziałem wtedy, że mnie nie kocha, chociaż powtarzała, że tak, gdy tylko pozwoliła mi odpiąć stanik. Gdyby mnie kochała, to chciałaby wydobyć mnie z tej niedoli tak, jak umęczona żona podaje mężowi umierającemu na raka zabójczą dawkę tabletek. Miłosierny numerem ręką — tylko tego oczekiwałem.

Nie chciałem, aby to się powtórzyło. Praktyka czyni mistrza, a miałem trochę czasu. Obrzuciłem wzrokiem banany, ale zamiast nich wybrałem potężny ogórek. Mój optymizm sięgał zenitu.

Schowałem go do kieszeni razem z paczką prezerwatyw, szerokim łukiem ominąłem karczochy i skierowałem się w stronę działu z mięsem i owocami morza.

Mieliśmy wyprzedaż filetów z łososia. A Jody uwielbiała łososia. Wcale nie jego smak. Nikt z nas go dotąd nie jadł. Lubiała te lśniące, srebrne łuski.

Pamiętałem, jak była naprawdę mała i siedziała z przodu sklepowego wózka, wskazując jaskrawe różowopomarańczowe i srebrne warstwy ułożone na pokruszonym lodzie na wystawie, gaworząc po dziecięcemu. Mama uśmiechała się i mówiła, że jest za drogi dla takich jak my, i próbowała zainteresować ją polciem czegoś pozbawionego koloru, pstrągiem albo sumem, co jeszcze miało oczy w głowie. Nigdy jej się to nie udawało i mama w końcu zanosila się śmiechem; mówiła Jody, żeby zawsze tak trwała przy swoich przekonaniach; że może wyrosnąć na sędzinę Sądu Najwyższego.

Teraz to ujrzałem: kopię pierwszego wyroku Jody przyklejoną klejem z tapioki do ściany w więziennej stołówce.

Czasami wołałem, żeby mama dostała zastrzyk śmierci. Byłby z niej lepszy duch niż widz...

— Cześć, Harley — usłyszałem kobiecy głos.

Serce mi podskoczyło. Głowę wypełniały mi kobiety: mama, Jody, Ashlee, Brandy, szwagierka kasjerki z wyłyżeczkowaną macicą; to mogła być którakolwiek z nich, a ja nie byłem przygotowany.

Podeszła do mnie Callie Mercer. Miała na sobie te różowe szorty, ale była bez tej skróconej koszulki. Miała na sobie T-shirt instruujący świat, jak ratować tygrysy.

— Cześć — powiedziała jeszcze raz.

— Cześć — odparłem.

Spojrzała na mnie podejrzliwie, a potem na jej ustach pojawił się lekki uśmiech. Przekrzywiła głowę i zerknęła na mnie kątem oka. — Masz ogórka w kieszeni czy to taka radość na mój widok?

— Hm?

— Przepraszam. — Zaśmiała się. — Musiałam to powiedzieć. Przez tego twojego ogórka w kieszeni.

Spojrzałem ku dołowi, panikując, bo zapomniałem, czy założyłem już na niego gumę, czy nie.

— Znalazłem go na półce — wyjaśniłem pospiesznie. — Właśnie odkładałem go z powrotem.

— No tak, co innego mógłbyś z nim robić? — dodała.

— Właśnie.

— A co u ciebie? — zapytała z chropawą nadzieją w głosie, która przywiodła mi na myśl przypadkowe cele podróży na długich, wąskich, szarych szosach.

— Dobrze.

— Wpadłem do ciebie do domu w zeszłym tygodniu. Amber mówiła ci?

— Tak.

— Nie byłem pewna. Chyba niespecjalnie mnie lubi.

— Dlaczego? — zapytałem. — Powiedziała coś tobie?

— Powiedzmy, że nie była zbyt gościnna. To nic takiego. Nie winię jej za to, że podejrzewa mnie o węszenie.

— Węszenie? Tak powiedziała?

— Nie martw się tym, Harley.

Chciała wyciągnąć rękę, żeby mnie dotknąć, ale powstrzymała się.

— Jest w porządku. Ja to rozumiem. Kontakty z ludźmi muszą być czasami trudne po... — Nie mogła dobrać jakichś mniej gorszących słów.

— Po tym, co się stało.

— Nie, to nie jest tak — odpowiedziałem ostro. — To, co się stało, nie usprawiedliwia nas, abyśmy zachowywali się tak, jak nam się podoba. To nie usprawiedliwia niczego.

— Ale już zapomnijmy o tym.

Spojrzała na wystawę, badając wzrokiem lososia. Oni pewnie jedli go co tydzień, bez względu na wyprzedaż. Pewnie miała jakąś szczególną marynatę, na którą poda mi przepis, gdybym tylko poprosił. Czulem zapach tego obiadu w jej włosach i na dłoniach: imbir, czosnek i brązowy cukier.

Wtedy uświadomiłem sobie, że ona przygląda się własnemu odbiciu w szybie, zmieszana i zirytowana, jakby dostała garść elementów i instrukcję montażu w obcym języku.

— Dzięki tak w ogóle — wpadłem, co jej powiedzieć. — Za te rzeczy, które przyniosłaś?

Odrzuciła się do mnie. — W ogóle obejrzałeś ten album?

— Jasne. Sprawdziłem ten obraz Bonnarda. „Ziemski raj”. To miał być Adam i Ewa, tak?

— Tak. Co o nim sądzisz?

— Całkiem bezbłędny, tak mi się wydaje. Ewa rozciągnięta we śnie w lesie, jakby niczym się nie martwiła. Adam na skraju lasu; wygląda, jakby się zastanawiał, gdzie ma postawić dom.

— Dlaczego mówisz, że jest bezbłędny? — Zaśmiała się.

— Sam nie wiem. Bo to chyba kobiety bardziej potrafią akceptować rzeczy i martwić się wszystkimi bzdurami, a mężczyźni zawsze próbują wymyślić, jak coś zmienić, a jak nie mogą, to się wkurzają.

Obserwowała mnie, jakby oczekiwała czegoś więcej. Szukałem w głowie czegoś, co mógłbym jej zaproponować.

— Jak w Raju — dodałem. — Zawsze mi się wydawało, nawet po tym, jak Ewa została oświecona i zrozumiała, że jest naga, że dobrze jej z tym. To Adam się wstydził i nie mógł sobie z tym poradzić.

Uśmiechnęła się szczerze, a w jej ciemnych oczach zabłysło uznanie. Wyobraziłem sobie, że tym samym uśmiechem obdarza męża, a on całkowicie go ignoruje i cmoka ją sucho w policzek, wychodząc z domu, by spędzić wieczór z kumplami.

— Dużo ludzi uważa, że między innymi to właśnie Bonnard chciał pokazać na tym obrazie — powiedziała. — To, że Ewa znajduje przyjemność w tym naturalnym stanie, gdy Adam niezdarnie uświadamia sobie swoją nagość. Stoi sam, bo ta świadomość odseparowała go od niej...

Przerwała.

— Ciekawa jestem, kto, twoim zdaniem, jest winny ich upadku i utraty względów: Adam czy Ewa? — zapytała, jakby żartując.

— Oboje — odpowiedziałem, kiwając głową. — Oboje byli samolubni.

— Samolubni?

— Zawsze wydawało mi się, że dlatego Bóg chciał się ich pozbyć. Nie przez to, że złamali przykazanie. Przez to, zainteresowali się sobą. Na pewno mogli sprawy ułagodzić, gdyby poszli do Niego i przyznali, że są głupi, zamiast obwiniać się nawzajem. Gdyby Bóg uznał, że oboje kochają się, dałby im drugą szansę, zamiast skazywać na wieczne potępienie cały rodzaj ludzki.

Znowu uśmiechała się do mnie. Zerknąłem w dół na ogórka sterczącego mi z kieszeni.

— A co robi twój mąż na swoim wychodnym?

Zadałem to pytanie jakby bezczelnie. Po części nie przeszkadzało mi to, że mogę ją obrazić. Jakie miałyby to znaczenie. Należała do takiego samego świata fantazji jak modelka w bieliźnie; jedyna różnica polegała na tym, że mogłem ją powąchać i że wiedziałem, gdzie mieszka.

Ta sprawa zupełnie nie powinna mnie obchodzić, więc nie spodziewałem się, że mi odpowie.

— Nie wiem — odpowiedziała, machając rękami w powietrzu. — Ma kilku przyjaciół z pracy, z którymi się umawia. Kilka lat temu przechodzili fazę squasha. Potem fazę koszykówki. Nie przeszkadzało mi to specjalnie, bo przynajmniej ruszał się trochę. Teraz zdaje się, godzinami siedzą w country clubie, uskarżając się na żony i dzieci oraz ich wymagania, no, i że po południu nie mogą grać w golfa.

Zamilkła, zagryzła dolną wargę i wypluła ją, jakby była niedobra.

— Jestem bardzo paskudna, co?

— Nie — odparłem.

Przyłożyła lekko palec wskazujący do ust. Najwyraźniej palec bardziej jej smakował, ponieważ wsunęła koniec do ust i zaczęła lekko obgryzać paznokiec.

— A co ty wolałabyś robić, gdybyś sobie wyszła wieczorem? — pytałem. — Poza kupowaniem jedzenia.

— Poza kupowaniem jedzenia... — powtórzyła, uśmiechając się zwodniczo zza palca, a potem zahaczyła go o pustą szlufkę w szortach. — Trudne pytanie. Hm, pewnie w ciepłą, jasną noc jak dzisiaj wzięłabym książkę, koc, parę piw i poszłabym na łąkę za domem po drugiej stronie torów. To jest to duże pole otoczone drzewami, jakiś kilometr w górę wzgórza. Tam człowiek czuje się jak w całkowicie wyłączonym świecie. Dzisiaj na pewno będzie tam jasno jak w dzień, gdy księżyc jest w pełni.

— I wzięłabyś piwo? — pytałem dalej.

Skinęła głową.

— Nie butelkę wina?

— Lubię piwo.

— Jakoś bardziej kojarzę ciebie z winem.

Zaśmiała się. — Raczej nie biorę tego za komplement.

— A dlaczego nie? — dziwiłem się. — I poszłabyś czytać do lasu?

— Pewnie tak, gdybym się bardzo uparła. Ale chyba nie warto. Mina jej spoważniała, a wraz z nią też nastrój.

— Ach — westchnęła — lepiej już idź odłóż tego ogórka. Hm — do-
dała, ustawiając wózek, aby odjechać — a co to stało się z waszą kanapą?
Zastanawiałem się przez chwilę. — Zapaliła się.

— Mój Boże. Mieliście szczęście, że cały dom się nie zajął. Ktoś na
niej palił papierosa?

— Tak. Jeden z kolegów Amber.

— Dzięki Bogu byłeś w domu.

— Tak, dzięki Bogu.

— To do zobaczenia.
Zaczęła odchodzić.

— Przepraszam za Amber — zawołałem za nią. — Porozmawiam z
nią.

— Nie. — Zatrzymała się nagle i potrzęsnęła głową. — Proszę, nie.
Jest w porządku. Naprawdę.

Poczekalem, aż różowe szorty znikną w alejce działu z produktami
żywnymi i poszedłem odłożyć ogórka.

Nie chciałem, aby Callie Mercer czy ktokolwiek inny strofował Am-
ber, bo nasza rodzina przeżyła tragedię. Ludzie zawsze znajdowali jakieś
wymówki dla głupoty i braku podstawowej przyzwoitości. Zawsze szu-
kali kogoś, aby na niego zwalić winę.

Adwokat mamy obwiniał samego tatę za to, że go zamordowano.
Praktycznie wyszedł na środek i powiedział, że tata na to zasługiwał,
ponieważ bił dzieci. Przedstawił mamę jako męczennicę pierwszej mia-
ry, która poświęciła własną wolność, aby ratować własne dzieci, ale kto-
kolwiek na nią spojrział, jak siedziała otumaniona, bez łez i wpatrywała
się w obrączkę, wiedział, że nawet ona w to nie wierzy.

Adwokat celowo opuścił pewne bardzo ważne fakty, jak to, że tata
ożenił się z mamą, kiedy zaszła w ciążę, a nie uciekł od niej, i że dzień
dzień pracował ciężko, aby zapewnić nam byt.

Nie mówił o fizycznych bodźcach, które kształtowały świat taty. O
tym, że nie lubił swojej pracy, ale codziennie do niej chodził. O tym, że
nie lubił się golić, ale mama nie znosiła ostrego zarostu. O tym, że nie
lubił Billa Clintona, ale i tak musiał na niego głosować. I nie był potwo-
rem. Tylko facetem z krwi i kości, który nie znosił, jak ktoś coś rozlał.

Próbowałem wyjaśnić te rzeczy w dniu, kiedy powołano mnie na świadka, ale sędzia ciągle kazał mi jedynie odpowiadać na pytania. Nawet prokurator, którego zadaniem było skazać mamę, nie interesował się tym, aby tata wypadł dobrze, przez co mama wypadłaby źle. Zupełnie nie obchodziły go poszczególne osoby w to wplątane. Uczepił się wielkich filozoficznych pytań: „Czy każdemu wolno brać prawo we własne ręce?” i „Co stanie się z porządkiem społecznym, kiedy tak będziemy postępować?” Myślałem, że zwariował, przedstawiając ten argument ławie przysięgłych, z których wszyscy mieli gabloty z bronią w salonie zamiast biblioteki, ale zapomniałem, że trzymali broń, bo lubili zabijać, tylko może nie własną rodzinę. Prokurator o tym nie zapomniał. Swój ciąg myślowy zaplątał w wielki supel paranoi.

Gdzie wyznaczyć granicę? Jeżeli można zabić ojca za bicie dzieci, czy można też go zastrzelić za to, że wrócił późno, bo pił? Dzisiaj żona zabija męża za bicie dzieci, jutro jakiś obcy zastrzeli ciebie w samochodzie, bo nie spodobała mu się twoja nalepka na zderzaku. Zanim skończył, wszyscy na sali sądowej uwierzyli, że jak uwolnią moją matkę, to automatycznie wydadzą na siebie wyrok śmierci.

W magazynie czekały na mnie moje dobre dzinsy i czysta, niebieska koszulka. Przebrałem się za stertą kartonów z keczupem, założyłem czapkę i przełożyłem paczkę z kondomami.

Callie była już przy kasie, kiedy przeszedłem na front sklepu. Zatrzymałem się i przyglądałem. Rozmawiała z Budem o burzy. On znał wszystkich, ale ją najwyraźniej znał bliżej. Poczekalem, aż Callie wyjdzie. Nie planowałem z nikim rozmawiać, wychodząc, ale tak czy owak musiałem przejść obok nich wszystkich, aby dostać się do drzwi. Zwolniłem, gdy znalazłem się obok Buda. Zrobił balon z gumy do żucia i wytknął go w moją stronę.

- Gotowy na wielką randkę?
- Chyba tak.
- Gdzie idziesz?
- Do kina.
- Dobry pomysł, Harley — skomentował Church.

Podszedłem bliżej do Buda. Nie chciałem, aby kasjerki usłyszały, że mówię o Callie i zaczęły historię na temat jej organów rozrodczych.

- Skąd ty ją znasz? — zapytałem.
- Kogo? Callie Mercer? Pracowałem z nią kiedyś.

— Kupuje za dużo masła orzechowego — wtrącił się ochotczo Church. — Mówiłem jej. Nie żartuję.

— Gdzie? — zapytałem Buda.

— W *Gazette*. Pracowała tam w ciągu wakacji, jak wracała do domu.

— Ty pisałeś do gazety?

— Nie dziw się tak — odpowiedział, strzelając z gumy. — Pisanie jest tylko trochę bardziej niezwykle od czytania.

— W maśle orzechowym jest sam tłuszcz — stwierdził Church. — Ludzie nie wierzą, jak się im mówi, ale to prawda. Tak jak w oliwkach. Sam tłuszcz. Ludzie nie chcą wierzyć, jak im mówię.

— Dlaczego zrezygnowałeś?

— No cóż, jednego dnia przeglądałem swoje wycinki i uzmysłowiłem sobie, że najważniejsza historia, jaką napisałem, to: „Napad na człowieka przebranego za świstaka”...

— Czy to był ten chłopak od Roebucków, którego pobito podczas Dnia Świstaka? — zapytała jedna z kasjerek.

Moja próba zachowania dyskrecji nie udała się.

— Na Wzgórzu Gobbler's Knob, no nie? — wtrąciła inna kasjerka. — Jako świstak kręcił się w tłumie. A drugi też w centrum handlowym, ale nie miał tego wielkiego cylindra.

— Tak, to ten — odparł Bud. — Złapali tych koleśków, którzy go pobili. Jeszcze pamiętam, co mi powiedzieli: Dopadliśmy tego cholernego świstaka.

— Więc zrezygnowałeś, bo ci się sprzykrzyło? — zapytałem.

— Zrezygnowałem, bo mi kazali. Obowiązkowa emerytura. Ale wolę myśleć, że i tak bym odszedł.

— A dlaczego Callie odeszła? — pytałem dalej. — Bo miała dzieci?

— Hm, zaraz. Pracowała w wakacje podczas studiów. — Przerwał i podniósł do brody dłoń pokrytą starymi plamami i potarł ją w zamyśleniu. — Potem jeszcze kilka lat po tym, jak wróciła tu na stałe. Tak, chyba zrezygnowała po ślubie, jak urodziły jej się dzieci.

— Dlaczego wróciła tu mieszkać? — ciekawiło mnie. — Nie wygląda na to, że bardzo chciała.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Wydaje się inna. To wszystko.

— Nie wiem — odparł Bud. — Może mylisz „inna” z „niezadowolona”...

Church wcisnął się między nas. — Kupuje za dużo masła orzechowego. — Rozdziawił usta. — Nawet nie kupuje tego dla dzieci. Kupuje dla siebie. Nie żartuję. Powiedziała mi, że lubi je. — Potrząsnęła głową. — Tam jest sam tłuszcz. Mówiłem jej.

— Skoro tu dorastała — ciągnąłem swoje, ignorując Churcha — to wie, jak tu jest. Musiała wiedzieć, że będzie niezadowolona. Po co została?

— Na pewno była to kwestia miłości.

— Do jej męża? — zapytałem, czując przyływ niechęci.

— Do dziadka — odpowiedział Bud. — Wróciła, żeby nim się opiekować, kiedy dostał pierwszego zawału. Żył jeszcze rok, kolejny duży atak go zabił. Odziedzyczyła jego ziemię i została na niej.

— Musiała naprawdę go kochać.

Bud skinął głową. — Callie jest bardzo energiczna. Kiedy z nią pracowałem, zawsze wydawało się, że ciągnie ją w stu różnych kierunkach. Dziadek był dla niej drogowskazem, jak mi wiadomo. Kiedy odszedł... — przerwał i postukał się w skroń — jej kompas zaczął wirować, jeśli wiesz, o co mi chodzi. Chyba została na jego ziemi, żeby odnaleźć spokój.

— Zapisał jej tę ziemię, zanim wyszła za męża?

Bud zastygł i przyjrzał mi się badawczo. — Chyba jeszcze nigdy tyle nie mówiłeś. Denerwujesz się randką, he?

— Zapisał? — zapytałem jeszcze raz.

— Chyba tak.

— I wyszła za męża?

— Hm, nie wiem na pewno, ale chyba posiadanie ziemi nie wpłynęło na to w żaden sposób.

— Chodzi mi o to, że skoro miała tę całą ziemię i pracę, nie musiała wychodzić za męża.

— No i masz znowu. Kto mówi, że musiała wyjść za męża? Zdaje się, że kochała faceta. Masz coś przeciw Bradowi Mercerowi?

— Ja nawet go nie znam.

Przestała mnie interesować ta cała rozmowa, kiedy znowu pojawiła się kwestia jej męża. Byłem spóźniony na spotkanie. Pożegnałem się z wszystkimi i skierowałem się do drzwi. Stałem na wycieracze, kiedy Church krzyknął na cały głos: — Harley, wiesz, mama mówi, że dzisiaj nie będziesz potrzebował żadnych gumowców...!

Drzwi rozsunęły się i wyszedłem jak najszybciej, a ich śmiech dzwonił mi w uszach.

Miałem spotkać się z Ashlee przy fontannie w samym środku centrum handlowego. Nie zastanawiałem się specjalnie, dlaczego chciała spotkać się w mieście, a nie żebym po nią przyjechał, ale gdy tylko skręciłem przy sklepie z materiałami i usłyszałem śmiech dziewczyn, wiedziałem. Odszedłbym, ale jedna z nich mnie zauważyła i szepnęła coś do Ashlee. Ta spojrzała na mnie, pomachała i odwróciła się do koleżanek. Wszystkie coś szeptały i śmiały się jeszcze więcej, a potem obrzuciły mnie spojrzeniami z pogardliwymi, zwodniczymi uśmiechami.

Ashlee przygruchała sobie starszego chłopaka, prawdziwego mężczyznę, który płaci podatki i sam kupuje sobie bieliznę. Nie lubiła mnie. Nie chciała poznać mnie bardziej niż ja ją. Chciała jedynie pokazać mnie koleżankom.

Należało mi się, zważywszy powód, dla którego przyszedłem. Nie przychodziła mi do głowy bardziej sprawiedliwa wymiana: moja godność za jej cipkę.

Ześlizgnęła się z cegieł otaczających fontannę i podeszła do mnie. A ja nie mogłem od niej oderwać oczu. Pewnych rzeczy nie było widać na zdjęciu w szkolnym albumie.

— Cześć, Harley — powiedziała.

— Cześć — odparłem. — Chyba się nie spóźniłem?

— Nieważne.

Stała przede mną i znieruchomiała niczym złożona w ofierze.

— To znaczy, wiesz, nie chcę, żebyśmy spóźnili się do kina — wyjaśniłem.

— Nieważne — powtórzyła. — Widziałam już ten film.

— Chcesz zobaczyć jakiś inny?

Machnęła ręką w powietrzu, a potem wsunęła ją w moją.

— Widziałam je wszystkie — powiedziała i zaczęła prowadzić mnie do fontanny, do koleżanek.

Były cztery, ale niczym się nie różniły. Te same tapirowane włosy. Ten sam makijaż w sarnie oczy i ciemnobrązowa szminka. Te same obcisłe, skąpe bluzki bez pleców i obcięte, postrzępione džinsy, i sandały na grubej podeszwie.

Przyjrzałem się im, jak rozłożyły się na murku fontanny, nagie nogi i brzuchy, szyje domagające się pieśczot. To powinno być karalne.

Podniecanie z premedytacją. Powinienem wezwać ochronę i kazać je usunąć. Wszystkie oprócz Ashlee, którą chciałem zatrzymać dla siebie.

Okazało się tylko, że mówi za dużo. Rzuciła mi nieustannie spojrze-
nie pełne uwielbienia i ciągle poprawiała sprzączkę u sandała, kiedy już
zajęliśmy miejsca w kinie. Za każdym razem jej bluzka odsuwała się od
szortów, a ja zerkałem na cień u podstawy jej kręgosłupa. Bardziej niż
jej usta chciałem pocałować to właśnie miejsce.

Film mnie nie interesował. Co mnie obchodzi banda wrzeszczących
dzieciaków, która dostaje listy z pogróżkami i znajduje trupy w bagażni-
ku. Ashlee twierdziła, że już go widziała, ale mimo to była przerażona.
Chwytała mnie za rękę, gdy tylko działo się coś straszego. Uczepiła jej
się na stałe, zanim poleciały napisy. A ja wcale jej nie zauważałem. Za-
stanawiałem się, ile wydałem pieniędzy na ten kiepski film, popcorn i
colę. Kiedy byłeś jedynym żywicielem rodziny, traciłeś przyjemność z
wielu rzeczy.

Wyszliśmy z kina, trzymając się za ręce. Ashlee rozglądała się za zna-
jomymi. Na parkingu natychmiast skierowała się w stronę mojego ma-
łego pickupa. Nie mam pojęcia, jak go rozpoznała. Jeżeli była kiedykol-
wiek u nas w domu, to ja musiałem być w pracy. Wtedy przypomniałem
sobie, że czasami, jak jakiś samochód podwoził Amber w środku nocy,
to był pełen dziewcząt.

Dziwnie się poczułem, wyobrażając sobie, jak Ashlee przechodzi po
ciemku obok mojego wozu i opuszkami palców przesuwa po brudnej
masce, a ja śpię dziesięć metrów dalej w obskurnej bieliźnie. Podobało
mi się, że myśli o mnie, dopóki mnie nie znała, ale nie podobało mi się,
że dotykała pickupa. Otworzyłem jej drzwi i patrzyłem, jak wsiada.

— Chcesz pizzę czy coś? — zapytałem, kiedy sam wsiadłem.

— Nie musisz — odparła.

Chciała powiedzieć: „Wiem, że nie masz pieniędzy”. Musiało być wi-
dać, że się zezłościłem, bo dodała szybko: — Zupełnie nie jestem głodna.
Jest trochę późno.

— Musisz wracać do domu? — zapytałem, niemal z nadzieją.

— Nie, mama nie przejmuje się, o której wrócę.

— A tata?

— Starzy się rozwiedli.

Powiedziała to z wymuszoną dumą, jakby podziwiała ten czyn, ale
nie zgadzała się z zasadami, jakie za nim się kryły.

— A co z Dustym?

— Z Dustym? Co jego to może obchodzić?

Sięgnęła do śmieci na podłodze samochodu. Zapomniałem wcześniej posprzątać. Wyciągnęła ślubne zdjęcie mamy i taty.

— Twoi starzy? — zapytała.

— Było akurat razem z ramką — odparłem.

Zachichotała. — Jesteś podobny do taty — stwierdziła i uśmiechnęła się niepewnie. — Przykro mi z powodu tego wszystkiego.

TEGO WSZYSTKIEGO. Te litery pojawiły mi się przed oczyma, miękkie i puszyste, jak wydmuchane z wodnej fajki przez gąsienicę w „Alicji w Krainie Czarów”. Zamrugalem, aby znikły.

— Tak, TO WSZYSTKO naprawdę było paskudne — odparłem.

— Wiem, że Amber trudno jest się z tym pogodzić. To bardzo ją zmieniło.

— Tak, kiedyś była nawet ludzka.

Ashlee znowu się zaśmiała, a śmiech przeszedł w chichot. — Amber mówi, że naprawdę jesteś śmieszny.

Ciągle trzymała zdjęcie. Jeden z paznokci pomalowanych na fioletowo zasłaniał twarz mamy. Miałem ochotę chwycić ją za kark i trzasnąć jej twarzą o szkło.

— Czyli nie chcesz jeszcze wracać do domu? — zapytałem, odwracając się od niej i zdjęcia.

— Chyba nie.

— A co chcesz robić?

— Nie wiem. Jest taka gorąca noc jak na tę porę roku. Moglibyśmy pojechać nad jezioro. Masz koc w samochodzie?

— Mam kurtkę.

Odłamki szkła wbite w jej czoło migotałyby w świetle, kiedy bym ją kładł na kurtkę.

— Może być — powiedziała.

Nie byliśmy jedyną parą w piątkową noc, która wpadła na pomysł przyjazdu nad jezioro. Widok tych wszystkich samochodów — niektóre osamotnione i rozbujane, inne pełne dzieciaków siedzących na masce albo na pace, które paliły i piły, śmiejąc się z byle czego, co wcale nie będzie ich śmieszyć za parę lat — zirytował mnie. Zaproponowałem Ashlee, żebyśmy spróbowali w parku w mieście.

Tam było pusto, poza jedną parą na zjeżdżalni i drugą na huśtawce. Zaparkowałem wóz tyłem do placu zabaw, a przodem do boiska do softbolu.

— Chcesz tam iść? — zapytała Ashlee, wpatrując się przez szybę w kopczyk dla miotacza.

Chciałem umyć jej twarz. Miała na sobie za dużo makijażu. Wiedziałem, że malowała się, aby wyglądać na starszą, ale to dawało odmienny efekt. Przypominała mi te wszystkie dziecięce miss piękności w telewizji i z okładek tabloidów po zabójstwie tamtej. Mała Miss Słodka. Mała Miss Fizyczny Bodziec. Mała Miss Pedofilia. To był żart Skipa. A skoro pochodziła z Filadelfii, to była Mała Miss Fila-Pedo-Filia. Siedząc w biurze kopalni, próbowaliśmy powtórzyć to szybko dziesięć razy, teraz dorosli, z piwem skradzionym ojcom zamiast kanapek z mielonką, które przygotowały nam mamy.

— I co będziemy tam robić? — zapytałem, zerkając na kopczyk.

— Co?

— No, co będziemy robić, jak tam pójdziemy? — znowu zapytałem, wolniej i głośniejszym głosem, jakbym mówił do przyglądającej harcerki.

— Co chcesz — odpowiedziała.

— Co chcę...

Może źle rozumiała. Może myślała, że wybieram między zabawą w gonionego a szukanego. Może to wszystko było jednym wielkim żartem. Przede wszystkim, dlaczego Amber umówiła mnie z nią? Od kiedy robiła mi przysługi? Czy Ashlee miała mi dać kosza? O to chodziło? A może chciała to ze mną zrobić i powiedzieć o wszystkim Amber? Zamierzały usiąść przy stoliku i wyśmiać mnie?

— Nie podobam ci się, czy co? — zapytała ściszonego głosem, jakby mówiła do siebie i sama zastanawiała się nad tym.

— Nie o to chodzi.

— Biorę pigułkę — dodała z radosnym ożywieniem. — Większość chłopaków naprawdę tym się podnieca.

Między oczyma poczułem ostry ból.

— Wiesz, co to znaczy? — dodała, ścisząc głos do szeptu. — Nie potrzeba prezerwatyw.

Ręce zaczęły mi drżeć, ale i tak się uśmiechnąłem. Byłem rozdarty między gwałtownym požądaniem, żeby być jak WIĘKSZOŚĆ CHŁOPAKÓW, a bezradną potrzebą bycia sobą.

— Nie jesteś za młoda, żeby brać pigułkę? — zapytałem.

— Mama mi dała. Mówi, że nie chce, abym skończyła tak jak ona.

Położyła mi rękę na nodze i przysunęła się. Dałem się jej pocałować. Sam się specjalnie nie angażowałem. Odsunęła się lekko zaskoczona

i wbiła we mnie boleśnie puste oczy kogoś, kto właśnie stracił wzrok.

Odepchnąłem ją. Może zbyt mocno. Poleciała na drzwi od strony pasażera i lekko krzyknęła z bólu, gdy nagim ramieniem uderzyła o korbkę okna. Zamarła w narożniku i wpatrywała się we mnie; nie była przerażona, ale całkowicie nie mogła w to uwierzyć.

Włączyłem silnik. Zaskoczył, a ona znowu spróbowała mnie pocałować. Widziałem, jak jej usta zbliżają się do mnie nieubłagane jak szarżujący byk. Grzbietem dłoni trafiłem ją w policzek i usłyszałem głuche uderzenie, gdy głowa trafiła w szybę. I rozległ się płacz.

— Skłamałem — odezwałem się. — Jesteś brzydka.

To było dla jej własnego dobra.

Nie wiem, jak trafiłem do domu Callie Mercer. Nie pamiętałem, gdzie zostawiłem samochód. Czy wpierrw pojechałem do siebie. Czy zaparkowałem go gdzieś na poboczu. Pani Shank powiedziała Misty, że przedtem siedziałem godzinę przed jej domem. Wtedy w to nie uwierzyłem, ale teraz nie byłem tego taki pewien.

Poszedłem okrezną drogą, wzdłuż torów, przez strumień i zbliżyłem się do domu od strony, z której psy mnie nie widziały. W „dżungli” paliło się światło.

Tej nocy najgorsze było, że nie miałem z kim porozmawiać. Nie było Skipa. Nie było taty. W tym wieku mógłbym już porozmawiać z tatą o seksie. Raz byliśmy blisko. Umówiłem się z Brandy, tata był w domu i kiedy wychodziłem, powiedział mi, że kilka sekund uniesienia nie jest warte całego życia za kierownicą gruszki z cementem. Powiedział to ze śmiechem, a mama zawołała z kuchni: — Dzięki bardzo. — Do mnie wtedy dotarło tylko „kilka sekund uniesienia”.

Callie siedziała bokiem na białej, wiklinowej kanapie; miała na sobie obszerny T-shirt i nic poza tym. Nieskończenie długie nogi ułożone na oparciu. Czytała książkę, a na podłodze obok stało piwo.

Zmieniłem zdanie. Najgorsze w tym wieczorze było to, że nie chciałem tego, co w moim przekonaniu miało mnie uszczęśliwić. Życie nie będzie łatwiejsze.

Do pokoju wszedł jej mąż. Podszedł do niej i coś mówił. Callie podniosła wzrok znad książki, a ja pomyślałem: jak on jej dotknie, to umrę.

Za każdym razy, gdy ze Skipem planowaliśmy zabić Donny'ego, to było na żarty. Przynajmniej ja tak uważałem. Nigdy nie chciałem zabić Donny'ego. Mówiąc szczerze, lubiłem go w sumie, chociaż nigdy nie mówiłem tego Skipowi.

Donny promieniał zadowoleniem, błogą rozkoszą, jakby wygrzewał się na słońcu, czego ja nigdy nie zaznałem. Nawet kiedy Skip krzyczał na niego albo go popychał, jemu to nie przeszkadzało. Raz zabarykadowaliśmy go w szafie na cały dzień, żeby się udusił. Kiedy wróciliśmy i zapukaliśmy w drzwi, i nie było odpowiedzi, oblał mnie zimny pot. Skip jednak wcale się nie przestraszył. Odsunęliśmy krzesła, otworzyliśmy drzwi i po kilku sekundach Donny wypełził na brzuchu, zmrużył oczy i powiedział, że jest dżdżownicą.

Moja sympatia do niego brała się z zazdrości o młodszego brata, bo sam miałem tylko Amber: trajkoczący cień, który robił gwiazdy i po wszystkich pokojach roznosił zapach arbuзовego błyszczyka do ust.

Myślałem o Donnym, bo zauważyłem, że Skip nie wspomniał o nim w liście. Akurat położyłem go na blacie obok przepisu od Callie Mercer na zupę z fasoli i makaronu. Nie wyobrażałem sobie, że mógłbym napisać do kogoś list i nie wspomnieć o siostrach, nawet gdybym mieszkał od nich daleko. Zawsze towarzyszyły mi w myślach, czy tego chciałem, czy nie.

List Skipa nie był już w najlepszym stanie. Niektóre ze słów zaczynały się wycierać, a w zgięciach, od częstego rozkładania i składania, papier poszarzał i zrobił się wyświechtany. Gdybym miał pieniądze, od razu pojechałbym tam... Pomyślałem o moim rozkładzie zajęć, aby poszukać wolnego czasu, gdzie mógłbym wcisnąć dodatkową pracę. Łodziarnie, restauracje dla zmotoryzowanych, pola do minigolfa wkrótce będą przyjmować do pracy. Niektóre już przyjmowały.

W tygodniu pracowałem od dziewiątej do siedemnastej, a potem od dwiętnastej do północy. W weekendy czasami tak samo, ale od czasu do czasu miałem wolne, tak jak dzisiaj. Mógłbym wydawać lody Ashlee i WIĘKSZOŚCI CHŁOPAKÓW, i dostawać za to pieniądze zamiast gotować zupę i wysłuchiwać za to obelg.

Boczek w garnku zaskwierczał i podskoczył. Miałem go podsmażyć na oliwie z oliwek, której nie mieliśmy, z drobno posiekaną cebulą

i dwoma rozgniecionymi ząbkami czosnku. Nie byłem pewien, na czym polega obsmażanie, ale na pewno nie znaczyło: spalić na węgiel.

Drewnianą łyżką mamy zamieszałem brązową maź. Większość przywarła do dna rondla. Zmniejszyłem ogień i dodałem puszkę pomidorów w całości. Według przepisu miały być pokrojone, więc zacząłem rozrywać je łyżką, znowu wracając myślą do Ashlee.

Wyczułem, że stanęła za mną Jody.

— Tylko nie przypal — odezwała się.

— Jesteś pewna? — odpowiedziałem, nie odwracając się do niej. —

W przepisie jest napisane: „wszystko przypal lekko”.

Doskoczyła do mnie i podrzuciła kartkę na blat.

KOHANY HARLEY

NAPEWNO CZUJESZ SIĘ LEPIEJ.

TFOJA SIOSTRA

JODY

Bo kiedy wygramoliłem się z łóżka po południu, nie byłem w najlepszym humorze. Za dobrze też nie wyglądałem.

Sądziłem, że Jody wyjdzie już z kuchni. Jednak nie.

— Co? — krzyknąłem.

— Masz dodać listki razem z pomidorami.

— Niestety. Właśnie nam się szalwia skończyła.

— Mama Esme ma w ogrodzie.

— To niech sobie ma.

Nadal mieszałem. Misty przyłączyła się do Jody. Czaiły się w drzwiach i szeptały coś.

— Przeczytałeś mój list? — zapytała Jody.

— Tak — odparłem.

— Pisałam prawdę.

— Dzięki.

— Możemy iść na lody?

— A macie za co?

— Mówiłam ci — Misty zajęczała, gdy wychodziły z Jody.

Dodaj sól i świeżo zmielony pieprz do smaku. Gotuj na wolnym ogniu dziesięć do dwunastu minut.

— Świeżo zmielony pieprz — mruknąłem do siebie.

Chwyciłem pieprzniczkę mamy w kształcie amisza i nasypałem całą tonę. Odstawiłem go z powrotem obok żony w czarnym czepcu, niosąc

kosz jabłek. Mężczyźni byli zawsze z pieprzem; kobiety z solą. Czarni. Białe. Żli. Cnotliwe.

— Ty kutasie — wycedziła Amber.

Usłyszałem jej bose stopy na kuchennych kafelkach. Wydawało mi się, że jest nago. Zerknąłem na front kuchenki mikrofalowej, aby dojrzeć jej odbicie. Miała na sobie górę od bikini z włóczki i szorty z obciętych džinsów ozdobione koronką. Nie wiedziałem, jak przeżyję kolejne lato, kiedy ona będzie się obnosić po domu w stroju kąpielowym. Ten, który nosiła w zeszłym roku, wrył mi się w pamięć z kosmiczną zmiennością Dziesięciu Przykazań na kamiennych tablicach.

— Mogłam się domyślić, że coś pójdzie nie tak, że nie stanie ci albo nie będziesz wiedział, gdzie wsadzić — powiedziała — ale nie spodziewałam się, że ją uderzysz. Mnie nigdy nie biłeś.

— O czym ty mówisz?

Zakręciłem się i popryskalem całą jej nagi brzuch keczupem. Odskokczyła na ten widok i na widok łyżki, aż w jej oczach przez moment ukazał się bezmierny strach, aż wściekłość, niczym koło ratunkowe, wyniosła ją na powierzchnię.

Chwyciła dół mojej koszulki, szarpnęła i wytarła nią sobie brzuch.

— Właśnie rozmawiałam z Tracy. Powiedziała, że Ashlee mówiła, że ją uderzyłeś.

— Kto to do diabła jest Tracy?

— Spotkałeś ją wczoraj w centrum.

— Racja. To była ta, co wyglądała jak zdzira? Czy ta, co wyglądała jak druga zdzira?

Obrzuciła mnie zmęczonym spojrzeniem pełnym odrazy. — Skąd wzięło ci się takie nastawienie? Według ciebie wszyscy są głupi, zdirowaci albo leniwi. A kim ty jesteś, co?

— Bogiem.

— Rzeczywiście. — Zaśmiała się oschle. — Ty jesteś nawet lepszy od Boga. Gdybyś Go spotkał, kazałbyś Mu szukać pracy.

Podeszła do stołu, na którym jeszcze stały naczynia po wczorajszej kolacji, i usiadła okrakiem na krześle.

— Harley, jaki ty, kurwa, głupi jesteś. Ashlee naprawdę ciebie lubi.

— Ona nawet mnie nie zna.

— Zna ciebie całe życie.

— Bo jeździmy tym samym autobusem.

Usłyszałem, jak krzesło szura o podłogę. Stała obok mnie, a ja automatycznie odsunąłem się. Jej ciało posiadało tę właściwość, że bez dotykania odpychało mnie. Byliśmy jak dwa odpychające się magnesy.

Dodaj rosół z kurczaka i fasolkę cannellini, przeczytałem z przepisu Callie. Najpierw wypłucz i osusz fasolę.

— A jak myślisz, jak ludzie się poznają? — zapytała mnie Amber nieomal przymilnym głosem. — Myślisz, że Bóg rzuci ci kobietę w objęcia? Obudzisz się któregoś dnia i okaże się, że przy tej samej ulicy mieszka inteligentna, piękna dziewczyna, która ma super posadę, a na dodatek słabość do nieudaczników i przygłupów...

— Co to jest za fasolka cannellini?

— To pewnie to, o czym zawsze mamroczesz przez sen — burknęła.

— Że co?

Rzuciła spojrzenie w moją stronę, potem wróciła do stołu i zaczęła sprzątać z determinacją, którą przeważnie rezerwowała do skakania po kanałach w telewizorze.

Wstawiła z łoskotem dwa talerze do zlewu. Żadne z nas nie było na kolacji poprzedniego wieczoru. Na górnym talerzu dostrzegłem pogniecioną kartkę z notatnika. Talerz na pewno był Misty, bo wylizała go do czysta.

Rozłożyłem kartkę i pokazałem ją Amber.

ESME POWIEDZIAŁA ŻE DZIECI URODZOM SIĘ Z WADOM.

Amber zmarszczyła nos. — Co to ma znaczyć?

Wzruszyłem ramionami.

— Ta mała Esmę działa mi na nerwy — powiedziała Amber, zgniotła kartkę i wrzuciła do kubła pod zlewem. — Myśli, że wie wszystko. Jest taka nad wiek rozgarnięta.

Jako starszy brat poczułem nagły przyływ opiekuńczości, gotów zaraz ją poprawić. Zupełnie jakbym chciał zabić pająka albo nieść za nią ciężkie pudło.

— Chyba nad wiek rozwinięta.

— No może — nieprzekonana zagryzała wargę. — A może nie i jak kiedyś to powtórzę, to wyjdę na głupią.

Zastanawiałem się, czy w ogóle pamięta, że kiedyś mi ufała. Nagle w głowie pojawił mi się obraz, jak biliśmy się o kredki. Nie chciałem jej dać żadnej, a ona poszła poskarżyć się mamie. Mama powiedziała, że muszę jej dać przynajmniej jedną, więc wybrałem białą. Czekałem, aż

zrozumie, co zrobiłem. Po cichu postarałem się wzbudzić w sobie geniusza zła. Jednak ona odeszła zadowolona i usiadła przed białą kartką, żeby narysować dla mnie cukier, sól i śnieg.

Na zewnątrz Elvis zaczął szczeekać jak oszalały. Usłyszałem samochód na podjeździe, a w drugim pokoju Jody zapiszczała: — To wujek Mike. — Amber wybiegła z kuchni, aby coś założyć na siebie.

Jody z Elvisem już podskakiwała wokół pickupa, zanim wujek zaparkował. Wysiadł ze skrzynką piwa wspartą o biodro i ogarnął wzrokiem podwórko. Nie był tu od lutego, a wtedy wszystko przykrywał śnieg. Mógłby jedynie skrytykować brak drewna na opał ułożonego obok domu. Na szczęście nigdy nie wchodził do środka.

Wujek Mike i tata byli sobie bliscy.

Wujek pochylił się i podrapał Elvisa między uszami, a Jody podał batonik. Objęła go za nogi i popędziła z powrotem do domu. Wiedziałem, że Misty nie zjawi się. Nie lubiła wujka Mike'a, ponieważ kiedyś powiedział tacie, że powinien więcej czasu spędzać ze mną, a nie z nią.

— To dla mnie? — zapytałem o piwo.

Było to Roling Rocks. Nie te szczyny, które przeważnie kupował.

— No, na pewno nie dla Elvisa. Masz, bierz. Wyglądasz, jakbyś miał ochotę mnie ucałować!

Wziąłem od niego skrzynkę. Wypluł kulkę tytoniu na podwórko i poczęstował się piwem. Postawiłem skrzynkę i sobie też jedno otworzyłem.

— Macie nową kanapę? — zapytał mnie, patrząc na zgliszcza.

Elvis zdążył już rozerwać jedną z poduszek i kawałki poczerniającej tapicerki z żółtą gąbką wałaly się wszędzie. Zerwał też narzutę i zaciągnął sobie do budy.

— Myślę o tym — odparłem.

— Większość ludzi czeka, aż kupi nową, zanim spali starą.

— Chyba się więc pospieszyłem.

Zerknął na mnie z ukosa. Trudno było czytać w jego oczach, ukrytych w cieniu daszka brązowo-złotej czapki Wydziału Robót Drogowych w Pensylwanii.

— Pyskujesz mi?

— Nie.

— To była kanapa twojej babki.

— To nie miało wpływu na moją decyzję.

— Czyli pyskujesz.

Mama taty zawsze stanowiła czuły temat rozmów jej dzieci. Było ich troje: Mike, Diane i tata. Żadne z nich nie mogło z nią wytrzymać, a za plecami nazywali ją pijaczką i niechętnie ją odwiedzali, ale osobiście nadskakiwali jej, jakby była Królową Anglii. Kiedy zmarła, zachowywali się, jakby chcieli dać się zasypać w grobie razem z nią. Następnego dnia pogwizdywali sobie i żartowali, pakując do kartonów jej doczesne dobra, żeby je wywieźć na najbliższe wysypisko.

Chyba nigdy nie poznałem jej wystarczająco dobrze, by wydawać opinię. Raz była bardzo miła, a innym razem wredna, a żadna z tych stron osobowości chyba nie była prawdziwa.

Dziadek natomiast zawsze był paskudny. Nic nie robił, tylko siedział w fotelu i głądził o partii zielonych w Kongresie, która pozamykała wszystkie kopalnie. Zanim zamknięto jego kopalnię, on przeszedł już na emeryturę, ale najwyraźniej nie mógł znieść faktu, że jego synowie i wnuki nie mają pracy, która ich zabije. Przerzązał mnie jego kaszel, ostry, świszczący i suchy, aż myślałem, że wypluje z siebie jedno z czarnych, zapyłonych płuc, od czego wzięła nazwę jego choroba: pylica. Przez cały czas miał przy sobie puszkę po kawie zwykle wypełnioną smolistą flegmą.

Rodzice taty byli siebie warci, ale to byli moi jedyni dziadkowie, gdyż rodzice mamy zginęli, jak była mała. Mama nie była blisko swojej cioci-babci i wujka-dziadka, którzy się nią zaopiekowali. Nigdy nie mówiła o nich nic złego, ale czasami, kiedy opowiadała o ślubie z tatą, wspominała, że wybawił ją od nich.

Wytrąbiłem piwo, zgmiotłem puszkę i rzuciłem w trawę. Byłem lekko i przyjemnie wstawiony. Nie jadłem niczego poza popcornem w kinie z Ashlee.

— Przepraszam — zwróciłem się do wujka. — Nie czuję się specjalnie dzisiaj.

— Skoro o tym mówisz, to rzeczywiście wyglądasz paskudnie. — Obrzucił wzrokiem moją koszulę. — Patroszyłeś coś?

— Gotowałem obiad.

— Dlaczego dziewczuchy tego nie robią?

— Robią. Na zmianę.

— Ty przynosisz do domu pieniądze. Nie powinienes zblizać się do garów.

— One też nie. To dzieci.

— Amber już nie jest dzieckiem. A gdzie ona jest? Ugania się za jakimś chłopakiem, co?

— Jest w środku — odpowiedziałem. — Szoruje podłogę i pierze. Nie ma czasu na życie towarzyskie. Pomaga przy domu.

— Amber?

— Uhm. — Skinąłem głową znad puszkki z piwem.

Wujek skończył swoje i sięgnął po następne. Wcześniej zauważyłem, że w moim pickupie coś chrobocze, i chciałem go o to zapytać, ale gdyby został, żeby to naprawić, wypiłby całe moje piwo.

— Kiedy będziesz kosić?

— Dzisiaj — powiedziałem z naciskiem.

— Będziesz musiał sięgnąć pod ten okap i skosić na tamtym wzgórk. I jeszcze musisz odświeżyć te okna. To drewno zgnije, jak nie pomalujesz ich na nowo. A czyściłeś kiedyś rynny?

— Nie — odparłem. — Ale zrobię to dzisiaj.

Z domu wyszła Amber w schludnej, jasnożółtej sukience z T-shirta w deseń w drobne, niebieskie kwiatki, a włosy upięła z tyłu w koński ogon i zawiązała wstążką. Mimo to nadal wyglądała jak zdzira.

Przywitała się z wujkiem i uściskała go. Mike powiedział jej, że za każdym razem wygląda coraz lepiej, a ona zachowywała się, jakby nie wiedziała, o czym mówi, jakby nigdy nie widziała się w lustrze. Pochłoniłem drugie piwo i czknałem.

Amber obrzuciła mnie wzrokiem.

— A co tam u Mike'a Juniora? — zapytała wujka podstępnie i obserwowwała, jak ja zareaguję.

Co do wielu rzeczy nie zgadzałem się z Amber, ale oboje nie cierpieliśmy naszego kuzyna Mike'a. Nie wiem, dlaczego tak bardzo go nienawidziła, ale moje uczucia były całkiem prostolinijne. Całe życie musiałem z nim przystawać na wszelkich rodzinnych spotkaniach, a on korzystał z każdej okazji, żeby mnie wypchnąć, prześcignąć albo zjeść więcej ode mnie. Nigdzie nie pojawiał się bez jakiegoś futbolowego trofeum albo zdjęcia ostatniego ustrzelonego kozła rozciągniętego na masce pickupa czy najnowszej dziewczyny pijanej i rozciągniętej na kanapie u kolegi.

— Wspaniale mu idzie — rozplęwał się wujek Mike. — Niedługo zaczynają treningi. Nie może się doczekać, by tam wrócić. W zeszłym roku był trzecim biegaczem. Teraz ma nadzieję, że będzie pierwszym.

— Na pewno zostanie — powiedziała Amber, uśmiechając się do mnie. — Mike jest najlepszy.

— Z całą pewnością — potwierdziłem, sięgając po kolejne piwo.

Ziemia zbliżała się do mnie nazbyt szybko, aż myślałem, że się przewracam, ale utrzymałem równowagę. Wprostowałem się i usłyszałem wujka, jak mówi do Amber, że powinniśmy spróbować wybrać się na któryś z meczy w tym roku.

— Słyszysz, powinniśmy spróbować wybrać się — szepnąłem do Amber. — Zupełnie jakby ktoś tu nie chciał, abyśmy weszli na stadion razem z nim...

Amber zaczęła chichotać.

— Co jest takiego śmiesznego? — zapytał wujek, też się śmiejąc.

— Właśnie mówiłem Amber, jak bardzo bym chciał.

— Ciebie też Mike mógłby oprowadzić — wujek zaproponował Amber. — Poznałabyś jego kolegów.

— A może ja poznałbym jakąś cheerleaderkę — dodałem.

Amber uśmiechnęła się do mnie. Sięgnęła po moje piwo i popiła łyk.

— Mike umawia się z jedną cheerleaderką — wyznał wujek.

— Naprawdę? — odezwałem się.

Amber zaniósła się śmiechem, a uśmiech znikł z twarzy wujka.

— Cóż, chyba zostawię was z waszymi żartami — zdecydował.

— Och, przepraszamy — powiedziałem.

— Nie, jest w porządku — dodał ze złością. — Przywykłem do tego. Wielu ludzi zazdrości Mike'owi sukcesu. I radzą sobie z tym tylko przez wyśmiewanie.

— Ty też tylko dlatego? — szepnąłem do Amber.

Położyła się ze śmiechu na moim ramieniu.

— Dobra. W porządku. — Wujek potrząsnął głową i wycofał się. — Chyba już pojedę. Chciałem tylko trochę wam pomóc.

— Trochę, czyli jak najmniej — znowu szepnąłem do Amber i oboje ryknęliśmy śmiechem.

Wujek Mike wsiadł do wozu i zatrzasnął drzwi. Ten odgłos przedarł się do mojej świadomości przez pijacką mgiełkę i zrozumiałem, co zrobiłem.

— Och nie, wujek, przepraszamy — zawołałem za nim, biegnąc w stronę samochodu.

Wujek zaczął wycofywać.

— Naprawdę. Przepraszamy. Tylko żartowaliśmy.

Wujek machnął ręką i potrząsnął głową rozczarowany.

Wujek Mike był jedynym obecnym na pogrzebie taty, który też spędził potem ze mną czas sam na sam. Po pogrzebie zabrał mnie na spacer, objął mnie ramieniem. Dwaj obcy dla siebie samych i nawzajem, w ciemnych garniturach i sztywnych butach, z odsłoniętymi głowami i bez brudu za paznokciami.

Prowadził mnie w milczeniu wśród rzędów wypolerowanych grobowców. Od czasu do czasu dostrzegałem mały płaski kamień z wyrytym słowem DZIECKO. Nie miałem pojęcia, co to ma oznaczać. Myślałem, że rodzice zawsze wybierają dziecku imię, zanim się urodzi, więc jak może dziecko umierać bez imienia? Jedyna odpowiedź, jaka przychodziła mi do głowy, była taka, że po śmierci dziecka rodzice odbierali mu imię, bo nie chcieli go marnować.

Nawet pogrzebanie taty w ziemi nie wydało się aż tak wielką zdradą jak to. Wyobrażałem sobie te wszystkie martwe dzieci bez imion wędrujące do nieba, gdzie trafią do wielkiego kojca niczym trzoda przed rzezią, gdy aniołowie starają się dojść, kim to one miały być.

Nagle nie mogłem już znieść tych wszystkich niesprawiedliwości w życiu i tego, że sporo z nich nawet nie miało końca po śmierci.

Zacząłem wykrzykiwać krótkie i gwałtowne zdania, o tym, jaką farsą był pogrzeb taty. O tym, jak przeżył tu całe swoje życie i znał całą masę ludzi, a na pogrzebie prawie nikt się nie zjawił.

Wujek Mike poczekał, aż wyrzucę to z siebie, aż kopnę w nagrobek i zrnię się w nogę, bo miałem na sobie zwykłe buty, a nie te robocze ze stalowym czubkiem; aż w końcu rozplącę się, a potem przestanę.

Ostatecznie usiadłem pod wielką, szarą, cętkowaną płytą i oparłem się o nią plecami. Gdzieś z tyłu, z góry dotarł do mnie głos wujka.

— Ludzie, gdy tylko się dowiedzieli, mieli wybór — pouczył mnie. — Ty i twoje siostry jesteście dziećmi zamordowanego ojca albo dziećmi morderczyni. W pierwszym przypadku zasługujecie na współczucie. W drugim na nienawiść. Ale nie możecie być jednym i drugim, bo ludzie nie potrafią odczuwać tych dwóch rzeczy na raz.

Pozwoliłem tym słowom zapaść we mnie i jednocześnie myślałem o tym, jak mama prosiła wujka Mike'a, żeby kupił tacie nowy garnitur do trumny, chociaż nie było nas na to stać; o tym, jak wujek to zrobił, ale i tak trumna nie była otwarta na pogrzebie. Myślałem o tym, jak mama wysłała z więzienia kondolencje do cioci Diane. Myślałem o tym,

jak jeszcze teraz — kiedy zobaczyłem tatę w grobie, a mamę w kajdan-
kach — nie potrafiłem otrząsnąć się z wrażenia, że to on jest przestępcą,
a ona ofiarą.

— Dzisiaj nie przyszli, bo uważali to za niezręczne, i jutro też nie
przyjdą — skwitował wujek, nim odszedł. — Lepiej przywyknij do tego.

Zostałem tam, aż w końcu przyszła po mnie ciocia Janet; mówiła, że
skórka już twardnieje na pieczonej szynce, a sałatka ziemniaczana zaraz
zacznie się psuć. Nie byłem pewien, które wyjawienie bardziej mnie
zaskoczyło: fakt, że coś tak trywialnego jak niezręczność sytuacji może
zniszczyć taką potęgę jak ludzka przyzwoitość, czy fakt, że to wujek
Mike doszedł wtedy do tego...

Poczekalem, aż jego wóz zniknie, a potem zacząłem rzucać kamie-
niami w pustą chmurę pyłu.

— Komu on jest potrzebny? — odezwała się Amber.

— To był mój dostawca piwa — jęknąłem i położyłem się w piachu.

— Może Betty mogłaby cię zaopatrzyć — zasugerowała Amber.

To mnie dobiło. Leżałem na ziemi i śmiałem się, aż wszystkie mię-
śnie w brzuchu mnie rozboleły. Kiedy spojrzałem w górę przez łyzy
oczach, zobaczyłem Misty stojącą nade mną. Miała założone rękawice
kuchenne i trzymała dymiący garnek z poczerniałym dnem. Upuściła go.

— Co jest kurwa? — krzyknąłem i przetoczyłem się w samą porę,
żeby nie trafił mnie prosto w czoło.

— Nie będę tego myć — powiedziała i wróciła do domu.

Dziewczęta zjadły na obiad mrożoną pizzę. Gdzieś przy szóstym pi-
wie wezbrała we mnie niechęć do towarzystwa i doszedłem do wniosku,
że nie chcę z nimi jeść. Wziąłem dwa piwa, paczkę czipsów, Elvisa i ru-
szyłem w drogę.

Planowałem dotrzeć do torów kolejowych, a potem iść wzdłuż nich
aż do Kalifornii tak, jak fantazjowaliśmy razem ze Skipem, ale po trzy-
stu metrach musiałem zatrzymać się na siku. Kiedy sikałem, wpatrywa-
łem się w czarny las, a las patrzył na mnie.

Nawet pijany, nawet po ciemku potrafiłem w nim odnaleźć drogę. To
był mój las. Nie należał do mnie, ale był mój, bo poznałem go z czasem.
Własność oznaczała władzę. Przynależność to uległość. Nie byłem

nawet pewien, do kogo należały tereny przy drodze. Z tego co wiedziałem, to chyba do Callie Mercer.

W tym roku nie miałem szans, żeby zapłacić podatek gruntowy. Termin wypadał na pierwszy tydzień czerwca, a ja nic nie oszczędziłem. Gdyby bank zabrał mi dom, ciekawe, czy Callie pozwoliłaby mi zamieszkać na jej wzgórzach. Mógłbym zostać jednym z tych górskich pustelników o dzikim wzroku, z myszami gnieźdzącymi się w brodzie. Mógłbym ściągnąć parę desek z biura kopalni i zbudować jakiś szałas na jej polanie. Mógłbym polować i łowić ryby, a potem natrzeć zdobycz szaławią skradzioną z jej ogródka.

Zmęczyło mnie wysikanie sześciopaku piwa. Zagwizdałem na Elvisa i zataczając się, wszedłem z powrotem na wzgórze. Pies przygalopował do mnie, kiedy siadałem obok pickupa, i szorstko liznął mnie kilka razy po twarzy. Chwyciłem go za grzywę na karku i przygniotłem do ziemi. Pozwolił mi oprzeć głowę na swej dudniącej klatce na jakieś dziesięć sekund, zanim zerwał się, przebijając łapami. Ale tyle wygody mi wystarczyło, aby zasnąć.

Obudziłem się po kilku godzinach cały mokry i zmarznięty. W głowie miałem pustkę i otępienie. Nic mi się już nie śniło. Gdy mówiłem kiedyś o tym Betty, stwierdziła, że po prostu nie pamiętałem snów, ale myliła się.

Byłem przekonany, że coś dmucha mi w ucho, ale to tylko włosy ocierały się o nie. Zaczęło wiać. W powietrzu wisiała burza. Za podwórkiem trawa falowała na przemian czernią i srebrem.

Elvis kręcił się z boku domu, warcząc i targając jakieś szare, bezwładne ciało i to tak mocno, że aż uderzał się nim w głowę. Musiałem go kopnąć, żeby je puścił.

Przykląkłem nad porwaną, zakrwawioną tuszą. To był świstak. Młody. — Fuj! — syknąłem na psa.

Odkoczył, jakbym jeszcze raz go kopnął, i usiadł kilka kroków ode mnie.

Poszedłem do szopy, zerkając za siebie i zatrzymując się co kilka kroków, by rzucić mu ostrzegawcze spojrzenie. Łopata była w środku, ale zanim ją znalazłem, Elvis znowu dopadł ścierwa. Przypiąłem go na łańcuch.

Zakopałem resztki świstaka na skraju lasu. Jak skończyłem, wetknąłem w grób patyk i nasunąłem na niego puszkę po piwie. Nadałem mu imię Rocky.

Elvis szarpał się na łańcuchu i po raz ostatni szczerknął do mnie pełen nadziei. Minąłem go w drodze na ganek, ignorując. Wpierw spojrział na mnie, potem na grób, aż w końcu rozciągnął się w piachu z niemą rezygnacją stworzenia, które wie, że w końcu zostanie uwolnione.

Dotarłem tylko do dużego pokoju. Widok podłogi pokrytej poduszkami był zbyt kuszący. Wabił mnie jak widok jeziora w upalny dzień. Przyłożyłem ręce do boków i padłem na nie, twarzą w dół. Osunąłem się na dno.

Znowu obudził mnie czyjś oddech. Tym razem byłem pewien, że to mama. Kiedyś zasnęła ze mną w łóżku zrobionym na wzór wyścigówki; obejmowała mnie mocno, a dłonie spłotła jak kłódkę.

Potem byłem przekonany, że to była Jody z czasów czerwonej galaretki. Miewała koszmary, więc Amber i ja na zmianę leżeliśmy z nią, kiedy rzucała się, wierciła, mamrotała i skręcała Trójroga Iskierkę jak mokrą ścierkę. Kiedy w końcu się uspokoiła i zasnęła głęboko, ja też zasypiałem, chociaż wiedziałem, że zmoczy się do łóżka.

Potem uspokoiłem się, nabierając przekonania, że to Amber. Znowu weszła mi do łóżka i przylgnęła do mnie od tyłu, oplatając rękami i nogami. Przeważnie tego nie lubiłem, ale czasami ulegałem jej ciepłu, ciężarowi, zapachowi i miękkości. Należałem wtedy do kogoś.

Chwyciłem ją za rękę i mocniej przyciągnąłem do siebie. Jej oddech laskotał mnie w szyję.

— Harley — szepnęła.

Byliśmy sami pod moją kołdrą. Byliśmy sami w moim forcie ze stółka do gry w karty, nasłuchując strzałów.

— Harley. Nic ci nie jest?

— Hm?

— Harley. Obudź się.

Ciągle leżałem na brzuchu. Nie ruszyłem choćby mięśniem, od kiedy padłem na poduszki. Gwałtownie otworzyłem oczy i znieruchomiałem, kiedy stopniowo docierała do mnie rzeczywistość. Nie byłem już dzieckiem.

Amber ścisnęła mnie za rękę i pochyliła się, aby sprawdzić, czy się obudziłem. Jej włosy otarły się o moją twarz niczym mgiełka perfum.

— To z Ashlee to nic takiego straszego — szepnęła mi do ucha. — Mogłeś ze mną porozmawiać, zamiast się wściekać.

Przetoczyłem się, odsuwając od niej, i usiadłem. Od tego ruchu zakręciło mi się w głowie.

— Bałeś się? O to chodzi? — zapytała.
— Hm? — Byłem nieprzytomny.
— Sama bałam się za pierwszym razem — powiedziała. — Dlatego wybrałam dla ciebie Ashlee. Chciałam, abyś był z kimś, kto cię kocha. Żeby mogła ci pomóc.

Zaczęłam dostrzegać ją w mroku. Klęczała obok mnie w koronkowej nocnej koszulce ze streczu. Słownictwo z katalogu bielizny damskiej miałem mocno rozbudowane.

— Jak miała mi pomóc? — zapytałem, chrypiąc.
— Nie wiem — odpowiedziała cicho — ale ja właśnie tego szukam, kiedy się z kimś pieprzę. Pomocy.

Nie dostrzegałem wyrazu jej twarzy, ale widziałem koronkowy wzór na tle jej skóry i brak czegokolwiek pod spodem.

Zaczęłam się wycofywać od niej rakiem i uderzyłem w ścianę.

— Co ci? — zapytała i zbliżyła się do mnie.

— Nie! — krzyknąłem nagle.

— Co nie?

— Zostań tam.

Wstałem i wyciągnąłem ręce, modląc się o władzę dróżnika.

— Znowu ci odbija? — zapytała.

Zaczęła wstawać, a ja spuściłem głowę i mocno zacisnąłem oczy.

— Jody mi powiedziała, co się stało na widzeniu z mamą...

Wspaniale. Po prostu wspaniale. Zaśmiałem się głośno. Dinozaur i Happy Meal. Dziesięć dolców. Dziesięć zmarnowanych dolców. I dwadzieścia zmarnowanych dolców na Ashlee.

— Dlaczego mi nigdy nic nie mówisz? — Dalej mnie nagabywała. — Mogłeś mi o tym powiedzieć. Nie wyśmiałabym ciebie.

Podchodziła do mnie. Była coraz bliżej. Czuję ją, chociaż nie widziałem.

— Bałeś się jej, co? Bałeś się jej dotknąć — powiedziała drżącym głosem. — Możesz dotknąć mnie.

Wzięła w obie ręce moją dłoń i zaczęła ją podnosić. Nagle przestała, powstrzymała ją własne intencje.

Otworzyłem oczy. Wpatrywała się we mnie niewidzącymi oczyma, uniosła brodę prowokująco, ale twarz miała spokojną.

Wyrwałem rękę. Zakręciłem się na pięcie i w próbie ucieczki potknąłem się o własne nogi.

— Co się stało? — zapytała gorączkowo. — Co robisz?

Nie traciłem czasu, aby się podnieść. Gramoliłem się po podłodze na czworakach.

— Ty kutasie — usłyszałem jej głos. — Ty gnoju. Chuju. Skurwysynu — recytowała jak nauczyciel nazwiska z dziennika. — Fiucie — dodała, idąc za mną.

W jej głosie na nowo pojawiła się złość. Kiedy całkowicie ją pochłaniała, przeważnie dawałem się jej głupio podjudzić.

— Mną też masz się opiekować.

Niewidzialna siła poderwała mnie na nogi, choć pchnęła mnie zbyt szybko. Było ciemno. Wpadłem na ścianę, ale utrzymałem równowagę. Czulem na karku oddech Amber.

— Co ze mną? — krzyczała.

Drzwi wyjściowe były zbawieniem: odległe na długość ramienia, ale niewyobrażalnie daleko. Zebrałem wszystkie siły, ale to było aż nadto. Bezwładność wyrzuciła mnie na zewnątrz. Potknąłem się o stopnie na ganku i uderzyłem twarzą o ziemię. Przed oczyma eksplodowało białe światło, a usta wypełnił słono-słodki smak krwi.

Amber wyszła na ganek, szlochając gorzko i głośno.

Dźwignąłem się na kolana. Podo mną sterczał okrągły, szary kamień; wystawał z trawy jak brodawka. Drobne, czarne krople krwi rozbijały się o niego w równym rytmie niczym kapiący deszcz.

— Nie kocham żadnego z nich — Amber krzyczała do mnie. — Nie nawidzę ich wszystkich. Zrozum. Zrozum to na zawsze.

Wstałem, zataczając się, i zacząłem uciekać. Z tyłu, w ciemnym oknie, coś zamigało. Poruszył się fartuch mamy i znieruchomiał.

Nie przestawałem biec, aż znalazłem się na Black Lick Road. Szedłem dalej samym środkiem, wiedząc, że jak ktoś wyjedzie zza zakrętu, to będzie musiał mnie przejechać.

Płuca mi płonęły. Twarz mi pulsowała. Dwoma palcami dotknąłem ust, żeby sprawdzić, czy jeszcze mam zęby, i znalazłem wgłębienie w dolnej wardze, gdzie pękła skóra. Wytarłem palce w dzinsy i zrobiłem długą czarną smugę.

Nie było żadnego światła, żeby wskazać mi drogę. Spojrzałem na czarne niebo poznaczone ołowianymi, burzowymi chmurami. Księżyc był daleko, mlecznoszary jak oczy ślepego starca.

Szedłem dalej. Nie wiedziałem dokąd, ale wiedziałem, od czego uciekam, a ta motywacja mi wystarczała. Kiedy w mroku zmaterializował się dom, w pierwszym odruchu chciałem go minąć, ale instynkt

kierował mnie do niego. Nie po to, aby znaleźć w nim azyl, ale żeby wyładować na nim wzbierającą we mnie wściekłość.

Zatrzymałem się i nazbierałem w garście żwiru z pobocza. Zaczęły szczekać psy, rujnując mój plan tajnego ataku na dom, ale już byłem w połowie podjazdu, więc zacząłem ciskać kamykami w nie.

Zapaliła się zewnętrzna lampa. Psy zaszczekały głośniejsze. Ja mocniej rzucałem. Otworzyły się drzwi i wyjrzała zza nich Callie Mercer.

— Co tam...? — zaczęła mówić.

Wyszła na dwór na boso, z nagimi nogami, w krótkiej, białej koszuli nocnej z napisem NAJLEPSZA MAMA NA ŚWIECIE.

— Harley, to ty? Mój Boże, co się stało z twoją twarzą?

Spojrzałem na kamienie nadal czekające w moich dłoniach i zastanawiałem się przez chwilę: czy to ja? Callie ruszyła w moją stronę, najwyraźniej nie czując ostrych kamieni pod stopami. Rozejrzałem się za drogą ucieczki, przez ciemne, opadające podwórko, obok grafitowo lśniącego stawu, przez ścianę wzgórz ku wściekle czarnej linii ciągnącej się po horyzont.

Upuściłem kamienie i znowu zacząłem biec. Poślizgnąłem się na trawie mokrej od rosy i przeklinałem ból, który rozpałał mi usta za każdym razem, gdy noga uderzała o ziemię. Zatrzymałem się nad strumieniem. Miał tylko półtora metra szerokości, ale rozciągał się przede mną szeroki niczym rzeka.

Ugięły się pode mną kolana i upadłem pobity na błotnisty brzeg. Leżałem na boku i wpatrywałem się w szemrzącą wodę, kiedy usłyszałem ciężki oddech i trzask gałązki. Uklękła przede mną i objęła mnie ramionami. Z czystej dumy chciałem się temu oprzeć, ale nie pamiętałem, czy została mi jakaś duma.

— Nie wracam tam — powiedziałem i rozplakałem się.

Ująłem ją w talii i zanurzyłem twarz w jej łonie.

— Nie musisz — powiedziała cicho i oparła swoją głowę o moją. — Nigdy nie mogłam pojąć, jak w ogóle możesz tam mieszkać.

Od tego nie poczułem się lepiej. Raczej gorzej. Szlochałem jeszcze mocniej. Chropowato, szorstko, podobnie do kaszlu mojego dziadka.

— Już dobrze — powiedziała.

— Nie jest dobrze. Nigdy nie będzie...

— Nie tak mocno, Harley. Nie trzymaj mnie tak mocno. Zajęczałem.

— Ciii — mruknęła.

Przygarnąłem ją mocniej; tarłem twarzą po całym jej ciele niczym ślepe szczenię. Trafiałem policzkiem na jej sutki, a ona ostro wciągnęła powietrze. Były zbyt twarde w dotyku w porównaniu z resztą jej ciała.

— Masz rację — słowa więzły jej w gardle. — Nie jest dobrze. Ale ja tego nie zmienię. Rozumiesz?

Zsunąłem dłonie po jej biodrach, po nogach, sięgnąłem pod jej nocną koszulę. Była naga. Przez ten dotyk straciłem zmysły. Już nie wiedziałem, czego dotykam, ale to mnie nie obchodziło. To była ona.

Wepchnąłem ją w błoto. Rozbitymi ustami całowałem jej brzuch. Całowałem jej uda. Całowałem ją wszędzie. Tylko tego pragnąłem. Całować ją. Całowałem jej piersi. Jej sutki wcale nie były twarde. Czuję, że mogę je rozgnieść ustami. Spróbowałem, a ona krzyknęła, a ja odskoczyłem, dysząc. Poplamilem ją krwią.

— Już w porządku — powiedziała.

Sięgnęła pod moją koszulkę. Gładziła mnie palcami po brzuchu i piersi, a potem wsunęła rękę w spodnie. Wydałem jakiś odgłos, coś między okrzykiem wojennym a rżeniem. Ona najwyraźniej nie rozumiała, że za trzydzieści sekund dojdę albo zwymiotuję.

— Nie mogę... — jęknąłem.

— Co?

— Czekać — dokończyłem. — Nie mogę czekać.

Wyciągnęła rękę i pospiesznie odpięła guzik moich dżinsów i rozpięła rozporek. Ja tylko patrzyłem. Nie poradziłbym sobie z takimi skomplikowanymi czynnościami.

Z początku nie bałem się. Nie bałem się, kiedy wszedłem w nią i poczułem, jak umysł, ciało i dusza splatają się ze sobą w jeden żywy nerw. Nie bałem się, kiedy ona chwyciła łączywie powietrze i wezwała Boga, a ja zrozumiałem, że to dwoje ludzi razem uprawia seks, a nie ja sam. Nie bałem się nawet, kiedy zrozumiałem, że nie dam jej nic poza frustracją.

Strach przyszedł, kiedy pojąłem, że tata się mylił. To było warte życia za kierownicą gruszki z cementem. To warte było życia.

Dochodziłem do końca i ręce zaczęły mi drżeć tak mocno, że nie mogłem jej utrzymać. Wszystkie moje wysiłki, aby przyciągnąć ją do siebie, były jak wczepianie się w osypującą się ziemię. Poddałem się, puściłem ją; niech ona trzyma mnie. Doszedłem z pięściami zaciśniętymi nad nią.

9.

Kiedy znowu otworzyłem oczy, czułem się, jakbym spał sto lat. Byłem tak mocno o tym przekonany, że aż bałem się rozejrzeć. Myślałem, że zastanę obcy świat bez drzew i trawy, gdzie domy budowano na niebie, dookoła latali ludzie w lśniących, srebrnych strojach z odrzutowymi silnikami na plecach.

Nie chciałem też patrzeć na własne ciało. Nie chciałem widzieć szarej, zapadniętej piersi i skurzonego, starego siusiaka. Nie chciałem oglądać piegawatych rąk Buda ani białych ud Betty z ciemnymi żyłkami jak pęknięcia na przedniej szybie samochodu.

Przypomniałem sobie dziadka na łożu śmierci podłączonego do respiratora, jak przeklinał partię zielonych. Wtedy jego skóra była już całkowicie pozbawiona koloru, bledła, aż widać było wszystkie perłowo-niebieskie żyły pod spodem. Myślałem wtedy jedynie o robakach i o tym, że on już wyglądał, jakby go zjadały od środka.

Kiedy ostatni raz odwiedziliśmy go w szpitalu przed śmiercią, tata powiedział mi, że lepiej wygląda. Pamiętam, jak spojrzałem na nich obu, zastanawiając się, czy widzą coś, czego ja nie dostrzegam. Dziadek skinął głową, a jego koścista dłoń, najeżona rurkami, poderwała się, jakby chciał dotknąć taty, ale zanim mu się udało, opadła bezwładnie na prześcieradło niczym zestrzelony w locie ptak. Tata wyjaśnił później, że to był niekontrolowany spazm mięśnia.

Potem nie rozmawiali. Tata siedział obok na krześle, nie mogąc albo nie chcąc patrzeć nigdzie indziej, tylko w okno.

Zacząłem się na niego wściekać. Miał teraz wielką szansę, żeby wywnętrzyć się, i nie musiał się bać ani wstydzić, bo dziadek umierał i nie mógł nic mu zarzucić. Wiedziałem, że mają sporo do omówienia, bo nigdy dotąd nie rozmawiali. Porozumiewali się wyłącznie za sprawą ruchu i postawy.

Wiedziałem, że dziadek nadal bił tatę i to musiało mu przeszkadzać. Jeżeli dziecko wyrosło z jazdy na barana, to z pewnością nie powinno dostawać od ojca klapsów i kuksańców. Jednak sam byłem świadkiem. Zobaczyłem raz, jak dziadek uderzył tatę otwartą dłonią u siebie na podwórku. Trafił go z boku w głowę, a tata zrobił kilka niepewnych kroków,

zanim złapał równowagę i otrząsnął się od ciosu niczym sportowiec strząsający skurcz w nodze.

Byłem bardziej zaszokowany odwagą dziadka niż jego czynem. Tata był większy, przewyższał go wzrostem i wagą, a według mnie byli sobie równi jako dorośli. Lecz dziadek, mimo chudości, miał w sobie zadziorność i świdrujące oczy czarne i nieprzeniknione jak węgiel, którego nie wydobył w kopalni.

Tata natomiast zamienił tupet na wytrwałość. Oprócz sytuacji, kiedy bił własne dzieci, jego osobowość stawała się nieważna.

W szpitalu, wspominając ten dzień, zastanawiałem się, czy to, jak dziadek traktował tatę, tłumaczyło zachowanie taty wobec mnie. Może gdyby dziadek nigdy go nie uderzył, on też by mnie nie bił. Może to było takie proste. Ale to też nie musiała być wina dziadka. Może jego ojciec również go bił.

Wtedy zacząłem myśleć o mamie i o tym, jak jej życie by się ułożyło, gdyby ten kierowca ciężarówki nie zasnął w drodze z Sheboygan do Chicago z przyczepą pełną kielbasy, i nie zamordował jej rodziny. Nigdy by się tutaj nie przeniosła. Nigdy nie szukałaby kogoś, kto wybawiłby ją od starej ciotki i wuja. Nigdy nie pieprzyłaby się z moim tatą i nie zaszła w ciążę.

Czy na tym polegało życie? Czy bezimienny, pozbawiony twarzy kierowca z przeszłości mojej mamy był odpowiedzialny za to, że co wieczór dostawałem lanie? A może była to wina pradziadka, którego nigdy nie znałem, a który spoglądał na mnie z czarno-białej fotografii oczyma dokładnie takimi jak moje? A może musiałem cofnąć się jeszcze bardziej, setki lat, prześledzić dziesiątki pokoleń, aż do pierwszego faceta, który uderzył swoje dziecko, aż do pierwszego przypadkowego czynu Boga, który uczynił z dziecka sierotę?

To robiło się zbyt skomplikowane dla ośmiolatka. Z tego, co wiedziałem na pewno, tata zmarnował swoją szansę, żeby dogadać się z dziadkiem.

To niesprawiedliwe, że on miał szansę, a ja nie. Ja bym jej nie zmarnował. Gdybym wiedział, że mama zabije tatę tamtej nocy, kiedy poszedłem spać do Skipa, żeby napić się kradzionego piwa i gadać głupoty o napalonych laskach na studiach, zatrzymałbym się i wyjaśnił pewne sprawy. Nie przeproszałbym za to, że go rozczarowałem. Powiedziałbym, że go kocham — bo kochałem go — na niewystarczający, pozbawiony radości sposób, który krzywdził, zamiast uzdrawiać, ale wiedziałem, że to nadal była miłość.

Jednak nie wystarczało tej miłości, żeby utrzymać jego pamięć żywą. A może była niewłaściwa. Nie minęły jeszcze dwa lata, a już trudno mi było przywołać w pamięci twarz taty. Łatwiej było przypomnieć sobie, kto występował w tym serialu „Drużyna A”.

Mimo to czasami widziałem go i czasami słyszałem jego głos. Potrafiłem odtworzyć pewne wydarzenia, jak na przykład ten dzień w szpitalu u dziadka. Potrafiłem recytować fakty dotyczącego jego, tak samo jak pewne fakty historyczne: utrzymywał rodzinę, świetnie woził na barana; pamiętał rocznice, kosił trawnik regularnie, polował i pił z kumplami. Nie był zbyt inteligentny, ale nie musiał być. Nie był oświecony, ale nie chciał być. Lecz nie pamiętałem jego obecności w moim życiu.

W plecy zaczął dźgać mnie jakiś patyk. Sięgnąłem pod łopatkę, żeby go wyciągnąć. Poruszałem ręką powoli, ociężały od snu lub starości. Znowu pomyślałem o lśniących, srebrnych ludziach i wtedy przypomniałem sobie epizod z „Jaskiniowców”, ten kiedy Fred zapada w drzemkę na firmowym pikniku, a kiedy budzi się, ma siwą brodę do kolan, a Pebbles wyszła za mąż za Arnolda gazeciarza. Nagle ogarnęła mnie ta sama panika i przeświadczenie, że przespałem życie sióstr.

Minęło dwadzieścia lat, a one nadal mieszkają na wzgórzu, w domu z walącym się dachem i zapadniętym gankiem po jednej stronie. Trawa była wysoka na metr, wejścia do czterech psich bud zarosła nawłóć i dzika marchew, zardzewiała rama mojego starego pickupa posłużyła rodzinie oposów za dom. Brakowało kanapy; wiedziałem, że to Misty zaciągnęła ją z powrotem do środka, i wiedziałem też, że siedziała na niej w nocy i myślała o tacie.

Tylko ona miała pracę. Nie widziałem jaką, ale to nie miało znaczenia. Nienawidziła jej tak samo, jak ja nienawidziłem swojej, bo wiedziała, że jest więcej warta ode mnie, ale także nienawidziła siebie, więc nie było sensu starać się być lepszą. Paskudne życie dla paskudnej osoby; kara pasuje do zbrodni.

Amber dochodziła do czterdziestki w szortach ze streczu, ze zbytnią warstwą makijażu, zgorzkniała i przestraszona, uświadomiwszy sobie nazbyt późno, że większość życia przeżyje po trzydziestce, ale nigdy nie była dobra z matematyki. Przynajmniej nie miała bandy nieślubnych dzieciaków biegających dokoła. Zamiast tego miała wyłowioną macicę, a we śnie nawiedzały ją martwe dzieci, z których każde miało imię.

Ale to Jody była najgorsza. Wróciła do czasów czerwonej galaretki. Widziałem ją, ale z nią nie byłem. Siedziała w kuchni przy stole, milcząca i beużyteczna, dziecięce, złote loki znikły z jej włosów, podszwy stóp starte do krwi na podstawie tej anteny satelitarnej taty, której nigdy nie wyrwałem z ziemi. Próbowałem ją zawołać, a znalazłem się razem z Fredem w Bedrock, i biegałem od jednej kamiennej kapliczki do drugiej za przeraźliwym chichotem Pebbles.

Obudziłem się, jakby coś mną szarpnęło. Burzowe chmury oczyściły niebo; teraz było świeże i czarne, poznaczone punkcikami gwiazd. Cykały świerszcze, a strumień wydawał odgłos niczym wąż sunący wśród traw. Powietrze było chłodne, ale skóra swędziała mnie i łaskotała. Gdyby ciało prażyło się na wolnym ogniu, tak bym to odczuwał.

W końcu ciało miałem młode. Ręce i nogi wcale nie wątle. Czulem się silniejszy niż kiedykolwiek w życiu, jednak brakowało mi energii. Przychodziły mi do głowy obrazy wirujących galaktyk, które widziałem w dzieciństwie. Pamiętam, że zastanawiałem się, co je trzyma; nie chciałem uwierzyć w grawitację, a raczej myślałem, że planety trwają razem, bo wiedzą, że to ich miejsce.

Wydarzyło się też coś wielkiego. Może znowu Bóg przyszedł mnie szukać — tym razem pod postacią Freda Flinstona, gdyż księżyc tej nocy był zbyt daleko, by świecić srebrem. Wyglądał, jakby stworzył go człowiek: jak mały guzik z kości słoniowej.

Odwrociłem głowę na bok i zobaczyłem Maryję Dziewicę stojącą nago w strumieniu, piękniejszą, niż sobie wyobrażałem. Pochyliła się i ochlapała wodą, potem znowu wyprostowała i przekręciła twarz w stronę drzew, przywołując nieśmiały uśmiech, jakby czekała na Boga.

Widok jej sylwetki przyprawił mnie o ból. Obserwowałem, jak dłońmi pociera ramiona i szyję, jak wykonuje kręgi na brzuchu i piersiach, i doznałem oświecenia. Bóg stworzył je takie celowo. Wyrzucenie z Raju i zmuszenie do pracy w pocie czoła nie było karą dla człowieka. Zostaliśmy potępieni w chwili, gdy Bóg postanowił stworzyć kobietę piękną. A kobiety zostały potępione z tego samego powodu.

Skończyła się myć i wróciła na brzeg, gdzie zatrzymała się, aby wydobyc coś z włosów. Spojrzała w moją stronę, a ja mocno zacisnąłem powieki. Była to reakcja mimowolna, jakby posiadała taką samą władzę jak mityczna czarownica z węzami na głowie, która zamieniała ludzi

w kamień. Bóg zamienił żonę Lota w słup soli. Kto wie, co by zrobił z facetem, który podgląda jego sympatię?

Nie wiedziałem, czy znowu do mnie przyjdzie, czy poczuje jej oddech na twarzy, a palce na piersi, czy weźmie mnie za rękę i poprowadzi w lepsze miejsce.

Zamiast tego usłyszałem całkiem ludzkie: — Cholera! — i jak wciąga z bólem powietrze. Spojrzałem na nią i zobaczyłem, jak podskakuje na jednej nodze, a cały jej wdzięk i niewinność znikły. Wtedy przypomniałem sobie wszystko. Kim była. Kim ja byłem. Co zrobiliśmy. Przed czym uciekałem. Przed czym być może ona uciekała, żeby pieprzyć się ze mną. Rozumiałem bardzo dobrze, że ona nie może mnie kochać. Byłaby to bzdura.

Delikatnie postawiła stopę na ziemi i sięgnęła po koszulę. Była odwrócona do mnie plecami i ten widok jej pochylonej sprawił, że dźwignąłem się i usiadłem. Ona pewnie mogła sprawić, bym lewitował, gdyby wystarczająco długo pochylała się, ale wyprostowała się i nasunęła koszulę, jeszcze raz obejrzała spód stopy i ruszyła po trawie, nie odwracając się.

Chciałem krzyknąć za nią, ale nie wiedziałem, czy tak mogę.

Serce zaczęło mi walić zbyt szybko. Położyłem się i znowu zamknąłem oczy; próbowałem ułożyć to, co się wydarzyło. Zawsze myślałem, że jak facet dobrze się spisał w seksie, to kobieta leżała bez tchu i bez sił, może tylko pomrukiwała, wpatrując się w niego z niemym, zwierzęcym uwielbieniem, jak Elvis patrzył na mnie, kiedy drapałem go po brzuchu.

Ona wykąpała się w lodowatym strumieniu i odeszła.

Ogarnęło mnie straszne omdlenie, gdy zrozumiałem, że już mogłem coś zepsuć. Nie mogłem jej kupować ładnych rzeczy, zabierać w różne miejsca ani prowadzić inteligentnych rozmów. Mogłem jedynie ją dobrze pieprzyć. Tylko w ten sposób mogłem ją utrzymać przy sobie.

Zrobiło się zimno. Oddałbym wszystko za kurtkę taty. Nie wiedziałem, gdzie jest moja koszulka, ale czułem dzinsy wokół kostek. Chciałem je tak nosić przez resztę życia. „Pokaż im, Harley” — tak by powiedział Church.

Zacząłem się trząść, ale krocze miałem ciepłe i lepkie. Teraz, po ciemku, kiedy zamknąłem oczy, soki z cipki nie różniły się specjalnie w dotyku od krwi.

Zaczynało świtać, kiedy w końcu ruszyłem Strzelnicą. W lesie hałasowały ptaki. Przede mną szop przemknął przez drogę, spiesząc gdzieś do ciemnej nory niczym wampir przerażony nadciągającym brzaskiem. Jego grube, włochate ciało i delikatne, czarne łapki wyglądały, jakby należały do innego zwierzęcia, jakby Bóg spieszył się, aby go skończyć i dał mu pierwszy komplet łap, jaki znalazł.

Na wzgórze wchodziłem powoli. Wszystko przykrywała szara mgła, chłonęła słabe światło poranka i czyniła powietrze namacalnym. We- tknąłem w nie gołą rękę, a wyciągnąłem lśniąca. Zaciągnąłem się nią głęboko, wypełniając płuca i oblepiając język lekkim puchem. W smaku był słodki i pusty jak uosobienie czystości.

Wszedłem na górę i jeszcze bardziej zwolniłem na wypadek, gdyby na polanie pasły się sarny. Największe stado dzikich indyków, jakie kiedykolwiek w życiu widziałem, siedziało w trawie i pasło się; ich ciemne, ruchliwe sylwetki znaczyły lśniąca, rdzawe plamy. Musiało być ich ze trzydzieści. Niektóre całkiem duże. Instynkty kazał mi się zatrzymać na granicy drzew i poczekać, bo może ktoś strzeli.

Zupełnie mnie nie zauważały. Minąłem je i usiadłem już na naszym podwórku, skąd miałem na nie dobry widok i na zielone wzgórze opadające w tle niczym zwoje koca.

Słońce weszło w grupie chmur i zabarwiło je na złoty róż. Ten kolor przypominał mi o brzoskwiniach i o tym, że niedługo będzie na nie sezon i będziemy je sprzedawać w Shop Rite po dziesięć centów za sztukę podczas wyprzedaży, gdzie wszystko będzie w tej cenie, a Jody będzie potem chodzić na bosą, wgryzając się w owoc, z którego sok będzie jej ściekać po brodzie i nadgarstkach, a ja będę krzyczał, żeby jadła nad zlewem.

Za miesiąc skończy się szkoła i Amber będzie cały dzień pilnować dziewczyn. To lato nie będzie takie złe jak poprzednie, bo Misty i Jody były teraz bardziej PRZYSTOSOWANE, a poza tym starsze.

Pierwszy rok w szkole był jak dotąd najgorszy dla nas. Jody chodziła do przedszkola tylko na pół dnia, a po południu nie miał się nią kto zajmować. Amber i Misty były w szkole. Ciocia Diane uczyła w szkole i sama miała trójkę małych dzieci. Żona wujka Mike'a, Janet, nigdy nie proponowała pomocy, a żadne z nas i tak jej nie lubiło. Nie stać też nas było na opiekunkę ani przedszkole.

Przez pewien czas zabierałem Jody z sobą, jeżdżąc w poszukiwaniu pracy. Zawsze była grzeczna. Tak było za czasów, kiedy jeszcze nie

mówiła. Siedziała cicho, przyglądając się swoim palcom, kiedy ja wypełniałem podania o pracę i grzecznie rozmawiałem z facetami w markowych dzinsach, zadzierającymi nosa, bo byli wszechmogącymi asystentami menedżera w sklepach z obuwem albo w hurtowniach z dyskontem. Jeden z nich zapytał mnie, czy przyprowadziłem młodszą siostrę, żeby on ulitował się nade mną i dał mi pracę. Od tamtej pory kazałem Jody czekać w samochodzie.

Godziny pracy w Shop Rite miałem dość elastyczne. Mogłem pracować w nocy i w weekendy, i jeszcze doglądać Jody, ale pieniądze nie starczały. Musiałem znaleźć dodatkową pracę — tę w Barclay's Appliances — ale czasami udawało mi się przemyścić z sobą Jody.

Jody uwielbiała bawić się w magazynie za sklepem, gdzie z kartonów po lodówkach budowała pieczary i chowała się w nich ze swoimi dinozaurami. Kiedy musiałem jechać z Rayem z dostawą, jechała z nami. Rayowi to nie przeszkadzało — nie dlatego, że był porządnym gościem, ale lubił wykręcić szefowi numer. Ściskając kierownicę i szczerząc się do mnie, nieustannie mi przypominał, że musieliśmy pogwałcić z setką przepisów ubezpieczeniowych, zabierając ją z sobą do ciężarówki, zupełnie jakbyśmy napadli na bank.

Chociaż od czasu do czasu zabierałem Jody do pracy, to Amber i tak opuszczała często szkołę, aby zostać z nią, kiedy ja nie mogłem. Aż w końcu zjawiała się na rozmowę nauczycielka odpowiedzialna za absencje. Żałowała, że Jody nie jest dzieckiem Amber, bo wtedy moglibyśmy umieścić ją w bezpłatnym przedszkolu dla nastoletnich matek, które wykazywały taką potrzebę.

Poprosiłem ją, aby powiedziała coś więcej.

Wyjaśniła, że to pomoc kierowana do: dziewczyn, których nie stać było na prawdziwe przedszkole i w konsekwencji musiały opuszczać szkołę, aby zajmować się dziećmi.

Odparłem, że właśnie nas nie stać było na prawdziwe przedszkole, a Amber w efekcie najprawdopodobniej zrezygnuje ze szkoły, żeby zajmować się Jody.

Pani powiedziała, że nie możemy skorzystać z tego programu, ponieważ Jody nie jest dzieckiem Amber.

Odpowiedziałem, że ona jest moim dzieckiem. Wcześniej już podpisałem dokumenty, które czyniły mnie prawnym opiekunem wszystkich moich sióstr. Mama też je podpisała.

Pani odparła, że nie jestem już niestety uczniem. Ukończyłem szkołę. Szkoła nic nie mogła dla mnie zrobić.

Ja na to: —Więc chodzi o to, że jak Amber zrobiłaby coś głupiego, czyli zaszła w ciążę i urodziła dziecko, dalibyście jej spokój i wyciągnęli ją z tego, ale nam tutaj nie pomożecie?

Kobieta wpatrywała się we mnie z zaciśniętymi ustami i kamiennym spojrzeniem, a ja wiedziałem, że ma ochotę powiedzieć: Nie kwalifikujecie się. Bo pewni ludzie tak chcieli. Spotkałem już ich wcześniej. Ci, którzy nie tylko czytali historie w gazetach albo oglądali wiadomości w telewizji, i nie tylko potępiali mamę, ale nienawidzili jej do szpiku kości. Niektórzy z nich najwyraźniej mieli też ochotę nas ukarać.

Po tym wszystkim wkurzyłem się lekko. Zacząłem tłumaczyć, że nastolatki z dziećmi powinny wyrzucać się ze szkoły. Jak ktoś tak głupi może kiedykolwiek stać się wartościowym członkiem społeczeństwa. I że szkoła nie powinna marnować czasu na opiekę; powinna spętać każdą dziewczynę w skąpej bluzce z gołymi plecami i wstrzyknąć jej pod skórę implant antykoncepcyjny. Nieważne, że to pogwałcenie praw obywatelskich; i gratka dla organizacji humanitarnych.

Byłem przekonany o tym wszystkim. Z tego, co mi się przytrafiło, tego najbardziej nienawidziłem. Już więcej nie miałem w sobie współczucia.

Kobieta czekała cierpliwie, aż skończę. Moje zachowanie zupełnie jej nie zmartwiło. Spotykała się z o wiele gorszymi przypadkami. Przynajmniej nie byliśmy brudni, zagłodzeni ani zawszeni czy pijani. Nie wiemy, co to sińce. Zadbalem, żeby dziewczynki zostały w szkole i one też tego chciały.

Pani powiedziała, że wróci do nas. Może zrobią dla Jody wyjątek. Stałem przy oknie i patrzyłem, jak odchodzi przez podwórko w pogniecionej spódnicy w kontrafakdę i w szarym blezerze, i pomyślałem o tych wszystkich kobietach, z którymi niedawno miałem kontakt, ubranymi w drogie garsonki z Kathie Lee Collection, i z mężczyznami w markowych garniturach.

W ciągu pierwszych kilku tygodni po aresztowaniu mamy przerzucono nas z jednego surowego gmachu rządowego do drugiego. Rozmawialiśmy z detektywami, prawnikami, psychologami, inkasentami, personelem domów poprawczych, prawnikami, przedsiębiorcami pogrzebowymi, dziennikarzami, pracownikami opieki społecznej, bankowcami.

Aż pochowaliśmy tatę i pożegnaliśmy się z mamą przez szybę z pleksi.

Na koniec pojechałem do Banku Narodowego Laurel Falls porozmawiać z człowiekiem, który pracował dla taty Callie Mercer, aby na miesiąc albo dwa zawiesić spłatę hipoteki. Powiedział, że bank chętnie pomógłby — jakby bank potrafił myśleć i czuć — ale jeżeli przedłużą spłatę jednemu klientowi, będą musieli ustępować wszystkim.

Zasugerowałem wtedy, że mogliby iść na rękę jedynie dzieciom, które niespodziewanie i jednocześnie straciły oboje rodziców, które nie mają pieniędzy i pracy. To prawdopodobnie ograniczyłoby liczbę kwalifikujących się osób.

Uśmiechnął się, a nawet zaśmiał bezgłośnie i zgodził się, że to na pewno ograniczyłoby liczbę kandydatów.

Wtedy zapytałem go, czy może ja sam, zamiast niego, mógłbym porozmawiać z bankiem. Może bank nie znał naszej sytuacji.

Facet spojrzął na mnie, jakbym kwalifikował się na leczenie psychiatryczne. To było niedługo po zabójstwie i tę krwawą jatkę wszyscy mieli świeżo w pamięci.

Wstałem i podszedłem do wiszącego na ścianie kalendarza z cudownymi widokami Pensylwanii. W sierpniu było zdjęcie jaskrawo-czerwonej stodoły w jasnozielonej dolinie na tle błękitnego nieba. Przez całe życie mieszkałem w tym południowo-zachodnim zakątku Gór Allegheny i nigdy nie widziałem stodoły ani dnia w takich kolorach.

Wskazałem kciukiem stodołę i zapytałem: — Też jest banku?

Przysięgam, że widziałem, jak facet sięga pod biurko i naciska bezgłośnie alarm. Już mnie dokładnie sklasyfikował.

Kiedy wróciłem do domu, wszystkie trzy siostry siedziały na ganku, czekając na werdykt. Kiedy na nie spojrziałem, doznałem kolejnego oświecenia: nikt na świecie nie wie, że tu żyjemy.

To samo przyszło mi do głowy, jak odjeżdżała kobieta ze szkoły. Ona jednak wróciła i Jody dostała zgodę, żeby chodzić do przedszkola, ale ja jej nie pozwoliłem. Nie będziemy WYJĄTKAMI.

Przetrwaliśmy rok bez niczyjej pomocy, a ja byłem z nas dumny. Amber zaliczyła dziewiątą klasę. Jody znowu zaczęła mówić. Ja płaciłem rachunki. W najgorszych momentach czerpałem siłę, koncentrując się na złości i przerażeniu, jakie mnie ogarnęły w drodze z banku, kiedy zrozumiałem, że zostaliśmy zapomniani.

Zapomniani, ale nie sami. Wiedziałem, że jest mnóstwo dzieciaków takich jak my, które przeszły to samo. Osiemdziesiąt procent kobiet odsiadujących wyrok za morderstwo w więzieniu mamy zabiło męża albo partnera. Raz wspomniałem te statystyki podczas wizyty u Betty. Powiedziałem, że to mówiło coś o tych kobietach, a ona powiedziała: nie, to mówiło coś o mężczyznach.

Kiedy tak przyglądałem się niebu i indykom, zebrało mi się na sen. Nie pamiętałem, co to za dzień ani czy musiałem iść do pracy, ale nic mnie to nie obchodziło.

Wstałem z trawy, odwróciłem się w stronę domu i zamarłem. Na ganku stała Misty i celowała w moją głowę z rugera.

Krzyknąłem i zanurkowałem. Trzydzieści indyków rozbiegło się, szukając schronienia, gdcząc i gulgocząc.

- Czemu tak zrobiłeś? — zawołała Misty.
- A co ty robisz z moim karabinem? — krzyknąłem.
- Chciałam ustrzelić parę indyków.
- Jezu.

Podniosłem się roztrzęsiony. Czoło miałem złane potem. Podszedłem do niej. — Nigdy więcej tego nie rób — powiedziałem, wrywając jej karabin z rąk.

— Myślałam, że się ucieszysz — odpowiedziała. — Takie darmowe jedzenie.

Swoje młodzieńcze pryszcze zdążyła już potraktować dwoma śmiałymi maźnięciami fioletowego cienia niczym pierwsi osadnicy wypalający ugory na tej ziemi.

- Dlaczego tak na mnie patrzysz? — zapytała.
- Jak?
- Jakbyś widział mnie pierwszy raz.
- Czasami zapominam, że jesteś jeszcze dzieckiem.
- Nie jestem — odparła. — Zaczął mi się okres.
- Boże, tylko nie to — syknąłem.

Podążyłem za jej wzrokiem. Patrzyła na kamień, na który upadłem w nocy. Były na nim cztery, idealnie okrągłe, krwawobrazowe plamy.

- Nie nazywaj mnie więc dzieckiem — powiedziała.

Ostrożnie dotknąłem dolnej wargi. Obmyłem twarz w strumieniu u Callie, ale nie widziałem tam własnego odbicia. Warga prawdopodobnie była rozwalona i spuchnięta. Ciągle bolała jak diabli.

— Tak sobie też myślałem, że dobrze, abyś pojechała na studia i znalazła dobrą pracę, jak dorośniesz — powiedziałem, chociaż sam nie wiedziałem, skąd mi to przyszło do głowy.

— Na studia? — zaśmiała się. — Przecież ja nie mogę iść nawet do Lick n' Putt.

— Chodzi mi o to, że nie chcę, abyś pracowała w Shop Rite. Możesz robić wszystko inne.

Rzuciła mi ponure spojrzenie. — Nie mogę.

— Tak, możesz.

— Trzeba być inteligentnym, żeby iść na studia.

— Nie trzeba.

— Trzeba być bogatym.

— Nie trzeba.

— Trzeba być kimś — upierała się, używając z uporem pustego głosu. — Ja nikim takim nie jestem — dodała tak cicho, że musiałem się pochylić, aby to usłyszeć.

— To nieprawda — powiedziałem.

— No dobra — westchnęła, otwarcie zgadzając się ze mną. — Wiesz, kim jestem.

— Kim?

— Dobrym strzelcem.

Spojrzałem na nią. Wytrzymała mój wzrok, spoglądając zaczepnie.

— To już coś — stwierdziłem.

— Ale dla nikogo to się nie liczy. Oprócz taty.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Misty nigdy nie rozmawiała o tacie, chociaż wszyscy wiedzieliśmy, że jego śmierć zrobiła większą dziurę w jej życiu niż w przypadku kogokolwiek z nas.

— A ty jakbyś z nikim się nie liczył poza Amber — wyjaśniała dalej, kiedy nie zareagowałem.

— Hm?

Jej usta na moment wykrzywiły się w uśmiechu, a potem wróciły do normalnego stanu. Odwróciła się do mnie plecami i odeszła. Skończyła mówić. Zmusić ją, żeby znowu zaczęła, to jakby wyważyć wrota starożytnej katedry.

Zostawiłem ją na ganku, zajętą bezwiednym skubaniem kołnierzyka. Wpatrywała się w podwórze, które przez noc obsypały małe, żółte kwiatki, w rdzawą drogę i zieloną łąkę, i dalej w błękitno-szarą smugę

wzgórz na tle różowego nieba, ale wiedziałem, że ona widziała jedynie spłoszoną zdobycz.

Poszedłem prosto do piwnicy w nadziei na sen. Odstawiłem broń do kąta i podszedłem do łóżka, zdjąłem ubranie i położyłem się. Nie chciałem wchodzić pod kołdrę, ale w pokoju było dużo chłodniej niż na dworze. Wstałem i z krzesła przy biurku wziąłem kurtkę.

Na biurku leżał list od Skipa. W końcu miałem o czym do niego napisać. Cześć, Skip. Co nowego u ciebie? Ja posunąłem panią Mercer.

Zesra się, jak będzie to czytał. Nie uwierzy mi chyba, a ja nie winię go za to. Ale zrobiłem to. Posunąłem ją. Z całej siły. Gdyby to była deska, to pękłaby w samym środku.

Kiedy o tym pomyślałem, zaraz mi stanął. Nie tak ładnie, jak w przypadku sam na sam z paniami z katalogu z bielizną. Ale gwałtownie. Szalenie, jakby wściekle swędział.

Nigdy nie potrafiłem opanować drapania. Ugryzienia komarów tak drapałem, że aż krwawiły. Czasami mama widziała to i za krew obwiniała tatę, a ja jej na to pozwalałem, nie dlatego, by zdobyć jej sympatię ani żeby tata miał kłopoty, ale wiedziałem, że jak zrozumieją, że kłamię, to zjednoczą się w złości przeciwko mnie.

Chciałem się walić, aż polecą krew, ale nawet wtedy nie zaznam ulgi, której pragnąłem. Ręka już mi dłużej nie wystarczała. Samo tarcie to za mało. Mój kutas też doznał oświecenia.

Powróciły brzoskwinie. Przejrzała brzoskwinia, zanim zaczniesz gnić. Taka ona była w środku.

Wskoczyłem do łóżka i wpatrywałem się w biały krąg żarówki; myślałem o jej tyłku pod białą koszulką, która stawała się coraz ciemniejsza pośród czarnej nocy, gdy Callie odchodziła ode mnie.

Nie wiem, czyjej było dobrze. Byłem zbyt zajęty tym, co mam w rękach i w ustach, żeby zwracać uwagę na nią jak na całość. Nawet gdybym zwracał, to nie wiem, czy wiedziałbym, czego oczekiwać.

Raz podsłuchiłem, jak kuzyn Mike rozmawiał z kolegą o swojej ostatniej dziewczynie. Mówił, że musieli naprawdę uważać przy zabawie, u niego w domu, bo ona nieźle się darła. Po tym, jak wówczas się obaj uśmiechnęli, wyczułem, że to bardzo lubili. Chociaż ja to miałbym wtedy ochotę taką zabić.

Gdyby krzyczała, to stałbym się znerwicowanym wrakiem. Nie chciałem takiej, co się drze. Nie chciałem też takiej, co mówi świństwa. Chciałem taką, która patrzyłaby na mnie.

Przynajmniej tak zawsze myślałem. Aż nagle, kiedy znalazłem się z kobietą, nie mogłem na nią patrzeć. Widzieć jej oczy, tak samo jak wypowiadać jej imię, byłoby nieznośnie ludzkie, kiedy ja posuwałem ją niczym zwierzę.

Nie wiedziałem, co zrobię, gdyby okazało się, że odeszła, bo nie byłem wystarczająco dobry. Nie zdziwiłbym się. W niczym nie byłem dobry. Jednak sama świadomość nie ułatwiała akceptacji tego faktu, nawet jeżeli wiedziałeś o tym przez całe życie. Otyli ludzie nigdy nie polubią swojego tłuszczu. Biedacy nigdy nie przepadali za rozsypującymi się domami. Mimo to nie przejmowałem się i dalej wałęsam konia.

Kiedy się obudziłem, telewizor chodził na cały regulator, a do tego ryczało radio Amber. W kuchni, szukając czegoś do zjedzenia, starałem się spędzić jak najmniej czasu. Na kuchence zostały dwa kawałki mrożonej pizzy. Połknąłem je i sięgnąłem po ostatnią puszkę Mountain Dew.

Wymknąłem się tylnymi drzwiami. Dzień okazał się tak pogodny jak poranek. Nie za gorący, nie za zimny. Błękitne niebo i puszyste obłoczki. Pogoda jak z bankowego kalendarza.

Przeszedłem do frontu i ogarnąłem wszystko wzrokiem. Nie był to zły dom, jak te tanie, małe, prefabrykowane sracze z winylowym sidingiem. Sam dom był dość fajny: szary, z okiennicami w kolorze cegły i frontowym gankiem z białą, drewnianą balustradą i zielonymi gontami, który dobudował tata w prezencie dla mamy na pierwszą rocznicę.

Kiedy mama była w ciąży z Misty, postanowili dobudować jeszcze jedną sypialnię. Mama cały czas mi obiecywała pokój, bo Amber i ja robiliśmy się za duży, żeby mieszkać razem, a ja byłem jeszcze na mały, żeby wpadli na pomysł wykopania mnie do piwnicy.

Tata z wujkiem Mikiem i wujkiem Jimem postanowili zrobić to samodzielnie. W trójkę posiadali wystarczającą wiedzę i narzędzia. Brakowało im jednak koncentracji na zadaniu. Razem byli jak dzieci. Potrzęsali puszkami z piwem i tryskali na siebie nawzajem. Jednocześnie robili zawody, kto głośniej beknie. Rezygnowali w połowie, żeby iść na ryby albo oglądać „Piratów”.

Budowa zajęła im dwa lata. Pierwszej zimy pokryli izolację plastikową folią. Następnej zimy wełną mineralną. Ostatecznie tacie nadarzyła się okazja na używany siding, której nie mógł przegapić. Był brązowy,

ale obiecał mamie, że kiedyś pomaluje cały dom na ten sam kolor. Nigdy tego nie zrobił.

Rodzice sprezentowali mi pokój na dziewiąte urodziny. Mama rozciągnęła w drzwiach szeroką, czerwoną wstążkę, a ja miałem ją przeciąć nożycami, jakby to było jakieś wielkie otwarcie nowego wysypiska w stanie. Moje łóżko już tam było z pościelą w Wojownicze Żółwie Ninja. Tata poświęcił komodę, w której przechowywał szpargały w szopie, a mama ją wyszykowała i pomalowała na zielono, żeby pasowała do Żółwi. Na niej stał pojemnik na ołówki, który zrobiła dla mnie Amber z puszki po zupie, brystolu i brokatu.

Wszyscy stali i czekali. Tata z ręką na ramieniu mamy, mała Misty u mamy na biodrze, Amber roześmiana od ucha do ucha w różowym kostiumie baleriny na Halloween, który koniecznie musiała założyć na moje urodziny. Widziałem kruszynki tortu czekoladowego w koronce jej spódniczki.

Myśleli, że będę wniebowzięty, chociaż i tak wiedzieli, że chciałem Stretch Armstronga i Graverobbera, i jeszcze zdalnie sterowanego na radio monster trucka.

Oczy zaszyły mi łzami. Nie chodziło o to, że nie chciałem pokoju. Chciałem. Ale myślałem, że pokój i tak mi się należał.

Z początku byłem tak oszołomiony, że aż odebrało mi mowę, ale w końcu odzyskałem głos i krzyknąłem coś w stylu, że każde dziecko poza mną w Ameryce dostaje Graverobbera na Gwiazdkę i że to moje najgorsze urodziny. Nie obchodziło mnie, że za to zerzną mi tyłek. Wybiegłem z domu, przebiegłem drogę, łąkę i wpadłem między drzewa.

Ku mojemu zdziwieniu, tata był tuż za mną. Z natury nie biegał szczególnie szybko. Jeżeli nie dopadł ciebie po pierwszych paru susach, sadowił się zakamuflowany na kanapie niczym wielki kot w wysokiej trawie sawanny i czekał, aż zapomnisz.

Ze mnie też nie był żaden biegacz. Zawsze zostawałem i przyjmowałem karę, bo wolałem mieć ją za sobą i łatwiej było znieść lanie, jak nie byłeś zdyszany. Tym razem jednak było inaczej i obaj o tym wiedzieliśmy. Nie uciekałem przed tatą. Uciekałem przed własnym życiem, a tata mnie gonił, ponieważ czułem też i tę potrzebę.

Udało mi się utrzymać prowadzenie, aż nagle stosownie potknąłem się o własne stopy, jak jakiś idiota w horrorze. Tata z łatwością złapał mnie za rękę i wyprowadził sierpowy, który minął moją twarz, ale trafił mnie prosto w pierś, aż usiadłem na tyłku. Wylądowałem na czarnej

lizawce; tak u nas nazywa się lizawki z naturalnej soli, bo barwią się od węgla w glebie.

Spojrzałem w dół i zobaczyłem na zboczu wielką plamę czarnej soli niczym zaschnięty strup. Kiedyś zastanawiałem się, czy te czarne lizawki są bezpieczne dla saren ze względu na zawartość węgla. Żał mi ich było, bo to głupie zwierzęta, aż zrozumiałem, że instynkt zawsze je przyciągnie, nawet gdyby były na tyle inteligentne i rozumiały, że to właśnie zabija je powoli.

Tata poderwał mnie i uderzył jeszcze raz. Wiedziałem, że musi to zrobić. Wiedziałem, że musi trafić mnie w twarz, zanim się rozluźni, bo taki miał pierwotny zamiar. Nie brałem tego do siebie. W tym momencie nie byłem jego synem, ani nawet osobą; byłem zadaniem.

Potem chwycił mnie za rękę i eskortował do domu. Otworzył pickupa i wepchnął mnie do środka. Siedziałem całkowicie nieruchomo, jedynie w środku trząsałem się jak oszalały.

Mama wyszła na ganek i zaczęła krzyczeć na niego. Klócili się przez kilka minut. Nic z tego nie dotyczyło mnie. Mama mówiła o tym, jak ciężko pracowała nad komodą dla mnie, a tata odpowiedział, że to on zbudował ten cały pieprzony pokój, jak ona chce mieszkać w jakimś cholernym pałacu, to w pierwszym rządzie nie powinna za niego wychodzić. Wtedy mama zaczęła krzyczeć, że lody się rozpuszczają i ciasto wysycha.

Amber gdzieś się schowała ze strachu, ale tej nocy przyjdzie do mnie do łóżka, żeby jakoś to odreagować. Nie lubiłem, jak spała ze mną, kiedy dostała lanie od taty, ale nie przeszkadzało mi, że przychodziła, kiedy ja oberwałem.

Tacie nagle skończyły się argumenty, i zatrzasnął drzwi pickupa. Mama wyglądała na przerażoną, kiedy odjeżdżaliśmy. Pamiętam, jak ze spokojem myślałem: tata zawiezie mnie boczną drogą, zabije i zakopie w lesie. Ta myśl nie szokowała mnie, podobnie jak fakt, że nie przygnębiała mnie bardziej od gównianych urodzin albo myśli o śmierci.

W czasie jazdy nie powiedział ani słowa. Nie zwracał najmniejszej uwagi na okolicę, dopóki nie skręciliśmy tam, gdzie na skażonym terenie, rozciągało się miasteczko zardzewiałych, stalowoszarych budynków, ponurych i pustych. Ogrodzenie z siatki ciągnęło się ponad kilometr wzdłuż drogi, oznaczone jaskrawopomarańczowymi znakami z napisem NIEBEZPIECZEŃSTWO i jaskrawożółtymi ZAKAZAMI WSTĘPU, a wszystkie one podziurawione były kulami.

— Zakład Odzysku Wody Kopalni Carbonville — obwieścił, a ja, słysząc nagle jego głos w tej ciszy, aż podskoczyłem.

Oczywiście wiedziałem o tym. Wszyscy wiedzieli. Celem zakładu było uzdatnianie kwaśnej wody z kopalni z pobliskiego opuszczonego kompleksu #9 J&P i doprowadzenie do stanu przydatności do spożycia. Wiedziałem też wszystko o #9. To była pierwsza kopalnia, w której pracował dziadek, i dużo o niej mówił, opowiadał o jej tunelach, jakby były częścią kobiety.

Zakład służył pierwotnemu celowi jedynie przez rok, zanim coś się popsulo. Zarząd Innymi Źródłami Energii zamknął go, ale pozostałości zachowały się przez kolejne dwadzieścia pięć lat jako pomnik głupoty oczyszczania środowiska zatrutego od wewnątrz.

Tata zjechał z drogi i zaparkował przy ogrodzeniu. Wysiadł i zaczął iść. Ja automatycznie wysiadłem za nim.

Stanął, kiedy znaleźliśmy się przy grupie małych, szarych domów krytych sidingiem z papy, poustawianych chaotycznie za siatką, jakby zakład doznał wstrząsu i obsypał teren miniaturowymi replikami nieudaczności.

Tata przykucnął, aż zrobił się niższy ode mnie, i wskazał jeden z nich, a może wszystkie naraz.

— Tutaj dorastałem — powiedział.

Spojrzałem na niego, żeby się upewnić, czy mówi poważnie. Zawsze myślałem, że dorastał tam, gdzie teraz mieszkają dziadkowie. Nie było czym się podniecać, ale przynajmniej dom był wystarczająco duży i nie rozsypywał się.

Z początku nie potrafiłem rozszyfrować jego miny. Spodziewałem się, że będzie rozdarty albo wkurzony. Mógł też się cieszyć: jeden z tych dziwaków takich jak dziadek, któremu podobały się tylko straszne miejsca i który pieklił się, jak musiał jechać na piknik. Lecz nie widziałem w jego twarzy zgorzknienia ani dwuznacznej, nostalgicznej zadumy. Widziałem za to dumę, ale dumę pozbawioną ego, coś w rodzaju akceptacji, ale akceptacji bez zgody na rozważanie wszelkich innych opcji. Wpadłem na to dopiero w domu, kiedy leżałem na zbitym tyłku, w nowej pościeli, w nowym pokoju, i czułem, jak po piersiach i twarzy, tam, gdzie bił mnie tata, rozchodzi się znajomy ból: to, co zobaczyłem, to szczęśliwy przegrany.

Tamtego roku w urodzinach przestało mi chodzić o tort i prezenty, a zaczęło liczyć się przetrwanie.

Tata zaczął pracę nad kolejną dobudówką przed czterema laty, jak ubzdurał sobie, że potrzebny mu jest własny pokój do oglądania telewizji bez dzieci. On i wujek Mike nigdy tego nie skończyli. Ostatecznie zamurowali wybitą dziurę w ścianie, pozostawiając też drewniany szkielet zwisający z boku domu i kilka rolek różowej wełny izolacyjnej na podwórku. Rozebrałem to wszystko jakiś miesiąc po tym, jak mama zastrzeliła tatę, i sprzedałem drewno.

Wujek Mike miał rację. Okap i okna trzeba było pomalować. Drewno dookoła okien zaczynało próchnieć. Zauważyłem, że na dachu brakuje dwóch gontów. Nawet z ziemi widziałem, że w rynnach sterczą dwie kępy mokrych liści. Musiałem coś zrobić z tym kawałkiem rury.

Zobaczyłem, że Jody siedzi na ganku i pisze coś w notesie. Trójróg Iskierka i Żółtek o żółtych włosach ściętych na pazia, którego kupiłem jej, żeby była cicho, siedziały po jej obu bokach. Spojrzała na mnie, jak oglądam dom.

— Co robisz? — zapytała.
— Listę — powiedziałem. — A ty, co robisz?
— No, listę — odparła z naciskiem. — A ty nie masz kartki.
— Robię w pamięci — wyjaśniłem. — Pokażesz mi swoją? Podała mi.

KARMIE DINOZAŁRY
SPRZONTAM MOJOM STRONĘ POKOJU
SKŁADAM PRANIE
KOSZE PODWURKO

Oddałem jej listę z uśmiechem. — Pracy różnej tu widzę sporo.
— Co?
— Nieważne. To taki jakby kawał.
— „Dziękuję” był lepszy — odpowiedziała.
— Racja — usiadłem obok niej na stopniach.
— Co ci się zrobiło z buzią? Masz całą spuchniętą.
— Nic takiego. — Zbyłem ją. — Od kiedy to kosisz podwórko? — zapytałem.

Na swojej kartce narysowała serce. — Wczoraj Amber powiedziała, że się martwisz, bo wujek Mike kazał ci je kosić i robić dużo innych rzeczy, dlatego piłeś piwo i poszedłeś na spacer z Elvisem. Myślałam, że pomogę. — Zamilkła i narysowała jeszcze kilka serc. — Dlaczego wy ciągle kłócie się, ty i Amber?

- Słyszałaś, jak się kłócimy?
- Skinęła głową.
- Co słyszałaś?
- Jak Amber krzyczała przekleństwa.
- No tak, cóż — zacząłem. — Po prostu ignoruj te rzeczy.
- To też niegłupie — stwierdziła. — Bo Esme powiedziała, że to niezdrowo tłumić emocje. Mówi, że dobrze jest wydobyć je na wierzch.
- Jest coś, czego Esme nie wie?
- Nie wie, kto to Konfucjusz.
- Konfucjusz? — Spojrzałem na nią kątem oka. — Ty wiesz?
- To pan, który pisze wróżby — odpowiedziała, kiwając głową. Zaśmiałem się. — Kto ci to powiedział?
- Mamusia.

Opanowałem uśmiech. Obserwowała mnie cierpliwie, czekając, czy zacznę dyskutować z tym, co mówi mama. Zdrapałem paznokciem kilka płatków farby ze stopnia.

— Esme powiedziała, że jej mama i tata kłócą się cały czas — opowiadała dalej Jody — a jak zapytała o to mamę, to usłyszała, że lepiej, jak rodzice czasami się pokłócą, zamiast to tłumić w sobie.

— Jej rodzice dużo się kłócą? — zapytałem.

— Chyba tak. Jej mama też krzyczy na nią i Zacka, a potem ich tuli, płacze i przeprosza. Widziałam to. — Zerknęła na mnie, żeby sprawdzić, czy słucham. — Mama Esme jest miła i ładna, i jeszcze umie robić gwiazdę, ale...

— Widziałaś ją, jak robi gwiazdę? — przerwałem jej.

— No tak.

Obserwowała moją twarz. Starąłem się być opanowany.

— Dla ciebie na pewno też by zrobiła — dodała.

— Na pewno.

— Ale ona — Jody mówiła dalej, garbiąc swoje plecki pod wyblakłą koszulką z Myszka Minnie na rodeo — chyba jest głupia.

— Nie jest głupia — wyjaśniłem. — Wszyscy rodzice muszą czasami krzyczeć na swoje dzieci.

— Dlaczego?

— Bo robią złe rzeczy i wkurzają ich.

— A my ciebie wkurzamy?

— Tak.

— Ale ty rzadko na nas krzyczysz.

— Należę do tych niezdrowych ludzi.
— Och. To dlaczego ona potem płacze i przeprasza? — pytała Jody.
— Chyba źle się czuje, bo kocha swoje dzieci i nie lubi na nie krzy-
żyć, więc potem przeprasza.
— Tata nas nigdy nie przeproszał za lanie. To znaczy, że nas nie ko-
chał?
— Ależ nie, kochał.
— Ale mama nie przeprosiła za to, że go zastrzeliła.
— Jody — powiedziałem szybko i wstałem, żeby odejść. — Mam
dzisiaj dużo pracy.

— Mama nas kocha?

Zamknąłem oczy i z całych sił zapragnąłem, żeby Jody znikła razem z
całym domem i moją przepelnioną winą radością z tego, że rodzice Es-
me cały czas się kłócą.

— Czy mama mówi, że cię kocha za każdym razem, kiedy się widzi-
cie? — zapytałem ją powoli.

— Czyny są ważniejsze od słów — oznajmiła. — Przeczytałam to w
jednej z wróżb. Mogę ci ją przynieść.

— Nie — odparłem. — Wierzę ci.

Uciekłem od niej i od rozmowy, i nagle poczułem ulgę. Dwa lata te-
mu, zanim czegokolwiek się nauczyłem, gdyby ktoś dał mi listę rzeczy,
które musiałbym robić dla Jody, i kazał mi wybrać najtrudniejszą,
prawdopodobnie wybrałbym „Sprzątanie jej rzygowin w środku nocy,
jak się rozchoruje”. Gdyby kazano mi wybrać najważniejszą, wybrał-
bym: „Nakarmić ją”. Teraz wybrałbym jedno w obu przypadkach: roz-
mowa z nią.

Skierowałem się do szopy, próbując zdecydować, czy chcę najpierw
kosić, czy zdrapywać farbę, kiedy zauważyłem Elvise z boku podwórka z
czymś między łapami, jak wściekle potrząsa głową z boku na bok.

Któraś z dziewczyn spuściła go z łańcucha.

Pobiegłem przez podwórko do grobu Rocky’ego, ale jeszcze zanim
dotarłem na miejsce, zobaczyłem pustą dziurę.

— Cholera — rzuciłem i popędziłem za Elvisem.

Zobaczył, że się do niego zbliżam, i pomyślał, że to zabawa. Pognał
do lasu. Pogoniłem go nieźle, ale po chwili musiałem się zatrzymać, aby
złapać oddech.

Usiadłem i oparłem się plecami o drzewo. Nagle Elvis wypadł z gąszczy przede mną, machając ogonem, ciekawy, dlaczego tak szybko zrezygnowałem. Coś zwisało mu z pyska, ale to nie był świstak. Z bliska wyglądało to na starą, brudną szmatę.

— Chodź tu, głupi — powiedziałem i cicho zagwizdałem przez zęby. — Nic ci nie zrobię.

Obserwował mnie z powątpiewaniem, a ogon zatrzymał się w połowie machnięcia.

— Chodź tu — powtórzyłem.

Skoczył jeszcze raz jak w zabawie. Kiedy nie reagowałem, przytruchtał do mnie i wepchnął mi pysk w twarz. Rzucił mi szmatę na kolana i oblizł mnie parę razy.

Podniosłem to coś. To nie była szmata. Była to dziewczęca koszulka: czerwona z dużymi słonecznikami na środku, pokryta wielką, brązową plamą, sztywna, oblepiona skorupą błota, jakby leżała gdzieś tu bardzo długo.

Usunąłem trochę ziemi i nieco wygładziłem materiał. Wyglądała znajomo, ale była za duża jak na Jody i za mała na Misty. Plama była duża. Mogła to być czekolada albo farba, ale od razu wiedziałem, że to krew.

10.

Poczekalem kilka dni, zanim zapytałem o tę bluzkę. Nie wiem dlaczego. Nie było nic strasznego w tym, że znalazłem w lesie poplamioną krwią dziewczęcą bluzkę, dopóki też nie znalazłem samej zakrwawionej dziewczynki.

Wpierw zapytałem o to Jody, bo ona nie spyta mnie, dlaczego tym się interesuję. Powiedziała, że nigdy nie miała koszulki ze słonecznikami, ale za to miała kiedyś kombinezon w stokrotki.

Potem zapytałem Amber. To ona w większości prała, łątała, cerowała. Większość ubrań Misty i Jody należała kiedyś do niej, i nigdy nie zapomniła strojów i tego, jak ktoś w nich wygląda: Za grubo. Zbyt idiotycznie. Jak w latach siedemdziesiątych. Jak w osiemdziesiątych. Zbyt oczywiście.

W momencie kiedy wspomniałem bluzkę ze słonecznikami, podewała się. Od wydarzeń w sobotę w nocy nasze relacje były dość napięte.

Nie rozmawialiśmy za dużo, ale nie mogła oprzeć się rozmowie o ubra-
niu.

Powiedziała, że oczywiście, mieliśmy bluzkę w słoneczniki. Jak mo-
głem zapomnieć? Należała do niej. Nosiła ją razem z szortami na rower
w czerwono-białą kratkę. Zbyt często jej nie zakładała. Za bardzo wiej-
ska. Ale dała ją Misty i ona nosiła ją jakiś czas. Ale nie szorty. Myślała,
że za grubo w nich wygląda.

Teraz, jak się nad tym zastanawia, to nie widziała tej bluzki od lat.
Misty już by z niej wyrosła, ale mogła ją chcieć Jody. Czy wiem, gdzie
jest? I co mnie w ogóle obchodzi bluzka w słoneczniki?

Chciałem powiedzieć jej prawdę... że Elvis wykopał ją w lesie i była
cała we krwi... ale zrezygnowałem. Amber niezbyt dobrze reagowała na
krew. Przeważnie mdlała przy krwotokach z nosa. Zamiast tego powie-
działem, że mi się przyśniła.

Zmrużyła oczy z odrazą, ale kupiła to wyjaśnienie. Łatwo je było
przyjąć od brata — przypadku psychicznego.

Następny krok to powinna być rozmowa z Misty, ale nigdy się nie
odważyłem.

Jednak bluzka nie dawała mi spokoju. Sam nie wiedziałem dlaczego.
Podczas obiadu w środę, kiedy była kolej Amber na gotowanie, osta-
tecznie trafiłem na wyjaśnienie. Garść farszu z bułki skapnęła Misty na
bluzkę. Amber wściekła się i zaczęła utyskiwać na to, jak ciężko jest
sprać tłusty keczup i że Misty nie może rujnować całkiem dobrej bluzki,
bo Bóg jeden wie, kiedy dostanie jakieś nowe ubranie. Mówiła zupełnie
jak mama, tylko mama powiedziałaby to ze spokojem.

Tata by ją walnął. Nie za mocno. Nigdy nie bił mocno w obecności
mamy ani przy obiedzie. Wyciągnąłby rękę i trzepnął z boku w głowę,
tylko tyle, że szcęknęłaby zębami, a w uszach dzwoniłoby jej przez parę
sekund.

Przypomniałem sobie, jak tata pacnął ją raz w buzię, a Misty patrzyła
w milczeniu, jak potem krople czarnej krwi kapały z rozbitej wargi i
wsiąkały w nowe dżinsy. Schowała spodnie przed mamą, żeby kryć tatę.
Wrzuciła je do kubła na śmieci, nie najlepsze miejsce na kryjówkę, ale
miała tylko pięć lub sześć lat. Mama je oczywiście znalazła i była niezła
awantura między nią a tatą.

Misty też prawdopodobnie schowała bluzkę ze słonecznikami; aż
przeszły mnie ciarki na myśl, co musiał jej zrobić, że tak mocno krwawi-
ła.

Betty kazałaby mi ją zapytać. Kazałaby mi zapytać Jody, co widziała w nocy, kiedy mama zastrzeliła tatę; a także Amber, dlaczego nienawidziła mnie tak bardzo. Kazałaby mi pojechać do domu Callie Mercer i wtargnąć podczas wyśmienitego obiadu, jaki serwowała mężowi-bankierowi i swoim idealnym dzieciom przy stole o szklanym blacie na wypolerowanej kamiennej posadzce, i zapytać ją, dlaczego się ze mną pieprzyła. Zawsze kazała mi pytać mamę, czemu tamto zrobiła.

Nigdy nie zaznam SPOKOJU, dopóki nie dostanę tych wszystkich odpowiedzi.

Przez cały tydzień pracowałem w Barclay's, wracałem do domu, pytałem, czy były jakieś telefony do mnie, jadłem obiad, zdrapywałem farbę przez pół godziny, pytałem, czy były jakieś telefony, jechałem do Shop Rite, pracowałem do północy, wracałem do domu i budziłem Jody, żeby sprawdzić, czy były do mnie jakieś telefony.

Mówiłem sobie, że to wcale nie byłoby niemądre. Callie zadzwoniłaby do mnie, gdyby chciała. Zналиśmy się. Byliśmy sąsiadami. Nasze dzieci bawiły się razem. Jeździły tym samym autobusem. Miała setki wymówek. Mogła przyjść do nas z kolejną książką albo przepisem.

Nie byłem całkowicie pozbawiony sumienia. Kiedy minęło pierwsze pięć czy sześć godzin w sobotę bez wiadomości od niej, zacząłem się martwić, czy ktoś lub coś nie powstrzyma jej od spotkania ze mną. Może jej mąż się dowiedział. Może dom im spłonął. Może uderzyła się w głowę i dostała amnezji. Może w rodzinie zdarzył się jakiś nagły wypadek. Może zaatakował ją wściekły skunks.

Lecz tydzień ciągnął się dalej, a ja wiedziałem, że nie doszło do żadnej z tych rzeczy, bo co wieczór przy obiedzie pytałem Jody i słyszałem, że codziennie rano mama Esme odprowadzała ją do autobusu i odbierała po południu; wyglądała na zdrową i zadowoloną.

Staralem się, aby Jody chodziła się bawić do Esme albo żeby zaprosić Esme do nas, ale po raz pierwszy w historii ich przyjaźni Esme miała cały tydzień mocno zajęty. W poniedziałek wizyta u dentysty, we wtorek lekcja tańca, w środę zbiórka harcerska, a na czwartek planowała zabawę w domu Cruz Battalini.

W końcu doszedłem do wniosku, że Callie Mercer uznała mnie za pośmiewisko.

W czwartek w nocy w ogóle nie mogłem zasnąć. Około piątej rano poddałem się i poszedłem na górę, usiadłem w kuchni i gapilem się

w telefon.. Wiedziałem, że ona jeszcze będzie spać. Zamknąłem oczy i doprowadzałem się do obłądu, myśląc o niej rozciągniętej nago na łóżku, gdy ja leżałem obok. Wiedziałem teraz, jaka ona jest w dotyku. To było najgorsze. Nawet gdybym wyrzucił ją z głowy, to nadal czułbym ją w palcach.

Siedziałem tak jakąś godzinę, aż usłyszałem, jak dziewczęta otwierają i zamykają szuflady komody, a w łazience leci woda. Wyszedłem tylnymi drzwiami na dwór z Elvisem przy nodze i ruszyłem na spacer.

Przez jakiś czas trzymałem się Strzelnicy, potem skręciłem do lasu. Poranek był chłodny i mglisty, a w lesie na wiosnę poszycie było gęste. Wrzośce ocierały mi się o spodnie, a niskie gałęzie chłostały mnie po twarzy, jednak mimo to utrzymywałem niezłe tempo.

Pokonanie prawie dwóch kilometrów do Mercerów zajęło mi więcej czasu, niż się spodziewałem. Wyszedłem na wał przy drodze w momencie, kiedy jeep Buda wyjeżdżał z podjazdu.

Wał był stromy. To raczej było wzgórze. Razem z Elvisem usiadłem na wilgotnej ziemi pośród drzew. Znajdowaliśmy się około sześciu metrów nad drogą, skąd mieliśmy dobry widok na tył domu Mercerów i półokrągły podjazd od frontu. Autobus zatrzymywał się przy jego końcu po Esme, a potem jechał dalej, aby zabrać Jody przy końcu naszej drogi.

Czekałem i patrzyłem, mocno trzymając Elvisa za obrożę, żeby nie wyrwał się i nie zdradził naszej pozycji.

Esme zeszła podjazdem pierwsza, wsunawszy ręce w szelki plecaka. Za nią biegł Zack, trzymając w jednym ręku kartonik z sokiem.

Potem zjawiała się Callie. Szła powoli, żeby mogła popijać parującą kawę z kubka, który trzymała w obu dłoniach. Miała na sobie szorty, chociaż nadal było chłodno, a do tego wielką, szarą bluzę. Zawołała do dzieci, żeby nie wychodziły na drogę. Jej głos dotarł do mnie czysty niczym dźwięk dzwonu.

Wcale nie wyglądała ani nie zachowywała się inaczej. Esme coś jej tłumaczyła, a ona potrząsnęła głową w jej stronę. Uśmiechnęła się do Zacka, kiedy przyniósł jej garść kamyków. Odwróciła się do nich plecami na moment i popijając kawę, patrzyła na swoje wzgórze.

Z łoskotem zjawiał się na drodze autobus i zatrzymał się z jękiem, chwilowo zasłaniając mi widok. Kiedy znowu ruszył, Esme nie było, a Callie i Zack machali rękami.

Potem wzięła Zacka za rękę i poszli z powrotem podjazdem.

Wstałem. Dżinsy miałem przemoczone od siedzenia tak długo na ziemi i wędrówki przez mokry las. Nie spuszczałem z niej wzroku, chciałem zmusić ją, żeby się odwróciła i zobaczyła mnie, żeby spojrzała z żalością, drwiną albo obojętnością, ale żeby chociaż spojrzała. Wydawało mi się, że to wszystko zmyśliłem.

Skończyło się na tym, że do Barclay's spóźniłem się półtorej godziny i dostałem za to porządną burę. Musiałem zostać i przepracować dodatkową godzinę, więc nie miałem czasu wrócić do domu na obiad. Choć w piątek to Jody miała swój drugi dyżur: jajecznica z przyprawą o smaku boczku.

Do Shop Rite dojechałem śmiertelnie zmęczony i głodny. Kupiłem dwa batony Milky Way i połknąłem parę tabletek energetycznych z pudełka, które zwędziłem parę dni wcześniej.

Rick przeważnie już dawno był w domu, kiedy zaczynała się moja zmiana, ale tego wieczoru zobaczyłem jego tłusty tyłek w przeszklonym sześciennym biurze. Zawsze siedział tam w środku, kiedy rozmawiał z kimś z nas. Tam na górze nikt nie widział, że jest mały, gruby i bezużyteczny. Był wszechmogący jak Czarnoksiężnik z Krainy Oz.

Przywołał mnie ruchem ręki. Byłem pewien, że dowiedział się o tych tabletkach i chce mnie zwolnić.

Nie przejmowałem się. W pewnym sensie czułem ulgę. Nie mogliśmy przeżyć za tę głównianą pensję w Barclay's. A innej pracy nie znajduję, bo Rick powie wszystkim, że kradnę. Będziemy musieli przejść na zasiłek. Będę sobie siedział i niech rząd się nami opiekuje. Albo dziewczyny pójdą do rodzin zastępczych, a ja będę musiał martwić się tylko o siebie.

— Miałem skargę na ciebie — powiedział, nie podnosząc wzroku znad papierów, które przerzucał bez celu.

No i pięknie, pomyślałem.

Jak tylko dziewczyny trafią do rodzin zastępczych, ja ruszam w drogę z Elvisem. Możemy jechać gdziekolwiek. Zacznę od odwiedzenia Skipa. Potem może kuzyna Mike'a. Będzie warto, choćby po to, żeby zobaczyć jego minę, jak zjawię się w jego klubie sportowym.

— Klientka poskarżyła się, że zapakowałeś środek do pielęgnacji włosów razem z warzywami.

— Hm?

— Dobrze słyszałeś. I nie włożyłeś go do osobnego plastikowego woreczka przed zapakowaniem do normalnej torby.

— Jestem zwolniony? — zapytałem.

— Chryste, Altmyer. Głupszy już być nie możesz? — prychnął. — Nie, nie jesteś zwolniony. Tylko nie rób tego więcej. I jeszcze jedno. — Zatrzymał mnie, zanim zdążyłem odejść. — Po lewej stronie, jak wejdziesz do magazynu, jest dostawa. Płatki daj na koniec alejki z produktami mącznymi, razem z bananami.

— Z bananami?

Wysmarkał nos zdenerwowany. — Niektórzy klienci jedzą płatki z bananami, więc nie będą musieli iść całą drogę na owoce i warzywa, jeżeli chcą kupić tylko to. A może wcale nie planowali kupować bananów, ale jak je zobaczą obok płatków, to przypomni im się, że lubią je sobie wkroić do płatków. Więc je kupią. Zrozumiano?

— To może ułożyć też selery obok masła orzechowego?

Zmierzył mnie wzrokiem. — Tak robią w marketach Bi-Lo i sprzedają dużo bananów...

— No dobra — powiedziałem.

Wróciłem do kas. Church był zajęty pakowaniem i rozmową z jedną kobietą na temat wyższości konserwowych ogórków Heinza nad Clausena. Nie tylko są tańsze, ale nie trzeba zaraz wsadzać ich do lodówki. Można je odstawić do szafki i trzymać tak trzy miesiące. Wiedział to, bo jego mama robiła tak przez cały czas. W szafkach u siebie trzymali słoje z ogórkami od Święta Dziękczynienia. Nie żartował.

Kiedy mijalem go, spojrzał na mnie poważnie.

— Coś nie tak, Church?

— Czego chciał szef? — zapytał.

— Żebym ułożył banany w alejce z produktami zbożowymi.

Jeszcze zanim wypowiedziałem te słowa, już pożałowałem. Churchowi opadła szczeka. Odstawił słoik sosu do spaghetti, który miał zapakować, i zaczął potrząsać głową. — Dlaczego on chce zrobić coś takiego?

— Ludzie lubią je dodawać do płatków — odpowiedziałem. — Rick myśli, że na tym zarobi.

Church spuścił wzrok na ręce i skoncentrował się. — To nie tak — stwierdził. — Banany nie mogą stać z płatkami.

— Nie przejmuj się tym — odezwał się Bud przy swojej kasie. — Czasami lepiej brać coś jak leci, a nie na siłę dopasowywać...

— Nie — upierał się Church.

— Pomyśl, na przykład, o ludziach — mówił dalej Bud. — Gdybyśmy podzielili ludzi według tego, kim są, zamiast tego, co robią, nie pracowalibyśmy razem. Ja tkwiłbym z ramolami, a Harley tam gdzie młodzież. Musiałby ogolić głowę i zacząć nosić koleczyk.

Puścił do mnie oko.

— Nie — powtórzy! Church. — Są dobrzy ludzie i źli ludzie, to wszystko. Racja, Harley?

— No cóż. Chyba tak.

Odszedł powoli ze swojego stanowiska, przyciskając chude ręce do boków, garbiąc szczupłe ramiona, przez co wyglądał jak złożony parasol. Usiadł na ławce. Bud obsłużył swoich klientów i zaczął pakować za Churcha. Wyglądało, jakby on już wcale nie chciał wrócić do pracy.

Próbowałem przemknąć obok niego niezauważony, ale Church mnie dostrzegł.

— Nie rób tego, Harley — krzyknął za mną. — To nie tak. Mówię ci.

Zająłem się moim ulubionym układaniem na półkach. Były tanie i tandetne, z setkami śrub. Nie mogłem przestać myśleć o Churchu i o tym, jak gwałcę porządek jego świata, i o Ricku, i o tym, jak wykonuję jego polecenia, i o tych wszystkich pudełkach z ciastkami i batonikami zbożowymi, zaledwie o metr ode mnie, i o tym, że zabiłbym za jedno takie. Kiedy skończyłem, miałem ochotę to wszystko rozwalić.

Przykucnąłem, żeby podnieść coś z podłogi, gdy usłyszałem kobiecy głos dochodzący z sąsiedniej alejki.

— Powiedziała, że jak będziesz grzeczna, to możemy wybrać jeden smakołyk.

— Ale mamo, to niesprawiedliwe — tłumaczyła Esme. — Obojętnie jaki smakołyk wybiorę, to Zack też go lubi, więc on w zasadzie dostanie dwa. A on zawsze wybiera Doritos, a ja nie znoszę Doritos, więc ja dostaję jeden...

— Życie nie zawsze jest sprawiedliwe — burknęła Callie.

Zupełnie zapomniałem, że robiła zakupy w piątki wieczorem, aż sam nie mogłem w to uwierzyć.

To była idealna okazja. Mogłem się z nią zobaczyć, ale ona była z dziećmi, więc będzie bezpiecznie. Mógłbym grzecznie porozmawiać. Byłbym wręcz do tego zobowiązany. Była w końcu klientką. A gdyby obdarzyła mnie tym swoim słodkim uśmiechem, wiedziałbym, że

jeszcze mam szansę. Ale jak spojrzę na mnie jak na tani towar z promocji, to nie wiem, co zrobię.

Wyprostowałem się i odwróciłem tak szybko, że wpadłem na półkę z płatkami i strąciłem kilka pudełek. Odstawiłem je i pospieszyłem na drugi koniec alejki; poczekałem, aż nabrałem pewności, że ona nie idzie w moją stronę. Potem pobiegłem do frontu sklepu, chwyciłem z wieszaka obok czasopism pomarańczową, odblaskową kamizelkę i skierowałem się do drzwi.

— Zrobiłeś to? — zawołał za mną Church.

Dopiero kiedy znalazłem się na zewnątrz, zatrzymałem się dla nabrania tchu.

Nie było zbyt dużo wózków na parkingu. Pozbierałem te porozstawiane i usiadłem na barierce stanowiska dla wózków. Czuję też, że zaraz zwymiotuję. Chyba nie powinienem brać tych tabletek na pusty żołądek.

Właśnie zaszło słońce. Niebo było szare, z odrobiną błękitu. Po drugiej stronie drogi wzgórze za myjnią były jeszcze bardziej niebieskie. Ciągnęły się w dal niczym fale oceanu, ale bez żadnych gwałtownych zwrotów.

Praktycznie były to góry — część przedgórza Allegheny — ale „góry” to było zbyt kolosalne słowo w odniesieniu do nich, a przedgórze zbyt skromne. Wzgórza, same z siebie, wydawały się solidne i krzepiące, bo w zasadzie takie były cały czas.

Laurel Falls było dość miłym miasteczkiem. Nazwę wzięło od różowych wawrzynów i kryształowo czystych wodospadów. Położone w małej dolinie. Mieściła się w nim siedziba władz okręgu, więc miało własne tereny targowe i staromodny budynek sądu z czerwonej cegły z wielkimi, białymi słupami i wieżą ze złotym zegarem. Był tu też szpital, dwa centra handlowe, kino dla zmotoryzowanych, nowy Super Wal-Mart, schronisko YMCA oraz klinika świadomego macierzyństwa, wiecznie zatłoczona. Jednak dla mnie było za duże. Osiem tysięcy ludzi według ostatniego spisu.

Praca tutaj odpowiadała mi, ale wolałem mieszkać w Black Lick, które dostało nazwę od czarnej lizawki, zatrutej węglem bryły soli. Ludność u nas: sto osiemnaście. Ja i moje siostry stanowiliśmy trzy procent tej populacji. Już prawie byliśmy ważni.

Na parking zajęchała jakaś kobieta, zaparkowała samochód i w drodze do sklepu rzuciła mi wrogie spojrzenie. Pewnie pójdzie naskarżyć,

że się lenię. Nic mnie to nie obchodziło. Siedziałbym tak całą noc, tylko w międzyczasie zapomniałem, dlaczego tu jestem, aż było za późno i Callie Mercer kierowała się z wózkiem w moją stronę.

Esme zobaczyła mnie, zanim w jakikolwiek sposób mogłem zareagować.

— To brat Jody — obwieściła, uśmiechając się do mnie, pozdrawiając królewskim gestem dłoni. — Cześć, Harley. Toja. Esme.

— Cześć, Harley — dołączył się Zack. — To ja też.

Callie gwałtownie zatrzymała się na środku parkingu, kiedy mnie zobaczyła. Zack wychylił się z siedzenia w wózku, a potem poleciał do tyłu. Rolka papierowego ręcznika spadła na asfalt. Callie pochyliła się i podniosła ją.

— Zastanawiałam się, gdzie się podziewasz — powiedziała w stronę moich stóp, kiedy podszedłem do niej. — To znaczy, wiem, że tu pracujesz, ale nie widziałam cię. Nie żebym ciebie szukała. — Wcisnęła paczkę z ręcznikami z powrotem do wózka. — Ani przed tobą nie uciekałam. No wiesz, nic by się nie stało, gdybym ciebie spotkała...

Wyprostowała się i odgarnęła włosy z twarzy. W końcu spojrzała na mnie, a ja na nią. Wyobraziłem sobie, jak by to było, gdybym spojrzał w jej oczy, gdy byłem w niej. Pomyślałem też o Amber, jak różnęła się z tym chłopakiem na kanapie, a on na nią nie patrzył. Zastanawiałem się, czy ona na niego patrzyła.

Wróciłem myślami do tamtej nocy; strzeliłem mu w głowę, zamiast opuścić strzelbę i wyjść. Ekspłodowała jak przejrzała dynia, ale to go nie powstrzymało. Jego ciało dalej pompowało w Amber. Kikut na ramionach podskakiwał tam i z powrotem, rozchlapując krew wszędzie dookoła. Nagle zatrzęsł się i upadł, bo dostał orgazmu albo umarł. Amber zepchnęła go z siebie i wstała z kanapy, naga, opryskana krwią i mózgiem, i podziękowała mi.

— Pomóc z zakupami? — zapytałem w końcu Callie.

— Nie wiem, czy powinienesz — odpowiedziała.

Spojrzałem na pomarańczową kamizelkę. — To chyba moja praca — odparłem.

— Oj, no dobrze. — Zaśmiała się lekko zażenowana. — Pewnie. Dzięki.

Zacząłem ładować torby do bagażnika, kiedy ona pochyliła się, zapiając Zacka w foteliku. Przyglądałem się i jednocześnie wkładałem torbę ciężką od puszek, z bochenkiem chleba na wierzchu.

— Jody jest w domu? — zapytała wtedy Esme.
— Hm?
— Czy Jody jest w domu? — powtórzyła zdecydowanie.
— Pewnie.
— Mamo — zawołała — jak wrócimy, mogę pobawić się z Jody?
— Już prawie dziewięta — odpowiedziała Callie, z głową nadal schowaną we wnętrzu samochodu. — Idziesz prosto do łóżka, jak wrócimy.

— Brad pojechał dzisiaj na obiad w interesach do Latrobe — zaczęła mi wyjaśniać, kiedy zapięła Zacka — a jutro gra w golfa z tymi samymi ludźmi, więc tam zostanie na noc. Zupełnie o tym zapomniałam, więc nie miałam z kim zostawić dzieci... — Zamilkła. — Och, przepraszam. To ciebie przecież nie interesuje.

Skończyłem pakować zakupy i zamknąłem bagażnik. Callie podeszła i stanęła obok mnie, a ja gapiłem się w tylny zderzak. Zmarszczyła czoło, jakby czymś się martwiła. Wiedziałem, co powie.

Chciałem być jak WIEKUSZOŚĆ FACETÓW. Chciałbym po prostu zapytać, czy ma znowu ochotę na seks ze mną, a gdyby powiedziała, że nie, pomyślałbym, że coś musi być z nią nie tak, i wcale bym się tym nie zmartwił. Albo chciałbym pocałować ją w usta. Nigdy to mi się dotąd nie udało. Byłem całkiem pewien, że całować się nie umiałem, więc pragnąłem pocałować ją jak WIEKUSZOŚĆ FACETÓW, a kiedy bym skończył, byłaby mokra i podatna.

Lecz nie byłem jak WIEKUSZOŚĆ FACETÓW, a ona nie była Przenajświętszą Panienką. Nie była też bezwzględna suką. Nie chciała mnie zranić, ale też nie potrafiła mnie rozgryźć. To ją przerastało. Chyba ją przestraszyłem.

— Harley — zaczęła.

Nie chciałem tego słuchać. Nie mogłem.

— A z tych artystów to podoba mi się Francis Bacon — wyrzuciłem z siebie.

Jej czoło znowu się wygładziło; zostały jedynie dwie lekkie zmarszczki, które miała na stałe. Uśmiechnęła się do mnie słodko. Punkt dla mnie. Każda kobieta miała jakąś słabość. Mojej mamy były lody z orzechami włoskimi i syropem klonowym. Kiedy tylko tata przynosił te lody do domu bez jakiegokolwiek powodu, mama darzyła go względami.

— I podobała ci się „Postać z mięsem?” — zapytała trochę niepewnie.

— To ten obraz z papieżem siedzącym między dwiema zakrwawionymi półtuszkami wołowymi? Tak, podobał mi się.

— Hm. A czytałeś opis?

— Pewnie.

— W które wyjaśnienie uwierzyłeś? Że według autora papież to rzeźnik czy że jest taką samą ofiarą jak zaszlachtowane zwierzę za jego plecami?

— Myślałem, że papież się tam śmieje.

— Śmieje? — Była zaskoczona.

Wsunęła dłonie do kieszeni spodni. Patrzyłem, jak znikają, i przypomniałem sobie, jak głąskała mnie trochę brutalnie. Oparła się o bagażnik.

— W tym samym okresie namalował serię krzyczących postaci w urzędowych garniturach. Niektórzy krytycy twierdzą, że próbował wyrazić cierpienie, jakiego doświadczają ludzie posiadający władzę. Chyba chciał powiedzieć, że są źli.

— A może tak się bawili? — zasugerowałem.

— Może. — Uśmiechnęła się i kiwnęła głową.

— On nie żyje? — zapytałem.

— Kto? Francis Bacon?

— Tak.

— Mama! — krzyknął Zack. — Esme dotyka mojego siedzenia!

— Zmarł chyba w dziewięćdziesiątym pierwszym albo drugim.

— To dobrze.

— Dobrze? — Zaśmiała się.

— Umieszczę go na liście zmarłych, których chciałbym spotkać.

— A masz też listę żyjących ludzi, których chciałbyś spotkać?

Potrząsnąłem głową. — Chyba mam większą szansę, że ludzi, którzy mi się podobają, spotkam po śmierci.

Znowu się zaśmiała. Choć mówiłem poważnie.

— To długa lista?

Potrząsnąłem przecząco głową. — Dopiero ją zacząłem.

— Mama! — Esme wystawiła głowę przez tylne okno. — On śpiewa piosenkę Barneya! Każ mu przestać.

Callie zareagowała na piskliwy głos córki, jakby ktoś strzelił za nią z bata. Poderwała się i podbiegła do okna, a Esme natychmiast schowała głowę. Callie zajrzała do środka i z samochodu dobiegła nerwowa rozmowa.

Potem wróciła do mnie ze spokojnym uśmiechem i oznajmiła: — Muszę jechać.

— Jasne.

— Nie, poczekaj — dodała nagle.

Wciągnęła głęboko powietrze całym ciałem, jak robią dzieci, i podjęła szczerą rozmowę ze sobą.

— Chcę cię przeprosić, że wtedy tak odeszłam. Przeprosić za wszystko, naprawdę. Nie chcę powiedzieć, że nie było cudownie, ale nie jestem pewna, czy powinno było do tego dojść. W zasadzie nie powinno. Czuję się, jakbym cię wykorzystała. Ale chciałam pomóc. Byłeś taki zdenerwowany. Oczywiście, są lepsze sposoby niesienia pomocy. A może nie. Chyba nie rozumowałam logicznie...

Dotarło do mnie tylko jedno słowo: cudownie. Takim słowem określało się popołudniowe przyjęcia. Kiedy myślałem o naszej wspólnej nocy, przed oczyma pojawiały mi się ogarnięte ogniem domy.

— Jest w porządku — powiedziałam.

— Nie, nie jest. — Podniosła rękę do czoła, jakby była zmęczona. — Próbowałam tam wtedy cię dobudzić, ale nie mogłam. Martwiłam się; przez parę minut nie wiedziałam, co robić. Myślałam, że coś się stało. Dzieci też dostają ataku serca. Potem zrozumiałam, że po prostu smacznie śpisz. Wiem, że to nie tłumaczy, że cię tam zostawiłam. Na dworze. Samego. W nocy.

Kładła nacisk na każde słowo, a potem przerwała i zastanawiała się nad nimi jak nad kartami w ręku, aż dodała ostrożnie:

— W błocie — a potem jeszcze: — Tuż przy wodzie. To było okropne z mojej strony — skończyła.

— Wszystko jest w porządku — powtórzyłam.

— Chodzi o to — najwyraźniej jeszcze nie skończyła — że jak czekałam, aż się obudzisz, przestraszyłam się, co okropnego możesz sobie o mnie pomyśleć.

— Co okropnego?

— Mój Boże, Harley. Mam męża i dwoje małych dzieci. — Powiedziała to z przerażeniem, jakby to był rzadki przypadek medyczny. — Nie mogłam znieść myśli, że uznasz mnie za jakąś żalostną, znudzoną gospodynię domową, polującą na chłopców, żeby ich gorszyć.

GORSZYĆ. To słowo pojawiało się litera po literze neonowym napisem na pokrywie bagażnika. Kiedy wyświetliło się całe, gapilem się na

nie przez moment, a ono wypalało się mi w mózgu, potem zamrugałem oczyma i wyparowało.

— I jeszcze jestem tyle starsza od ciebie. Ty wiesz, ile ja mam lat?

— Dwadzieścia osiem? — zgadywałem.

— Trzydzieści trzy — poprawiła mnie automatycznie.

Cieszyłem się, że nie należy do tych kobiet, które tylko cały czas chichoczą i wzdychają jak wariatki, bo jakiś facet powiedział im, że wyglądają na młodsze, niż są w rzeczywistości. Tego nie cierpiałem.

— Amber dobrze myślała, że jesteś już po trzydziestce — odpowiedziałem.

Callie uniosła brwi. — Tak myślała?

— Nie chcę ranić twoich uczuć — zmieniłem temat — ale kiedy o tobie myślę, to nie skupiam się na takich bzdetach jak małżeństwo i dzieci, ani ile masz lat.

— To o czym myślisz?

— Naprawdę chcesz wiedzieć?

— Tak.

Zack zaczął zawodzić.

— Głównie o pupie.

— O mojej pupie? — powtórzyła, a na ustach pojawił się uśmiech.

— Często o niej myślisz?

— Zdefiniuj bliżej to „często”.

— No, raz na dzień.

— Właśnie tak.

Samochód zaczął się kołysać. Przez tylne okno widziałem latające pluszaki, ręce i nogi.

— Słuchaj, Harley — powiedziała roztrzęsiona, w pośpiechu. — To zdecydowanie nie najlepsza pora na rozmowę o tym. Muszę zawieźć tę dwójkę do domu i położyć spać, a ty na pewno musisz wracać do pracy.

— Racja — przyznałem.

— Jak masz ochotę, możesz wstąpić wieczorem po pracy. Brad wyjechał, a ja przeważnie siedzę do późna.

— Pewnie — powiedziałem.

Wyglądała na mile zaskoczoną. — Dobra. — Uśmiechnęła się jeszcze raz na pożegnanie. — To do zobaczenia później.

„Później” niosło mi się echem w głowie. Nie mogłem ruszyć nogami, dopóki nie usłyszałem, jak samochód wyjechał z parkingu i ruszył

drogą. Modliłem się, aby Callie nie widziała mnie we wstecznym lusterku, jak stoję sztywno z łzawiącymi oczyma, jakby pierwszy raz zbadano mnie wykrywaczem metalu.

11.

Pojechałem tam od razu. Nawet nie pomyślałem, żeby najpierw wrócić do domu, żeby zmienić ubranie, umyć zęby albo zrobić dla niej bukiet z zonkili mamy. Zjawiłem się w niebieskiej koszuli firmowej z Shop Rite i kurtce taty, z przepoconymi włosami pod czapką z daszkiem.

Byłem jednak przygotowany. Album z reprodukcjami trzymałem w samochodzie i zanim wyjechałem, przestudiowałem jeszcze kilka obrazów na parkingu pod latarnią. Zjawiłem się z głową pełną „namiętnej techniki malarskiej”, „śmiałej kompozycji” i „swobodnych linii o wielkiej sile i płynności”.

Otworzyła drzwi uśmiechnięta, w krótkiej, czarnej bluzce bez rękawów i ściągniętych sznurkiem dresowych spodniach, które nisko zwisały jej na biodrach. W katalogu byłyby w dziale odzież domowa.

— Cześć, Harley — powiedziała. — Wejdz.

Podłoga w wejściu wykonana była z tego samego kamienia co w kuchni. Na ścianach było złote, lakierowane drewno. Na rządku czarnych, żelaznych haków wisiał plecak Esme, parasolka z Tweety Bird, dwa płaszczyki, torebka damska i męska koszula flanelowa.

— Zdejmiesz kurtkę?

— Nie wiem — odparłem. — To znaczy tak.

Zdjąłem kurtkę i podałem jej. Powiesiła ją obok drzwi. Zdjąłem też czapkę i przeczesałem dłonią włosy, żeby nie były ulizane. Chciałem przejrzeć się w lustrze, ale upomniałem się, że gdyby zwracała uwagę na fryzurę, byłbym na straconej pozycji.

Odrzuciła się i weszła głębiej, wołając do mnie przez ramię: — Chcesz piwo?

— Pewnie — odpowiedziałem.

Potupała bosymi stopami po kamieniach. Poszedłem za nią, rozglądając się nerwowo, nie w obawie przed złem, ale przed dobrem. Czulem, że potrafiłbym się przeciwstawić, gdyby z sypialni wyskoczył jej mąż i zagroził mi strzelbą albo gdybym w zamrażarce znalazł części ciała innych chłopców, których ZGORSZYŁA, a potem postanowiła pozbyć

się ich. Jednak uciekłbym z krzykiem z tego domu, gdyby teraz wsunęła choćby opuszki palców w moje spodnie.

Otworzyła lodówkę i pochyliła się. Przysiągłbym, widząc po tym, jak dres opiął się i przyłgął do jej pupy, że nie miała nic pod spodem.

Cały zeszytniałem, nie tylko mój kutas. Gdyby Francis Bacon zobaczył mnie, namalowałby stojącego w namiocie cyrkowym niczym skała, sinego na twarzy. I dał tytuł: „Zadziwiająca erekcja”.

— Proszę.

Podawała mi butelkę piwa. Sobie też wzięła, ale już wyczułem coś mocniejszego w jej oddechu. Więc musiała trochę się wstawić, żeby znowu to ze mną zrobić. Nieważne.

Próbowałem odkręcić kapsel, ale nie dawał się. Callie zachichotała. Była mocno wstawiona. Podawała mi otwieracz, złoty, w kształcie jelenia. Poroże pasowało do kapsla.

— Podoba mi się ten otwieracz — powiedziałem, oddając go jej, i zachnąłem się na własne słowa.

— Dzięki — odpowiedziała. — Należał do mojego dziadka.

Miałem szczęście. Zamiast wyjść na idiotę, pochwaliłem kogoś, kogo ona kochała.

— Nie wiem zupełnie, co stało się z tobą w tamtą sobotę, w nocy — mówiła i popiła piwo. — Martwiłam się o ciebie. Byłeś taki zdenerwowany i krwawiłeś z wargi.

— Bo upadłem.

— Upadłeś?

— Tak.

— Ale w domu wszystko w porządku?

— Tak.

Spojrzałem na otwieracz na blacie kuchennym i pomyślałem o własnym dziadku i o tym, że tata zaprzepaścił swoją szansę na kontakt z nim. Gdyby był szczery z nim pod sam koniec, może ułożyłby sobie to wszystko. Poczuliby, że doprowadził coś do końca, a wtedy dokończyłby inne sprawy.

— Nie — powiedziałem nagle z płonąca twarzą. — Nie wszystko jest w porządku w domu... Wszystko jest do dupy.

Obserwowała mnie, nie z politowaniem czy ciekawością ani nawet z troską. Potrzebowałem chwili, aby domyślić się, co to takiego, bo nie doświadczyłem tego wcześniej. To był szacunek.

— A mogę ci w jakiś sposób pomóc? — zapytała.

— Możesz mnie jeszcze raz przerznąć...

Nieomal nie zrozumiałem własnych słów, bo szloch utknął mi w gardle. Łzy zasłoniły Callie. Przetarłem oczy wierzchem dłoni i poczułem, jak ona ją chwyta i kładzie sobie na gardle, jakby chciała, abym ją uduślił.

Przesunąłem kciuk na idealnie czarny pieg w zagłębieniu pod szyją i nacisnąłem. Ona wsunęła dłonie pod moją koszulę i zbliżyła usta do moich. Przez te jej wargi, przez jej ciężar na mnie upuściłem piwo. Butelka eksplodowała na kamiennej posadzce. Odlamki szkła i piana z piwa pokryły wszystko dookoła. Odskokczyłem i podniosłem ręce do twarzy, spodziewając się uderzenia, a jednocześnie wiedziałem, że nie mam gdzie się schować, ale nigdy się nie nauczyłem przyjmować kary jak mężczyzna. Nie tak jak Misty. Ona zawsze zamykała oczy i przekrzywiała głowę, jakby czekała na pocałunek. Podziwiałem jej odwagę. Te wszystkie razy, kiedy tata ciągnął ją do jej pokoju, zatrząskiwał z nimi drzwiami, nigdy nie słyszałem, żeby płakała albo krzyczała.

— Przepraszam — krzyknąłem.

— Nic się nie stało — powiedziała.

Zrobiła krok w moją stronę. Usłyszałem zgrzyt szkła pod jej stopami, ale ona mimo to szła. Ręce mi się trzęsły. Płakałem jak dziecko. Chciałem już wracać do domu.

Znowu mnie pocałowała. Poczułem jej dłonie na karku, we włosach i jej język w moich ustach. Myślałem, że tym razem będzie inaczej. Dzisiaj nie byłem zdenerwowany. Podniecenie nie odbierało mi rozumu. Ale było tak samo. Po omacku błdziłem dłońmi po jej ciele, chciałem ją przytrzymać, ale ona wymykała mi się z palców, jakby była pokryta olejem.

Byłem gotów wytrzymać to bolesne wyczekiwanie. Chciałem w nią wejść. Tylko to się liczyło. Gdybym tylko znalazł się w niej, wszystko byłoby w porządku. Powiedziałem jej o tym.

Zaprowadziła mnie do stołu ze szklanym blatem i odsunęła krzesło. Pchnęła mnie na nie, potem zsunęła spodnie. Miałem rację. Nie miała nic pod spodem. Pod bluzką też nic nie miała. Uklękła naga między moimi nogami, żeby rozpiąć mi rozporek. Stopy od spodu miała zakrwawione. Jak u Jody. Od tej rury. Muszę ją usunąć.

Chwyła mnie tam i usiadła na mnie.

To nie działa się naprawdę.

I wsunęła mnie w siebie.

A Jody miała już ładne stopy.

Tym razem stać było mnie na jeszcze mniej. Nie zrobiłem nic z tego, co sobie obiecałem, jak dostanę drugą szansę. Nie patrzyłem na nią. Nie zwracałem na nią uwagi. Nie obchodziło mnie, czyjej się podoba. Pozwoliłem jej dosiadać mnie i trzymałem ją w talii. Czulem, jak cała wściekłość i żal uchodzą ze mnie za każdym razem, gdy unosiła i opuszczała biodra na mnie.

Zanim skończyliśmy, wyciągnęła ze mnie wszystko. Dobro i zło. Kiedy otworzyłem oczy, znowu czulem się, jakby cała galaktyka wirowała dookoła. Tym razem jednak nie zostawiła mnie. Dalej siedziała na mnie, opierała się o mnie, z głową na moim ramieniu. Jej piersi leżały na mojej koszuli roboczej. Pocałowała mnie w szyję, potem w usta i przesunęła się na moich udach. Czulem, jak członek wyślizgnął się z niej. Przyglądała się mi, jakby studiowała swoje notatki i była z nich zadowolona.

— Wygląda, że zaraz mi zaśniesz — powiedziała cicho i znowu mnie pocałowała. — Nawet na tym niewygodnym krześle.

Uśmiechnęła się i odsunęła, trzymając mnie za ramiona, ciągle obejmując udami moje uda. Gapilem się tępo na jej ciało i nie mogłem uwierzyć, że mogę jej teraz dotknąć, nie tracąc zmysłów.

— Chodź — powiedziała.

Zeszła ze mnie i wyciągnęła rękę. Chwyciłem ją i trzymałem przez chwilę, zanim mogłem wstać. Wyszła z kuchni, skaleczoną szkłem stopę stawiając na palcach. Poszedłem za nią i stanąłem przed szklanymi półkami odgradzającymi „dżunglę”, a ona pochyliła się, żeby napuszyć dla mnie poduszki na kanapie.

— Połóż się — powiedziała, poklepując posłanie.

Nie ruszyłem się, a ona zrobiła śmieszna minę z pytającym uśmiechem.

— Coś się stało?

Najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy, że jest nago. A jeżeli tak, to nie wiedziała, że jest piękna. A jeżeli to też wiedziała, to nie miała pojęcia, że jej nagość i piękno otumaniały patrzącego.

— Hm?

— Nic ci nie jest? No, chodź tu.

Usiadła na kanapie. Podszedłem i usiadłem obok niej. Pchnęła mnie lekko na plecy, potem odwróciła się i zaczęła mi zdejmować buty. Ucieszyłem się, że nie założyłem dzisiaj do pracy tych roboczych po tym,

jak zmoczyłem je, wędrując po lesie. Pewnie uznałaby je za głupie. Amber miała co do nich rację.

— Stopa ci krwawi — powiedziałem jej.

— Wiem — odpowiedziała, zerkając na nogę. — Muszę czymś to opatrzeć. I posprzątać ten bałagan w kuchni.

Natychmiast wrócił strach. Chciałem usiąść. — Przepraszam — powiedziałem z naciskiem.

— Nic się nie stało.

— Ja pomogę posprzątać.

— Nie. — Znowu mnie popchnęła i pochyliła się, aby mnie pocałować. Chwyciłem ją i zacząłem całować po plecach. Odsunęła się i kazała mi się uspokoić i zwolnić.

— Przepraszam — powiedziałem. — Obrzydliwie się całuję.

— Nie, nieprawda. Musisz tylko się zrelaksować i nie myśleć już o tym.

Usiadła na mnie, oparła się rękami i pochyliła głowę, aż nasze usta nieomal się spotkały, wtedy zaczęła rytmicznie dotykać moich warg językiem.

— Znowu o tym myślę — powiedziałem i mocno przełknąłem ślinę.

Przestała i spojrzała na mnie tak, jak według mnie powinna patrzeć kobieta, jeżeli facet dobrze się spisał.

— Musisz się przespać — powiedziała.

— Ale wrócisz?

— Tak.

Patrzyłem, jak kuśtyka, wychodząc z pokoju. Na złotej podłodze zostawiała ślad jasnoczerwonych kropek. Chciałem jej o tym mówić, ale nie dałem rady — już zasypiałem.

Obudziła mnie rano. Słabe, szarawe światło wypełniało pokój. Zobaczyłem wielki, kamienny kominek i dżunglę za szklanymi półkami, na których, oprawione w ramki, stały portrety rodzinne, ale rodziny kogoś innego. Spałem tak głęboko, że wydawało mi się, jakbym w ogóle nie spał.

— Harley.

Stała nade mną w najczystszej, najbardziej zwiewnej podomce na świecie. Chciałem zanurzyć w niej twarz. Sięgnąłem po nią.

— Nie, Harley. — Odsunęła mi ręce. — Nie możemy. Pozwoliłam ci spać za długo. Zack już nie śpi.

Bardziej się obudziłem.

— Wybacz. — Wyprostowała się i pociągnęła mnie za rękę. — Ale musisz iść.

Zupełnie jej nie poznawałem. Była inna niż zeszłej nocy, nerwowa i poważna. Przywykłem do zmiany nastroju: spędziłem życie w domu pełnym kobiet, ale Callie nie tyle zmieniała nastrój, co całkowicie się przełączała.

Popędziła mnie do wyjścia i złożyła mi na ręce buty, kurtkę i czapkę.

— Pewnie Zack by nic nie powiedział, ale z trzylatkami nigdy nic nie wiadomo.

— No tak.

— Przepraszam. — Westchnęła i przeczesła ręką włosy. — Nie chcę wyganiać ciebie w takim pośpiechu. Jakbyś był jakimś przestępcą.

— Nic się nie stało.

— Nie wiem, kiedy znowu będę mogła się z tobą zobaczyć — mówiła dalej — przy dzieciach i Bradzie, no i twojej pracy w dwóch miejscach.

— Mogę rzucić jedno...

Spojrzała na mnie. Zmarszczki na jej czole były bardziej widoczne w porannym świetle. Dwie zaczynały się i kończyły nie wiadomo gdzie. Stała jakby przechylona na bok. Zauważyłem końcówkę plastra na zewnętrznej stronie pięty.

— Bardzo śmieszne — powiedziała, marszcząc czoło.

Mówiłem to poważnie.

Pożegnała mnie z obietnicą, że zadzwoni.

Szedłem do samochodu, zastanawiając się nad jej słowami, z początku rozsmakowywałem je, potem rozkładałem na części, doszukując się ukrytego znaczenia. Postanowiłem jej uwierzyć.

Było wcześniej, kiedy dojechałem do domu. Zegar w samochodzie nie działał, ale obliczyłem, że jest około szóstej. Zostawiłem Jody i Misty same na całą noc. Amber wyszła. Miała rację, że cierpię na paranoję. Skoro Jody i Misty zostawały same w dzień, to mogły też zostawać same na noc. Rację też miała Betty, mówiąc, że jest to moja wymówka, aby nie odwiedzić Skipa.

Może w końcu pojedę go odwiedzić, pomyślałem sobie, idąc przez podwórko. Może mógłbym zabrać z sobą Callie. Ten pomysł był świetny, tak świetny, że musiałem się zatrzymać i przysiąc na szczątkach

kanapy. Zastanawiałem się, czy ona kiedykolwiek zostawała na noc poza domem, jak robił to jej mąż. Mogłaby wymyślić jakąś historię i spotkać się tam ze mną. Mogłaby spotkać się ze mną gdziekolwiek. Nie musiało by to nawet być na całą noc. Byłoby bardziej realistycznie. Godzinę. Nawet piętnaście minut.

Zbliżało się lato. Noce będą cieplejsze. Pomyślałem o tym, jak łatwo wymknęła się w naszą pierwszą, wspólną noc. Jak jej mąż i dzieci nawet nie dowiedzieli się, że jej nie ma. Moglibyśmy spotkać się w lesie. Może na jej łące. Moglibyśmy spotkać się w biurze starej kopalni.

Otworzyły się drzwi i wybiegł z nich Elvis. Pobiegł prosto do lasu i nawet mnie nie zauważył. Na ganek wyszła Amber. Nie miała na sobie mojego T-shirta jak zwykle, ale krótką, czerwoną podomkę z jedwabiu. Pod spodem zauważyłem czarną, koronkową koszulkę nocną, którą miała na sobie tej nocy, kiedy się pokłóciliśmy. Przypomniała mi o tych razach, kiedy mama po jakiejś wielkiej awanturze zakładała powłóczyście ubranie, czekając na tatę, żeby wrócił z baru. Postępowała tak tylko wtedy, kiedy wiedziała, że tata ma rację.

Było o wiele za wcześnie, żeby w sobotę rano Amber już wstała. Może też jej nie było całą noc i właśnie wróciła do domu. Do tej pory zrobiła to dwa razy. W obu przypadkach porządnie się pokłóciliśmy. Nie miałem teraz ochoty na kłótnię, więc o nic nie pytałem.

— Co ty wyrabiasz? — to ona krzyknęła do mnie. Wygodniej rozsiadłem się na kanapie.

— Gdzie byłeś?

Ignorowałem ją. Koncentrowałem się na biurze kopalni. Mógłbym je posprzątać. Mógłbym je wyszykować. Założyć firanki w oknach.

Podeszła do mnie i strzeliła mi palcami przed twarzą. — Co jest z tobą? Wyglądasz na pijanego. Jesteś pijany? — Pochyliła się i powąchała mnie. — Gdzie byłeś całą noc?

— Znowu zasnąłem w lesie.

— W lesie! — Wywróciła oczyma i spojrzała na mnie. — Przysięgam na Boga, jesteś niezłe popieprzony. Wiesz, jacy ludzie śpią w lesie?

— Turyści?

— Psychiczni — odpowiedziała ostro.

Spojrzałem na góry. Słońce znowu wschodziło różowo, rozlewało się brzoskwiniowożółtą plamą nad szczytami wzgórz.

— No cóż, kiedy ty spędzałeś noc na łonie przyrody — słyszałem, jak Amber dalej opowiada — przytrafiło się nam nieszczęście.

Wyprostowałem się. — Coś z Jody?

— Nie.

— Z Misty?

— Też nie. Nic im nie jest. To nic w tym rodzaju.

— A karabin. Gdzie karabin?

— Nie wiem — odpowiedziała. — Chyba tam, gdzie go zostawiłeś. Harley, co się z tobą dzieje?

Wyciągnęła rękę, żeby mnie dotknąć, ale odepchnąłem ją. Wstałem z kanapy. — Ktoś dzwonił? Jaki dzisiaj dzień? Ktoś dzwonił w sprawie domu?

— O czym ty mówisz?

— Powiedziałaś, że przytrafiło się nieszczęście. — Chwyciłem ją za rękę i potrząsałem. — Jakie, kurwa, nieszczęście?

— Harley, przestań.

— Powiedziałaś, że doszło do nieszczęścia. Wiesz, co to znaczy?

— Co się z tobą dzieje? Przerażasz mnie.

— Zdefiniuj mi nieszczęście.

— Coś złego — odpowiedziała i rozplakała się.

Ścisnąłem jej rękę tak mocno, aż jej skóra między palcami pobiełała. — Ostatni raz o nieszczęściu dowiedziałem się od policjanta przed domem Skipa, a wszędzie dookoła błyskało to kurewskie, niebieskie światło. „W twoim domu doszło do nieszczęścia...” Kto, kurwa, tak mówi?

Znowu zacząłem nią trząść. Jej płacz z dzikiego i przerażonego przeszedł w jednostajny i przegrany, tak jak zawsze było przy tacie. Nigdy nie chciałem, aby ktoś czuł się w taki sposób z mojej przyczyny. Zanim przestałem mieć sny, miałem o tym koszmary.

Wyrwała rękę z mojego uchwytu i odsunęła się, rozcierając pręgi od palców. — A co chciałeś, żeby wtedy powiedział?

— Prawdę — odkrzyknąłem. — Dlaczego nikt nigdy nie może powiedzieć prawdy?

— Chciałeś, żeby powiedział, że mama zabiła tatę? To byłoby lepsze?

— Chciałem, żeby powiedział, że będę miał przesraną każdą minutę każdego dnia mojego życia, aż do śmierci. To chciałem, żeby powiedział.

Usiadła gwałtownie na ziemi, objęła rękami zgięte nogi i schowała brodę między kolanami.

— Myślisz, że tylko ty masz przesrane? — To pytanie skierowała w pustkę przed sobą. — Myślisz, że tylko ty masz prawo być nieszczęśliwy, bo masz pracę?

— Mam dwie prace.

— Wielkie mi co. Sama wolałabym chodzić do pracy zamiast do szkoły, i nie kręcić się po tym domu, udając mamę.

Przez moment poczułem wobec niej braterskie zobowiązanie. Chciałem jej powiedzieć, że ma przed sobą całe życie, ale to byłoby jak podana kolejna biała kredka.

Amber wyprostowała nogi przed sobą i zaczęła wrywać trawę między nimi.

— Co to za nieszczęście? — zapytałem zrezygnowany, gdy cała złość i strach uszły ze mnie.

Wzięła głęboki oddech i powiedziała, wydymając wargi. — Chyba jednak nie powinnam tego nazywać nieszczęściem. — Położyła się, wspierając się na łokciach i wygięła szyję, żeby mogła na mnie spojrzeć. — Nie wiedziałam, że jesteś uczulony na to słowo. To nic takiego, chyba... Może to nawet dobrze...

— Powiedz już — zniecierpliwilem się.

— Wczoraj w pokoju Misty znalazłam prawie tysiąc dolarów.

— Co?

— To były pieniądze mamy. Jej zaskórniaki. Chyba już długo oszczędzała.

— Zaskórniaki na co?

— Pewnie chciała odejść od taty. Czy to nie szalone? Nie miałam pojęcia, że aż tak źle było między nimi. A ty?

— Skąd Misty je miała?

— Znalazła je i ukradła mamie. Nic więcej nie chciała mi powiedzieć. Zacięła się, jak to ona potrafi.

Nie mogłem myśleć logicznie. W głowie tłoczyły mi się wszystkie dotychczasowe myśli o rodzicach. A potem wszystko o Misty. Ale najdłużej pozostała myśl o tysiącu dolarów ukrytych w domu przez prawie dwa lata.

— Ile tego właściwie jest? — zapytałem.

— Dziewięćset siedemdziesiąt trzy dolary i pięćdziesiąt cztery centy.

Teraz ja gwałtownie usiadłem. — I gdzie je znalazłaś?

— Pamiętasz tę bluzę w słoneczniki, o którą mnie pytałeś?

Bluzka w słoneczniki. Zamrugalem oczyma. Poplamiona krwią bluzka była u mnie w biurku razem z listem od Skipa i najnowszym katalogiem bielizny damskiej „Victoria's Secret”.

Skinalem głową. Niedobrze mi się zrobiło. Próbowałem sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz jadłem.

— Zaczęłam się zastanawiać nad tą bluzką i jak bardzo spodobałyby się Jody. Pasowałyby doskonale do tej jej małej dzinsowej, portfelowej spódnicy z haftem. Teraz nosi tę starą, różową bluzkę po Misty z puchatym królikiem. Jest za mała, a królik zgubił oko, no, i ma jeszcze plamę po musztardzie. Wygląda w niej jak bezdomna...

Ukryłem twarz w dłoniach. Zbierało mi się na wymioty, a na dodatek zaczęła mnie boleć głowa.

— Kiedy Misty z czegoś wyrasta, przeważnie od razu przekazuje to Jody, ale czasami pakuje rzeczy do kartonu w swojej szafie, żeby niby mieć kiedyś dla własnych dzieci. Widziałam je. To nic specjalnego, jak sukienki na Boże Narodzenie. Taki szajs jak ta kurtka z pokazów kaskaderskich i ten szmatławy T-shirt taty z napisem „Stary myśliwy nie umiera. Tylko traci cel”. W większości stare, dziwne łachy, więc pomyślałam, że tam też schowała tę bluzkę w słoneczniki...

Spojrzałem na nią. — Więc znalazłaś pieniądze w kartonie ze starymi lumpami w szafie?

— Nie. Kiedy zjrzałam do jej szafy, znalazłam mój piekarnik. Pamiętasz, jak nim się bawiliśmy? Pamiętasz, jak byłeś królem, a ja królową? Ja byłam Królową Kier i piekłam tobie różowe ciasteczka.

— No pamiętam — ponagliłem ją.

— W każdym razie, otworzyłam go, żeby go sobie obejrzyć. Wiesz, tak dla hecy. I w piecyku znalazłam kopertę wepchniętą do środka.

— Niewierze.

— Ty byłeś King of Pain, Król Bólu. Pamiętasz? — Amber nadal wspominała. — Jak w tej piosence, która tak ci się podobała. Puszczali ją w radio, jak byliśmy mali. To jakiś przebój był. Jaki miał tytuł?

— „King of Pain” Police'ów — odparłem. I spytałem: — A gdzie jest teraz Misty?

— Chyba ciągle siedzi na łóżku i pilnuje swoich pieniędzy. Nie zmrużyła oka całą noc. Jody spała ze mną.

Powoli dźwignąłem się z ziemi. Dudnienie w głowie, ból w brzuchu, strach i zagubienie w sercu były niczym w porównaniu z nagłym gniewem, który mnie ogarnął.

— Myśli, że je zatrzyma? — zapytałem, a głos aż mi się trząsał z niewiary.

— No tak. — Amber skinęła głową. — Tak właśnie powiedziała.

Misty nie spała i była zupełnie trzeźwa, dokładnie tak, jak zapowiedziała Amber. Miała na sobie jedną z własnych nocnych koszul — dużą, farbowaną ze sznurkiem na niebiesko i fioletowo — a koperta pełna pieniędzy leżała w zagłębieniu materiału między jej kolanami.

Kiedy wszedłem do pokoju, uśmiechnęła się do mnie dziwnie przez zamknięte usta. Od razu podszedłem do niej. Miałem ochotę ją uderzyć, bardziej niż kogokolwiek w życiu. Spojrzałem z góry na kopertę pełną banknotów i poczułem, że zemdleję. Ona miała śmiertelnie poważną twarz, prawdziwą maskę, wyrażającą wyższość.

— Są moje — powiedziała. — To ja je znalazłam.

Nie mogłem rozewrzeć szczęki, żeby wydobyć z siebie słowa. — Gdzie? — udało mi się wykrztusić.

— W szufladzie z bielizną mamy. Tylko tyle ci powiem.

Moja ręka wystrzeliła tak szybko, że nawet nie uświadomiłem sobie, że oderwała się od boku, dopóki nie poczułem w niej czegoś ciepłego i żywego. Misty uderzyła głową w ścianę z głuchym łupnięciem. Trzepotała rękami wokół mojej dłoni zaciśniętej na jej gardle, a potem zaczęła mnie drapać niebieskimi paznokciami.

— Powiesz mi wszystko — rozkazałem.

— Bo co? — wykaszała, próbując oderwać moją dłoń.

Puściłem ją nagle, tak szybko jak schwyciłem, i przeszedłem na drugą stronę pokoju, trzymając przed sobą wyciągniętą rękę, jakby teraz miała mnie samego zaatakować. Słyszałem, jak Misty dławi się. Dłonie mi drżały. Na prawej pojawiły się paskudne pręgi na skórze. Już zaczęły pulsować. Chciałem ją przeprosić, ale mogłem jedynie patrzeć w ścianę. Przydałoby się ją na nowo pomalować.

— Nic mi nie możesz zrobić — powiedziała, a ja czułem, jak jej spojrzenie obezwładnia mnie od tyłu. — Nie skrzywdzisz mnie. Nie wygnasz stąd. Jesteś moim prawnym opiekunem. Musisz się mną opiekować.

Nie mogłem na nią patrzeć. Nie chciałem zbliżyć się do niej. Bałem się samego siebie.

— Nic ci nie zrobię. Nawet nie chcę, żebyś mówiła mi o tych pieniądzach — odparłem z takim spokojem, na jaki było mnie stać. — Nie chcę już, cholera, więcej nic słyszeć o mamie i tacie, dopóki żyję.

Odwrociłem się i zobaczyłem puste łóżko Jody. Zabrała wszystkie swoje dinozaury. Musiała je taszczyć godzinami do pokoju Amber.

Misty pocierała gardło. Nie zmieniła pozycji; chyba jedynie po to, aby wepchnąć kopertę głębiej między nogi. Żeby je zabrać, musiałbym dotknąć jej między nogami.

— Musiałam zabrać jej te pieniądze, żeby ją powstrzymać — powiedziała. — Chciała nas zabrać od niego. Nie rozumiesz?

Temu wyznaniu nie towarzyszył choćby ślad satysfakcji w jej oczach, choć jednak ożywiły się trochę, tylko tyle, jakby zaczęła na nowo jeść po dniach głodówki.

— Nic mnie to nie obchodzi — odparłem. Wyciągnąłem bolącą rękę. — Misty, daj mi jednak te pieniądze.

— Nie.

— Nie rozumiem. Nawet jeżeli my wszyscy ciebie nie obchodzimy, możesz wydać te pieniądze na siebie. Co ty na to?

— Na studia — powiedziała tryumfalnie.

Znowu przeszył mnie impuls. Wyobraziłem sobie, że gdybym ją uderzył, doznałbym orgazmu. GORSZYĆ zapaliło się na jej piersi, litery odznaczały się na tych dwóch wzgórkach jej małych piersi pod koszulą. Potrząsnąłem głową, ale słowo nie chciało zniknąć. Z oczu zaczęły lecieć mi łzy niczym krew, spokojnie, równomiernie i bez emocji. Spływały mi po policzkach i ściekały z brody, znacząc koszulę z marketu ciemnymi plamami.

— Daj mi je — odezwałem się chropowato.

— Są moje.

— Nie są twoje. Są mamy. Mama nie wie, że je masz, co?

Misty nie odpowiadała.

— Zapytajmy się mamy, co chce z nimi zrobić.

— Ma przecież zakaz widzeń przez to, że ci odbiło.

— Ale może rozmawiać przez telefon — powiedziałem.

Misty przykryła kopertę dłońmi.

— Misty, daj mi te pieniądze — powtórzyłem. — Wiesz, że mogę ci je odebrać. Może będę musiał cię wtedy zranić, ale zrobię to.

— Nie zrobisz — wtrąciła Amber.

Jej głos zaskoczył mnie. Przez cały czas milczała. Zapomniałem, że jest w pokoju.

— Ty nikogo nie możesz zranić — dodała. — Ale ja mogę.

Rzuciła się do przodu i otwartą dłonią uderzyła Misty prosto w twarz. Cios był tak silny, że spadła bokiem z łóżka, a koperta poleciała razem z nią. Amber podeszła, podniosła kopertę i wyszła z pokoju, machając do mnie.

Misty zerknęła w moją stronę. Oczy miała pełne łez, a twarz całkowicie pozbawioną wyrazu. — Zrobiła to przez ciebie — powiedziała.

— Sama się o to prosiłaś.

— Nie. Nie tego chciałam. A ona nigdy nie będzie się należycie zachowywać, dopóki się nią nie zaopiekujesz.

Chłodna ciekawość nie pozwoliła mi się ruszyć.

— Chcę, żebyś się nią zaopiekował — powtórzyła.

Chciałem się stamtąd wydostać, ale jej wzrok powstrzymywał mnie tak jak pusta studnia, która kusi, by wrzucać do niej kamienie.

— Ty będziesz szczęśliwy i Amber też — wyjaśniała dalej. — Wtedy ja i Jody też będziemy szczęśliwe. Bo trudno się z wami dwojgiem mieszka.

Jeden policzek płonął czerwono.

— Chcę tylko, żebyśmy byli szczęśliwi — powtórzyła, zanim zapadła się w ulubioną ciszę. — To wszystko.

Zabrzmiało to niczym groźba.

— Nie patrz tak na mnie — powiedziała Amber, kiedy dołączyłem do niej w kuchni. — Wiedziałam, że nie dasz rady. Musielibyśmy wtedy przez resztę życia zdobywać prawa własności, podpisując różne prawne dokumenty...

Przerwała, podniosła dłoń do ust i dmuchnęła w nią.

— Boże, ale to bolało — powiedziała.

Usiadłem przy stole, jak zamroczony. Koperta leżała na środku. Nigdy w życiu nie widziałem tylu pieniędzy.

— Zdaje się, że między mamą a tatą układało się gorzej, niż myślałam — stwierdziła Amber — skoro chciała od niego odejść.

Przeniosłem na nią wzrok. Nalewała wody do ekspresu. A nienawidziła przecież kawy.

— Robisz mi kawę? — zapytałem.

Odwróciła się uśmiechnięta, w skąpej podomce, spowita mgławym snopem białego światła sączącym się przez okno; trzymała ekspres z boku jak panna młoda w reklamie kawy.

— A nie chcesz?

Włączyła ekspres, wróciła do stołu i usiadła naprzeciw mnie.

— Teraz to wszystko nabrało większego sensu — powiedziała. — To znaczy to, co się wydarzyło.

— Nabiera raczej mniejszego sensu — odpowiedziałem. — Bo po co zabijać kogoś, od kogo chcesz odejść?

— Nie mogła odejść. Nie pamiętasz? Misty zabrała jej pieniądze.

Parzona kawa pachniała wspaniale. Miałem ochotę na porządne, tłuste śniadanie do tej kawy: boczek, naleśniki, bułki maczane w mięsnym sosie, domowe frytki. Burczało mi w żołądku, a mały zaczął mi twardnieć. Callie Mercer na pewno z jednego jajka zrobiłaby cuda.

— W każdym razie — odezwała się Amber i westchnęła. — Teraz mogę zrobić prawo jazdy.

— Hm?

— Mówiłeś, że potrzebujemy na to tysiąc dolarów, tak?

Zaśmiałem się jej w twarz. — Zwariowałaś?

Wyrzuciliśmy ręce w tym samym momencie. Ja byłem szybszy. Chwyciłem kopertę i cofnąłem się od stołu.

— Są moje — powiedziała, rzucając się w moją stronę.

Wepchnąłem kopertę za pasek spodni. — Potrzebujemy ich na podatki za dom.

— O czym ty mówisz?

— Tysiąc sto dolarów — wyjaśniłem. — Płatne w ciągu dwóch tygodni od dziś, a nie mamy nic.

— I czyja to wina? — krzyknęła.

— Spierdalaj, Amber.

— Nie. Sam spierdalaj.

— No cześć — powiedziała Jody, wchodząc do kuchni, marszcząc się i przecierając oczy piąstką. — O co się kłócicie?

— O nic — odpowiedziałem. Zamknąłem oczy i osunąłem się na krześle.

— Nic ci do tego — odpaliła Amber.

Jody usiadła przy stole i położyła swój notes, długopis, Trójroga, Żółtka i różowego, plastikowego tyranozaura, którego przed rokiem wygrała w wesołym miasteczku, wyłowiwszy kaczkę z basenu.

— Ty nie chcesz, żebym w ogóle miała prawo jazdy — mówiła dalej Amber.

Pochyliła się nad stołem w moją stronę, kiedy zrozumiała, że ja już przestałem się kłócić. Pomyślałem, że znowu chce mnie powąchać. Zastanawiałem się, czy wyczuje ode mnie kobietę.

- Coś z tobą nie tak — powiedziała to z wyższością.
 - Nic ze mną nie tak. Teraz po prostu nie mam na to sił.
- Położyłem głowę na stole, tak jak robią to mądre dzieciaki, gdy wcześniej skończył test, co obserwowałem całe życie.
- Będziesz się dzisiaj ze mną bawił? — zapytała wtedy Jody.
- Usłyszałem, jak Amber odsuwa krzesło od stołu i wpycha je z powrotem.
- Ona pyta o coś ciebie — powiedziała.
 - Pewnie — wymamrotałem we własne ramię. — Podasz mi kawę?
 - Nie wolno mi — odpowiedziała Jody. — Mogę tylko podać kubek.

Amber parsknęła i z hukiem wstała od stołu. Stuknęły otwierane drzwiczki szafki. Plastikowy kubek uderzył o blat. Usłyszałem pstryknięcie wyłącznika i *gul, gul* nalewanej kawy.

Na ten zapach poderwałem głowę. Objąłem kubek dłońmi. Poczulem przyjemne ciepło. Podniosłem rękę, którą mi skaleczyła Misty, obróciłem ją wierzchem do dołu i trzymałem zadrapania nad parą. Z drugiej strony stołu Jody sporządzała listę. Do tej pory napisała:

KARMIE DINOZAŁRY
JEM ŚNIADANIE
MYJEM ZEMBY

Amber usiadła z pudełkiem ciastek. — Wiesz, o czym pomyślałam — powiedziała, rozrywając foliową paczkę. — Skąd Misty wiedziała na pewno, że mama chce zostawić tatę? Mama mogła odkładać te pieniądze z wielu powodów.

- Słyszeliśmy, że o tym mówi — wtrąciła Jody.
- Co? — zapytała Amber. Odstawiłem kubek.
- Wiesz o tych pieniądzach? — powoli zapytała Amber.
- No chyba tak — odparła Jody, nie przerywając pracy. — Chodzi wam o te pieniądze, które mama odkładała, żeby wyprowadzić się od taty. Powiedziała, że ma ich dużo schowanych gdzieś w domu. Misty chciała ich poszukać, jak usłyszeliśmy, że mama o tym mówi, ale nie mogła znaleźć.

Amber i ja spojrzeliśmy po sobie.

- Z kim mama o tym rozmawiała? — zapytałem.

- Z wujkiem Mikiem.
- Jody pilnie przesuwiała długopis po kartce.
- Chciał jej pomóc — dodała Jody. — Powiedział, że musi zabrać Misty od taty, zanim będzie za późno.
- Za późno na co? — zapytałem, czując, jak cierpnie mi skóra na karku.
- Nie wiem — odparła Jody.
- Skończyła pisać BAWIEM SIE Z HARLEYEM i podniosła wzrok.
- Misty też nie wiedziała — dodała.

12.

Skip i ja byliśmy w pierwszej klasie liceum, kiedy asteroid —1994 XLI — minął Ziemię w odległości 105 000 kilometrów, grożąc katastrofą. Pamiętam, że było to gdzieś w okolicy Bożego Narodzenia, ponieważ w biurze kopalni zawiesiliśmy jakiś stary, gówniany wieniec, który wyrzuciła mama Skipa.

Usłyszałem o tym w wiadomościach i zanim zdążyłem zadzwonić do Skipa, on zadzwonił do mnie. Byliśmy przytłoczeni myślą, że skała o wadze stu tysięcy ton, wielkości stodoły może eksplodować nad nami i rozwałkować Stany Zjednoczone. Jeden z naukowców w telewizji nazwał go *Earth-crosser*, czyli asteroidem, który przecina ziemską orbitę.

Nazajutrz wysiadłem z autobusu przy domu Skipa, wzięliśmy butelkę rumu z tajnych rezerw jego mamy, trzymany na ajerkoniak domowej roboty, i ruszyliśmy w stronę torów kolejowych.

Przez całą drogę omawialiśmy fakty z największych filmów katastroficznych: jak naukowcy szacowali, że tam w kosmosie jest tysiąc takich asteroidów oznaczających dzień zagłady dla naszej pięknej planety; jak pył i dym powstałe po uderzeniu zasłonią słońce na lata i nastąpi „nuklearna zima”; o epoce lodowej i gigantycznych tsunami, które zatopią połowę świata; o tym, że pozbyć się takiego można tylko przez detonację bomby atomowej tuż przed nim, żeby zepchnąć go z kursu i nie roztrząsać, ale naukowcy potrzebują na przygotowania pięciu miesięcy. XLI zauważono zaledwie o czternaście godzin drogi od Ziemi i uznano go za małego. Ujrzymy więc ten zwiastun zagłady na sześć sekund przed nastaniem sądnego dnia.

Potem roznieciliśmy ognisko na śniegu, wstawiliśmy się i popadliśmy w nastrój filozoficzny. Po co chodzić do szkoły, skoro cała planeta jutro i tak przestanie istnieć? Po co szukać pracy? Po co dostawać wciry od starych? Po co dostawać wciry od kogokolwiek? Nie potrafiliśmy jedynie racjonalnie wyperswadować sobie chęci jebania. Żadnemu z nas jeszcze nie dopisało szczęście w tej mierze, ale instynkt nam podpowiadał, że z tej dziedziny nie powinniśmy jeszcze rezygnować tylko dlatego, że zostało nam raptem sześć sekund życia.

Nabraliśmy przekonania, że jako jedyni ludzie w okolicy doceniamy bezmiar niedoszedłego kataklizmu. Najwyraźniej nikogo ze znajomych to nie obchodziło. Ani naszych rodziców. Nikogo w szkole. Nawet nauczyciele fizyki tym się nie podniecali. Jedyna znana mi osoba, która tym się przejęła, to Jody. Podekscytowała się, kiedy wyjaśniłem jej, że prawdopodobnie dinozaury wyginęły przez gigantyczny asteroid, chociaż wiedziałem, że jest za mała, aby naprawdę to pojąć. Skip powiedział, że Donny zainteresował się, kiedy w wiadomościach pokazano futurystyczną animację komputerową, na której kometa to jakby napędzana parą rakieta, dzięki energii jądrowej roztapiającej lodowy rdzeń. Wygwizdaliśmy to, bo kometa wyglądała jak płonący latający talerz.

Jednak wszyscy inni dalej zajmowali się własnym, głupim, nic nie wartym życiem i nawet nie spojrzeli na niebo tej nocy. Mój tata nawet wściekł się na mnie i zmienił kanał, kiedy znalazłem późno w nocy specjalny program o asteroidach. Chciałem, żeby zobaczył, co to za zagrożenie, a jednocześnie ulga, bo jako rasa nic nie znaczymy; że najprostsze uczynki stają się ważne, a te wielkie tracą sens. Tata osunął się w fotelu i powiedział, że prędzej przejedzie mnie ciężarówka niż trafi asteroid i kazał mi oddać tego cholernego pilota.

Poczekalem, aż byłem pewien, że na mnie nie patrzy, wyciągnąłem z plecaka zeszyt i zapisałem definicję *Earth-crossera*. Prawdopodobnie była to jedna jedyna rzecz związana z nauką, którą zrobiłem poza szkołą, chyba że jechałem do biblioteki po aresztowaniu mamy, żeby poszukać różnicy między zabójstwem, morderstwem a ludobójstwem.

Zapisałem: „Szansa na zderzenie jest mała, ale jeżeli do tego dojdzie, to bez ostrzeżenia i może doprowadzić do całkowitego unicestwienia”.

Zupełnie jak PRAWDA o tacie i Misty. Wiedziałem, że gdzieś istnieje. Wiedziałem też, że gdybym musiał kiedyś się z nią zmierzyć, mój świat by nie przetrwał. Mogłem jedynie ją ignorować i mieć nadzieję,

że minie moją orbitę. W międzyczasie zacząłem żyć z większą niecierpliwością.

Dalem Callie Mercer cztery dni na telefon do mnie. Nie planowałem, żeby były to akurat cztery dni. Liczba była zupełnie przypadkowa. Lecz kiedy miałem już z głowy zmywarkę Hotpoint, którą trzeba było załadować na firmową ciężarówkę, wsiadłem do własnego samochodu, przestudiowałem kolejny obraz i ruszyłem do jej domu, uświadomiłem sobie, że liczba cztery ma dla mnie spore znaczenie.

W mojej rodzinie było czworo dzieci. Jody miała cztery lata, kiedy mama zabiła tatę. Skip był już cztery lata na studiach. Teraz, kiedy nie było satelity taty, mieliśmy tylko cztery kanały telewizyjne. Kiedyś były cztery podstawowe grupy pożywienia, zanim rząd wprowadził nową piramidę żywieniową, ku wielkiej uldze Churcha; on nie cierpiał, kiedy owoce i warzywa zgromadzone były razem, a jaja przechowywane z serem doprowadzały go do szaleństwa. Misty zrobiła mi na rękę cztery zadrapania. Na podwórku stały cztery puste budy. Teraz miałem czterech ulubionych malarzy: Pierre'a Bonnard, faceta Callie od karczochów, Francisa Bacona i tego abstrakcjonistę o nazwisku Jackson Pollock.

To był jeden z tych, którzy rozkładali płótno na podłodze i chlustali na nie farbą. Zawsze myślałem, że to wariaci, dopóki nie zobaczyłem tej jego szarej tęczy, „Greyed Rainbow”. Natychmiast to rozpoznałem. Czarną płataninę z szarymi glutami i białymi nitkami. Rdzawe maźnięcia i mięsista żółć niczym zaschnięta krew i smarki. Takie same rzeczy miałem przed oczyma, kiedy bił mnie tata.

Nie wiem, o co chodziło Jacksonowi Pollockowi, ale jeśli tata go bił, jak był dzieckiem, i właśnie to próbował przedstawić, to był geniuszem. Jeżeli obraz miał rzeczywiście być tylko niedoskonałą tęczą, to był idiotą. Postanowiłem go skredytować i miałem nadzieję, że jego tata go bił.

Kiedy zajechałem przed dom Callie, psy zaczęły szczekać. Zamierzałem je oblaskawić, ale nie miałem szansy. Callie była na dworze z Zackiem; bawiła się z nim w piaskownicy obok domu i natychmiast mnie zauważyła. Wstała i strzepnęła piasek z nóg i tyłu szortów. Na górze miała różowy stanik od bikini.

Doszedłem do frontowych drzwi i czekałem na nią, bez zaproszenia, w biały dzień, przy jej dziecku, bez jakiegokolwiek oczywistego powodu. Callie przeszła przez podwórko, z zatroskanym spojrzeniem, a ja

uświadomiłem sobie, że tego też mam dosyć. Wiedziałem, że tak samo patrzyła na Zacka i Esme. Na swoje psy chyba też.

Gorączkowo przeszukiwałem w myślach wszystkie spojrzenia, które byłyby lepsze. Jak spojrzała na mnie Ashlee Brockway, kiedy ją odepchnąłem tak mocno, że aż wpadła na drzwi. To, jak mama patrzyła na mnie, kiedy zacząłem krzyczeć podczas widzenia w więzieniu. To, jak spojrzał na mnie Church, kiedy poszedłem ułożyć banany razem z płatkami. Spojrzenie Amber na tatę, kiedy pierwszy raz ją uderzył.

- Coś się stało? — zapytała Callie. — Nie powinieneś być w pracy?
- Mówiłaś, że do mnie zadzwonisz.
- Nie miałam okazji — zaczęła wyjaśniać.
- Gówno prawda — rzuciłem.

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale powstrzymała się. Staralem się dojść, co takiego jest w tych wszystkich innych spojrzeniach, że są lepsze. Był to strach. Strach, że mogę ją zranić. Strach, że postradałem zmysły. Strach, że popsuję uniwersalny porządek rzeczy. Strach, że może nie ma Boga.

— Czy twój mąż podsłuchuje wszystkie rozmowy przez telefon, czy co? — atakowałem ją dalej. — Mogłaś zadzwonić do mnie w każdej chwili. Mogłaś powiedzieć, że chcesz porozmawiać o Jody.

Troska znikła, ale na jej miejscu nie pojawił się strach. Jej twarz pobladła ze złości.

- A kiedy jesteś w domu, Harley?
- He?
- Kiedy ty jesteś w domu?

Nie odpowiedziałem. Wyglądało to na podstępne pytanie.

- Nie masz dwóch pełnych etatów? — pytała.
- No mam.

Moja odpowiedź rozwścieczyła ją. Starala się opanować gniew, ale wyczuwałem jej bezradność. Nie panowała nad własnymi emocjami. Najwyraźniej kontrolowały ją jak niewidzialna dłoń sterująca kukielką. Moja mama była jednak kimś więcej niż ręką.

- Problem polega nie na tym, kiedy ja mogę do ciebie zadzwonić — powiedziała, oddychając z trudem. — Chodzi o to, kiedy ty możesz być w domu, żeby porozmawiać ze mną.
- Przeważnie wracam do domu na obiad.

— No, wspaniale — rzuciła oschle. Cofnęła się o krok i wsparła ręce na biodrach. — W porze obiadu przeważnie zajęta jestem gotowaniem i dwójką głodnych, zawodzących dzieci, kiedy mój mąż siedzi sobie w środku tego wszystkiego, popija drinka i utyskuje na własne problemy. Mam mu przerwać w jakiejś chwili i powiedzieć: „Przepraszam, kochanie. Muszę zadzwonić do dziewiętnastoletniego chłopaka z sąsiedztwa i zapytać, czy ma ochotę wpaść później, żebym mogła się z nim pieprzyć, aż mu łeb odpadnie”. To mam zrobić?

Zanim skończyła, krzyczała na mnie. Dyszała ciężko. Patrzyłem na jej falujące piersi. Między nimi pojawiły się kropelki potu. Sutki miała twarde. Kiedy podniosłem wzrok, patrzyła na mnie.

— Tak — powiedziałem. — To masz zrobić.

Potrząsnęła głową i zaśmiała się gorzko. — Wiesz, co by się stało, gdybym tak zrobiła?

— Twój mąż rozwiódłby się i nie musiałabyś być żoną faceta, który nie może tego znieść?

Opanował ją niepokojący spokój. Nawet wstrzymała oddech. Zaraz wybuchnie albo znowu się zmieni. Zastanawiałem się, jakby to było znowu w nią wejść, kiedy doznawała takiej przemiany nastroju.

Bez mojej zgody, tak samo jak z Misty, moja dłoń wystrzeliła do przodu i zahaczyła o górę jej szortów. Szarpnąłem ją mocno, aż poleciała na mnie. Wgniotłem usta w jej wargi. Ona tego nie chciała. Takich pocałunków nie lubiła. Bardziej to przypominało, jakbyśmy się różnili językami. Wyswobodziła się i odepchnęła mnie.

— Co robisz? — wysapała, zerkając z przerażeniem na Zacka w piaskownicy. Zajęty był wsypywaniem łopatką piasku do wywrotki.

Znowu ją chwyciłem. Tym razem w okolicy bioder. Wyciągnęła przed siebie ręce i zaparła się o moją pierś, ale jeszcze zdążyłem dotrzeć ustami jej szyi. Wgryzałem się w nią i myślałem o martwych, nowonarodzonych świstakach rozgryzanych przez Elvisa. Poczułem wtedy, że Callie poddaje się nieco. Zszedłem niżej, aż zacząłem ssać jej sutki przez stanik. Wydała z siebie ten odgłos, połączenie krzyku, sapania i jęku, o którym myślałem, że tylko małe dziewczynki je wydają.

— Zack — wysapała i próbowała się wyswobodzić. — Może nas zobaczyć.

— To chodźmy do środka.

— Nie mogę.

— Hej, Zack — zawołałem do niego. — Wejść z twoją mamą do domu napić się. W porządku?

— Też chcę oranżadę — krzyknął w odpowiedzi.

— W porzo, chłopie.

Lekko schwyciłem ją za nadgarstek i pociągnąłem za sobą tak, jak tata ciągnął Misty do jej pokoju, żeby ją ukarać. Gdy tylko zamknęliśmy drzwi, rozwiązałem jej stanik, a ona zdjęła szorty, zanim dotarliśmy do kuchni. Położyłem ją na szklanym blacie i spuściłem spodnie do kostek. Kiedy wszedłem w nią, ona znowu wydała ten sam dziewczęcy jęk.

Posuwałem ją rytmicznie. Tyle tylko mogłem zrobić, aż zaczęła coś wykrzykiwać i coraz mocniej przytrzymywała mnie nogami i dłońmi. Nie wiedziałem, co mam robić, więc tylko jeszcze mocniej ją posuwałem. Nie byłem ani twórczy, ani utalentowany, ale pilny.

Byłem pewien, że doprowadziłem ją do orgazmu. Poczułem to jak serię eksplozji w jej ciele. Kiedy przeszło, usiadłem w fotelu, a ona uśmiechała się z zamkniętymi oczyma, rozłożona jak gwiazda na stole.

Byłem zlany potem, ale nie mogłem przestać się trząść. Mocniej naciągnąłem kurtkę. Dobrze, że nie kazała mi jej zdjąć.

Po wszystkim Callie była spokojna jak powierzchnia stawu. Wzięła dla Zacka kubek z dzióbkiem i odprowadziła mnie do samochodu. Kiedy mieliśmy się pożegnać, przypomniała sobie o czymś i wróciła do domu. Przyniosła złożoną kartkę z zeszytu. Zanim ją rozłożyłem, już wiedziałem, że to list od Jody.

— Znalazłam to w plecaku Esme — wyjaśniła. — Esme i Jody ciągle piszą do siebie liściki, ale ten mnie trochę zmartwił. Chyba powinieneś o tym wiedzieć.

Z początku te słowa nic dla mnie nie znaczyły. Potem tak.

— Zapytałam Esme o to, a ona odpowiedziała, że Jody chciała ją przestraszyć — docierał do mnie głos Callie. — Jody ma takie szalone pomysły. Przed jakimś miesiącem pisały do siebie o tym, jak bracia i siostry żenią się i mają dzieci. Porozmawiałam sobie o tym z obydwoma. Jody odpowiedziała, że Misty potwierdziła jej, że tak jest. Jestem pewna, że Misty tylko się z nią droczyła. Starsze siostry tak robią, wiesz.

Nie mogłem oderwać wzroku od kartki. MISTY RAS ZABIŁA KOTKA.

— Zdaję się, że wyjdę na kapusia, ale troszczę się o Jody. I o Misty też. Jeżeli to prawda z tym kotem, to rzeczywiście jest to problem.

— Zajmę się tym — odparłem, zgniatając kartkę i wpychając do kieszeni. — Kiedy się znowu zobaczymy? — zapytałem jeszcze.

Umówiliśmy się na następny tydzień w biurze kopalni. Spodobał się jej ten pomysł, szczególnie jak dodałem jej, że to moja kryjówka od dzieciństwa.

Dobrze wiedziała o tym miejscu. Opustoszało już, kiedy była mała, ale jeszcze można było tam znaleźć świetne rzeczy, takie jak księgi rejestrowe odnotowujące tony wyekspediowanego węgla, pożółkłe kwity na sprzęt górniczy, stare butelki po Mountain Dew z bosym wieśniakiem i sloganem: „Połaskocze ci bebechy!”. Nawet parę starych rękawic roboczych i zabytkowy, metalowy pojemnik na obiad, podobny do tego, jaki miał dziadek. Musieli używać metalowych pojemników, bo w chodnikach było tak wilgotno, że jedzenie w papierowej torbie przemokłoby, zanim zdążyliby je zjeść.

Zapytałem go raz, co jest najgorszego w kopalni: ciemności, zimno i wilgoć, klaustrofobia, trujące gazy, pył po wybuchach, strach przed eksplozją czy zawały i zatopienia. Dziadek odpowiedział, że zarząd.

Nie zająłem się Misty zaraz po powrocie, tak jak obiecałem. Przez pewien czas nie mogłem o niej myśleć, tak samo jak żona rannego żołnierza musi odizolować się, kiedy pierwszy raz patrzy, jak mąż przypina sobie protezę nogi. Zamiast tego zająłem się podatkami za dom. Zapłaciłem je przed terminem. Osobiście. Gotówką. Urzędniczka, wydając mi pokwitowanie, powiedziała, że chciałaby, aby jej syn był taki.

W drodze do domu musiałem przejechać obok restauracji Yee, więc zatrzymałem się i wziąłem dla Jody parasolkę-niespodziankę i ciastko z wróżbą, chociaż dopiero na jutro miałem umówioną wizytę u Betty. Intencje miałem dobre, ale głód je przerósł i w końcu zjadłem to ciastko. Wróżba brzmiała: „Odważny człowiek jest wolny od strachu, ale człowiek cnotliwy jest wolny od niepokojów”. Postanowiłem dodać Konfucjusza do listy zmarłych ludzi, których chciałbym spotkać. Teraz było ich CZTERECH.

Głowę miałem pełną bezsensownych myśli — takich jak ta moja lista zmarłych — żeby tylko trzymać się z dala od rodzinnego szajsu, który nieustannie krzyżował się z moją ziemską orbitą, ale momentami miałem za dużo tych głupich myśli, nadciągały za szybko, a ja nie potrafiłem odgrodzić się od nich w nocy i nie mogłem zasnąć. Było tak źle, że

tylko pragnąłem się dobrze wyspać całą noc po porządnym jebaniu, tak samo jak pragnąłem samego jebania.

Oboje postanowiliśmy udać się tam pieszo. Callie nie miała wyboru. Wyjazd w środku nocy trudno byłoby wytłumaczyć jej mężowi, gdyby ją przyłapał. Ja też nie chciałem niczego wyjaśniać Amber. Już więcej nie przyjmowała moich wymówek o błędzeniu „nigdzie”.

Będziemy szli z przeciwnych stron, więc nie planowaliśmy, żeby się gdzieś spotkać i iść dalej razem. Callie zapewniła mnie, chociaż jej o to nie prosiłem, że poradzi sobie z drogą przez las. Po tych lasach wędrowała razem z dziadkiem i znała je jak własną kieszeń. A jak znajdzie tory, to już nie zabłądzi.

Byłem na miejscu pierwszy i czekałem. Zacząłem nawet martwić się o nią. Wiedziałem, że w okolicy nie było zwierząt, które mogłyby ją skrzywdzić — wściekły skunks Buda pewnie do tej pory zdechł — ale nie mogłem przestać myśleć o koleżkach Amber.

Ruszyłem torami, wyglądając Callie. Niecały kilometr od biura znajdowała się kopalnia: mały, pojedynczy szyb z wejściem nie większym od klapy w podłodze prowadzącej do piwnicy. Teraz było prawie całkowicie zarosnięte chwastami, zasypane kamieniami i złomem z zapadniętych metalowych belek.

Nad torami stała wywrotnica, która sortowała i ładowała węgiel na wagony. W nocy widziałem jedynie najwyższą część drewnianego szkieletu sterczącego spośród drzew w górę na dziesięć metrów niczym zbudowana czaszka dinozaura. Cała reszta — ciężkie przekładnie, metalowy komin, zsuwnie, wałki, sita do sortowania — całkowicie skruszała przez lata i pokryła się krwistobrazową rdzą.

Spółki nigdy nie rozbierały wywrotnic ani nie zamykały szybów, kiedy zwiły interes. Zostawiały je tak samo, jak ludzie wyrzucali śmieci na poboczu drogi. Mamy zawsze powtarzały swoim dzieciom, żeby nie zbliżać się do nich, a dzieciaki zawsze ignorowały to, ale po kilku razach, kiedy podczas czołgania się powchodziły im w ręce i kolana drzazgi i płatki rdzy, podniecenie mijało.

Skip próbował wymyślić, jak zabić Donny’ego na wywrotnicy, ale istniało tyle przypadkowych sposobów, kiedy sam mógł się zabić, że planowanie jego kolejnej śmierci przestawało być zabawne.

Sama kopalnia to już inna historia. Wpadliśmy na pomysł, żeby zwabić go do środka za pomocą ciastek, potem podłożyć parę petard dookoła wejścia, odpalić je i spowodować zawał. Nie spodziewałem się,

że to się sprawdzi, bo nie wyobrażałem sobie, żeby ktoś był tak odważny, głupi albo głodny, aby dać się pochłonąć czarnej dziurze w ziemi, jednak kiedy przyglądałem się, jak uśmiechnięty Skip wrzuca do szybu zapakowane osobno ciastka owocowe, a Donny posłusznie podąża za nimi, zrozumiałem, że te przyczyny nie miały z tym nic wspólnego. W końcu zrozumiałem Donny'ego. Znosił poniżanie i strach, ponieważ to uszczęśliwiało Skipa.

Ostatecznie petard nie zapaliliśmy. Zapalki wpadły mi do rowu ze stojącą wodą i Skip pieklil się na mnie jeszcze przez kilka dni za to, że jestem ofiarą. Nigdy mu nie powiedziałem, że zrobiłem to celowo.

Darowałem sobie to chodzenie i zawróciłem do biura. Chciałem odejść, chociaż wiedziałem, że tego nie zrobię, kiedy usłyszałem chrzęst żwiru. Podeszedłem do drzwi; ona szła torami z plecakiem i przenośną lodówką. Wyjęła koc, kilka kanapek z pieczoną wołowiną, cztery piwa, latarkę, spray na komary, zapalki do rozpalenia ogniska i krakersy do opiekania nad ogniskiem z pianką żelową. Pieprzyć się z czyjąś mamą zdecydowanie miało swoje zalety.

Zapytała mnie, jak minął tydzień, a ja powiedziałem, że dobrze. Przeprasiłem za stan biura, bo to ja byłem facetem i to ja zaprosiłem ją tutaj. Odparła, że jej to nie przeszkadza. Podobał jej się ten spokój, opuszczenie i butwienie, a ja powiedziałem, że mówi jak Szekspir. Uśmiechnęła się i zapytała, co czytałem z Szekspira; odpowiedziałem, że nic, ale wiedziałem, jak brzmi.

— Stań tam — poleciła mi nagle.

Ledwo widziałem ją po ciemku, ale zobaczyłem, że poderwała koc i opuściła go na podłogę.

— Może najpierw zamiotę, chcesz? — zapytałem. — Pełno tu syfu. Nawet szkła.

— Nieważne — odparła.

Nie traciła czasu. Od razu podeszła do mnie i zsunęła mi kurtkę z ramion. Kiedy dotknęła tej kurtki, instynktownie chciałem schwycić garść jej włosów i cisnąć jej głową o ścianę, a od tego złamałby się jej kark i rozpękała czaszka. Roztrzaskaną twarz przykryłbym kocem, a gdybym wyruchał ją dosyć szybko, jeszcze byłaby ciepła. Ale samo ciepło nie wystarczało. Chciałem, żeby doszła jeszcze raz. Uczucie, że dochodzi, było prawie tak dobre, jak cała reszta.

Wziąłem głęboki oddech i kurtka spadła na podłogę z głuchym stuknięciem. Wyciągnęła mi T-shirt ze spodni i zdjęła przez głowę;

pocałowała mnie w usta i szyję. Potem cofnęła się i rozebrała. Nadal niezbyt dobrze ją widziałem. Była jedynie bladym kształtem bez detali, jakby ktoś w czarnym materiale wyciął idealną sylwetkę kobiety. Złapałem ją za głowę i przewróciłem. Uderzyliśmy o podłogę dość mocno. Powinienem zapytać ją, czy nic jej się nie stało, ale już miałem ręce na jej pupie i sutek w ustach. Jęknęła, co mogło oznaczać, że ją zabolalo, ale wtedy poczułem jej dłonie w spodniach i wiedziałem, że jest dobrze.

— Połóż się na plecach — poleciała mi.

— Hm?

— Przewróć się.

Zrobiłem tak, a ona usiadła mi okrakiem na piersi.

— Chcę cię o coś zapytać i chcę, żebyś był ze mną szczery. Nieważne, co powiesz. Nie ma ani dobrej, ani złej odpowiedzi.

Jezu Chryste, pomyślałem sobie. Mówiła pełnymi zdaniami.

— Dobra — wydyszałem.

— Byłam twoją pierwszą?

— Hm?

— Byłam twoją pierwszą?

— Pierwszą co?

— Kobieta?

— Hm?

Zsunęła się trochę niżej i pochyliła się, aż jej piersi znalazły się na mojej twarzy. Wsunęła mi język do ucha i szepnęła: — Czy byłam pierwszą kobietą, z którą uprawiałeś seks?

Zupełnie nie potrafiłem przeanalizować, co powinienem jej odpowiedzieć. Padło więc pytanie i zaraz moja odpowiedź.

Znowu usiadła mi na piersi. W ciemnościach nie widziałem jej twarzy. Ona dalej mówiła, a ja przesuwalem dłonie po jej ciele.

— Nie byłam pewna. Myślałam, że tak, ale masz w końcu dziewiętnaście lat. Nie zastanawiałam się nad tym, dopóki do tego nie doszło. Przepraszam, że twój pierwszy raz był w błocie. Mam nadzieję jednak, że zapadł ci w pamięć. Co?

— Zapadł — odpowiedziałem.

Poczułem, że zeszała ze mnie. Pocałowała mnie w usta i znowu w szyję, w pierś i brzuch. Za każdym razem, kiedy całowała mnie w brzuch, czułem jej oddech przy kutasie. Wbiłem palce w gnijące deski podłogi i modliłem się do Boga, aby to się stało. Nie obchodziło mnie, że modłę

się o coś zbroczono, że łamię przykazania, Bóg pewno wkurwia się na mnie, bo nigdy nie MUFIE PACIESZA ZA DUSZE mamy i taty, ani żadne inne DUSZE. Modliłem się bardziej, niż żeby zaliczyć Brandy Crowe. Modliłem się bardziej niż kiedyś co noc, aby tata mnie pokochał...

Przestała mnie całować.

— Harley — usłyszałem jej głos dochodzący z ciemności. — Zrobiła ci jakąś loda?

Przez to pytanie prawie się spuściłem. Próbowałem myśleć o czymś obrzydliwym, żeby wytrzymać. O tłustym tyłku Ricka, jak przewala się z boku na bok w drzwiach Shop Rite. Jak Mike Junior biegnie, żeby przyłożyć piłkę. O udach Betty w miniówce.

— Nie — odpowiedziałem.

— Mam ci zrobić? Chcesz?

— Pewnie.

Wzięła go w usta i w tej chwili uwierzyłem w Boga, bo już zaczynałem wątpić w Jego istnienie, od kiedy mama zabiła tatę, nie przez to, jaki to miało wpływ na mnie, ale wpływ na dziewczyny. Nie mogłem uwierzyć, że On raniłby niewinnych. Wiedziałem, że Bóg nie był miłosierny ani dalekowzroczny. Ale nigdy nie miał być tyranem. Postanowiłem, że w ogóle nie będę w Niego wierzył, jeżeli mam wierzyć w to. Ale teraz wiedziałem, że On gdzieś tam jest i że jest dobry. Dał mi ją, a ona była odpowiedzią. Gdyby każdy mężczyzna ją miał, nie byłoby wojen, przestępstw, żadnych sportów kontaktowych.

Ciągle trzymała go w ustach, kiedy zasnąłem.

Kiedy się obudziłem, nie było jej. Powinienem się tego spodziewać. Tym razem zostawiła mi list, dwa piwa i kanapkę. Napisała, że spałem tak mocno, że nie chciała mnie budzić, ale musiała wracać do domu, a miała daleko. Spotka się tu ze mną w następną środę.

Od leżenia na drewnianej podłodze bolały mnie wszystkie kości, dłonie mi płonęły od wbijania ich w szorstką podłogę. Nagle wszystko zaczęło mnie denerwować. Noc była za zimna. Noc była za ciemna. Czekało mnie prawie pięć kilometrów marszu, większość z tego przez las. Ale ona najbardziej mnie denerwowała. Chciałem, żeby znowu mi obciągnęła. Chciałem, żeby upiekła ciastka na ognisku. Chciałem Rolling Rocka, a ona przyniosła Millera w puszcze.

Założyłem ubranie i wyszedłem z piwem i kanapką na dwór. Została mi też latarkę. Siedziałem pośrodku zardzewiałego toru i gapiałem

się w punkt, gdzie znikał w oddali; zastanawiałem się, gdzie tak naprawdę się kończył. Nie w Kalifornii. Na pewno gdzieś na jakimś złomowisku. W lesie za mną rozległ się jakiś trzask. Gwałtownie obróciłem głowę.

— Callie? — zawołałem cicho.

Włączyłem latarkę i omiotłem światłem drzewa; miałem nadzieję, że w snopie ujrzę sarnę o aksamitnych oczach. Nic. Zgasilem latarkę. Wtedy usłyszałem szelest. Za głośny jak na skunksa. Zbyt toporny na sarnę. Zbyt pospieszny na szopa. Zbyt zdecydowany na psa.

Wtedy jedno z drzew zatrzęsło się, rozległ się syk i ludzki krzyk. Mowowałem się z latarką, ale zanim ją znowu włączyłem, upiorna postać uciekła spośród gałęzi i wzbila się w powietrze. Jeszcze raz wydała z siebie okrzyk i przelatując obok, skierowała w dół blade oblicze w kształcie serca. Płomykówka, pomyślałem z ulgą. Sowa, która nie pohukuje.

Wróciłem do jedzenia, na chwilę zapominając, że tam jeszcze coś jest. Bo to nie była sowa. To, co zaskoczyło mnie na początku, było tragicznie ziemskim stworzeniem.

13.

Betty była bardzo przyjaźnie nastawiona, kiedy przyjechałem do niej, prawdopodobnie dlatego, że na ostatnim spotkaniu poniosło mnie i nie spodziewała się zobaczyć mnie przez pewien czas. Przysiadłem na brzegu kanapy, wyglądałem przez okno i przez pierwsze pół godziny jedynie pomrukiwałem i wzruszałem ramionami na jej pytania.

Parking był pełen ludzi, którzy przyjechali do wydziału ruchu drogowego. Spory ruch panował też w ośrodku terapii zachowań. Większość odwiedzających to kobiety. Zdaje się, że sezonowy szczyt. Wszystkie przechodziły traumę na myśl o założeniu strojów kąpielowych. I bardzo dobrze. Bo to krowy. Oprócz jednej. Ta była zgrabna. Miała na sobie białe szorty i czarny T-shirt. Miała ładne nogi i lśniące, złote włosy jak Jody. Już zdążyła się opalić.

Patrzyłem, jak wychodzi z budynku i idzie do samochodu. Nowiutki, ciemnozielone camaro. Ciekawe, jaki ma problem. Lęk wysokości? Strach przed złamaniem paznokcia? Lęk przed Wal-Mart? A może miała dość postaci z ulubionego serialu...

Nie znałem jej, ale znienawidziłem. Nieważne, że była z niej laska. Pragnąłem tylko Callie.

Jednak nie potrafiłem stwierdzić, czy Kocham Callie. Myślałem o niej cały czas. Przeważnie o jebaniu z nią, ale czasami o tym, jak się przy niej czuję, kiedy rozmawia ze mną albo patrzy na mnie; nie jak na kogoś wyjątkowego, szczególnego lub potrzebnego; raczej akceptowanego. Ona, podobnie jak wszystko inne, nie pasowała do mnie, ale i tak ją lubiłem.

Patrzyłem, jak kobieta zatrzymała się przy samochodzie i poszukała kluczyków w torebce. Miała ładny tyłek, ale nie miał porównania z Callie. Jej to prawdziwy ołtarz.

— Harley, słyszałeś, co powiedziałam?

Ostatnio zacząłem myśleć o małżeństwie z nią. Jakby wyglądało takie życie? Seks codziennie. Obciąganie druta w porze lunchu. Ktoś, kto by gotował, sprzątał i dbał o mnie. Nieważne, czyją Kochałem. Z tego, co widziałem w małżeństwie, tylko kobieta musiała Kochać mężczyznę, a mężczyzna musiał Kochać tylko to, co kobieta dla niego robiła.

— Harley?

Nie wytrzymam do środy. Może nie będę musiał. Nie musiałem się z nią zenić, żeby odwiedzić ją w przerwie na lunch. Może nawet jutro.

— Harley, jesteś tam?

Mogłaby mi obciągnąć w samochodzie.

Przed twarzą strzeliły mi palce. Zamachnąłem się na nie, zanim dotarło do mnie, czyja to dłoń. Betty cofnęła rękę.

— Przepraszam — powiedziała. — Nie chciałam cię przestraszyć.

— Nie przestraszyłem się.

Cofnęła się w fotelu, zdjęła jedną nogę z drugiej, założyła odwrotnie, a potem poprawiła spódnicę. Dzisiaj miała krótką. Takie moje szczęście. Jasnozieloną, w białe kwiatki. Całą z zakładkami jak żaluzja w oknie.

— Spodobała ci się ta kobieta? — zapytała mnie.

— Która kobieta?

— Ta, której się przyglądałeś tak uważnie.

— Nie przyglądałem się jej.

Żyły na nogach Betty wyglądały według mnie jak jakieś bazgrały. Mogą się przydać w pracy psychiatry. Pacjenci mogliby je interpretować zamiast plam z atramentu.

— Dobrze, nie przyglądałeś się jej — zgodziła się, aby mnie uspokoić. — Ale zauważyłeś ją. Czy podobała ci się?

Ściągnąłem daszek czapki na oczy. — Nie.

— Dlaczego nie?

— Po prostu nie.

— Myślałam, że jest ładna.

— To pewnie żal ci, że pojechała.

Na prawym udzie miała wielką, fioletową żyłę, której nie zakrywała spódnica. Przyglądałem się jej. Widziałem w niej spaghetti. Widziałem dwie dżdżownice. Widziałem noworodka duszącego się pępowiną.

— No, Harley — zachęcała mnie. — Traktuj mnie jak człowieka, nie terapeutę. Jesteśmy tu we dwoje i rozmawiamy. Pomyślałam, że jest ładna. Ty nie. Dlaczego?

— Była opalona.

— Nie lubisz opalenizny?

— Jest dopiero ostatni tydzień maja. Taka opalenizna oznacza, że właśnie wróciła z wakacji albo chodzi do solarium.

— Zakładałam, że nie pochwalasz ani jednego, ani drugiego.

— To znaczy, że jest bogata albo zakochana w sobie.

— Rozumiem. A nie sądzisz, że zbyt uogólniasz?

— No tak, uogólniam.

Zobaczyłem na mapie samochodowej, jak zbiegają się rzeki: Monongahela, Sasquehanna i Allegheny.

— Myślisz, że to sprawiedliwe wobec niej?

Wzruszyłem tylko ramionami.

— Czy byłoby to sprawiedliwe wobec ciebie, gdyby ktoś popatrzył, jak jesteś ubrany i założył, że burak z ciebie?

Prawie zaśmiałem się, kiedy powiedziała „burak”. Wypowiedziała to, jakby to były dwa słowa, jakby mogła „bu” zastąpić „du” albo „gu”, i nadal to znaczyłoby dla niej to samo.

— Czy to by ciebie zmartwiło?

— Nie.

— Ale czy to jest sprawiedliwe podsumowanie twojego charakteru? Czy z ciebie jest BU RAK?

— To nie ma znaczenia — odpowiedziałem. — Ludzie muszą osądzać innych po tym, jak wyglądają. Nie mamy wyboru. Nie możemy wywahać osobowości, tak jak psy.

Uśmiechnęła się do mnie. Spuściłem wzrok z jej twarzy i na powrót wbiłem w jej nogę. Zobaczyłem wnetrzności świstaka.

— Zgadza się. Ale my możemy z sobą porozmawiać — stwierdziła.
— Czy to nie byłby lepszy sposób czyjejs oceny?

Z powrotem odwróciłem się do okna, marszcząc brwi. Usłyszałem, jak gumka na końcu ołówka zaczęła uderzać o notes. Żałowałem, że nie mam odwagi wyrwać go jej i wbić w oko.

— Co jest dla ciebie fizycznie atrakcyjne w kobiecie?
— A co to za pytanie?
— Po prostu pytanie.
— Ciało — odpowiedziałem.
— A w ciele?
— Że to jest kobiece ciało.
— Nie, chodzi mi konkretnie.
— Całe ciało.
— Więc podoba ci się ciało każdej kobiety. Nieważne, czy ma nadwagę, jest w podeszłym wieku albo...

— Nie, nie — przerwałem jej, potrząsając głową nad wizją wszystkich klientów w Shop Rite robiących zakupy nago. — To znaczy, jeżeli jest zgrabna, nie interesuje mnie bardziej jakaś część.

— A gdybyś musiał wybrać jedną część? To którą?

Przeniosłem na nią wzrok. Wychyliła się do przodu, czekając na moją odpowiedź. Pomyślałem, że może na mnie leci, ale przypomniałem sobie jeden artykuł z babskiego czasopisma, który przeczytałem w poczekalni w więzieniu u mamy, o tym, że mężczyźni zdradzają dużo o sobie, przyznając się, jaka część ciała najbardziej im się podoba.

W artykule użyto ładniejszych słów, ale zasadniczo uważa się, że mężczyźni, którzy mają obsesję na punkcie dupy — nawet kobiecej — są niejawnie pedałami. Mężczyźni z obsesją na tle piersi pożądamy swojej matki. Mężczyźni z obsesją na tle kobiecych nóg sami pragną być kobietami. Żaden mężczyzna nie ma obsesji na tle piczki, bo tak naprawdę boją się jej.

Betty chyba czytała ten sam artykuł. Prawdopodobnie był to rozdział w jednej z książek w jej prawdziwym gabinecie.

— Usta — powiedziałem.
— Usta — powtórzyła, zaskoczona.
— Możemy skończyć z tymi bzdetami? — wypaliłem. — Nie chcę rozmawiać o głupotach.

— Dobrze, Harley. To o czym chcesz rozmawiać?
— Wiedziałem, że to powiesz.
— To twój czas, nie mój.
— To czas stanu Pensylwania — odpowiedziałem zdenerwowany. — Władze nie dają wskazówek, o czym mamy rozmawiać?

Oparła się w fotelu i przyglądała się mi. — W pewnym sensie tak. Ale założę się, że o tym też nie chcesz rozmawiać.

Głowę miałem całą spoconą. Zdjąłem czapkę i położyłem na stole obok pudełka z chusteczkami. Wtedy po raz pierwszy wyjąłem ręce z kieszeni kurtki.

— Co się stało z twoimi dłońmi? — Betty aż zabrakło tchu. — Wyglądają, jakbyś je pokaleczył szklą.

Spojrzałem na ręce. Zadrapania Misty już znikły, ale od wewnątrz dłonie miałem poharatane.

— Drzazgi mi weszły — wyjaśniłem. — Chyba źle je wyciągałem.

— Drzazgi? A co robiłeś?

Zastanowiłem się. — Wyrываłem deski z podłogi — odpowiedziałem.

— A posmarowałeś czymś, żeby nie dostać zakażenia?

— Spoko — odparłem.

Nie mogła od nich oderwać wzroku, więc wsadziłem je na powrót do kieszeni. Wtedy ona ciągle zerkała na kieszenie. Denerwowała mnie. Byłem gotów podejść do biurka wyszukać w nim zestaw do udzielania pierwszej pomocy. Czy byłby to taki tani, plastikowy, jaki mama trzymała w apteczce? Czy raczej torba lekarska z brązowej skóry dopasowana do jej notesu?

— Dobrze, jest coś, o czym chcę porozmawiać — powiedziałem, żeby odwrócić jej uwagę od moich rąk.

Obrzuciła mnie zaskoczonym spojrzeniem pełnym zadowolenia, jakby na roślinie, która obumierała, znalazła pąk. — Mów.

— Jak dziecko może lubić kogoś, kto je bije? No wiesz. Jak może lubić z tym kimś przebywać?

— Lubieś przebywać z twoim tatą? — zapytała.

— Nigdy z nim się nie trzymałem. On MNIE nie lubił.

Wielkie stado MNIE eksplodowało mi przed oczyma. Litery wznosiły się z nóg Betty i z trzepotem latały po pokoju jak motyle. Próbowałem je śledzić, jak skakały mi po głowie i migały przed oczyma, ale było ich za dużo.

— Nie chodzi o MNIE — mówiłem dalej, patrząc, jak śmigają wszędzie dookoła. — Chcę tylko wiedzieć, niech to będzie uogólnienie, jak to się dzieje.

— Hm — zaczęła, stuknąwszy dwa razy ołówkiem w czoło — każde dziecko inaczej reaguje na znęcanie się. Niektóre zamykają się w sobie. Inne stają się otwarcie wrogie. Inne mają skłonności do samozniszczenia. Ale niektóre przyjmują tę krzywdę. Karmią się nią. To dostają od znęcających się nad nimi rodziców zamiast miłości i zaczynają tego potrzebować.

— Więc z tego wynika, że dziecko może faktycznie chcieć być bite?

— W pewnym sensie.

— Czy może też zacząć myśleć, że to jest w porządku? Moralnie w porządku?

— A myślisz, że było w porządku, kiedy tata cię bił?

Zrobiłem wydech, cały roztrzęsiony. Nie chciałem tego stracić. Nie chciałem, żeby Betty pobiegła dla mnie po wodę. Nie chciałem kolejnego PRZEŁOMU. Chciałem, żeby było już jutro i pora lunchu.

— To nie było w porządku — odpowiedziałem tępo — ale chyba normalne.

Wiedziałem, że Betty chce, żebym dalej to wyjaśniał, więc szybko przeszedłem do następnego pytania. Trudno było je zadać. Musiałem się skupić na czymś innym i pozwolić, aby te słowa padły samoczynnie i żebym nie musiał ich rozumieć.

— A co z dziećmi wykorzystywanymi seksualnie?

Patrzyłem, jak jedno po drugim MNIE łądują na parapecie, wszystkie zbite razem, tworząc kolorowy pęk niczym indiański pióropusz.

— Czy według nich to może być w porządku?

— W porządku, ale nienormalne? — zapytała Betty.

— Nie. — Potrząsnąłem głową zdenerwowany. — Czy mogą myśleć, że to normalne? Że to słuszne?

— Mówisz o Misty?

Jej pytanie trafiło mnie jak cios z zaskoczenia. Staralem się odzyskać głos i zapanować nad nim. — Co wiesz o Misty?

— Niewiele, bo zajmowałam się nią tak krótko — odpowiedziała, marszcząc czoło.

Kwestia tego, że Misty i Jody przerwały terapię, była czułym punktem w rozmowach z Betty. Nie mogłem zwalniać się z pracy, żeby je

przywozić na spotkanie, a poza tym obie tego nienawidziły. Misty znikła w lesie, a Jody musiałem nieść do samochodu wierzgającą i rozwrzeszczaną. Tylko Amber chciała jeździć na terapię. Nawet umawiała się z koleżankami, aby ją podwoziły i odbierały.

Betty mówiła dalej: — Ale w ciągu tych paru spotkań odniosłam wrażenie, że według Misty wasz ojciec miał prawo znęcać się nad wami wszystkimi. Jej zdaniem to było słuszne, jeżeli tak chcesz to nazwać.

Milczałem, a Betty stukała ołówkiem w notes.

— Harley, kto u was był wykorzystywany seksualnie? — zapytała obojętnie, jak urzędnik wypisujący formularz.

— Nikt — odpowiedziałem, zaskoczony.

— A co z Amber?

— Amber?

Gardło miałem ściśnięte tak jak wtedy, kiedy widziałem, jak tata przysłuchuje się mamie, kiedy opowiadała o swoim dniu.

— Oni nigdy nie byli sami — zaprotestowałem. — Kiedy była w domu, zawsze ktoś jeszcze musiał być z nią w pokoju. Panicznie bała się taty. Nienawidziła go.

— A w nocy?

— Amber go nienawidziła — powtórzyłem, ignorując jej pytanie.

— Tak?

— Tak — odpowiedziałem, zaskoczony tym, że Betty jeszcze o to pyta.

— Skąd wiesz? Rozmawiałeś kiedyś z nią o tym?

— Nie muszę z nią rozmawiać. Zawsze byłem w pobliżu, kiedy ją bił. Widziałem to.

— I co czułeś do ojca, kiedy bił Amber?

Łzy naszły mi do oczu. Nie miałem pojęcia, skąd się biorą. — Żal mi go było.

Betty przesunęła się na skraj fotela. — Żal ci było ojca, nie Amber? Skinąłem głową.

— A co czułeś do Amber?

— O co ci chodzi?

— Wściekałeś się na nią? Uważałeś, że zasługuje na to? Chciałeś jej pomóc?

— Chciałem, żeby było jej lepiej.

— A jak myślisz, jak się czuła, kiedy widziała, że ojciec ciebie bije?

— Nie wiem.

Jej pytania niczym kamienie trafiały mnie w głowę. Zasłoniłem twarz poharatanymi dłońmi. Słone łzy szczypały w nacięciach, które zrobiłem sobie scyzorykiem.

— Chyba jej się nie podobało — wykrzyczałem w dłonie.

— Myślisz, że chciała, aby tobie też było lepiej?

Sześć sekund. Naukowiec w telewizji powiedział, że niebo rozświetli się światłem tysiąca słońc i zanim odwrócimy się, by na nie spojrzeć, uderzy z siłą dziesięciu tysięcy bomb takich jak w Hiroszynie.

Widziałem, jak zbliża się, pędzi na mnie. Głowę wypełniało mi ostre białe światło, w którym ginął obraz tego, co za nim. Nie miałem szansy tego rozpoznać. Stwierdzić, czy to wspomnienie, czy sen. Amber. Jej miękki ciężar na mnie. Jej uległość. Zapach arburowego błyszczaka.

Uderzyło mnie, zanim ułożyłem sobie to wszystko. Skuliłem się na podłodze, drżąc i szlochając, ale przeżyłem i jako ocalały po dniu sądowym uznałem, że mam szczęście. Nikt mnie nie przekona, że lepiej byłoby, gdybym zginął na miejscu.

Betty klęczała przede mną. Przez łzy nie rozpoznawałem jej twarzy, ale widziałem jej młode oczy. Widziałem w nich jej całe młode życie. Cieszyła się, że jest teraz stara. Ulżyło jej.

Poczułem jej ręce na ramieniu.

— Harley, wszystko już dobrze.

Czy tata miał sześć sekund? Nie wiedział, że to nadciąga. Mama zakradła się od tyłu i dała mu to. Nie miała wyboru. Karabin był duży. Nie mogła go wyciągnąć i zaskoczyć go. Nie mogła stanąć naprzeciw niego. Gdyby tego spróbowała, stałaby ze strzelbą w roztrzęsionych dłoniach, a on podszedłby do niej i zabrał jej, jak kolejny rachunek, którego nie mogli zapłacić.

— Wszystko już dobrze — powtórzyła.

Wstałem z podłogi i niezdarnie kręciłem się po pokoju, szukając czapki i MNIE.

— Harley, uspokój się, proszę. Nie uciekaj znowu. Chwyciłem czapkę ze stołu. Nie mogłem znaleźć ani jednego MNIE.

— Muszę o tym z tobą porozmawiać.

— Ja nie muszę — krzyknąłem.

— Poczujesz się lepiej.

— Nie chcę czuć się lepiej.

Rzuciłem się do drzwi.

— Proszę, Harley, nie odchodź — zawołała za mną.

Lecz mnie już nie było, a tym razem jeszcze wiedziałem, że lepiej się nie oglądać.

U Yee było trzech klientów; takiego tłoku jeszcze nie widziałem. Jack Yee nie wyglądał na zadowolonego, widząc mnie, jak miał to w zwyczaju. Klienci też najwyraźniej nie byli zadowoleni. Żona Jacka uniosła wzrok znad gazety, potem znowu schowała w niej twarz, nawet nie pomachawszy do mnie.

Zamówiłem bułkę z jajkiem dla Misty, a dla siebie kurczaka generała Tso. Miałem oszczędzać pieniądze — nadal potrzebowałem stu dolarów na dopłatę do podatków — ale nie potrafiłem pozbyć się złowieszczonego uczucia, jakie naszło mnie w gabinecie Betty. Każdy posiłek mógł być moim ostatnim, a ja nie chciałem, żeby to były hot dogi i mac z serem.

Jack Yee poszedł do kuchni i sam zapakował zamówienie. Musiałem go jeszcze poprosić o ciastko z wróżbą i parasolkę dla Jody. Wychodząc, przyjrzałem się swojemu odbiciu w szklanych drzwiach, żeby sprawdzić, dlaczego wszyscy gapią się na mnie. Przydałby mi się pryznic i golenie, no i powinienem się porządnie wyspać w nocy, ale poza tym nadal byłem sobą.

Wróciłem do pickupa i natychmiast dobrałem się do pudełka z kurczakiem. Yee dał mi sześć plastikowych widelców, trzy komplety pałeczek i jakieś dwadzieścia paczek sosu sojowego i słodko-kwaśnego. W przetłuszczonej torbie niemal wyczuwałem jego nerwowość.

Kurczak był dobry, ale nie wspaniały. Callie na pewno gotowała lepiej. Gdybym się z nią ożenił, cały czas by dla mnie gotowała.

Skończyłem jeść i zgmiotłem pudełko. Rzuciłem je na podłogę. Odbiło się od albumu z Chicago Art Institute i wylądowało obok ślubnego zdjęcia mamy i taty. Nigdy nie myślałem o tym w tych kategoriach, ale było dość żalotne, jak na najlepsze zdjęcie z ich ślubu. Mamie było niedobrze, bo była w ciąży ze mną; tata ślaniał się pijany, bo mama była w ciąży. Zawsze zakładałem, że tata uśmiecha się do jakiegoś kumpla. Teraz zastanawiałem się, czy to nie był wujek Mike, który już wiedział, że nic w tym dobrego. A może zerkał na dziadka? I mówił: „Patrz na mnie, ty wredny, stary sukinsynu. Mam pracę i żonę, a ty mi zawsze powtarzałeś, że niczego nie znajdę”. Zamierzałem trzymać to zdjęcie zagrzebane w śmiechach do końca życia. To był, kurwa, prawdziwy symbol i nie można było traktować go byle jak.

Jechałem powoli. Nie spieszyłem się teraz, kiedy miałem pełen żołądek i zupełny brak ochoty na widok dziewczyn w domu. Rano nie widziałem żadnej. Z kopalni wróciłem dopiero o piątej. Elvis szalał w sfoferce pickupa, gdzie go zamknąłem, żeby ich nie zbudził szczekaniem, kiedy wychodziłem i wracałem. Wypuściłem go i porządnie wydrapałem, a potem zabrałem do domu. Zjedliśmy wspólnie glutowate mięso, które Amber zostawiła od wczoraj na kuchni.

Nawet nie próbowałem odespać godziny czy dwóch. Wybrałem się na przejażdżkę i liczyłem Matki Boskie. Najlepiej wyglądały o świcie, kiedy to wpatrywały się w mokrą od rosy trawę u swych stóp. Zawsze w otoczeniu badziejstwa: sarny z ceramiki o wyszczerbionych nosach, poidełka dla ptaków, dżokeje, lustrzane kule, kaczki z wirującymi skrzydłami, drewniane sylwetki pochylających się kobiet, ukazujących bieliznę; ale zawsze wydawało się, że stoją same.

Naliczyłem siedem. Jedyna staromodna, plastikowa należała do Shanków. W drodze do domu od Yee zwoiniłem teraz przed ich domem, tak jak rano, i podziwiałem jej błękitne szaty i usta różowe jak płatki. Była jedyną Matką Boską, która miała odwagę patrzeć na Boga i była z Nim szczęśliwa. Jej uśmiech dał mi nadzieję.

Kiedy podjeżdżałem Strzelnicą, poczułem się jeszcze lepiej. Drzewa tworzyły z liści cichy tunel. Smugi światła przedzierały się przez korony, tworząc w powietrzu paski i pokrywając koleiny w drodze białymi cętkami roztańczonego światła. Zajście z Betty odeszło już gdzieś w zakamarki pamięci. Podobnie jak wszystko inne. Pełen brzuch, podskakujący samochód i spokój zieleni nieomal uspiły mnie.

Powoli wjechałem na szczyt, mając nadzieję, że zobaczę sarnę uciekającą susami albo migot bażanciego ogona. Zamiast tego ujrzałem pickupa zaparkowanego na naszym podjeździe. Nie należał do wujka Mike'a. A do nas poza nim przyjeżdżali jedynie przedstawiciele agencji rządowych albo ci, co chcieli dobrać się do tyłka Amber.

Na masce siedział chłopak o włosach w dwóch kolorach, z konopną bransoletką, obrozą z paciorków, popijał z puszki Red Doga i palił papierosa. Spojrzał w moją stronę, ale ani nie skinął głową, ani nie uśmiechnął się, ani nie skwitował choćby machnięciem ręką. Uznałem to za niegrzeczne.

Na ganku nie zauważyłem Jody ani Misty. Kiedy wysiadłem z wozu, Jody przybiegła przez podwórko cała zapłakana i rzuciła mi się do nóg. Misty nie przybiegła za nią, ale stała z daleka i nasze spojrzenia się

spotkały, a był to jedyny i najbliższy kontakt, jaki mieliśmy od dnia, kiedy zabrałem pieniądze.

— Co się dzieje? — zapytałem, kładąc dłonie na ramionach Jody, ale wpatrywałem się w chłopaka na masce.

— Amber się wyprowadza — wyłakała Jody.

— A ty, kurwa, kto jesteś? — krzyknąłem do tamtego.

Chłopak powoli odsunął puszkę od ust; miał zmęczone oczy i sztuczny uśmiech kogoś, kto spędzał sporo czasu w mrocznych, zadymionych pomieszczeniach, gdzie zastanawiał się nad sobą.

— A ty, kurwa, to kto? — odkrzyknął.

Chciałem ruszyć w jego stronę, ale Jody przyłgnęła do mnie tak mocno, że nie mogłem.

— Nie pozwól odejść Amber — płakała. — Proszę, Harley. Nie pozwól jej.

— Nie martw się, ona nigdzie nie pójdzie.

Odkleiłem Jody od nóg i podszedłem do chłopaka. — Pytałem, kto jesteś.

Tamten skończył piwo i rzucił puszkę na moje podwórko. — Kolega Amber — odpowiedział, wkładając na powrót papierosa między zęby. — Ty pewno jesteś jej brat, ten od pakowania zakupów.

Czekałem, aż ręka eksploduje mi przy boku, jak ostatnio miała w zwyczaju, ale nic się nie wydarzyło. Spoglądałem na nią tępo.

— Nie zrób mu nic, Harley — powiedziała Jody, stając przy mnie.

— A co ma mi zrobić? — Chłopak zaśmiał się.

— Tylko każ mu odejść.

— Nie, zrób mu coś — Misty krzyknęła z ganku.

Trzasnęły drzwi i wyszła Amber. Ciągnęła walizkę i niosła poduszkę. Zatrzymała się na mój widok. Cała krew odpłynęła jej z twarzy, a oczy jej pociemniały od jakiejś niewypowiedzianej złości kipiącej w jej wnętrzu.

— No, chodź — chłopak zawołał do Amber. — Jestem głodny. Jedziemy.

Podszedłem do niej bez zastanowienia. — Co ty robisz?

— Odchodzę.

— Co powiedziałaś?

— Słyszałeś.

Pulsującą dłonią chwyciłem Amber za ramię. Wyrwała się.

— Nie dotykaj mnie — wycedziła z wściekłością.

— Amber, co się dzieje?
— Dłużej nie będę z tobą mieszkać — odwróciła się i zasyczała do mnie: — Jesteś obrzydliwy.
Jody podeszła i wcisnęła się między nas. Przytuliła się do Amber, obejmując ją w talii. — Nie odchodź — zaskomlała.
— Przepraszam, Jody, nie chcę, ale muszę. To wszystko wina Harleya. Wściekaj się na niego.
— A co ja zrobiłem? — krzyknąłem.
Amber wzięła swoje rzeczy i pobiegła w stronę samochodu chłopaka. On nawet się nie ruszył, żeby jej pomóc. A powinien zanieść bagaż. Powinien ją pocieszać. Powinien jej otworzyć drzwi. Wydmuchiwał dym i patrzył, jak jej cycki podskakują.
— Wiesz, co zrobiłeś — odwróciła się i krzyknęła na mnie.
— Harley... — Jody pociągnęła mnie za ramię. — Przestrzel mu opony — błagała.
— W porządku, Jody.
— Nie jest w porządku.
Amber wrzuciła walizkę na tył i wsiadła do kabiny z poduszką. Zatrzasnęła drzwi i pochyliła głowę zapłakana. Jej kolega zupełnie się nie spieszył, schodząc z maski.
— Zatrzymaj ją — błagała Jody.
— Wróci.
— Nie wróci.
Przytuliłem Jody. Płakała tak mocno, że aż się trzęsła.
— Ten chłopak chce od niej tylko jednego, a jak dostanie, to wyrzuci ją gdzieś na parkingu.
— On chce jej poduszkę?
Spojrzałem na nią z góry; w jej oczach zobaczyłem tylko miłość i ufność. Nigdy nie będę miał dzieci. Za bardzo je szanowałem.
— Tak — potwierdziłem.
— I pojedziesz po nią na ten parking?
— Tak, pojedę po nią.
— To dobrze. — Pociągnęła nosem. — Na pewno?
— Tak.
Klapnęła na górnym stopniu ganku. — To wszystko wina Misty — wybąkała.
Misty stała w odległym krańcu ganku. Najwyraźniej nie usłyszała Jody. Powiedziałem jej, że bułka dla niej jest w samochodzie. Nie widać

było po niej, że mnie słyszy, ale wtedy podeszła do barierki, przeskoczyła przez nią i ruszyła podwórkiem.

Nie chciałem pytać Jody, co miała na myśli. Przeżyłem jeden koniec świata. I nie miałem ochoty na następny. Ale popełniłem błąd, że sprawdziłem Misty. Trzymała torebkę z Yee, ale widziałem jedynie tandetny błysk sztucznych, różowych kryształów na nadgarstku. Uderzyło mnie, że nie pamiętałem jej bez tej obroży od dnia, kiedy ją założyła.

Wróciła. Podała Jody ciastko z wróżbą i różową parasolką z papieru, a resztę zabrała do domu. Jody przełamała ciastko.

— „Otrzymasz dobrą wiadomość pocztą” — przeczytała i zmarszczyła nos. — To głupie. Konfucjusz tego nie powiedział. Jak żył, to nawet nie mieli poczty. Tylko ze sobą gadali...

— Chyba masz rację — powiedziałem, siadając obok niej. — Pewnie Konfucjusz nie napisał tych wszystkich wróżb. Tylko te lepsze.

Mimo to Jody zatrzymała ją. Złożyła karteczkę i starannie wsunęła do kieszeni džinsów z indiańskimi frędzelkami.

Nadal nie chciałem pytać ją o Misty, ale w głowie zobaczyłem obrożę, smutną i brzydką, taką konieczną jak brzydka peruka. Teraz ona była moją odpowiedzialnością.

— Dlaczego powiedziałaś, że to wszystko wina Misty?

W jej oczach pojawiła się zaduma; przyglądała się odciskom topornych sandałów Amber zastygających w błocie.

— Jak Amber wróciła dzisiaj ze szkoły, to Misty powiedziała jej coś i wtedy ona się wściekła. I to porządnie.

— Co jej powiedziała?

— Nie wiem. Poszły do jej pokoju i zamknęły drzwi. Ale chodziło o ciebie. Słyszałam dużo razy twoje imię.

Wstała nagle i podeszła tam, gdzie z ziemi strzelał tulipan niczym fioletowy pocisk. Uklękła i pochyliła nad nim głowę, jakby chciała go pocałować.

— Zapytałam Misty, ale ona powiedziała, że to tajemnica — mówiła do mnie, wracając po stopniach. Usiadła, wzdychając głęboko. — Misty dotrzymuje tajemnicy lepiej niż wszyscy. I powiedziała, że ja nie dotrzymam.

— Dotrzymałaś tajemnicy o pieniądzach mamy — przypomniałem jej.

— Bo Misty wtedy powiedziała, że jak wygadam, to mama i tata tak mocno się pokłócą jak nigdy i wezmą rozwód.

Zerknęła na mnie. Ludzie zawsze komentowali, że ma włosy jak Śpiąca Królowna, ale to oczy miała najbardziej uderzające. Były łagodne, szare jak puch i akceptowały wszystkich bez zastrzeżeń.

— Myślisz, że mogłam jednak powiedzieć? — zapytała mnie.

— To chyba nie zrobiłoby różnicy. — Oparłem się i wyciągnąłem przed siebie nogi. Założyłem jedną na drugą, starając się zachowywać od niechcenia. — Dochowałaś Misty też innych tajemnic?

— Może.

— Wiesz, jak Misty mówi ci, że nie możesz nikomu mówić, to nie myśli o mnie.

— Właśnie, że tak mówi.

— Mówi ci, żebyś nie zdradziła tego mnie?

— Mówi mi, żebym nikomu nie zdradziła. Ty też jesteś *nikomu*.

— A prosiła cię kiedyś, żebyś dochowała tajemnicy o dużej plamie krwi na bluzce?

— To znaczy wtedy, jak mama zastrzeliła tatę?

Jedna ręka podskoczyła. Przestraszyłem się, aż serce zaczęło mi szybciej bić.

— To wtedy poplamiała bluzkę krwią? — zapytałem niby przypadkiem.

— Tak, ale to nie była tajemnica. Mama wiedziała.

Wstałem. W uszach czułem, jak wali mi serce. Palce mi się trzęsły. Sześć sekund. TIK TAK.

— A jak poplamiała się krwią?

— Kiedy przytuliła tatę. Powiedziała mi, że nic mu nie będzie, ale ja go zobaczyłam i wiedziałam, że mu będzie.

— Misty wcale nie przytuliła taty — powiedziałem ostrożnie. — Zabrało go pogotowie, zanim policja zabrała mnie i ją z marketu.

— Wiem.

— Ona była wtedy w markecie. Widziałem ją na własne oczy.

— Wiem. Mama ją tam zawiozła.

— To na pewno. Bo jak inaczej?

Podszedłem do balustrady. Oparłem na niej okaleczone dłonie i ścisnąłem. Przeszył mnie ból, jakby wyrwano mnie ze snu. Nagle zrozumiałem to drugie pytanie, które musiałem zadać.

— A kiedy mama ją tam zawiozła? — zapytałem.

— Nie wiem. Jeszcze nie znam się na zegarze.

— Czy to było przed, czy po tym, jak mama pokłóciła się z tatą?

— Po.
— Po — powtórzyłem.
— Po — powiedziała jeszcze raz.
— Mówisz, że mama zawiozła Misty do marketu po tym, jak zastrzeliła tatę?

Skinęła głową.

CZTERY sekundy. TIK TAK. Na czole wyskoczyły mi krople potu i zaczęły spływać po twarzy.

— Chcesz powiedzieć, że mama zastrzeliła tatę i zostawiła go leżącego w kuchni, a potem wsadziła Misty do samochodu i zawiozła ją do marketu?

— Chyba tak.

— Jody, to nie ma sensu. Chyba ci się coś pomyliło. Miałaś tylko cztery lata, kiedy to się wydarzyło. Byłaś w szoku. Nie mówiłaś przez pół roku. Pamiętasz to? Pamiętasz, że z nikim nie rozmawiałaś?

— Pamiętam.

Chodziłem tam i z powrotem, moje buty dudniły tak samo nadaremnie jak buty taty, kiedy kontemplowałem dzień pełen cementu. Trzy sekundy. TIK TAK. Uklęknąłem przy niej na ganku.

— A co mama zrobiła, jak wróciła z marketu?

— Wzięła szpadel z szopy i poszła do lasu. Myślałam, że pochowa tatę.

— Ale zakopała bluzkę Misty?

Spojrzała na mnie podejrzliwie. — Po co miała to robić?

— Wzięła ze sobą tę bluzkę Misty? — dopytywałem się.

— Nie wiem. Nie było widać. Byłam w budzie.

— A widziałaś, jak wróciła?

— Tak.

— Co zrobiła?

— Odstawiła szpadel i weszła do domu. Dość szybko potem przyjechała policja. Jesteś na mnie zły?

— Dlaczego nie powiedziałaś policji, że Misty była w domu, jak mama zastrzeliła tatę.

— Nie pytali.

Dwie sekundy. TIK TAK. Po co mieli pytać? Jeden z policjantów trafił na nią przy soku pomarańczowym w markecie, a mama wtedy już się poddała.

— Co ci jest, Harley? Źle wyglądasz. Wyglądasz tak samo jak na odwiedzinach u mamy...

— Nic mi nie jest — powiedziałem, wciągając roztrzęsiony oddech i uśmiechając się dzielnie.

Jedna sekunda.

Nagle sięgnąłem po nią i przytulilem. Ona też wtuliła się we mnie. Zamknąłem oczy z ulgą, gdy zobaczyłem Donny'ego na płonącym latającym spodku, jak przechwytuje Misty w zakrwawionej bluzce w słoneczniki i rozsadzają na miliony kawałków.

14.

Amber wróciła dopiero w sobotę rano. Byłem na dworze i piłowałem sterczącą rurę po satelicie taty, kiedy przywiozła ją jedna z koleżanek. Wlokła się przez podwórze, oburącz ciągnąc walizkę. Starła się na mnie nie patrząc. Elvis potruczał do niej, machając ogonem, i porządnie ją obwąchał. Czuć ją było aż z tej odległości: seks i burger z jajkiem. Wyglądała na zmęczoną; zauważyłem małego siniaka na szyi tuż poniżej szczęki.

— A gdzie się podział uroczy książę? — zawołałem do niej.

— Spierdalaj — rzuciła, mijając mnie.

— Wynająłem twój pokój — dodałem. — Będziesz musiała spać w psiej budzie.

Puściła walizkę i potknęła się o nią, chcąc mnie zaatakować.

— To i tak tylko na razie — wrzasnęła, wstając i rozcierając kolano przez podarte dżinsy. — Ucieknę stąd, jak tylko się ustawię.

— Amber, co się do cholery z tobą dzieje?!

Wyprostowałem się i naciągnąłem obolałe dłonie. Specjalnie o nie nie dbałem. Były spuchnięte, a rany po drzazgach ropiały. Ciekawe, czy Callie je wyssie?

— Jak chcesz uciekać z domu, to cię nie zatrzymuję. Ale dlaczego teraz? Dlaczego jesteś taka wściekła na mnie?

— Nie chcę więcej z tobą mieszkać. To wszystko. Chcę mieszkać z Dylanem.

— Z Dylanem. — Splunąłem na to imię. — Jak do cholery masz mieszkać z DYLANEM? Jego rodzice nie zauważą kogoś dodatkowego w jego łóżku?

— Kończy szkołę w przyszłym tygodniu i razem z dwójką przyjaciół złożyli się na przyczepe.

— Och, wspaniale. Po prostu wspaniale. Ty z trzema facetami w przyczepie. Będziecie to robić na raz czy zmieniać się co noc?

— Nienawidzę cię.

Wróciła do walizki i podniosła ją, syknąwszy z bólu. Zrozumiałem, że ciężko jej, bo ją boli. Przypomniałem sobie, jak się czułem, jak raz tata mnie pobił. Budziłem się i miałem siniaki w miejscach, o których nie wiedziałem, że mnie bił.

— Co on ci zrobił? — zawołałem do Amber.

— Nic.

— Amber...

Zatrzymała się i odwróciła z pełnym wyczerpania westchnieniem. Nawet koliber wyzierający ze środka biodrówek był dzisiaj odrobinę mniej zielony.

— Dlaczego oddajesz się takim gnojkom? — zapytałem, ścisząc głós. — Nawet nie każesz im na to zapracować.

— Bo chcę mnie — odpowiedziała tępo.

— Pewnie, że cię chcę. To nie znaczy, że powinni cię dostać.

— I ty to mówisz.

— Co?

Weszła do domu, zbyt zmęczona, żeby trzasnąć drzwiami. W myślach pojawił mi się obraz jej nagiej pod prysznicem, z posiniaczoną skórą, jakby pomalował ją impresjonista czułymi pociągnięciami szarości i zielni, żółci i różu. Powinienem mieć ochotę zabić go, ale chciałem zabić ją. Chciałem złamać jej piękną szyję i skończyć to teraz jak kiepski program w telewizji przerwany w połowie.

Był chłodny dzień. Spocilem się mocno podczas piłowania, ale kiedy przerwałem pracę, trząsałem się. Maj był piękny, więc to prawdopodobnie oznaczało, że pierwsze dwa tygodnie czerwca będą chłodne i deszczowe. Niebo nad wzgórzami robiło się grafitowe.

Ukląknęłam z powrotem i wziąłem do ręki piłę. Elvis wrócił do obgryzania gałęzi, którą przyciągnął z lasu. Była dwa razy dłuższa od niego. Nie podniosłem głowy na odgłos otwieranych i zamykanych drzwi domu. Znowu wróciłem do dobrego, silnego rytmu. Kiedy już odpilowałem rurę, chciałem przykryć ją ziemią i zaznaczyć kamieniem niczym grób. W polu widzenia pojawiły się różowe trampki Jody. Opuściła puszkę Red Doga tak, żebym mógł ją zobaczyć.

— Skąd masz piwo? — zapytałem ją, przechwytyjąc puszkę.
— Amber ma pełno w walizce. Powiedziała, żebym tobie zaniosiła jedno. Miałaś rację — dodała, siadając na trawie po turecku. — On tylko chciał jej poduszkę.

Otworzyłem puszkę i pochłonałem połowę. — Ile tego przyniosła?

— Nie wiem. Może sto. Będziemy mieli dzisiaj pidżamowe party. Ja, Amber i Misty. Tak powiedziała Amber. Położymy śpiwory na podłodze, będziemy jeść popcorn, oglądać telewizję i opowiadać straszne historie, i malować paznokcie.

— A co na to Misty? — zastanawiałem się.

— Ciesz się, że Amber wróciła. Mówiła jej, że uciezka od ciebie niczego już nie zmieni.

— Co ona plecie? Czy ty powiedziałaś Misty, o czym rozmawialiśmy wtedy na ganku?

— A o czym rozmawialiśmy?

— Mówiłaś jej, że wiem od ciebie, że była w domu, jak mama i tata się pokłócili?

— Ona wie, że była w domu.

— Nie o to mi chodzi. Mówiłaś jej, że mi o tym powiedziałaś?

— Nie. A mam?

— Nie. Nie masz, nie chcę.

— Dlaczego?

— Po prostu nie.

— A jak mnie zapyta?

— W ogóle z nią nie rozmawiaj.

— Dlaczego?

Elvis przestał obgryzać gałąź i nastawił uszu. Z dołu dochodził warkot silnika. Wstałem; ciekawe, czy DYLAN miał odwagę przyjechać za nią. A może przyjechał po piwo.

— To Esme — Jody obwieściła radośnie. — Jedziemy do Lick n' Putt!

Pobiegła z krzykiem przez podwórko, machając rękami tak mocno, że aż cała podskakiwała. Nie wiedziałem, co mam zrobić. Poprzedniego dnia przed przerwą na lunch pojechałem do Callie do domu, ale jej nie było. Nie zjawiała się też w Shop Rite na wieczornych zakupach w piątek. Zacząłem podejrzewać, że unika mnie, ale nie mogło tak być, skoro zabierała Jody do Lick n' Putt. Też mógłbym pojechać. Dużo nie

moglibyśmy zdziałać na placu do minigolfa, ale trochę mogłaby się pochylać.

Grand cherokee jej męża wjechał na podjazd, a za kierownicą siedział jej mąż. Było źle. Miałem przerąbany dzień. Udało mi się dzisiaj wyrzucić z myśli Callie, bo wiedziałem, że nie zobaczę jej aż do poniedziałku — planowałem kolejną wizytę w porze lunchu — ale teraz znowu o niej myślałem. Teraz nie mogłem opędzić się od myśli, jak pochyla się, żeby pomóc Zackowi wycelować do dołka. Wyobrażałem też sobie, jak liże loda. Pewnie bym sobie jakoś z tym poradził. Mógłbym wrócić do tego, co robiłem, i piłować rurę ze świeżą wściekłością, ale facet zaparkował jeepa i otworzył drzwiczki.

Zołądek zamienił się w supeł, a ja dokończyłem piwo. Miałem nadzieję, że wie o nas. Dałbym sobie radę z walką na pięści, ale chyba nie wytrzymałbym z nim gadki o pogodzie. Zostałem na środku podwórka i czekałem, czy rozlegną się fanfary na jego powitanie, czy był zbudowany jak Schwarzenegger, czy raczej aniołki fruwały dookoła jak u Zeusa. Oto mężczyzna, który posiadał na własność Callie Mercer; mężczyzna, który co noc spał w tym samym łóżku z nią nagą; mężczyzna, który jadł jej kotlety schabowe. W pewnym sensie był moim idolem. Spodziewałem się, że będzie wyjątkowy i niesamowity.

Zarejestrowałem każdy szczegół: regularne rysy, krótkie, ciemne włosy, średnia budowa ciała. Nie był wysoki. Nie był niski. Nie był stary ani młody. Mógł być bankowcem ubranym w przeciętne rzeczy albo wyszykowanym odświętnie burakiem w złoto-brązowych butach do pieszej wędrówki, nowych džinsach i wyblakłej, roboczej koszuli z szarym T-shirtem pod spodem.

Otworzył tylne drzwi, a Jody wskoczyła do środka. Potem odwrócił się w moją stronę i zawołał: — Cześć, miło mi? — a potem podrapał Elvisa za uszami i dwa razy poklepał go po boku.

Nogi poniosły mnie przez trawę. Patrzyłem, jak się poruszają, i czułem, jak reszta ciała podąża za nimi.

Wyciągnął do mnie rękę.

— Ty na pewno jesteś Harley — powiedział, przyjazny jak diabli. — Brad Mercer.

Już wyciągałem rękę w jego stronę, aż przypomniałem sobie, że mam wymówkę, aby mu jej nie podać. Zamiast tego pokazałem mu wnętrze dłoni.

— Jej. Co z nią zrobiłeś? Wepchnąłeś do gniazda szerszeni?

- To przez drzazgi — wyjaśniłem.
- O Boże! — Potrząsnął głową. — Może lekarz powinien to obejrzeć.
- Nie mam ubezpieczenia — odparłem. Sam nie wiedziałem dlaczego.
- Nie masz w żadnej pracy ubezpieczenia?
- W jednej jest, ale wtedy nie zostałyby mi nic z wypłaty. Brad potrząsnął głową. — To okropne.
- Nie wszyscy możemy być bankierami — odparłem.
- Zaśmiał się. Ja mówiłem poważnie.
- Dzięki Bogu — powiedział. — Co to byłby za świat pełen bankierów.
- Nie lubisz ich?
- Nieszczęśliwie.
- Ale sam nim jesteś.
- Wiem.
- Nie lubisz swojej pracy?

Nie spodziewałem się, że odpowie. Głupi byłem. Próbowałem nakłonić go, żeby powiedział coś wstrętnego o swojej żonie, żebym mógł go upomnieć, że wszystko jej zawdzięcza.

— Chciałem zostać nauczycielem — wyjaśnił — ale wszyscy znajomi odradzali mi to. Wziąłem na studiach dodatkowy przedmiot z biznesu dla bezpieczeństwa. Pracowałem w banku przez kilka lat. Chciałem odejść i spróbować czegoś innego, ale wtedy spotkałem córkę szefa, jak wychodziła z jego gabinetu, i bankowość już nie była taka straszna.

Ładnie się uśmiechał. Ludzie to nazywali szczerym uśmiechem. Chłopięcym. Kobietom to się podobało. Prawdopodobnie Callie też w nim to lubiła. I jeszcze chciał być nauczycielem. To najwyraźniej oznaczało, że był inteligentny, lubił książki i sztukę. Nie wiedziałem jeszcze, czy miał niesamowite poczucie humoru, co według każdej kobiety na świecie było tak strasznie ważne, chociaż wszystkie wychodziły za bogatych facetów bez poczucia humoru.

- Masz stąd wspaniały widok — stwierdził.
- To nie nasza własność — odpowiedziałem natychmiast.
- Po co ci własność? — powiedział. — Wtedy tylko musiałbyś płacić podatki. Nikt nie przejmie tej ziemi. Spółki węglowe wyniosły się

wszystkie.. Kto by chciał kupować to na takim wygwizdowie? Masz tutaj wspaniałą sytuację.

— Myślałem, że ty może jesteś właścicielem. To znaczy, twoja żona.

Potrząsnął głową. — Callie ma około dwudziestu hektarów, które dostała w spadku od dziadka, ale to wszystko jest stąd na północ, po drugiej stronie Black Lick Road.

— Ma na własność? Sama?

Skinął głową, uśmiechając się po chłopięcemu, szczerze. — Tak. Ja jestem tylko lokatorem.

Jedno z tylnych okien w jeepie zjechało na dół.

— Tata, chodź — dopominała się Esme.

— Chodź, chodź — wtórowali jej Jody i Zack.

— Możemy zabrać Jody do Lick n' Putt? — zapytał. — Rano rozmawiałem z twoją siostrą przez telefon. Powiedziała, że jeszcze śpisz, ale że na pewno się zgodzisz.

— A twoja żona została w domu?

— Nie. Gdzieś pojechała. Nie wiem gdzie. Czasami musi odpocząć od domu. A ja mało czasu spędzam z dziećmi. Często pracuję do późna. Dużo podróżuję.

— I pewnie niedługo znowu gdzieś wyjeżdżasz?

— Niedługo w weekend gram w golfa. Ostatni tydzień czerwca, зда-je się.

— Tata!

— Muszę się zbierać. — Znowu się uśmiechnął. — Miło było w końcu cię spotkać, Harley.

Znowu też wyciągnął rękę. Instynktownie chciałem mu podać swoją. Czulem dziwną bliskość do niego, jak do kolegi z szatni. Byliśmy we wnętrzu tej samej kobiety, co było niczym wspólne używanie mokrego ręcznika.

— Och, przepraszam — powiedział, spuszcżając rękę i zerkając na mnie. — Uważaj na siebie.

— Pewnie. Podszedł do jeepa.

— Zanosi się na to, że możecie zmoknąć — zawołałem za nim.

— Jak będzie padać, to zostaną nam lody, bez golfa. Zamknął drzwi, zapuścił silnik i otworzył okno.

— I mówisz, że nie wiesz, gdzie jest twoja żona...?

- Nie. Dlaczego? Potrzebna ci do czegoś?
- Nie, to nic takiego — odparłem.

Pomachał do mnie. Dzieci też. Elvis pobiegł za nimi, a one wszystkie oszalały. Wiedziałem dobrze, co się dzieje w kabinie jeepa i cieszyłem się, że jestem na zewnątrz, bo rozbolała mnie głowa od wypitego zbyt szybko piwa. Nagle przestały podskakiwać i usadowały się na swoich siedzeniach. Z całą pewnością Brad Mercer kazał im zapiąć pasy. Miałem przeczucie, że to jeden z tych troskliwych ojców.

Moje przewidywania co do piłowania sprawdziły się. Skończyłem dwa razy szybciej, kiedy zacząłem myśleć o Callie, a w żyłach popłynęło piwo.

Poszedłem do szopy i wziąłem szpadel, którym mama zakopała bluzkę Misty, i zasypałem ten nierówny kikut po rurze. Potem na powrót przesunąłem kanapę na to miejsce i poszedłem do domu.

Amber nastawiła radio na cały regulator. Drzwi do jej pokoju były zamknięte, ale cały dom pulsował od basu. Drzwi pokoju Misty też były zamknięte. Zatrzymałem się przed pokojem Amber i załomotałem do drzwi. Krzyknąłem, aby otworzyła. Ściszyła radio, ale drzwi pozostały zamknięte.

— Wyjeżdżam — zawołałem przez drzwi — więc tylko bądź tu, jak Jody wróci.

Cisza. Nagle radio całkowicie się wyłączyło. Gniewne kroki. I szarpnięcie za drzwi. Przebrała się z džinsów w wielki T-shirt i flanelowe bokserki. Włosy miała spięte na samym czubku głowy w rudą fontannę.

- Cholera, najwyraźniej czasu nie tracisz — rzuciła wściekle.
- Zrobiłem krok do przodu. — O czym ty mówisz?
- To chore, zboczone, obrzydliwe i grzeszne.
- Co takiego?
- Nawet nie mogę na ciebie patrzeć. Rzygać mi się chce.

Zatrzasnęła drzwi. Poczekałem sekundę, żeby sprawdzić, czy nie chce czegoś dodać. Ataki Amber to czysta rozrywka, a inna w wykonaniu na żywo raczej nigdy nie będzie mi dana. Z powrotem nastawiła radio, a ja odwróciłem się do wyjścia.

W korytarzu stała Misty i piła Mountain Dew; całkowicie normalna dziewczyna, nic szczególnego, ale przestraszyła mnie. Zupełnie bezwiednie cofnąłem się o krok.

- Muszę z tobą porozmawiać — powiedziała.
- Hm?

Stała, w bezruchu w korytarzu. — Niewłaściwa pora? — zapytała. Poczulem się dziwnie. W ustach miałem niesmak. Zrozumiałem, że boję się, ale nie wiedziałem czego.

— Wybierałem się gdzieś, ale mogę z tobą chwilę porozmawiać — odpowiedziałem.

Uniosła metalicznie zieloną puszkę do ust i znowu opuściła. — Nadal wściekasz się na te pieniądze? — zapytała mnie.

— Już nie.

Puszka znowu powędrowała do góry i w dół, i jeszcze raz, z bolesną powolnością. Dzisiaj paznokcie miała pomalowane na fioletowo. W mrocznym świetle korytarza wyglądały, jakby wetknęła je między framugę a zatrzaskiwane drzwi, i teraz miała w nich martwicę; zaraz jej odpadną. Kamyki w obroży na nadgarstku były przejrzyste, ale jednocześnie mętne jak brudny lód. Nie miałem powodu, aby bać się jej bardziej od karczocha.

— Chciałam cię o coś zapytać — mówiła dalej — ale najpierw obiecuj, że będziesz miał otwarty umysł.

— Nie dam rady.

— To postaraj się — powiedziała, wbijając we mnie ciemne oczy.

Jej słowa były niczym uspokajająca groźba. Może chciała mi powiedzieć, co naprawdę wydarzyło się w dzień, kiedy mama zabiła tatę. Może chciała mi powiedzieć, co działo się z Amber.

— Chcę sobie zrobić tatuaż.

— Co?

— Tatuaż.

— Tatuaż?

— Tak.

Poczulem ogarniającą mnie ulgę. To wyjawienie było obrzydliwe samo w sobie, ale z tym potrafiłem sobie poradzić.

— W życiu — odpowiedziałem.

— No, Harley... Czemu nie?

— Jesteś za młoda.

— Wiedziałam, że to powiesz — głos miała spokojny ale poirytowany. — To tylko wymówka. Sporo ludzi u mnie w klasie ma tatuaże. Przy supermarkecie jest takie miejsce, gdzie przyjmują dzieciaki od dwunastu lat za zgodą rodziców. Naprawdę robią świetnie. Nikt nigdy nie zachorował od tego.

— Nie.

Wzięła głęboki oddech. — No, Harley...

Nigdy dotąd Misty o nic tak nie prosiła. Ten proszący ton działał mi na nerwy.

— Amber cię nasłuchała? — zapytałem.

— Amber nawet nie wie, że chcę sobie zrobić tatuaż. I nie chcę, żeby wiedziała.

— Dlaczego nie?

— Nie chcę, żeby pomyślała, że ją naśladuję. Chciałam tylko, bo mi się podobała. Myślałam, że zrozumiesz, panie artysto...

Nie miałem okazji odpowiedzieć jej. Jej twarz i oczy zrobiły się puste, a przyjazne nastawienie znikło, gdy milczący i zacięty grymas mumii wrócił na grobowiec. Poszła do swojego pokoju, żeby być sama, ale ten akt był bardziej symboliczny niż konieczny.

W chwili gdy drzwi do niej zamknęły się, poszedłem do wozu. Silnik już chodził, kiedy drzwi do domu otworzyły się i Amber wyszła na ganek z czerwoną jak cegła twarzą i oczami obmalowanymi maskarą.

— Wiem, gdzie jedziesz — krzyknęła i wróciła do środka.

Nie przejmowałem się tym. Nie miałem pojęcia, skąd może wiedzieć. Wczoraj nawet nie było jej w domu, kiedy dzwoniłem do Betty, żeby pomogła mi odwiedzić mamę.

15.

Poczekalnia więzienna wyglądała, jakby przeprowadzano zapisy do przedstawienia Mała Miss Pedofilia. W większości były tu dziewczynki. Nie wiedziałem dlaczego. Może kobiety podatne na zachowania przestępcze rodziły więcej dziewczynek niż chłopców. Może miały w hormonach coś wściekle kobiecego, co dawało im możliwość zabijania mężczyzn jeszcze w swoim łonie. A może było tak dlatego, że dorośli, którzy je tu przyprawdzali, to też były głównie kobiety i uważały, że dziewczynki czegoś się nauczą.

Rozważałem te przyczyny, stojąc w drzwiach i czując się jak przeżuty kawałek szarego mięsa, który ktoś wypluł na talerz pełen świątecznych pierniczków. Nigdy nie widziałem w jednym miejscu tyle złotych kokard, perłowych guzików i sztucznych kamieni poza działem dekoracyjnym w Wal-Mart, gdzie co rok zabierałem Jody, aby kupić to, co potrzebne do zrobienia kart na Walentynki.

Wszyscy się na mnie gapili. Dorośli przerwali rozmowy. Pospuszczali czasopisma. Maluchy przestały podskakiwać u dorosłych na kolanach. Starsze dzieciaki podniosły głowy znad kolorowania obrazków na ostatnią minutę, znad Game Boyów i zestawów Polly Pocket.

Spojrzałem po sobie, żeby się upewnić, czy mam zapięty rozparek i czy buty mam zawiązane. Miałem plamy od trawy na dżinsach i brud pod paznokciami. Nie pamiętałem też, kiedy goliłem się czy czesałem ostatni raz. Dnie i noce zaczęły mi ściekać jak krew w jedną wielką, kleistą kałużę.

Usunięto większość krzeseł. Była sobota. Chodziłem po obrzeżach sali, próbując znaleźć choćby pół metra kwadratowego przestrzeni, który nie pachniał kredkami i gumą do żucia. Skończyło się na tym, że stanąłem za dwiema kobietami, które najwyraźniej nie przyszły z dziećmi. Jedna z nich miała na sobie obcisłe dżinsy, czerwone kowbojki i bluzkę z fioletowego aksamitu. Druga była ubrana jak agentka nieruchomości z telewizji w musztardowo-żółty blezer i praktyczne buty. Jedyne miejsce na świecie, do którego pasowały, to miejski autobus albo więzienna poczekalnia.

Oparłem się o ścianę i upewniłem się, że nie będę musiał długo czekać. Prawie wszyscy tutaj stali w kolejce do „pokoju uścisków”. Ja będę miał widzenie przez szybę z pleksi. W ogóle nie miałbym szans dostać się, gdyby nie Betty. Zadzwoiłem do niej w czwartek po rozmowie z Jody na ganku, a przed parówkami, makaronem i serem.

Nie podałem jej żadnych szczegółów. Powiedziałem, że muszę widzieć się z mamą; że nadeszła pora na POKÓJ. Potem wyjaśniłem, że nie byłem całkiem szczerzy wobec niej co do mojej poprzedniej wizyty u mamy: że się trochę zdenerwowałem, nic szalonego, tylko tak, jak czasami się zachowywałem w stosunku do niej, a kiedy odzyskałem przytomność, leżałem na kozetce w gabinecie, jak u szkolnej higienistki, a mężczyzna do spraw kontaktów z więźniami i kobieta-psychiatra rozmawiali ze mną głosami komentatorów sportowych, i próbowali nakłonić mnie, żebym przyznał, że mama mnie zaatakowała. Nie chciałem. Powiedziałem im, że ostatnio nie czułem się zbyt dobrze, ale mimo to zdecydowali, że przez pół roku nie wolno jej mieć widzeń.

Kiedy skończyłem rozmawiać, zapadła długa cisza. Pomyślałem, że Betty będzie na mnie zła, ale ona wściekła się na WIĘZIENIE. Sposób, w jaki to powiedziała, przypomniał mi o urzędniku od pożyczek z kalendarzem z widokami, który opowiadał mi o BANKU i o tym, jak BANK

nie mógł pozwolić sobie na wyjątek wobec mnie i moich sióstr, ale zapewnił, że BANK pragnie pomóc.

Według Betty WIEZIENIE powinno być świadome, że byłem nieletnim chłopcem pod opieką psychiatry, który nie widział matki od dnia, kiedy opuściła salę rozpraw prawie przed dwoma laty, skazana na dożywocie. WIEZIENIE najpierw powinno porozmawiać z Betty. WIEZIENIE mogło wywołać u mnie rozległą emocjonalną traumę i powinno zrobić wszystko, co możliwe, aby naprawić sytuację.

Przyrzekła, że zajmie się tym w moim imieniu, ale kazała mi obiecać, że umówię się z nią zaraz po tym. Powiedziała, że zobaczy się ze mną w weekend albo w przerwie na lunch, jeżeli nie będę mógł się zwolnić z pracy. Niczego jednak jej nie obiecałem.

Usadawiłem się pod ścianą i zamknąłem oczy. Jeszcze cztery dni, zanim znowu zobaczę się z Calie. CZTERY. Chyba że spróbuję zobaczyć się z nią podczas przerwy na lunch w poniedziałek. A może Jody będzie bawiła się w ich domu po powrocie z Lick n' Putt, a wtedy Callie odwiozłaby ją do domu, a ja wyszedłbym do samochodu, aby jej podziękować, i poprosiłbym, żeby w nocy przyszła do mnie do kopalni i przyniosła te ciastka do opiekania na ognisku.

CZTERY. Ta cyfra błyskała przed oczyma jak karabin maszynowy na czarnym tle. Niedobrze mi się robiło na żołądku, kiedy tak na nią patrzyłem. Nagle przestała i zobaczyłem usta Callie unoszące się nade mną, i jedną idealnie mleczną kroplę przyklejoną do nich. Pocałowała mnie, a ja posmakowałem siebie. Nie zareagowałem na jej pocałunek, a ona odsunęła się, rozczarowana. Sturlała mnie z koca, złożyła go i wsadziła do plecaka. Zamknęła lodówkę i weszła w majtki. Chciałem powiedzieć jej, aby została, ale nie żyłem albo spałem. Zaczęła odchodzić. Nie zrobiłem dla niej nic. Zupełnie nic. Nic dziwnego, że odeszła. Pomyślałem, jak się uśmiechała wtedy, kiedy zrobiliśmy to na stole. Jej uśmiech mówił: Jestem spełniona...

Otworzyłem oczy i zobaczyłem te dwie kobiety.

— Nie wiem — powiedziała ta w kowbojkach. — Zupełnie nie miałam pojęcia, czy ona mówi na poważnie, czy nie.

Ta ubrana jak agentka nieruchomości skinęła głową.

— Ostatnim razem, jak przyjechałam do niej, powiedziała, że więzienie wcale specjalnie nie różni się od życia małżeńskiego, tylko teraz ma więcej wolnego czasu i seks jest lepszy.

Obie zaśmiały się. Pokój zawirował i pociemniał mi przed oczyma. Kolana się pode mną ugięły i usiadłem na podłodze. Kobiety wyciągały głowy nad oparciami krzesel.

— Nic ci nie jest? — zapytała agentka.

— Nie — odparłem, przelicykając kilkakrotnie.

— Nie wyglądasz najlepiej, skarbie — stwierdziła kowbojka. — Jesteś tu z kimś?

Potrząsnąłem głową.

— Do kogo przyjechałeś?

— Do mamy.

— Biedny chłopcze.

— Chcesz usiąść na moim miejscu? — zaproponowała agentka, wstając.

— Nie, dzięki — odpowiedziałem. — Lepiej tu zostanę.

Okazało się, że ten wybór był najgorszy, bo wszystkie dzieciaki w poczekalni przychodziły mi się przyjrzeć i piekielnie mnie wkurzały. Niektóre podchodziły bardzo blisko, gapiły się przez kilka sekund i odchodziły. Inne zerkały nieśmiało zza krzesła kowbojki, wesołe albo podejrzliwe.

Tylko jedna dziewczynka odezwała się do mnie. Była w wieku Jody, miała kasztanowe włosy, od pewnego czasu nieczesane i ładną twarz, gdyby tylko się uśmiechnęła, ale chyba nigdy tego nie robiła. Uszy miała przekłute; powieki usmarowane błyszczącym błękitem, a usta żarówiatym różem. Na obu dłoniach i na policzku miała przyklejone tatuaże. Ten na policzku to jednorożec, ale odklejał się i bardziej przypominał zabrudzenie albo siniak. Jej dziecięcy brzuszek sterczał spomiędzy białych dżinsów a bluzki, pomarańczowej jak znak ostrzegawczy, z zielonym, falistym napisem: KAPITALNIE.

— Dlaczego siedzisz na podłodze? — zapytała mnie.

— Nie ma miejsc — odparłem. — A dlaczego ty masz makijaż?

— Lepiej wyglądam — odpowiedziała natychmiast.

— I po co chcesz lepiej wyglądać?

— Nie wiem.

— Wcale lepiej przez to nie wyglądasz — dodałem. Przyglądała mi się przez chwilę, żeby sprawdzić, czy mówię serio, a potem posmutniała. Naprawdę wyglądała na zranioną. Byłem zadowolony. Chciałem ją zranić. Jak ją wkurzę, to wróci do domu i nałoży sobie na twarz jeszcze więcej tego gówna.

— A właśnie, że lepiej — powiedziała, ale już nie bardzo przekonana.

— Właśnie, że nie.

Zauważyłem, że kowbojka i agentka przysłuchują się.

— Narobisz sobie przez to kłopotów. Wiesz, co to kontrola narodzin?

Obie kobiety odwróciły głowy w moją stronę i spojrzały z góry.

— Nie — odpowiedziała dziewczynka.

— No, to się dowiedz.

— Przepraszam — wtrąciła się agentka. — Co ty wygadujesz temu dziecku?

Zignorowałem ją.

— A co to jest kontrola narodzin? — pytała dziewczynka.

— To, żeby nie zająć w ciążę. Wiesz, co to znaczy?

— Jak się ma dziecko.

— Zgadza się. A wiesz, jak się zachodzi w ciążę?

Agentka rzuciła mi wściekłe spojrzenie i kazała przestać. Wstała z krzesła i zapytała, czyja jest ta dziewczynka.

— Wiem, musisz mieć chłopaka. Przynajmniej tak to moja mama robi.

— Jesteś bystra — powiedziałem jej. Miałem rację; była ładna, jak się uśmiechała.

— Jak masz chłopaka, to na mur zajdziesz w ciążę — wyjaśniłem.

— Co to znaczy „na mur”?

— To znaczy, że na pewno tak się stanie. Nie powstrzymasz tego.

— Myślałam, że jak się kogoś przycisnie do muru.

— Naprawdę jesteś bystra — powtórzyłem.

Znowu się uśmiechnęła. — A moja nauczycielka to mówi, że marnuję jej czas.

— Następnym razem jak ci to powie, zapytaj ją, jak ona mądrze wykorzystuje czas, kiedy ma wakacje.

— Hm?

— Jamie, co ty tam do diabła robisz?

Koścista kobieta o szurzej twarzy, o zbyt bujnych włosach, pewna swoich licznych, niezbywalnych praw, podeszła do nas sztywno. Chwyliła dziewczynkę za ramię.

— Odejdź od niego.

— On mówił mi, jak zająć w ciąży — wyjaśniło dziecko, nawet nie zwracając uwagi na rękę zaciśniętą na swoim ramieniu niczym rękaw do pomiaru ciśnienia.

— Zostaw ją, ty zбочzuchu — rzuciła w moją stronę kobieta.

— Jesteś jej mamą? — zapytałem.

— Nie twój interes.

— To ty pozwalasz jej nosić makijaż i ubierasz ją jak dziwkę?

Kobieta rozdziawiła usta. Okazała tyle oburzenia, ile jest to możliwe w przypadku kogoś w T-shircie z reklamówką tych derby w niszczeniu aut na wyścigi. W tym roku mieli hasło: BUM! BAM! ZABIERZ SWÓJ CHŁAM!

— Sama jesteś zбочzona — powiedziałem do niej spokojnie — bo pozwalasz jej tak się ubierać.

— Bo wezwę strażnika — odpowiedziała kobieta.

— On powiedział, że mój makijaż nie wygląda dobrze — wspomniała Jamie, nieruchomiejąc całkowicie. Najwyraźniej wiedziała, że przy jakimkolwiek ruchu ręka zaciśnie się jeszcze bardziej.

— Twoja mama nie siedziałaby teraz w więzieniu, gdyby nigdy się nie malowała — dalej jej wyjaśniałem.

— Nie słuchaj go, Jamie. Nie wie nic ani o tobie, ani o twojej mamie.

— Nie, Jamie, ja wiem wszystko o tobie.

Kiedy wypowiedziałem jej imię, spojrzała na mnie, jakbym wyciągnął jajko za ucha.

— Zajdziesz w ciąży, bo myślisz, że jak dasz dupy facetom, to będą cię kochać, a ty chcesz, żeby ktoś cię kochał, a boisz się, że nikt cię nie kocha...

— Zamknij się — krzyknęła kobieta.

— Sprowadzę strażnika — zaoferowała agentka.

— Facet, który ci to robi, też nie będzie cię kochał, bo jest za głupi, żeby skumać, co jesteś warta, ale ty pomyślisz, że to pewnie dlatego, bo nie jesteś dosyć ładna...

— Co on mówi, ciocia? — zapytała Jamie, spoglądając na kobietę.

Ciocia szarpnęła ją za ramię i zaczęła ciągnąć.

— Najgorsze będzie to, że wyjdiesz za niego — mówiłem dalej, podnosząc głos tak, żeby nadal mnie słyszała — ale obojętnie, co zrobisz, to twój koniec. Już jesteś skończona, jak będziesz tak dalej wyglądać.

— To znaczy, że umrę? — zawołała, a przez cały czas nie odrywała ode mnie oczu.

— Będziesz żywa na zewnątrz. — Przyłożyłem dwa palce do oczu i naciągnąłem dolne powieki, żeby zobaczyła surową i czerwoną, wewnętrzną część oczodołu. — A martwa w środku — skończyłem.

— Jak zombi?

— Tak.

— Ja nie chcę być zombi.

Jej ciotka po raz ostatni szarpnęła ją mocno i dała klapsa na tyłek.

— Powiedziałam, żebyś z nim nie rozmawiała.

Otworzyły się drzwi i agentka wróciła do środka, a za nią strażnik z notesem. Nie wyglądał na dużo starszego ode mnie. Był wygolony na zapalkę i nosił czarne lustrzanki, nawet w pomieszczeniach. To zawsze był zły znak.

Wstałem. Nie chciałem dać mu najmniejszego powodu, żeby dobrał się do mnie.

— Daj sobie zrobić od razu implanty. — Dalej mówiłem do Jamie. — Zrób je sobie, jak skończysz dziesięć lat.

Strażnik zajął stanowisko w poczekalni. Nie przyszedł do mnie. Dał znak ręką, żebym ruszył tyłek.

— Moja siostra dostała okres, jak miała jedenaście lat — rzuciłem, mijając ją.

Niektóre z kobiet przytuliły obrończo dziewczynki, kiedy je mijalem, ale inne podświadomie kiwały głowami na moje uwagi, zupełnie jak te na Oprah Winfrey Show, kiedy coś w końcu zrozumiały.

— Wyjdź na zewnątrz — powiedział strażnik.

— Powinni cię zamknąć za to, że ją tak ubierasz. — Przy drzwiach złożyłem ostateczne oświadczenie pod adresem ciotki tej małej. — Naprawdę. Zamknąć. Dla organizacji walczących o swobody obywatelskie to byłby, kurwa, duży postęp.

— Wyjdź — warknął strażnik.

Kiedy wyszedłem z poczekalni, natychmiast zacząłem się trząść. Założyłem ręce na piersi, chowając głęboko dłonie. Zawsze trzęsły się bardziej niż cała reszta, a nie chciałem, żeby strażnik to zauważył. Wykonałem kilka głębokich wdechów.

Strażnik zmierzył mnie wzrokiem z góry na dół i odchrząknął. — Do kogo przyszedłeś? — zapytał.

— Do mamy.

Przerzucił kartkę w notesie. — Nazwisko więźniarki?

— Bonnie Altmyer.

— A twoje?

— Harley Altmyer.

— Harley, powinienem cię wykopać stąd za ten numer tam w poczekalni.

— Chciałem tylko jej pomóc.

Strażnik włożył notes pod pachę. — Myślisz, że jak opowiesz dziesięciolatce o kontroli urodzin, to w czymś pomożesz?

— No tak — odparłem.

Znowu mi się przyjrzał, ale przez te jego okulary nie miałem pojęcia, co sobie myśli.

— Chodź ze mną — powiedział w końcu. — Masz dziesięć minut.

Zaprowadził mnie do pokoju z szarymi kabinami zrobionymi z metalu takiego samego jak szafy biurowe. W każdej siedział gość na krawędzi prostego krzesła z twardego, szarego plastiku. Większość to mężczyźni. Nie widziałem ich twarzy, bo wszyscy byli czujnie wychyleni do przodu i mówili ściszym głosem.

Zdziwiłem się, że mama już siedzi w mojej kabynie. Widząc ją za pleksi w wyblakłym, żółtym uniformie, jak czeka pełna nadziei z dłońmi złożonymi na blacie, poczułem się, jakbym miał prosić o bilety na poranek filmowy.

— Wszystko dobrze w domu? — zapytała, zanim zdążyłem usiąść, a głos wydawał się, jakby przemawiała z wnętrza kokonu.

— Nikt nikogo nie zastrzelił, jeżeli o to ci chodzi.

Nie była przygotowana na moją uwagę. Wyglądała na zaskoczoną, a potem zmarszczyła brwi, jakby chciała mnie złać. Byłem jej synem, a jej pierwszy instynkt to utrzymanie dyscypliny, ale byłem też dorosłym człowiekiem, który wychowywał jej dzieci i prowadził dom, przez co stawała się moją dłużniczką.

— To miało być śmieszne? — zapytała.

— Tak — odparłem.

— No, to nie było.

— Przepraszam. Chyba powinienem przed przyjazdem przemyśleć, co się mówi w więzieniu.

— Harley, proszę. Co się stało?

— Nic.

— To dlaczego przyjechałeś?

Zerwałem się z krzesła. — Przepraszam, że przyjechałem.

— Siadaj — poleciała z matczyną stanowczością.

Moje ciało instynktownie opierało się, ale potem instynktownie uległo.

Mama obserwowała mnie przez ten moment, a na twarzy na zmianę malowało się zmartwienie i oburzenie.

— Nie chcę się z tobą kłócić — powiedziała w końcu.

Nagle uświadomiłem sobie, że chcę się kłócić. Zaatakowały mnie wszystkie tajemnice i kłamstwa. Wszystkie zaniedbania i zdrady. Co się działo między tatą i Misty? Co wydarzyło się w nocy, zanim zginął? Miałem tyle pytań, dużych i małych, że nie wiedziałem, od czego zacząć.

— Dziecko, ty wyglądasz na chorego — usłyszałem jej głos.

Uniosła dłoń, bez zastanowienia, by dotknąć mojego czoła i sprawdzić, czy mam gorączkę, i uderzyła w szybę z niespodziewanym, śmiertelnym łupnięciem, jak ptak, który trafia w okno. Oboje odskoczyliśmy na ten dźwięk.

— Nic mi nie jest — powiedziałem jej.

— Wyglądasz, jakbyś nie spał od wielu dni. Kiedy ostatni raz brałeś prysznic albo chociaż zmieniłeś ubranie?

— Niedawno.

— Zapuszczasz brodę?

— Przestań, mamó.

Zanurzyłem dłonie we włosach. Chciałem je sobie wyrwać i złożyć je przed nią z modlitwą błagalną, jak przed kamienną boginią. Pomóż mi, mamó. Wykonałem roztrzęsiony wdech i opuściłem ręce. Palce miałem tłuste po dotknięciu włosów. Mama obserwowała mnie, zmartwiona, ale już niewspółczująca. Poprawiła się na krześle. Zmierzyła mnie wzrokiem. Przyjęła pozycję obronną.

Oboje myśleliśmy o tym samym: co się dzieje, kiedy ukochana osoba staje się wrogiem? Czy niszczysz go, żeby ocalić siebie? A może łączysz się z nim w piekle?

— Dlaczego przyjechałeś, Harley?

Głos miała chłodny. Nigdy wcześniej do mnie tak nie mówiła. Były sytuacje, kiedy złościła się na mnie tak, że aż krzyczała; była tak sfrustrowana, że aż płakała; przygnębiona tak mocno, że przesiadywała całą noc i jadła kupny sernik, ale nigdy nie przestała mnie lubić.

Co ja wyprawiałem? Sam zapytałem siebie w panice. Co dobrego przyniesie mi czy komukolwiek PRAWDA? Czy warta była zniechęcenia przez mamę? Czy warta była zniechęcenia taty?

Mogłem wtedy odejść. Nie było za późno. Mogłem być jednym z tych, którzy przeżyli atak w schronie, żywiąc się konserwami, powtarzając sobie, że wszystko jest w porządku.

— Wiedziałaś, że Misty zabrała twoje pieniądze? — Wypowiedziałem te słowa, zanim zdążyłem je powstrzymać. — Tysiąc dolarów, które odłożyłaś, żeby odejść od taty? Wiedziałaś, że to ona je wzięła?

Resztki delikatności znikły z jej twarzy. Zaciśnęła usta. Była na mnie gotowa.

— Miała je przez cały czas — mówiłem dalej, nieproszony. — Amber znalazła je w zeszłym tygodniu w jej szafie. Wiedziałaś o tym?

Mama rozważała swoje możliwości. Wiedziałem, że zastanawia się nad kłamstwem, ale nie mogła zaprzeczyć istnieniu gotówki.

— Myślałam, że to tata je zabrał.

— No, to nie on; Misty zabrała.

Czekałem. Zaczęła przyglądać się swoim paznokciom. Nie zamierzała mówić nic więcej. Nie wierzyłem.

— Mamo — zachęcałem ją. — Te pieniądze...

Spojrzała na mnie. — Chyba się przydadzą — powiedziała.

Cwana odpowiedź. Mama nigdy ze mną nie rozmawiała w taki sposób. Całkowita samotność na tym świecie spadła na mnie i przez chwilę byłem przekonany, że wiem, co to znaczy umrzeć. Wstałem i rzekłem do niej z zaskakującą przytomnością: — Świetnie, nie rozmawiaj ze mną, ale w takim razie przestaję zajmować się twoimi dziećmi.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Przestaję — krzyknąłem do niej. — Przestaję! — krzyknąłem jeszcze raz, uderzając w szybę ze swojej strony. — Zbieram manele i wypierdalam stąd. Nikt mnie nie powstrzyma.

Łzy paliły mnie w oczach. Mrugałem, żeby je usunąć, ale one ciągle napływały.

— Wiem, że nie zostawisz dziewczynek — odezwała się, jakby powtarzała jakąś nieważną prognozę pogody.

— Czemu nie? Ty tak zrobiłaś.

— O czym ty mówisz? — odparowała; wzbierała w niej złość. — Nie odeszłam celowo. Rozejrzyj się. Nie jestem tu na wakacjach. To więzienie.

— Podoba ci się tu.
— Harley. Głupoty gadasz.
— Nie kocham ich — nagle krzyknąłem w nadziei, że zobaczę te słowa w powietrzu, aby stały się prawdą. — Nie czuję wobec nich żadnych zobowiązań. Jestem ich bratem. Żadnym, kurwa, ojcem!

— Kochasz je — spierała się ze mną — ale możesz też kochać je na odległość. Nie dlatego zostajesz.

— To dlaczego zostaję?

— Bo wiesz, gdzie jest twoje miejsce.

Spoglądaliśmy na siebie. Staralem się dojść, czy właśnie zostałem poważnie obrażony, czy spotkał mnie największy komplement, na jaki może liczyć człowiek. Nie potrafiłem odczytać jej twarzy, jedynej, której zawsze ufałem.

Zrobiła głęboki wdech i wyrzuciła z siebie tę złość. Jej utrata postarzyła ją i upośledziła. Osunęła się na krzesło z drżącą delikatnością starszki. Zamknęła oczy.

— Dobrze, Harley. Misty zabrała te pieniądze. Co jeszcze mam ci powiedzieć? Oszczędzałam, żeby odejść od twojego taty. To też wiesz.

Potarła dłońmi twarz, jakby chciała zmyć z niej coś upartego.

— To chyba ma sens, że Misty je zabrała. Wiedziała, że chcę odejść. Nie wiem, skąd, ale przyszła do mnie i powiedziała, że wie, że chcę ją od niego zabrać. Tak to właśnie powiedziała. Nie chodziło o resztę rodziny. Tylko o nią i o niego. Mówiła, jakbym była tą drugą kobietą...

Zamilkła. Widziałem napięcie w jej twarzy, pewnością, że powiedziała za dużo. Przebiegł mnie dreszcz. Zobaczyłem obrzydliwe, zakrwawione truchło kotka, z martwymi, zielonymi oczyma jak kamyki; leżało na świeżej, wiosennej trawie. Mieliśmy ją tak krótko, że nawet nie pamiętam jej imienia. Było wymyślone już wcześniej. Śnieżka. Puszek. Królewna.

Mama podniosła na mnie wzrok. SKARB. Srebrny napis pojawił się w jej oczach. Tak kotka miała na imię. Na powrót klapnąłem na krzesło. Teraz byłem gotowy na nią. Przeszłość nauczyła mnie, że siła potrzebna, by zmierzyć się z okropieństwem, nie wynika z odwagi, ale z pewnego poziomu odrętwienia.

— A co się działo między tatą a Misty? — zapytałem.

Jej oczy zrobiły się szare i matowe, jakby gotowe na te straszne obrazy, które miałem w nich wyrznąć.

- Jesteś mi to winna — dodałem.
- Winna? — W jej głosie pojawiło się rozdrażnienie; nieomal drwina. — Nic ci nie jestem winna.
- Jak możesz tak mówić? Jesteś moją mamą.
- To co? Co to znaczy? Jestem ci winna miłość? Jestem ci winna samą siebie. Nie można dawać tego na żądanie. Można to dać tylko z własnej woli.
- Co ty mówisz? — zapytałem, a całego mnie ogarniał strach. — Nie chcesz więcej tego dawać?
- Harley, robiłam, co mogłam. Postaraj się to zrozumieć. Robiłam, co mogłam, żeby być twoją mamą, i przegrałam.
- Zamilkła i z bólem wciągnęła powietrze, pochylając się, jakby ktoś uderzył ją w brzuch. Kiedy znowu podniosła głowę, po twarzy spływały jej łzy. Próbowwała się uśmiechnąć, tak jak wiele razy po tym, kiedy tata mnie zranił, a ja odczuwałem tę samą mieszankę pragnienia i obrzydzenia, niezrozumiałą i wstrętną, czym zawsze reagowałem na jej bezwarunkową miłość i odrzucenie.
- Co się działo między tatą a Misty? — nacisnąłem mocniej.
- Chciałem usłyszeć od niej, że to prawda. Usłyszeć, że wiedziała o tym. Żeby wypowiedziała to, co niewypowiedziane. Udowodnić to, co niepojęte. Wtedy wyszłoby na to, że tata dostał to, na co zasłużył. Mama byłaby bardziej usprawiedliwiona. To też zdjęłoby ze mnie część winy. Wszystko to byłoby wina Misty. Mama nie zabiła go, bo mnie bił. Ale dlaczego miałyby robić z tego tajemnicę? To nie miało sensu. Pamiętałem. Przypomniałem sobie ściszoną rozmowę między prawnikami. Spierali się, że gdyby tylko wykorzystywanie seksualne miało miejsce, dostałaby lżejszy wyrok i wtedy obaj spojrzeli na mamę jak na kawałek ciasta i chcieliby, aby był większy.
- Nigdy niczego nie widziałam — wyszeptła, przelękając łzy.
- Pytałaś tatę? — Głos mi się załamał w połowie pytania.
- Wytarła policzki opuszkami palców i spojrzała na mnie tępym mzwrokiem. — Jak zadaje się takie pytanie, Harley?
- A pytałaś Misty?
- Jak się zadaje TAKIE pytanie, Harley?
- Patrzyłem prosto przed siebie. Twarz mamy rozplynęła się w moim przezroczystym odbiciu w pleksi.
- To nie wiesz niczego na pewno?

Milczała.

— Na pewno wiedziała tylko Misty?

KAPITALNIE — wilo mi się przed oczyma falistymi, fluorescencyjnymi literami.

— To Misty zabiła tatę — stwierdziłem chłodno.

Mama nie odpowiedziała. Przeszedł mnie kolejny dreszcz, ale tym razem rozgrzał mnie. Wróciła do mnie twarz mamy, spokojna, bez życia, kiedy przestała płakać i prawda została wyjawiona. Pomyślałem o Królownie Śnieżce w szklanej trumnie. Jeżeli przeżyję mamę, pochowam ją pod pleksiglasem.

— To Misty zabiła tatę — powtórzyłem.

Było to potężne, olbrzymie, ważne objawienie, ale jednocześnie okrutne, wcale nie miłe. Niczego nie rozwiązywało. Nie przywróci życia tacie. Nie odda mamy. Nie odpowiadało na żadne z pytań; stawiało następne. Otwierało drzwi na nowe, nieznane zdrady. Fakt, że niczego nie czułem, był jedną z nich.

— Nie rozumiem — powiedziałem. — Nie musiałaś brać jej winy na siebie. Nic by się jej nie stało. To tylko dziecko.

— Harley, nie rozumiesz.

— Kto by ją obwiniał za zamordowanie go po tym, co zrobił? Sąd by jej nic nie zrobił. Dostałaby pomoc. Potrzebuje pomocy.

— Nie rozumiesz — mama powtórzyła z naciskiem.

— Było ci wstyd? Nie chciałaś, aby inni się dowiedzieli, co jej zrobił?

— Harley. Misty nie chciała śmierci ojca. Ona chciała być z nim.

— To tym tłumaczyłaś sobie to, co zrobiłaś? Żeby nie mówili o tym w telewizji?

— Harley — mama krzyknęła. — Ona celowała we mnie!

Twarcz mamy zmieniła kształt, rozmazała się i znikła mi z oczu w dziurze bez dna wijących się liter KAPITALNIE.

— Próbowала mnie zabić — słyszałem, jak wyjaśnia. — Tata przypadkiem wszedł w linię strzału.

Widziałem to wszystko. Mamę przy kuchence, jak ustawiała płomień, mieszała w garnkach, mówiła coś bez zastanowienia o dzieciach. Jak ma dosyć dziewczynek po całych wakacjach bez szkoły. Jak martwi się o mnie. Że nie mam żadnego celu ani ambicji. Może tata powinien porozmawiać ze mną o szukaniu pracy.

Tata siedzi przy stole w kuchni, stopy w skarpetach wsparte na krześle naprzeciwko, głowa odchylona do tyłu, oczy zamknięte, cień zadowolenia na ustach. Nagle wstaje. Po piwo z lodówki? Umyć ręce przed obiadem? Szybko pomacać mamę po tyłku?

Na ten odgłos mama spogląda za siebie i dostrzega Misty w salonie z karabinem wspartym na ramieniu. W jednej sekundzie błyskawicznie pojmuje wszystko. Pojawiają się odpowiedzi na pytania, których nie potrzebowała zadawać. Nagle rozumie te wszystkie niemożliwe rzeczy dotyczące Misty: spokojna, ale gwałtowna, wszystkowiedząca, ale naiwna, młoda, ale zniszczona, cień namacalny, zgwałcone dziecko, którego matka nic nie zauważyła.

Mama miała swoje sześć sekund. Tata był nieświadomy sytuacji. Biedna Misty. Myślała tylko o tym, że nie umie celować, i spieprzyła najważniejszy strzał w życiu. Zaniósłem się śmiechem. Zamknąłem oczy i zobaczyłem wszędzie słowo KAPITALNIE. Nie mogłem przestać. Było świetnie i jednocześnie źle, jakbym uprawiał seks z wrzeszczącą partnerką.

Czyjeś ręce schwyciły mnie ostro za ramiona i zaczęły podnosić z krzesła. Podniosłem wzrok i zobaczyłem mamę. Już nie płakała. Powinna płakać. Zabrała ją strażniczką.

— Wyciągnę cię — zawołałem za nią. Wiedziałem, że mnie usłyszała, bo potrząsnęła głową.

— Nie ukryjesz się przed nami.

Odciągnięto mnie od szyby. Chciałem się o nią rozbić niczym bąk na szybie samochodu.

— Nie wyszło ci to najlepiej — krzychałem. — Będiesz musiała spróbować jeszcze raz.

— Idziemy.

Szarpnięto mnie i popchnięto, ale nie za mocno. Rozpoznałem ten głos. To ten młody strażnik w lustrzankach.

— Idziemy — powtórzył.

— Mama tego nie zrobiła — powiedziałem do niego przez ramię. — Wzięła na siebie winę za moją siostrę. Siostra zabiła tatę.

Nie robiło to na nim wrażenia. — Czasami tak się dzieje.

— Chcę wyciągnąć stąd mamę.

Zatrzymaliśmy się w korytarzu. Oddychałem ciężko i pot zalewał mi oczy. Myślałem, że odejdzie, ale odwrócił się i skierował na mnie oczy niczym dwie czarne, lśniące monety.

- A mama chce stąd wyjść?
- Chyba nie.
- Siostra chce siedzieć?
- To jeszcze dziecko.
- To nic nie zrobisz.
- Chcę, żeby mama wróciła — powiedziałem.
- Na twoim miejscu nie martwiłbym się o twoją mamę — poradził mi na odchodnym.

Gumowe obcasy jego butów wydawały przeraźliwe piski, jak przerażone króliki zaraz po urodzeniu. Nie miałem pojęcia, że one w ogóle wydają jakiegokolwiek dźwięki, dopóki pewnego dnia wiosną w zeszłym roku nie zobaczyłem jak Elvis chciał złapać jednego w zęby. Nie był większy od mojej pięści.

16.

Zatrzymałem się przy każdym sklepie z piwem i w końcu, przy jakiejś dziesiątej próbie, trafiłem na sprzedawcę, który nie poprosił mnie o dowód tożsamości. Dziwiłem się, że to tyle trwało. Domyślałem się, że odwiedziny u mamy postarzały mnie przynajmniej tak samo, co pierwsze ruchanie z Callie, a potem otrząsnąłem się z tego z uczuciem, że jestem starszy o sto lat.

Wydałem wszystkie pieniądze poza dwoma dolarami i kupiłem paczkę najtańszego szajsu. Otworzyłem pierwszą puszkę, zanim znalazłem się poza zasięgiem szczekania psa sklepikarza. Po trzech puszkach zacząłem myśleć o Misty. Po trzech i pół zmusiłem się, żeby o niej nie myśleć.

Po pięciu skierowałem się do domu wujka Mike'a. Nie byłem u niego od pogrzebu taty. Wtedy poszliśmy do niego zjeść pieczoną szynkę ze skórką i unikaliśmy rozmów. Mike Junior przyprowadził dziewczynę. Mieszkali o czterdzieści minut jazdy od naszego domu, co usprawiedliwiało nieczęste wizyty, ale było to o tyle blisko, że kiedy tata żył, trzymali się razem cały czas.

Dom miał idealny. Trawnik też. Na białym sidingu nie było ani śladu zanieczyszczeń, ani plamy rdzy na balustradzie z kutego żelaza przy schodach prowadzących do frontowych drzwi z kołatką z wypolerowanego złota, ani centymetra luszczącej się farby na zielonych okiennicach, ani

jednego listka sterczącego z rynny, ani jednego mlecza albo placka koniżyny, nie wspominając o psiej kupie gdziekolwiek na podwórku.

Kiedy wujek krytykował i radził w kwestii utrzymania domu, nie mogłem go zbyć, wytykając mu, że nie wprowadza w życie tego, czym się przechwala. Mogłem go zbywać z tysiąca innych powodów.

Obrzuciłem wzrokiem nieskazitelny, asfaltowy podjazd i zaparkowałem na poboczu drogi. Nie chciałem potem zmiatać śladów po oponach. Wsiadłem, skończyłem ostatnie piwo, zgmiotłem puszkę i wrzuciłem na pakę. Zupełnie nie wiedziałem, którądy iść. Co będzie gorsze: zabrudzić podjazd czy oślepiąco biały chodnik, a może trawnik? Wybrałem trawę, bo i tak rosła w ziemi, ale co do ich trawy nie miałem całkowitej pewności, więc ukląknę i sprawdziłem. A pewnie, ziemia. Pierwszej jakości, żyzna, wyrównana. Ziemia jak z bankowego kalendara. Sądząc wujka po wyglądzie, nigdy bym nie pomyślał, że żył w taki sposób. Nigdy nie widziałem, żeby był szczególnie schludny czy zadbane. Lecz należał do tych, którzy byli bardziej dumni z tego, co mają, niż z tego, kim są.

Powoli się podniosłem i starałem się pokonać trawnik na palcach, żeby nie pognieść zbyt wielu źdźbeł. Zatrzymałem się przy poidle dla ptaków. Było czystsze od kubka, z którego co rano piłem kawę.

Na wycieracze przed drzwiami widniał napis: WITAJCIE, PRZYJACIELE. Sprawdziłem swoje odbicie w kołatce i zobaczyłem wyryte ozdobnie na własnym czole ALTMYER. Przypomniałem sobie, jak ciotka Janet raz uskarżała się mojej mamie, że ludzie faktycznie używają tej kołatki do stukania. Zaplanowałem, że będę jednym z nich, ale wpiery wytarłem ręce w kurtkę. Mimo to zostawiłem odciski.

Ciocia, jak zwykle, potrzebowała sporo czasu, żeby dotrzeć do drzwi. Najwyraźniej nie podglądała wpiery przez firanki, bo była całkowicie zaskoczona moim widokiem. Podniosła rękę do kołnierza koszuli i przyglądała się.

— Ciociu? — powiedziałem, uznając, że to może wydobyć ją z odrętwienia.

— Harley — w końcu udało jej się powiedzieć. — Przepraszam. Przestraszyłeś mnie. Nigdy wcześniej nie myślałam, że jesteś tak podobny do twojego taty. Szczególnie że ubrałeś się dokładnie jak on.

— Myślałaś, że jestem duchem?

Zareagowała nerwowym śmiechem. — Może trochę.

Znowu się zaśmiała. Ja też.

— Wujek w domu? — zapytałem, kiedy przestaliśmy się śmiać.

— Tak, jest.

— Mogę z nim pogadać?

Zastanawiała się nad tym pytaniem. — Czemu nie, wchodź — odparła na koniec.

Otworzyła szerzej drzwi przede mną. Ciocia Janet zawsze ubierała się w męską koszulę, z kieszonką na piersi, wetkniętą w sztywne, ciemnogranatowe dżinsy. Dzisiaj koszula była zielona w żółtą kratkę. Wytarłem nogi w powitalną wycieraczkę i przeprosiłem na wypadek, gdyby to była ta, z której się nie korzysta, podobnie jak z kołatki. Ciocia uśmiechnęła się i powiedziała: — Śmiało, po to są wycieraczki — ale wiedziałem, że zaraz jak odjadę, splecze ją wężem ogrodowym i wyszoruje szczotką ryżową.

— Nie będę niczego dotykał ani nigdzie siadał — obiecałem, wchodząc do środka. — Wiem, że cały jestem brudny. Wcześniej pracowałem na dworze.

— To miłe z twojej strony, ale możesz usiąść, Harley — powiedziała ciocia. — To nie muzeum.

Poprowadziła mnie obok jednego z oficjalnych salonów, których mama nigdy nie miała. Był urządzony niczym szkatułka z biżuterią małej dziewczynki: migoczące, kremowe i różowe tkaniny, abażury z frędzelkami i wazony ze sztucznego kryształu. Jedynie podczas stypy po pogrzebie taty pozwoliła tu wchodzić, ale i tak nikt nie wszedł.

— Jak ci się podoba praca? — zapytała, kiedy podążałem za nią.

— Prace — poprawiłem ją, kładąc nacisk na e.

— No, to jak ci się podobają?

— Uwielbiam je. Są świetne.

Starałem się wymyślić jakieś pytanie do niej, ale pamiętałem tylko, że ona nie mówi o niczym innym, tylko przechwała się Mikiem Juniorem. Nie miała żadnego hobby czy zainteresowań, o ile się orientowałem. Nigdy nie pracowała, ale nie musiała. Wujek Mike dobrze zarabiał, latając dziury w drogach, a mieli tylko jedno dziecko. Ciocia zawsze tłumaczyła ten fakt tym, że dla młodszego dziecka byłoby okropnie mieć tak idealnego starszego brata jak Mike Junior, i starać się brać z niego wzór.

Babcia mawiała, że nie mieli więcej dzieci, bo Janet była cholernie samolubna, a mama kazała mi tego nie powtarzać.

- Bardzo tu czysto — skwitowałem.
- Dziękuję — powiedziała, trochę niepewnie.

Wiedziałem, że chce mnie zabrać do świątyni Mike'a Juniora i nie zawiodłem się. Była to weranda przyległa do kuchni, do której niewinnie wprowadzała gości, twierdząc, że to najbardziej słoneczny i najwygodniejszy pokój w domu, a potem jakby szok ją brał, że każdy centymetr ścian i półek zajmował jej syn. Dopóki pierwszy raz nie postawiłem tam nogi, żyłem w przekonaniu, że gabloty z trofeami znaleźć można jedynie w szkołach.

— Widzę, że ciocia nadal jest dumna z Mike'a — powiedziałem, rozglądając się po fotografiach oprawionych w ramki i złotych statuetkach graczy, którzy chcieli się uwolnić z postumentów, mieniających się jak klejnoty czerwienią, błękitem i zielenią.

- Hm, to nasz syn — odparła z wahaniem.
- Tak, cóż, nie każdy tak bardzo kocha swoje dzieci.

Mieli jego zdjęcia w każdej wyobrażalnej pozycji gracza w futbol: bieg z piłką, wyskok i chwyt piłki w locie, taranowanie przeciwników z piłką pod pachą, uśmiech do obiektywu z piłką tuloną jak noworodek.

— Patrzcie, patrzcie — komentowałem, przechodząc od jednej fotografii do drugiej. — Umie biegać. Przewracać ludzi. Łapać piłkę.

Doszedłem do zdjęcia, na którym zamiast piłki tulił karabin, stojąc obok rozciągniętego kozła z rozprutym brzuchem.

— Zabijać też — dodałem i odwróciłem się do galerii ze zdjęciami z licznymi partnerkami ze szkolnych balów, juwenaliów na uniwersytecie i podczas przyjazdów do domu. — Przyjaźnić się. Nic dziwnego, że ciocia jest z niego dumna — dokończyłem z szerokim uśmiechem.

- Chyba pójde po Mike'a — odparła zarumieniona.
- Mogę skorzystać z łazienki?
- Tak.

W życiu tak się nie wysikałem. Na rezerwarze leżała dodatkowa rolka papieru w różowej osłonce zrobionej na szydelku z głową lalki o blond włosach i rękami sterczącymi do góry. Domyślałem się, że ta część zrobiona szydelkiem, to ma być jej sukienka. Cały czas, jak sikałem, gapiła się na mnie pustymi, niebieskimi oczyma. Kiedy skończyłem, zdjąłem lalkę z rolki i założyłem sobie na małego. Nie planowałem niczego więcej, ale wtedy zauważyłem, że lalka ma cycki, a plastikowe, czerwone usta są nieco rozchylone, i spodobało mi się, jak patrzy na

mnie, jak rozkłada ręce na boki, jakby właśnie ktoś ją posunął. Zacząłem poruszać się we wnętrzu sukienki, aż jej głowa podskakiwała. Chwyciłem mocniej i silniej pchałem, a sukienka zsunęła się niżej, odsłaniając drobne cycki. Nie przestawałem, aż spuściłem się w środku. Pomyślałem, żeby zabrać ją z sobą, ale nie chciałem być oskarżonym o kradzież. Odłożyłem ją na rolkę, ociekającą spermą.

Kiedy wróciłem, wujek Mike czekał już w świątyni. Miał na sobie przetarte dżinsy do pracy w ogrodzie i szarą, flanelową koszulę. Wycierał ręce w ścierkę do naczyń.

Przyglądał mi się długo, z namysłem.

— No, cześć, Harley — odezwał się.

— Cześć, wujek.

— Niespodziewana wizyta. Wszystko w porządku w domu?

— Wspaniale.

— A coś mogę zrobić dla ciebie?

Podał ścierkę ciotce, która stała w pobliżu i przyglądała się. Staralem się nie zataczać.

— Chciałem przeprosić — powiedziałem.

— Przeprosić za co?

— Za moje zachowanie, jak wujek był u nas ostatnim razem. Wujek chciał być miły, a ja zachowałem się jak osioł. Przepraszam.

— Nie musiałeś tyle jechać aż tu — powiedział. — Mogłeś zadzwonić.

— Nie lubię dzwonić. Nie wiadomo, czy ktoś słucha, jak się do niego mówi.

— To prawda.

Zdjął czapkę z daszkiem, przeczesał ręką włosy i założył czapkę na powrót, wiodąc oczyma po pokoju. Przysiągłbym, że się denerwuje.

— Dobra, przeprosiny przyjęte — powiedział, gdy jego oczy wróciły do mnie. — Prawdę mówiąc, całkiem o tym zapomniałem.

Spojrzał na ciotkę. Ona nie zapomniała.

— Zostaniesz na obiad?

Uśmiechnąłem się szeroko do ciotki. Bardziej niż czegokolwiek na świecie pragnąłem powiedzieć: tak; ale najmniej na świecie miałem ochotę jeść obiad z nią.

— Niestety, muszę wracać do domu i kosić trawę. — Staralem się wyrazić rozczarowanie.

Wujek Mike uśmiechnął się do mnie z uznaniem. — Ja skosiłem swój dzisiaj, zaraz z rana. Zanosiło się na deszcz cały dzień. To może zostaniesz na piwo, co?

Ciocia Janet podeszła do niego i zaczęła coś szeptać. Wujek pochylił głowę. — Co? — zapytał.

Ciocia znowu coś szeptała. Posykiwała po cichu.

Wujek podniósł wzrok, marszcząc brwi, i potrząsnął głową. — Ciocia myśli, że jesteś pijany. Jesteś pijany?

Ciocia wbiła w niego spojrzenie pełne oburzenia.

— Nie, absolutnie — odpowiedziałem.

— Słyszałaś? Nie jest pijany — powiedział jej, a potem dał mi znak, żebym poszedł za nim na dwór kuchennymi drzwiami.

— Jak tam dziewczynki? — zapytał, kiedy szliśmy podwórkiem do garażu.

— Dobrze.

— Koniec szkoły niedługo?

— Za tydzień.

— Dziewczyny na pewno nie mogą się doczekać.

— O, tak. Lubią jak najwięcej siedzieć w domu.

Wujek miał w garażu lodówkę wypełnioną wyłącznie piwem. To kolejna rzecz, jaką sobie planowałem, kiedy się ożenię, poza obciążaniem druta w czasie przerwy na lunch, kotletów schabowych z jabłkami i miodem.

Wujek zauważył, że przyglądam się warsztatowi, który zajmował połowę garażu.

— Jak robi się ciepło, przejmuję garaż, a samochody parkuję na dworze — wyjaśnił, wręczając mi puszkę Bud Lighta. — Janet się wścieka. Ale potrzeba mi tyle miejsca, żeby ustawić warsztat i stół do piłowania.

Poszedł tam, a ja za nim.

— Robię kufer na posag Janet, żeby miała gdzie schować kołdry jej matki.

— Piękne drewno — powiedziałem, gładząc dłonią fioletowo-czerwoną powierzchnię. — Wiśnia, tak?

— Tak — potwierdził z uśmiechem. — Też bawisz się w stolarkę?

— Nie. Po prostu lubię drewno.

Wypiłem kilka łyków piwa i chciałem je odstawić, ale stół cały czas odsuwał się ode mnie.

— Kiedyś myślałem, że fajnie byłoby spróbować — dodałem — ale potrzeba narzędzi i drewna, no i miejsca. Tata tym się nie interesował.

— Mike'a też nie mogłem tym zainteresować — odparł wujek. — Zawsze gdzieś uciekał. Ciągłe miał zajęcia. Treningi. Zawody. Mecze. Imprezy.

Pokiwałem głową ze współczuciem. — Trudno być supergwiazdą. Rzucił mi surowe spojrzenie. — Harley, ja nigdy nie wiem, kiedy ty żartujesz.

— Ja zawsze mówię poważnie.

Wujek zaczął podnosić i odkładać narzędzia z warsztatu.

— Trudno jest być supergwiazdą — powiedział, przyglądając się wiertarce. — Jednak jestem z niego zadowolony. Pasuje mu takie życie. Mam nadzieję, że wytrwa.

— Co wujek chce powiedzieć?

Odłożył wiertarkę i wziął dłuto. — Pełno jest chłopaków, którzy grają na poziomie w drużynach na uniwerku, a trafia się tylko parę miejsc dla zawodowców co rok. Nie trzeba być geniuszem, żeby obliczyć. Niech Bóg ma mnie w opiece, kiedy powiem to jego matce.

Dłutem interesował się jeszcze mniej niż wiertarką. Odłożył je i pociągnął porządny łyk z puszki.

— Martwię się, to wszystko. Jest dosyć zdolny, żeby zająć się czymś innym, i będzie miał dyplom, ale nie będzie zadowolony ze zwykłej pracy. Nie sądzę, żeby miał...

Strzelił palcami w powietrze, szukając właściwego słowa.

— Powołanie do tego? — skończyłem za niego.

— Harley, po co właściwie tu przyjechałeś? — zapytał nagle, przyglądając się mi, jakby widział mnie po raz pierwszy. — Nie żebym wątpił w szczerść twoich przeprosin, ale nie uważam, żebyś przyjeżdżał tu tylko po to. Nie byłeś tu od pogrzebu taty.

— Nie zapraszano mnie.

— No, rzeczywiście; pewno nie...

W garażu czuć było spalinami i trocinami, dwa zapachy, które lubiłem osobno, ale wymieszane razem z siedmioma piwami przyprowały mnie o mdłości. Zauważyłem, że jedno okno jest otwarte, i skierowałem się do niego; po drodze uderzyłem w stół, a potem w kosz pełen najrozmaitszych śmieci: złożony, niebieski brezent, złamana wędka, latawiec w kształcie rekina, dwa dziecięce kaski do futbolu oblepione błotem

i trawą, bluzę z jakimś zespołem rockowym zachlapaną białą farbą, trzy puste puszki po oleju samochodowym.

Znowu miałem okazję odejść. Nie musiałem go o nic pytać. Cokolwiek powie, nie zmieni to mojego życia. Mógłby tylko dodać kolejną przerażającą prawdę do innych zgromadzonych w moim wnętrzu niczym zeszlę patyki czekające na iskrę.

— Chcę zapytać o tatę i Misty — powiedziałem, wystawiając twarz w strumień świeżego powietrza, wlatującego przez okno. — Chcę się dowiedzieć, co wiesz.

Nie chciałem na niego patrzeć. Nic na świecie nie zmusiłoby mnie do tego. Czekałem i powoli sączyłem piwo, obserwując, jak szczygieł przysiadł na ich kryształowo czystym poidelku. Szczygły w naszej okolicy były jeszcze słomkowo-brązowe. Ten zrobił się już jaskrawożółty.

W garażu zrobiło się tak cicho, że aż słyszałem, jak chodzi lodówka, a mi do gardła spływa piwo i odbija się echem w pustym żołądku. Już myślałem, że wujek wyszedł, kiedy odezwał się: — Nie uważałem tego za naturalne, to wszystko. Żeby tyle uwagi poświęcał córce, skoro miał udanego syna.

— To wszystko? — zapytałem. Obróciłem się ze śmiechem; poczułem ulgę. — To wszystko? — powtórzyłem. — Chcesz oskarżyć faceta o to, że dobiera się do córki, na podstawie tego? Widziałeś, żeby kiedykolwiek coś robił?

Dzięki tej uldze nabierałem pewności siebie. Wróciłem do niego, potykając się o gwieździste łopatki glebogryzarki, ale udało mi się odzyskać równowagę, zanim runąłem na betonową posadzkę.

— Dlaczego teraz mnie o to pytasz? — zdziwił się, a jego twarz stała się nieprzenikniona, jakby była wykuta w skale. — Co wiesz?

— Wiem dużo rzeczy — przechwalałem się, grożąc mu palcem. — Wiem, że kazałeś mamie odejść od taty, bo myślałeś, że on chce coś zrobić Misty.

— Twoja ciotka miała rację. Jesteś pijany. W każdym razie zbyt pijany na tę rozmowę.

Odstawił puszkę na warsztat i zaczął odchodzić.

— Jak można być zbyt pijanym na tę rozmowę? — zawołałem, zataczając się za nim.

Wyciągnąłem rękę i schwyciłem go za rękaw. Wujek zatrzymał się i złapał mnie za ramię, abym nie stracił równowagi. Nie dotykał mnie od pogrzebu taty. Był najbliższym krewnym ze strony taty i nie dotykał

mnie od dwóch lat. Pamiętam, jak odszedł od Mike'a Juniora na pogrzebie, żeby mnie objąć. Pamiętam, jak przechodziłem obok grobów noworodków...

Rozpłakałem się.

— Harley.

Wstrząsnął mną, żebym na niego spojrział. Nie chciałem patrzeć.

— Posłuchaj mnie. Rzeczywiście kazałem twojej mamie go zostawić. Mówiłem jej to przed piętnastu laty. Pierwszy raz, jak widziałem, jak rzucił się na ciebie, a ty stałaś twardo i przyjałeś to jak dorosły.

— O nie — jęknąłem, cofając się przed nim i potrząsając głową. Garaż mignął mi przed oczyma, tam i z powrotem, jakbym oglądał jego odbicie w lśniącym wahadle zegara. — Nie wiń mnie za to — krzyknąłem.

— Nie winię cię za nic. Mówiłeś, że chcesz wiedzieć, Harley, więc mówię ci. Już dawno próbowałem wydobyć was, dzieci, stamtąd, ale ona nie chciała odejść. Kiedy się w końcu zdecydowała, wiedziałem, że jest za późno. Nie próbowałem już nikogo więcej ratować. Chciałem tylko mieć czyste sumienie.

— A co z Misty?

— Miałem podejrzenia. Tylko tyle. Podejrzenia.

Wyrwałem się jemu.

— Okłamujesz mnie? — krzyknąłem. — Dosyć mam okłamywania mnie przez całe życie.

— Nie kłamię.

— Nigdy nie widziałeś, żeby jej coś robił?

— Jezu, Harley. Sam bym go wtedy zastrzelił...

— Mike? Co tu się dzieje?

Ciotka Janet pojawiła się w bocznych drzwiach. Odwróciłem się do niej plecami i wytarłem twarz w rękaw kurtki.

— Słyszałam krzyki.

— Co u diabła, Janet — zjeżył się wujek. — Nie możemy porozmawiać w cztery oczy?

— A od kiedy to rozmawiasz w cztery oczy? Ile razy cię namawiałam, żebyś zabierał tu Mike'a...

— Chyba lepiej będę jechał — powiedziałem.

— Nie musisz — wujek Mike praktycznie wrzasnął na mnie.

— Ale chcę. Mogę skorzystać z łazienki? — zapytałem ciotkę.

— No, tak — powiedziała, rzucając wujkowi dziwne spojrzenie.

Kłócili się, kiedy wychodziłem, podrygując. Cały czas myślałem, że idę zbyt wolno, więc przyspieszałem, garaż zaczynał wirować, a wtedy zwalniałem. Przez połowę drogi do domu byłem pewien, że ciotka zakradła się za mną i pluła na mnie, ale okazało się, że to leci z nieba. Przyspieszyłem kroku, przeszedłem przez świątynię i oparłem się o drzwi łazienki, ciężko dysząc, gdy już zamknąłem je za sobą.

Ukląknąłem przed muszlą i czekałem, czy zwymiotuję. Jednak nie, więc wstałem i znowu się wysikałem. Lalka z włóczki patrzyła na mnie bez wrażenia. Chwyliłem ją i wepchnąłem do kieszeni. Zostawiła połyskujący ślad spermy na rolce. Świadomość, że prędzej czy później ciotka tego dotknie — nawet, jak już będzie zaschnięte — czyniła moją wyprawę wartą trudu.

Miałem nadzieję, że uda mi się wyjść z domu i nie trafić na żadne z nich, ale najwyraźniej tego dnia nie miałem szczęścia. Oboje czekali na mnie przy głównym wejściu, wujek trzymał torbę pełną jedzenia, a ciotka małą, czarną Biblię, nie większą od dłoni. Nagle zrozumiałem, co mogli czuć głodujący Afrykanie, widząc nas, i nie była to wdzięczność.

— Należała do twojej matki. — Ciotka Janet podała mi Biblię.

Na czarnej, spękanej skórze widniały wybite złote litery: PISMO ŚWIĘTE. Wziąłem ją i palcem wskazującym przesunąłem po lśniących krawędziach kartek, tak jak robiłem w dzieciństwie. Nadal przypominały w dotyku czerwoną aksamitkę. Nie musiałem jej otwierać, żeby wiedzieć, co jest w środku.

— Ciocia Diane dała ją nam, abyśmy tobie zwrócili. Wzięła ją przypadkiem, kiedy pakowała osobiste rzeczy twojego taty.

— Jego majątek. — Pokiwałem głową.

— Tak.

— Wtedy, dwa lata temu?

— Przepraszam, ale schowałam ją do szuflady i zupełnie zapomniałam. Nie szukaliście jej?

— Myślałem, że chyba zabrała ją do więzienia. Oni pozwalają mieć Biblię, co?

Wujek wzruszył ramionami. Miał teraz w buzi kawałek tytoniu do żucia i pracował szczęką.

— Nie mam pojęcia — powiedziała ciotka.

— Odprowadzę cię do wozu — zaproponował wujek i otworzył przede mną drzwi.

— Pozdrów dziewczynki, Harley — dodała ciocia.
Zastanawiałem się, czy nie powiedzieć: i co jeszcze. Postarałem się jednak jak najlepiej imitować uśmiech Mike'a Juniora. Chuj ci w dupę, ciociu.

— No jasne — przytaknałem.

Wujek nigdy nie zastanawiał się, dokąd idzie. Ruszył czystym, białym chodnikiem, potem podeptał nieskazitelnie zieloną trawę, a nawet tryśną na nią strumykiem tytoniu.

Obszedłem wóz do drzwi kierowcy, wsiadłem i pochyliłem się, żeby otworzyć drzwi pasażera, aby wujek wsunął torbę z zakupami. Zamknął drzwi, ale nie odchodził ani na mnie nie patrzył. Pochyliłem się przez siedzenie i otworzyłem okno.

— Wiem, nie byłem dla ciebie i dziewcząt za dobry przez te dwa lata — skierował te przeprosiny w niebo. — Przepraszam za to.

Spojrzałem w miejsce, w które spoglądał, i zobaczyłem punkcik przelatującego samolotu. Ciągnął za sobą białą, pierzastą smugę niczym znak dymny, i nic nie zostało do powiedzenia.

— Nic się jednak już nie zmieni, co? — stwierdziłem.

— Chyba nie — odparł. — Na pewno rozumiesz. To nic osobistego...

Stuknął w maskę i zawrócił do domu. Kiedy znikł za połyskującą złotą kołatką, wyjąłem lalkę z kieszeni. Wetknąłem w nią palec, żeby sprawdzić, czy nadal się klei, potem rzuciłem ją w śmieci na podłodze razem z albumem od Callie i zdjęciem ślubnym mamy i taty. Ciotka Janet oskarżył mnie o kradzież, a wujek będzie mnie bronił. Napawałem się tą świadomością. Położyłem Biblię na siedzeniu obok. Nie otwierałem jej, żeby sprawdzić, czy w środku nadal jest mapa.

17.

Łało przez całą drogę do domu. Deszcz sływał litymi, metalicznymi tafłami. Koła buksowały, kiedy próbowałem wjechać na naszą śliską od błota drogę.

Zaparkowałem obok koleiny wypełnionej wodą i wdepnąłem w nią tak, że przemoczyłem dzinsy do pół łydki. Pobiegłem ciężko przez podwórko z kartonem piwa pomniejszonym o sześciopak i z brązową torbą z zakupami i małą, czarną Biblią wetkniętą do niej. Zobaczyłem parę

świecących oczu wpatrujących się we mnie z największej szpary w oparciu kanapy, i drugą, ciemną, zerkającą z fartucha mamy.

Zatrzymałem się i ciemne oczy znikły. Stałem na deszczu i pomyślałem o Misty stojącej na ganku i strzelającej do indyków. Wyglądało, jakby wtedy celowała do mnie. Zacząłem się trząść. To przez deszcz, powiedziałem sobie. Ale postanowiłem zaraz schować karabin.

Zanim wszedłem, otrząsałem się na ganku jak mokry Elvis. Nie wytarłem oblepionych błotem butów. Nie musiałem. To był, kurwa, mój dom. Żałowałem, że mamy tu nie ma, bo to kiedyś był jej dom — i jeszcze ciotka Janet mogłaby tu być, a wtedy przyprawiłoby to ją o koszmary.

Elvis przywitał mnie przy drzwiach i cały szalał, wachając jedzenie. Odepchnąłem go i głośno tupiąc, wszedłem do salonu, gdzie był włączony telewizor. Za sobą zostawiłem ślad idealnych odcisków podeszew i aż zatrzymałem się na chwilę, żeby je podziwiać, jakby to było dzieło sztuki.

Wszystkie dziewczyny siedziały na podłodze na stercie poduszek i dinozaurów, w nocnych koszulach, z włosami spiętymi w kucyki, z kulkami waty wetkniętymi między palce stóp, a na kolanach miały miski z lodami pokrytymi tęczową posypką. Wszystkie spojrzały na mnie z identycznymi, umiarkowanie ciekawymi minami, jakbym był jakimś intruzem, który wtargnął do ich spokojnego plemienia.

— Cześć, Harley — przywitała mnie Jody.

Misty nic nie powiedziała. Amber sposepniała. Należała do starszyny plemiennej i wiedziała, że obcym nie należy ufać, nawet jak przynoszą jedzenie. Bo i tak, prędzej czy później, zniszczą twój świat za sprawą broni lub chorób, albo religii, w której Bóg nie znał pojęcia sprawiedliwości.

— Mamy pidżamowe party — powiedziała Jody.

— Nie jest trochę za wcześnie? — zapytałem.

— Amber powiedziała, że możemy już zacząć, bo jest ciemno. Uderzył wielki piorun i telewizor zgasł na całą godzinę. Grałyśmy wtedy w monopoli i ja wygrałam — powiedziała radośnie. — Nawet Misty pokonałam...!

Misty wpatrywała się w ekran jak urzeczona; w jej pustych, czarnych oczach połyskiwało białe i niebiesko, a na przegubie wściekle migotały tanie, sztuczne kryształki. Zerknęła na mnie niezadowolona z mojej obecności, choć chyba nie przeszkadzała jej specjalnie.

Czułem do niej jednocześnie miłość i nienawiść. Chciałem na zawsze usunąć ją z mojego życia, spalić jej wszystkie rzeczy i wymazać wspomnienia, ale równocześnie pragnąłem ją przytulić. Pragnąłem ją przytulić za te wszystkie razy przez ostatnie dwa lata, kiedy powinna przytulać ją mama, dać jej wsparcie, jakie powinna dostawać od nas wszystkich, okazać zrozumienie, które powinni okazywać jej obcy. Jednak wszystko, co mógłbym jej dać teraz, to za mało i za późno, jak ta torba zjedzeniem, którą trzymałem w obolałych rękach.

Odwróciła się plecami do telewizora, a do mnie wtedy dotarło, że nie chcę znać więcej PRAWDY. Nie chcę więcej SPOKOJU. Chciałem piwa i obciążania druta.

— Jak było w Lick n' Putt? — zapytałem Jody.

— Świetnie. — Rozpromieniła się i podskoczyła na pupie, nieomal przewracając miskę z lodami. — Musieliśmy rozegrać cały mecz, zanim zaczęło padać. Ja i Esme byliśmy najlepsze. Nie wiem, kto wygrał, bo tata Esme zjadł kartkę z wynikami na końcu. Naprawdę! — powiedziała, a jej oczy zrobiły się wielkie jak piłki do golfa. — Zjadł, bo się wstydził swojego wyniku. Grał strasznie. Nawet gorzej od Zacka i cały czas kręcił kijem i udawał, że jest helikopterem. Raz podniósł piłkę i wrzucił do dołka ręką i zapytał, czy zaliczył ten dołek jednym uderzeniem. Mówił to poważnie. Naprawdę. A potem pojechaliliśmy do Esme do domu i zjedliśmy kartoflanek z kawałkami szynki w środku.

— Jej mama była w domu?

— Tak.

Amber wpatrywała się we mnie wściekłym wzrokiem.

— Masz jakiś problem? — zapytałem ją. — Wyglądasz, jakbyś znowu chciała mnie powąchać.

— Spierdalaj.

— Mówię poważnie. Jak masz się poczuć lepiej, to chodź tu. Powąchaj mnie.

— Idź do diabła.

— No, chodź, zrobię to dla ciebie. Pachnę... — Powąchałem ramię. — W zasadzie, to paskudnie.

— Jedziesz piwem — powiedziała. — Jak skończysz dwadzieścia jeden lat, to przez resztę życia będziesz codziennie siedział w barze.

— Mam nadzieję — rzuciłem i poszedłem do kuchni.

Postawiłem torbę na blacie pokrytym kruszynkami i zacząłem rozpakowywać: Biblia mamy, bochenek chleba, makaron kolanka, trzy puszki

zupy, puszka fasolki szparagowej. Ręce zaczęły mi się trząść tak bardzo, że uciekł mi słoik majonezu i przetoczył się przez całą długość blatu. Patrzyłem, jak wpada do zlewu z głuchym brzękiem.

Zrozumiałem, że nie mogę zostać z Misty w tym samym domu. Nie bałem się jej samej tak bardzo jak myśli o niej. Gdybym oddalił się od źródła, może uniknąłbym tych myśli tak samo jak przeziębienia.

Sięgnąłem po majonez i skończyłem rozpakowywać torbę: puszka margaryny do pieczenia, płyn do mycia naczyń Palmolive i ciastka z kremem.

Otworzyłem paczkę ciastek i zostawiłem całą resztę na ladzie. Kiedy poszedłem schować własne piwa, znalazłem w lodówce kilka sześciopaków Red Dog. Poczęstowałem się jednym do ciastka, i usiadłem przy stole z Biblią mamy.

Kiedy byłem mały, nie uważałem mamy za religijną, bo nie chodziliśmy do kościoła. Mama lubiła opowiadać historie z Biblii i lubiła ją czytać, o ile się orientowałem, bo nic z tego nie liczyło się wobec Boga, jeżeli człowiek nie ubrał się przyzwoicie i nie poszedł w niedzielę do kościoła przesiedzieć godzinę. Pismo Święte postrzegałem jako zwykłą książkę, dopóki mama nie wyjaśniła mi, że wszystko w niej to prawda. Od tamtej pory chciałem, aby zamiast zwykłych książek czytała mi Biblię co wieczór przed snem. To, jak ciekawski Jurek spadł z drabinki przeciwpożarowej, a kaczka Ping szukała łodzi o mądrych oczach, która uciekła na rzekę Jangcy, już mnie nie ciekawiło. Pragnąłem plag szarańczy, rzek spływających krwią, ludzi zamienionych w słupy soli, Boga zabijającego niemowlęta, potopów pogrążających całą ludność. Pragnąłem olbrzymów, demonów i trędowatych. Obojętnie ile razy pytałem mamę, ona twierdziła, że to naprawdę się zdarzyło. Zupełnie jakbym dowiedział się, że Smurfy są prawdziwe.

Nie pamiętam dokładnie, kiedy przestałem wierzyć w te historie. Mniej więcej po tym, jak wyrosłem ze Świętego Mikołaja, a jeszcze zanim przestałem lubić makaron kółeczka. Przez to, że mama nigdy nie przestała wierzyć, czułem się od niej mądrzejszy.

Chwyciłem Biblię za grzbiet i potrząsnąłem nią. Na stół wypadła złożona we czworo kartka papieru. Poczuję ulgę. Rozłożyłem kartkę, wygładziłem ją płasko, a widok wyblakłego żółtego domku był niczym powrót do rodzinnych stron. Powiodłem palcem po czarnej kresce, teraz poszarzała z wiekiem i zastanawiałem się, gdzie się podziały te intensywne kolory kredek. Nie zostały wytarte o papier. To raczej czas je

pochłonał. Dłonie samoczynnie, bez mojego nakazu, rozłożyły mapę i podniosły do oczu na chwilę, a potem na powrót wsunęły ją między satynowe, czerwone kartki.

Mama zawsze wierzyła, że jej linia doprowadzi donikąd; wierzyła, że więzienie jest tym niczym. Lecz dziecko, które narysowało niegdyś tę mapę, nie miało rodziny; ta kobieta w więzieniu miała.

Myliłem się. Ona niczego nie AKCEPTOWAŁA. UCIEKŁA do bezpiecznej przystani. Przed PRAWDĄ. Przed NAMI. Teraz rozumiałem, dlaczego nie chciała tu wrócić, ale nic mnie to nie obchodziło.

Strażnik w więzieniu powiedział, że nic nie mogę zrobić. Gdyby mama trzymała się swoje wersji, a Misty swojej, to rzeczywiście tak wyglądało, ale ja miałem zakrwawioną bluzkę i miałem Jody.

Chciałem zabrać Biblię do piwnicy i schować do szuflady, ale coś mnie tchnęło, żeby najpierw ją otworzyć. Wewnątrz, na górze strony dziecięcym charakterem było napisane panieńskie nazwisko mamy, a poniżej wszystkie nasze imiona i daty urodzin pismem dorosłej. Wpatrywałem się we własną datę, starając się odgadnąć jej znaczenie.

Wstałem i podszedłem do szkolnego menu Jody zawieszzonego na lodówce. Pierwszy tydzień czerwca został wciśnięty na samym dole maja. Kończył się w środę, trzeciego czerwca, słowami: BEZ LUNCHU. LEKCJE KOŃCZĄ SIĘ WCZEŚNIEJ. MIŁYCH WAKACJI! Odliczyłem w tył do soboty, trzydziestego maja. Dwa razy sprawdziłem w Biblii. Dzisiaj miałem urodziny. Kończyłem dwadzieścia lat. Dwadzieścia lat. Byłem mężczyzną.

Nie podniecałem się tym, bo wiedziałem, że staję się mężczyzną tylko w pewnym sensie. Już wcześniej byłem mężczyzną w innych kategoriach. Oficjalnie stałem się dorosły, kiedy skończyłem osiemnaście lat. Duchowo zostałem mężczyzną w nocy, kiedy pieprzyłem się z Callie Mercer. Emocjonalnie, kiedy tata złożył mi pasem po raz pierwszy. Dzisiaj stawałem się mężczyzną chronologicznie. Już więcej nie będę miał „naście” lat.

W pierwszym impulsie chciałem podzielić się tą informacją z Amber. Przestałem być nastolatkiem. I przez osiem długich miesięcy będę od niej starszy o CZTERY lata. Miałem dwadzieścia lat; ona szesnaście. CZTERY różnicy.

Lecz gdybym im powiedział, Jody chciałyby mieć przyjęcie, a ja nie byłem na to w nastroju. Choć miło byłoby dostać od niej laurkę.

Moje urodziny, pomyślałem sobie. Opróżniłem część puszki, odgryzłem połowę ciastka i rzuciłem ją Elvisowi, drugą zostawiłem sobie. Coś mi się należało.

Zabrałem Biblię mamy na dół i chwyciłem karabin. Wymknąłem się tylnymi drzwiami i poszedłem prosto do szopy; błoto wsysało mi buty, a deszcz stukał o czapkę. Zostawiłem drzwi uchylone, żeby widział cokolwiek i schowałem strzelbę w kącie z tyłu za jakimiś starymi kantówkami, motyką i łopatą do odśnieżania. W szopie pachniało benzyną, gnijącym drewnem i liśćmi, i wtedy wyczułem coś czystego i perfumowanego. Snop słabego, szarego światła padł na ścianę przede mną. Obróciłem się i zobaczyłem w drzwiach Amber. Bose stopy i nogi miała ubłocone; wyglądała, jakby brnęła przez kałużę ropy.

— Co robisz? — zapytała.

Kończyłem ustawiać plastikowe sanki w narożniku.

— Co ty robisz: to byłoby lepsze pytanie — odparłem, obrzucając ją wzrokiem.

Na nocną koszulę zarzuciła kurtkę džinsową. Dziesięć świeżo pomalowanych paznokci u nóg wystawało z błota niczym fioletowe landrynki.

— Co robisz z tym karabinem? — zapytała.

— Chowam.

— Przed kim?

— Przed dziewczynkami.

— Dlaczego?

Przez głowę przebiegł mi błysk szaleństwa, kiedy chciałem już powiedzieć jej to, co odkryłem, ale wiedziałem, że zrobię to tylko po to, aby podzielić się z kimś ciężarem. Amber nic tu nie pomoże.

— Jest niebezpieczny — wyjaśniłem.

— Niebezpieczny? — wykrzyknęła. — Misty wie, jak się obchodzić z bronią, lepiej od ciebie, a Jody jest za mała i nie da rady go podnieść. To my powinniśmy schować go przed tobą.

— Może — rzuciłem i wytarłem ręce w spodnie, aby pozbyć się kurzu i pajęczyn. — Tylko nie mówi im, gdzie go schowałem. Dobra?

Wzruszyła ramionami w odpowiedzi, a kiedy przypomniała sobie, dlaczego za mną wyszła, spoważniała.

— To dlatego tutaj przyszedłeś? — zapytała, powątpiewając.

Zatrzymałem się w drzwiach, gotowy biec do pickupa.

— Wyjeżdżam — poinformowałem ją.

— Tak myślałam. — Była na mnie wściekła.
— Kiedy przestaniesz wściekać się na mnie za to, że wychodzę? — warknąłem na nią i spojrzałem spoде łba. — Przestań mnie kontrolo-
wać.

Rzuciłem się biegiem.

— On też jest w domu, pojebie — krzyknęła za mną.

Szarpnąłem drzwi samochodu. Nie wiedziałem, co ona chciała przez to powiedzieć, ale i tak wkurzyła mnie. Wytknąłem w jej stronę środkowy palec. Pokazała mi to samo.

Samochody Callie i Brada stały obok siebie. Deszcz osłabł na tyle, że psy wyszły z bud, kiedy szedłem podjazdem. Biegały wkoło i szczekały jak oszalałe, zatrzymując się od czasu do czasu, żeby się otrząsnąć. Brad otworzył drzwi i krzyknął, żeby się uspokoiły. Wsadziłem ręce do kieszeni i nie spieszyłem się. Deszcz mi nie przeszkadzał.

Brad uśmiechał się do mnie jak chłopiec. Jakby właśnie zjadł kartkę z wynikami gry w minigolfa. Jednak uśmiech znikł, kiedy zbliżyłem się. Nie wiem, co zobaczył.

— Harley — oświadczył i usunął się nieco z wejścia, ale jedną nogę trzymał twardo w środku. — Gdzie twój wóz? Nie szedłeś chyba pieszo całą drogę?

Mercerowie nie mieli ganku. Mieli tylko otwarty daszek z drewna nad drzwiami i dwoma schodkami. Brad mókł.

— Zaparkowałem przy drodze. Wracalem do domu z więzienia i pomyślałem, że wpadnę zabrać Jody — wyjaśniłem przyjaźnie.

— Z więzienia? — zapytał, zasłaniając głowę dłonią i mrużąc oczy przed deszczem.

— Byłem odwiedzić mamę.

— Och, racja. Przepraszam. Nic ci się nie stało?

— Nie, wszystko w porządku. No, może nie pachnę zbyt ładnie.

Brad cofnął się nieco głębiej. — Już zawieźliśmy Jody do domu.

Skinąłem głową. — To dobrze — powiedziałem, też mrużąc oczy przed wodą kapiącą z daszka czapki. — A skoro tu jestem, mogę zobaczyć się z twoją żoną?

— Z moją żoną?

— Tak. Muszę z nią porozmawiać.

— Wejdziesz?

— Nie będę wam brudził.

Callie podeszła do drzwi w zamszowych dżinsach i czerwonym T-shircie z satynową lamówką przy szyi.

— Coś się stało? — zapytała Brada, nawet nie witając się ze mną.

— On chce z tobą porozmawiać.

Rzuciła mi spojrzenie pełne zdziwienia.

— Możesz wyjść? — poprosiłem.

— Pada — zasugerowała ostrożnie.

— To usiądźmy w moim wozie.

Na jej twarzy malowało się coraz większe zdziwienie.

— Może powinnaś z nim porozmawiać — odezwał się Brad. — Mówi, że właśnie wraca z więzienia od mamy.

— Och. — Callie nagle okazała współczucie.

— No i mam urodziny — dodałem pospiesznie.

Miałem ją. Właśnie teraz. Trafiłem. Widziałem to po jej oczach. Wyjrzała na deszcz. — Gdzie masz wóz?

— Na drodze.

— Mama! — śpiewnie zawołała Esmé. — Zack mi zepsuł gabinet lekarski. Cały już ustawiłam.

— A ona zrzuciła mój autobus — odkrzyknął Zack.

— Bo on kładzie na mnie nogę.

— Zajmę się tym — powiedział Brad do Callie i westchnął. — Na razie, Harley — rzucił do mnie.

— Dobra.

— Co ty sobie myślisz? — zapytała ze złością, zaraz gdy mąż znikł.

Odwrociłem się i ruszyłem w stronę pickupa. Ona bosą, chlupocząc w kałużach, podążała za mną.

— Harley! — zawołała.

Przebiegłem resztę drogi, wsiadłem do samochodu i czekałem na nią. Zatrzasnęła drzwi za sobą i zaczęła na mnie krzyczeć.

— Wyjaśnijmy jedno, Harley. Nigdy nie przychodź do mnie, kiedy Brad jest w domu!

— Przyjechałem po Jody — odparłem.

— Nie przyjechałeś po Jody — zrugła mnie. — Brad odwiózł ją parę godzin temu. Przyjechałeś urządzać scenę.

Rzuciła się plecami o oparcie siedzenia i założyła ręce na piersi. Bluzka była krótka i podjechała do góry, odsłaniając pępek.

— Co mam powiedzieć Bradowi, jak zapyta, czego chciałeś ode mnie? Co może być tak pilne, że muszę wychodzić na deszcz i siedzieć

z tobą w samochodzie? I nie mów tylko, że mam mu powiedzieć prawdę.

— Gdzie dzisiaj byłaś? — zapytałem, odrywając od niej wzrok i patrząc na deszcz spływający po przedniej szybie.

— Na zakupach — odpowiedziała — i w bibliotece. A co?

— Gdzie byłaś w czwartek?

— W szkole u Esme, pomóc przy pizza party. Co ty sobie myślisz, Harley? Kontrolujesz mnie? Nie twój interes, gdzie jeżdżę.

— Chciałem się upewnić, że nie jesteś na mnie zła.

Czułem na sobie jej wzrok.

— Zła na ciebie, za co?

— Poszłaś sobie...

— Kiedy? W środę w nocy? Wiesz, dlaczego musiałam iść.

— To może powtórzymy to kiedyś, jak nie będziesz musiała iść?

Milczała.

— Dlaczego miałabym być na ciebie zła? — zapytała.

— Bo nic nie zrobiłem.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Tylko tam leżałem.

Znowu cisza.

Oparła mokre, zabłocone stopy o deskę rozdzielczą. Spojrzałem na nią. Kolana miała przy głowie, a dłonie między udami. Nastąpiła przemiana. Uśmiechnęła się do mnie w taki sposób, że przypomniałem sobie ciemne czekoladki, które dostałem kiedyś od mamy na Gwiazdkę. W środku miały kandyzowaną wiśnię w likierze.

Natychmiast mi stanął.

— Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin — powiedziała.

— Dziękuję.

— Nie przeszkadza ci, że trzymam tu nogi?

— Nie.

— Jak twoja mama?

— Świetnie.

— Jak często ją odwiedzasz?

— Dwa razy na całe dożywocie, jak dotąd.

Spuściła stopy i przysunęła się do mnie. — Wszystko w porządku? Skinąłem głową.

— Chcesz buziaka na urodziny? — przekomarzała się.

— A pewnie.

Oparła się o mnie i zbliżyła rozchylone usta do moich. Nie od razu ją pocałowałem. Czekałem, aż poczuję jej oddech.

Wyciągnąłem ręce z kieszeni kurtki i objąłem ją. Całowaliśmy się trochę. Niezbyt długo, ale z oddaniem, bez szamotania się i wrywania. Robiłem więc postępy.

To ona przerwała. Czuję, że się denerwuje. Deszcz prawie ustał i teraz tylko lekko mżyło. Zaraz znowu odejdzie.

— Więc masz urodziny — odezwała się, przesuwając palec po mojej nodze w dół i w górę, a mnie rozpiekało w spodniach. — Wiesz już, kim będziesz, jak dorośniesz?

— Nikim — odpowiedziałem. — Nic mi nie wychodzi — dodałem.

Uniosła rękę i przejechała kciukiem po moich ustach. — Wychodzi ci przetrwanie. To przecież wymaga talentu.

— W tym też nie jestem dobry.

Wsunęła mi kciuk między wargi, gdy mówiłem. Nie wyjmowała go stamtąd i zapytała: — A w zasadzie po co tu przyjechałeś?

Nie chciałem na nią patrzeć.

— Nieważne. — Zaśmiała się. — Nie mów.

Zsunęła się z siedzenia w śmieci na podłodze i dała mi znak ręką, żebym odsunął się od kierownicy. Przesunąłem się, a ona rozsunęła mi nogi i weszła między nie.

— Potraktuj to jako prezent — zaproponowała, rozpinając mi roz-porek.

Położyłem głowę na oparciu i patrzyłem przez okno na postrzępione, burzowe chmury nad wzgórzami jak szara beza. Nie powiedziałem jej, że wszystko, co do tej pory zrobiła dla mnie, traktowałem jak prezent.

18.

W poniedziałek wykonałem kilka telefonów. Do biura szeryfa. Do adwokata mamy, którego wizytówka ciągle była przytwierdzona do drzwi lodówki za pomocą magnesu z napisem Bank Laurel Falls między zdjęciem Jody z Halloween w zielonym kostiumie stegozaurusa a ostrzeżeniem ze szkoły, że w klasie Misty był przypadek ostrego zapalenia spojówek.

Najgorsze było to, że wszyscy mówili do mnie jak do wariata. Kolejny problem to znaleźć kogoś, kto by się tym zainteresował. Spodziewałem się moralnego oburzenia, że niewinna kobieta siedzi w więzieniu; że poczują cywilną odpowiedzialność, aby wsadzić prawdziwego mordercę za kratki. Zamiast tego nasłuchiwałem się sporo o powtórnym sądzeniu skazanej za to samo przestępstwo; że nie można przeprowadzać ponownego procesu.

ZAPADŁ WYROK, tak to nazwał doradca adwokata mamy. W sprawie morderstwa taty ZAPADŁ WYROK zgodnie z interesem stanu Pensylwania, a nawet skazanej morderczynie. Obrońca z urzędu sugerował, że doznałem halucynacji. W biurze szeryfa powiedziano mi, że oglądam za dużo telewizji. Wszyscy chcieli jednak porozmawiać w cztery oczy.

Taki miałem plan we wtorek rano, ale nie mogłem wyrwać się z pracy, a nikt nie chciał się ze mną spotkać podczas przerwy na lunch. Ludzie nie poświęcali kanapek i coli dla wariatów z urojeniami, chcących uwolnić skazanych morderców, którzy upierali się przy swojej winie. To mieli w telewizji. Zastępca szeryfa miał co do tego rację.

Dzień mijał powoli i za każdym razem, kiedy pomyślałem o mamie, widziałem ją taką jak wtedy za szybą z pleksi, znikającą w rozmazanych literach KAPITALNIE. Potem jakiś potężny prąd wyrzucał ją na powierzchnię, ale pozbawioną rysów; twarz stawała się gładka, okrągła i biała, na stałe pozbawiona wszelkich emocji za sprawą tego, co ujrzała w głębiach.

Myśli o Misty były gorsze. Ona zawsze znikwała w czerni, a gdy jej twarz znowu się materializowała, szalałem. Trząsałem głową, śpiewałem piosenki, recytowałem nazwy planet i imiona Siedmiu Krasnoludków, próbowałem przypomnieć sobie różnicę między abstrakcyjnym ekspresjonizmem a surrealizmem. Nie mogłem pozwolić jej na powrót. Nie chciałem zobaczyć tego, co wiedziała.

Poza myślami o mamie i Misty wszystko było ze mną w porządku. Te myśli bardzo mi ciążyły, ale też sporo innych spraw odwracało od nich uwagę. Nadal musiałem zrobić coś z rurą po antenie.

— Najlepiej jakbyś zalał ją cementem — zaproponował Bud, sięgając po kiść bananów, jednocześnie zawzięcie żując gumę po jednej stronie buzi. — Mógłbyś od czasu do czasu zahaczyć o to butem, ale nie musiałbyś się martwić, że ktoś sobie przetnie nogę.

— Lepiej bym się poczuł, gdyby w ogóle jej tam nie było.

— Jak głęboko jest zabetonowana ta rura?

Skończyłem obsługiwać klientkę i życzyłem jej miłego wieczoru.

— Całkiem głęboko — odparłem. — Pamiętam, że jak tata wykopał dziurę, miałem jakieś sześć czy siedem lat. Wsadził mnie do środka i wystawała mi stamtąd tylko głowa. Mama zrobiła mi zdjęcie.

Church spojrział z ławki, gdzie dłuwał w podeszwach tenisówek i wyrzucał kawałki gumy na podłogę.

— Mama też raz zrobiła mi zdjęcie głowy — zawołał do nas. — Nie żartuję. Mam w domu.

— To skurwiela ciężko wykopać — mówił dalej Bud. — A jak jest tak blisko studni, to nie możesz wysadzić. A może spróbować wyciągar-ką? Poszukaj kogoś, kto zawodowo wrywa pnie.

Skończył ze swoją klientką, ale kiedy życzył jej dobrej nocy, wdali się w rozmowę o sprzedaży jakiejś działki w pobliżu Clarksburg w miniony weekend. On pojechał tam w sobotę. Ona w niedzielę w nadziei na lepszą pogodę, ale w niedzielę też padało.

Ręce zaczęły mi drżeć. Były już w lepszym stanie. Nie paliły już, tylko swędziały trochę i były sztywne. Opuchlizna zeszała, a nacięcia pokryły strupy. Przypominały mi nagie plecki Jody, kiedy rok temu przechodziła ospę.

— Dobranoc paniom — usłyszałem Ricka, jak żegnał się z kasjerkami przy miłym głosem szefa.

Wybierał się z żoną gdzieś na jakąś specjalną okazję, której nie chciał nam zdradzić. Bud powiedział, że idą uczcić to, że jego pryszczce na dupie zamieniły się w odciski.

Jego tłusta twarz zatrzymała się obok mnie. Cała wykrzywiła się nerwowo i drżała jak stary sos w poruszonej sosjerce. Górną wargę pokrywał pot. Zaciągnął się przede mną powietrzem, przesadnie, jakby na pokaz, a potem cofnął głowę i osadził ją w mięsistej poduszce w miejscu szyi.

— Nie wracaj do pracy, dopóki się nie wykąpiesz, Altmyer — powiedział głośno.

Trzy kasjerki obserwowały mnie, trochę rozbawione i trochę przerażone, jakbym był wściekłym psem toczącym pianę na grubym łańcuchu i nie mogłem przez niego dobrać się do nich. Spodziewały się, że będę chciał je zabić. Czekały cierpliwie okazji przez ponad rok, aż ostatecznie przegram i zjawią się ekipy telewizyjne, a one staną się gwiazdami. Nie zamierzałem dać im tej satysfakcji.

Grzecznie podziękowałem Rickowi za troskliwość o moją osobistą higienę. Powiedziałem mu, że to dobrze się odbija na jego sposobie zarządzania. Zanim zdążył powiedzieć cokolwiek, odszedłem, rzucając coś o układaniu puszek z zupą Campbella. Upewniłem się, że go nie ma, kiedy wróciłem do kas. Church i Bud znowu byli zajęci pakowaniem. Moja kasjerka też pakowała i rzuciła mi zawistne spojrzenie, podobnie jak to czyniła Amber. Wróciłem do pracy.

— I jak tam, Harley? — zapytał mnie Church.

— Dobrze.

— Szef sam nie wie, co mówi — dodał.

— Nieważne.

Potrząsała głową, aż za grubymi szklami oczy wpadły mu w płas. — Powiedziałem mamie, co on mówił. Powiedziałem jej o wszystkim.

— Kiedy?

— Zadzwoiłem do niej — wyjaśnił z szerokim uśmiechem i zerknął na telefon na monety. — Mama powiedziała, że mówić coś takiemu miłemu chłopcu jak ty to przestępstwo. To znaczy takie coś jakby zaparkować samochód przed hydrantem.

— Dlaczego twoja mama uważa, że jestem miłym chłopcem?

— Powiedziałem jej wcześniej. Rozmawiałem o tobie. Nie żartuję. O tobie i o Budzie. Mama powiedziała, że niedługo zaprosi was na obiad, bo jesteście tacy dobrzy dla jej dziecka. Tak mnie czasami nazywa. Swoim dzieckiem. Bo ja to jeszcze w nocy płacę... Mówiła, że ugotuje obiad, jak nie będzie zmęczona po pracy i będzie miała czas przyrządzić pieczeń. Przyjdiesz?

— Pewnie — zgodziłem się.

— Świetnie — wykrzyknął. — Powiem jej. Wolisz mus jabłkowy czy pudding?

— Jedno i drugie.

— Jedno i drugie. — Zaczął się śmiać. — Jejku. Jedno i drugie. Ja nigdy nie mam jednego i drugiego. Czekał no, powiem mamie, że chcesz oba.

Odstawił dwulitrową butelkę piwa korzennego i odszedł.

— Gdzie idziesz?

— Idę znowu zadzwonić do mamy — odpowiedział, kierując się do telefonu — i powiem jej, że chcesz oba.

— Nie to chciałem powiedzieć — zacząłem wyjaśniać, a potem pomyślałem: do diabła. Zjem oba.

Skończyłem pakować za niego. Kiedy ruch znowu zelżał, usiadłem na ławce, położyłem ręce na kolanach i patrzyłem, jak drżą nerwowo. Były w porządku wcześniej, kiedy układałem bloki mozzarelli i ustawiałem puszki z herbatnikami maślanymi; urządziłem nową wystawę na końcu alejki z zakąskami z puszkami z pastą serową i ze słonymi krakersami.

Ścisnąłem dłonie. Nadal się trzęsły. Położyłem je płasko na udach. Podrygiwały jak drut pod napięciem. Usiadłem na nich. Czuję, jak wibracje przenoszą się w górę kręgosłupa.

Usłyszałem świst automatycznie rozsuwanych drzwi. Odwróciłem się i zobaczyłem, jak wchodzi Amber. Sprawdziłem znowu, bo jak się orientowałem, od kiedy zacząłem pracować w Shop Rite, ani razu nie postawiła tu nogi; chociaż jak była mała, uwielbiała tu przychodzić z mamą. Kasjerki natychmiast ją zauważyły i rzucały w jej stronę wrogie spojrzenia. Miała na sobie obcięte džinsy i brązowe kowbojki, a na górze, związany na supeł nad pępkiem, męski T-shirt, który nie należał do mnie. Szła powoli, akcentując każdy krok leniwym wypchnięciem biodra, co znaczyło, że jakiś męski element obserwuje ją z tyłu. Rzuciła mi szydzący uśmiech, kiedy zauważyła mnie na ławce, jakby zawsze podejrzewała, że nie robię w pracy nic, tylko siedzę na tyłku. Zatrzymała się wprost przede mną w lekkim rozkroku, mocno zapierając się nogami, z rękami na biodrach.

— Chciałam ci zostawić list, ale uznałam, że to wystarczająco wielka sprawa, więc powinnam pożegnać się z tobą osobiście.

— Kto pilnuje Jody? — zapytałem.

— Ty, kutasie — zasyczała wystarczająco głośno, żeby kasjerki usłyszały. Kobiety nawet nie udawały, że nie słuchają. — Mówię ci, że już nigdy więcej przez resztę życia nie zamierzam cię widzieć, a ty chcesz wiedzieć, kto pilnuje Jody?! Otóż Misty, ty jebako.

— Nie chcę, żeby ona się nią zajmowała.

— To się przyzwyczaj, bo tylko ona ci została.

— Gdzie idziesz?

— Mówiłam ci. Przeprowadzam się do Dylana.

— Do DYLANA! — Wstałem, zrobiłem przed nią minę. — A kim, do diabła, jest ten facet? Skąd go wzięłaś?

— Ze szkoły, tam, gdzie ich wszystkich.

— I jak długo go znasz?

— Całe życie.

Opuszkami palców potarłem oczy tak mocno, że kiedy odsunąłem palce, widziałem tylko plamy światła. Poprawiłem pytanie.

— Jak długo znasz go na tyle dobrze, żeby mówić mu cześć na przerwie?

— Traktuję go poważnie — rzuciła mi. — Jest inny od tamtych chłopaków.

— Dlaczego? Bo cię bije? Zaskoczona spojrzała na mnie.

— Tego właśnie chcesz?

— Nie bije mnie.

— Wiem, że cię bije. Widziałem, jak szłaś. Tak samo jak mama w szpitalu, jak urodziła Jody, chociaż wtedy nie była pobita.

— Patrzyłeś, jak szłam?

Chwyciłem powietrze, zdenerwowany i znowu potarłem oczy, aż Amber znikła w cętkowanym, białym świetle i szarej nicości.

— Tego właśnie chcesz? — Jeszcze raz spróbowałem. — Chcesz, żeby ktoś cię bił?

Amber wpatrywała się w czubki kowbojek. Były mocno zdarte. Jak chcesz wprowadzić się do kogoś, to przynajmniej do takiego, co ci kupi nowe buty, już chciałem jej powiedzieć, ale wiedziałem, że to nie jest powód, dla którego chce się wyprowadzić. Nie znałem powodu. Wiedziałem, że to ma związek ze mną, ale nie miałem pojęcia, jaki. Przez ostatnie dwa lata jedynie nią się opiekowałem, a to okazało się za mało. Nie liczyło się. Chciała czegoś więcej albo czegoś innego.

— To po co skarżyłaś się, że tata cię bił? — zapytałem ostro. — Nie podobało ci się, jak obrywałaś. I co? Udawałaś? — Próbowałem przypomnieć sobie dokładnie, co Betty mówiła na ten temat. — Myślisz, że to miłość?

— Chory jesteś — rzuciła, wciąż gapiąc się na swoje buty.

— Zostałabyś, gdybym cię bił?

Zastanawiała się nad tym pytaniem. Zastanawiała się długo. Nie mogłem uwierzyć, że w zasadzie może powiedzieć: tak. Nigdy w życiu nie czułem się taki opuszczony. Nawet wtedy, kiedy musiałem zmierzyć się z ceną psiej karmy i pogrzebu.

— Mam cię uderzyć? — spróbowałem innego sposobu.

Spojrzała na mnie, nagle zbuntowana. — No już, jeśli chcesz.

— Nie chcę.

— To dobrze. — Zakręciła na pięcie, a jej włosy zafurkotały mi przed twarzą.

Chwyciłem ją za ramię. — Nie odpowiedziałś na moje pierwsze pytanie. Zostałabyś, gdybym cię bił?

Wszyscy gapili się na nas poza Churchem, który skulony nad słuchawką szeptał coś konspiracyjnie.

Amber spojrzała na moją rękę na swoim ramieniu, ale po raz pierwszy nie wyrwała się.

— Ty chcesz, żebym została? — zapytała.

— Zostałabyś, gdybym cię bił?

Zastanowiła się dłużej nad tym pytaniem, a mnie żołądek skręcał się z żalu w supeł.

— Nie — Amber odpowiedziała w końcu. — Naprawdę chcesz, żebym została?

Z ulgą poluzowałem chwyt. — Tylko jeśli ty chcesz — odpowiedziałem.

— Nie wiem, czy chcę.

— To zostań, dopóki nie będziesz wiedzieć.

— Ty prosisz mnie, abym została?

— Dopóki nie będziesz wiedzieć.

— Więc prosisz mnie, abym została?

— Dopóki nie będziesz wiedzieć.

— Dylan wścieknie się, jeżeli zostanę.

— Na miłość boską, Amber — warknąłem. — Powiedz mu, że nie pozwalam ci się wyprowadzić.

— Naprawdę? — uśmiechnęła się jak dziecko. — Mogę mu to powiedzieć?

— Pewnie — odparłem. — Tylko nie mów jemu tutaj. Powiedz, że musisz zabrać coś z domu, a jak tam będziesz, to wtedy powiedz. Inaczej może cię tu zostawić, a ja kończę dopiero za trzy godziny.

— On taki nie jest — zapewniła mnie i odwróciła się, aby odejść. Pomachała do mnie, przebierając palcami. — To na razie.

Staralem się pojąć to, co właśnie zaszło, kiedy podszedł do mnie Church.

— Ładna ta twoja dziewczyna — powiedział. — Ma włosy miedziane jak nowe pensy.

— To nie moja dziewczyna. To moja siostra.

Zaśmiał się i puścił do mnie oko. — Pewnie. Pewnie. Twoja siostra.

Ominąłem go wzrokiem i spojrzałem w okno. Zobaczyłem Amber z walizką i pickupa, który z rykiem odjeżdżał. Odwróciła się i spojrzała na mnie z kwaśną miną, ale potem uśmiechnęła się trochę. Chyba ja też uśmiechnąłem się do niej. Zauważyłem, że dostała z powrotem swoją poduszkę.

Kręciła się w sklepie przez resztę mojej zmiany. Nie rozmawialiśmy w samochodzie w drodze powrotnej, ale po raz pierwszy od dłuższego czasu cisza między nami nie ciążyła nam. Kiedy wjechaliśmy na Black Lick Road, pozwoliłem jej poprowadzić.

Amber zaraz poszła spać. Poprosiłem ją, aby jeszcze zajrzała do Jody i Misty. Kiedy to robiła, ja poszedłem do szopy, żeby upewnić się, czy karabin nadal jest schowany. Domknąłem też kubel na śmieci.

Amber nie powiedziała, co u dziewcząt, więc domyśliłem się, że obie nadal żyją. Przeszukałem lodówkę, żeby coś zjeść. Znalazłem otwartą paczkę mielonki i zjadłem kilka plasterków.

Jody zostawiła na stole do podpisania ostatni raport szkolny. Same plusy oprócz rubryki WF, gdzie wpisano: „konieczna poprawa”. Było też kilka prac, upomnienie, żeby zwrócić książki do biblioteki, rysunek Myszki Miki obok niebieskiego zamku z napisem na górze MOJE WAKACYJNE MAŻENIE i jaskrawo pomarańczowa karteczka złożona we czworo.

Rozłożyłem ją i rozpoznałem papeterię Misty. Amber kupiła ją dla niej na ostatnie urodziny. Naokoło była obwódka z fioletowych, czerwonych i czarnych skaczących jednorożców. Pierwszy raz, kiedy je zobaczyłem, myślałem, że to demony.

Na środku małymi, starannymi literkami Misty napisała:

Lepiej żeby oni byli razem ze sobą, niż z obcymi. Kochają się. Harley to zrozumie.

PS To nic takiego, że są blisko spokrewnieni. Mają tę samą krew. Esme to idiotka.

Złożyłem kartkę. Pociemniało mi przed oczyma. Nagle jakby zbliżyła się do mnie twarz Misty, aż krzyknąłem.

Ocknąłem się w kuchni z dłońmi zaciśniętymi na oparciu krzesła. Czuję się, jakbym przejechał setki kilometrów i nie było mnie tu od lat. Lecz szkolny raport Jody nadal tam leżał z napisem: *Klasa 1. Liścik*

też tam był. Teraz były na nim tłuste odciski palców od mielonki. Co by się stało, jakby mnie przyłapali?

Wziąłem do łóżka Biblię mamy, ale nie otwierałem jej. Myślałem, że będę się męczył z zasypianiem, ale wystarczyło, że wpatrywałem się w żarówkę przez dwie minuty. Pamiętałem tylko, że coś miękkiego i bladego zjawilo się nade mną, a potem pełne zadowolenia westchnienie Elvisa, który położył się obok mnie. Od jakiegoś czasu nie spał u mnie w pokoju, ale dzisiaj zszedł za mną do piwnicy, stukając pazurami o cement, zanim znalazł włochaty dywanik obok łóżka.

Nie miewałem już snów, ale wiedziałem, że ta słodka rozkosz, którą odczuwałem, nie może być prawdziwa. Była ze mną. Wychowywała mnie, pocieszała, chroniła, karmiła, uczyła, dotykała, lizała, tworzyła. Nie musiałem jej widzieć, żeby się podniecić. Jej piękno nie brało się z fizycznej formy; pochodziło z jej oddania się mnie. Nie znalazła się tu jako moja pomoc ani równa mi. Była poświęceniem, abyśmy mogli istnieć.

Wtopiłem się w nią. Jej ciało stawało się płynem, który wdychałem. Jej palce były płomieniami podwodnego ognia, przypalały i niosły ukojenie mojej nienarodzonej jakby jeszcze skórce. Zajęczała mi do ucha. Raz. Cicho. Chwyliła powietrze z westchnieniem jak dźwięk dzwonka. Odgłos, który podniecał i smucił niczym słodko-gorzkie wycie psa na łańcuchu.

Odróciłem się i odebrałem ją Jemu. Była moim prezentem. Moim. A ja byłem jej pokutą.

Wtedy przypomniałem sobie, że przecież już nic mi się nie śni.

Zanim zdołałem zdefiniować przerażenie, po prostu je poczułem. Uniosło mnie z łóżka i rzuciło o ścianę. Instynkt samozachowawczy kazał mi biec, kazał mi zdrapać z siebie skórę, kazał odciąć sobie dłonie, ale zamiast tego otworzyłem oczy.

Amber siedziała na podłodze obok łóżka. Pocierała tył głowy, jakby ją bolała. Była naga.

— O Boże— jęknąłem.

— Przecież chciałeś, żebym została — powiedziała.

W nogach łóżka zobaczyłem Biblię. Schwyciłem ją i wytknąłem przed siebie niczym krucyfiks.

— Co się stało? — zapytała sennie. — Podobało ci się.

Chyba krzyknąłem, ale nie byłem pewien. Mój mózg nagle zaczął odbierać fale telewizyjne, domowe klótnie i audycje radiowe z

nowopowstających galaktyk. Wszystkie słowa z wszystkich języków zapisane lub wypowiedziane pulsowały mi przed oczyma. Zasłoniłem Biblią twarz.

— Załóż coś na siebie — krzyknąłem.

— Co z tobą? — dotarł do mnie jej głos.

— Odejdź — krzyczałem.

— Myślałeś, że to ona. — W jej głosie pojawiła się wściekłość. — Myślałeś, że to ona, nie ja. Dlatego ci się podobało. Myślałeś, że to ta zdzira.

Wstała z podłogi i ruszyła w moją stronę. Ciągle była nago.

— Wiem wszystko! Wiem, że byłeś z nią w kopalni!

Otworzyłem Biblię i wepchnąłem twarz między kartki znaczone czerwinią. Rozplakałem się, czując zapach mamy.

— Myślałeś, że to ona? Myślałeś, że już jest jutro i pieprzysz się z nią?

— Nie pieprzyłem się z tobą. Spałem.

— Ona cię nie kocha. Nie mogłaby. Jesteś dla niej tylko organem. Jesteś tylko wielkim, tępyim kutasem, na którym może sobie pojeździć. I tyle.

Bałem się przejść obok niej. Bałem się, że mnie dotknie. Bałem się, że jej na to pozwolę.

— Jak mogłeś mi to zrobić? — krzyczała.

Zamknąłem oczy i rzuciłem się obok niej, jakbym biegł przez ścianę ognia. Otarliśmy się skórą, ale ocalałem. Wbiegłem niezdarnie po schodach i dopadłem do frontowych drzwi, gdzie Elvis drapał właśnie jak szalony, żeby wydostać się na dwór. Dotarłem do balustrady i zwymiotowałem.

Nie wiedziałem, dokąd iść. Po raz pierwszy w życiu lasy przerażały mnie. Zarys samochodu zaparkowanego w świetle księżyca nie kusił mnie jako sposób ucieczki; był raczej jak wygnanie.

Zobaczyłem cztery puste psie budy. Wybrałem jedną i pobiegłem do niej. Wczołgałem się do środka. Zwinąłem się z Biblią mamy i trząsałem się, wdychając ciężką woń ziemi i skudłonej psiej sierści. Leżałem, próbując opanować dzwonienie zębami. Nasłuchiwałem jej kroków. Nie nadeszły.

19.

Nie zasnąłem już. Wpadłem w rodzaj transu, przyciskałem gołe nogi do piersi, wpatrywałem się w szczelinę między deskami budy, obserwując, jak wąski pasek nieba przechodzi z czerni w róż, a potem błękit.

Podrygiwałem na każdy odgłos. Drapanie i czmychanie gryzonia. Nazbyt ludzkie nawoływania lelka. Szept węzowego brzucha. Przesuwanie się płyt skorupy ziemskiej. Uderzenia mojego własnego serca.

Odgłosy poranka. Głos Jody w kuchni. Otwierane i zamykane szafki. Brzęk talerzy. Szum wody. Także głos Misty. Bez Amber. Otwieranie tylnych drzwi. Jody woła Elvisa. Jody woła mnie.

Zwinąłem się jeszcze bardziej w kulkę i czekałem. Wkrótce usłyszałem frontowe drzwi; otwarły się i zamknęły. Czyjeś stopy przebiegły po ganku i inne powoli za tamtymi.

— Zostań, Elvis. Zostań — rozkazywała Jody.

Oczami umysłu widziałem, jak nastawia uszy w jej stronę, a potem biegnie radośnie za nią drogą na przystanek autobusowy.

Drzwi otworzyły się po raz ostatni. Przycisnąłem oko do szpary w ścianie. Na ganek wyszła Amber, a ja szybko odwróciłem twarz. Była kompletnie ubrana, ale ja widziałem tylko wilgotny, ciemny trójkąt i dwa twarde, czerwone sutki. Nigdy nie będzie dla mnie całą osobą. Nigdy nie będzie osobą.

Wgryzłem się w Biblię, żeby nie zaśmiać się, nie krzyżeć ani nie odychać. Słyszałem jej wielkie, podzwaniające sandały na ganku. Amber szła do szkoły. Amber dalej podjęła swoje życie. Amber nic się nie stało.

Mocniej wgryzłem się w Biblię, aż z kącików oczu popłynęły mi łzy.

Czekałem, aż ucichnie chrzęst jej kroków na drodze i będę słyszał tylko ptaki. Miała rację, powiedziałem do siebie. Kręcenie się przy domu jest najgorsze. Chyba że chcesz skupić się na sobie, uciec od miejsca przestępstwa.

Wyszedłem na czworakach i czekałem, aż oczy przywykną do światła. Zanosilo się na gorący, słoneczny dzień. Nie chciało mi się wstawać. Poszedłem do domu na czworakach, a nawet dalej, po schodach do piwnicy, co nie było łatwe.

Założyłem coś na siebie, przeczesałem włosy grzebieniem, sprawdziłem pościel, czy nie ma śladów nocnych polucji, i poszedłem na górę po ciastko. Mieliśmy tylko te o smaku arbuza. Jody błagała, abym kupił je ze względu na różowo-zielony lukier, a potem nie mogła znieść smaku. Ja też nie. Złapałem więc pudełko płatków z cukrem i zjadłem kilka garści, potem popilem je mlekiem i dwoma piwami. Elvis zaczął szczeleć na zewnątrz. Myślałem, że spanikuję. To mogła wracać Amber, ale Red Dogi trochę mnie uspokoiły. Może za bardzo. Walnąłem o kant stołu, obracając się, żeby zdjąć z oparcia krzesła kurtkę taty.

Zamknąłem oczy i przekląłem. Kiedy otworzyłem je z powrotem, przy tylnych drzwiach stała Misty w workowatych ogrodniczkach i koszulce bez rękawów. Włosy miała spięte w niechlujny koński ogon. Z ramienia zwisała jej torebka z przezroczystego, fioletowego plastiku. W środku widziałem szminkę, ciastka z kremem i scyzoryk.

— Nic ci nie jest? — zapytała.

— Nie — odpowiedziałem, krzywiąc się z bólu.

Nie powiedziała nic więcej ani nie poruszyła się. Pokuśtykałem dookoła stołu i chciałem wyjść tylnymi drzwiami, ale wtedy musiałbym ją poprosić, aby się przesunęła.

— Co tu robisz? — warknąłem, groźniej, niż się spodziewałem. — Uciekł ci autobus? Gdzie Jody?

— Dzisiaj i tak jest ostatni dzień w szkole — odparła. — Tylko sprzątamy szafki i oglądamy wideo.

— Mam nadzieję, że coś edukacyjnego.

— Film oparty na książce — wyjaśniła.

— „Moby Dick”?

Obrzuciła mnie wątpięcym spojrzeniem. — „Smętarz dla zwierzątek”.

— Za moje ciężko zapracowane podatki — powiedziałem pod nosem, wsuwając ręce w rękawy kurtki.

— Słyszałam, jak w nocy kłóciłeś się z Amber.

— Niestety.

Przełknąłem z trudem ślinę. Rozejrzałem się po kuchni. Wstawiłem do zlewu miskę Jody po płatkach. Zgniotłem puszki po piwie i wrzuciłem je do śmieci. Otworzyłem lodówkę.

— Co słyszałaś? — zapytałem z głową w środku.

— Jak krzyczałeś do niej, żeby coś na siebie założyła.

Zaśmiałem się. Zaśmiałem się po raz drugi. Musiałem ugryźć się w język, żeby nie śmiać się przez całe życie.

— Chyba się przesłyszałaś.

- A dlaczego spałeś w budzie?
- Dla jaj. Wyciągnąłem głowę z lodówki.
- Mnie tam nie obchodzi, co robicie ty i Amber — dodała.

Musiałem opanować się ze wszystkich sił, aby na nią nie spojrzeć, ale wysiłek poszedł na marne. Czulem na sobie ciemne oczy, które ani drgnęły. Czulem, jak redukują mnie do chłopca i wciągają mnie do środka za sprawą nieodpartego powabu czarnych dziur wysadzonych w ziemi i wypatroszonych domów. Wiedziała, co mówi. Nie dlatego, że była zdeprawowana czy dobrodusznna, czy też ofiarą samej siebie. Ale ponieważ straciła zdolność do wzruszeń, jeżeli ją kiedykolwiek posiadała. Jednak ciągle coś ją obchodziło, a wyrażała to poprzez nieokazywanie tego. To był największy komplement z jej strony.

- Muszę iść do pracy — powiedziałem.
- A może zabierzesz mnie na ten tatuaż? — zaproponowała. — Skoro już nie zdążyłam na autobus i w ogóle.
- Zapomnij. Już ci mówiłem: nie możesz go sobie zrobić.
- Myślałam, że może zmieniłeś zdanie.
- Niby dlaczego?

Wzruszyła ramionami. Te ruchy przekazywały więcej znaczenia niż większość kazań. Chyba domyślałem się, co próbowała mi powiedzieć. Gapiłem się na nią, nie wierząc. Czyżby szantażowała mnie tym, co niby usłyszała między mną a Amber, żebym pozwolił jej na tatuaż? A może sugerowała, że mnie zastrzeli? Znowu naszedł mnie napad śmiechu, ale opanowałem go. Przecież schowałem karabin.

- Bo nie.
- Dlaczego?
- Bo nigdy nie zejdzie — odparłem, ale zanim jeszcze padły te słowa, uświadomiłem sobie, jakie to głupie, żebym troszczył się o skazę na jej ciele. Spróbowałem jeszcze raz: — Jesteś za młoda, żeby podejmować decyzje, z którymi będziesz żyć przez resztę życia, a ja nie mam ochoty podejmować ich za ciebie.

- Dobra.
- Podeszła do szafki i wyjęła szklanę.
- Dobra?
- To mogę uwzględnić — wyjaśniła, podchodząc do lodówki. — Myślałam, że będziesz truł, że to okropne, albo będziesz chciał mnie powstrzymać, bo masz władzę rodzicielską, ale skoro taki masz powód...

— Wyciągnęła dzbanek z niebieskim napojem. — ...to chyba rozumiem.

Nalała sobie i wypila duży łyk. W dziennym świetle opaska z różowych kamyków na nadgarstku wyglądała matowo i mętnie. Tylko sztuczne światło w ciemnym pokoju wydobywało z nich jakiś blask.

— Wcale aż tak się nie różnimy, wiesz — powiedziała do mnie znad szklanki. — Tak, jak nam się wydaje.

— Hm?

— Oboje jesteście świrnięci. Ja nie jestem jak inne dziewczyny. Ty jak inni chłopacy.

— O czym ty mówisz?

— Nie lubisz futbolu. Nie lubisz kosić trawy. Trzymasz w samochodzie album o sztuce — mówiła bez emocji, a między każdą uwagą siorbała głośno.

— Wielkie mi, kurwa, coś — rzuciłem. — Prawie wszyscy malarze w tym albumie to mężczyźni. Nic złego w tym, że facet lubi sztukę.

— Nic złego też, że dziewczyna lubi polować.

— A kto mówi, że to złe?

— Tata tak uważał.

Skończyła pić. Na ustach został jej lekko niebieski ślad, przez co przypomniało mi się sine, drobne niemowlę podłączone do respiratora, które widziałem w czasopiśmie w poczekalni u Betty. Podpis ostrzegwał palaczy, aby nie decydowali się na dzieci.

— Lubił przecież zabierać cię na polowania — przypomniałem jej.

— Nie, nie lubił — powiedziała bez emocji. — Zabierał mnie, bo chciałam, ale zawsze żałował, że to nie ty.

— Bzdury.

— Nieprawda.

— Mówisz, że nie lubił mnie, bo nie chciałem chodzić z nim na polowanie, a ciebie nie lubił, bo chciałaś?

— Coś w tym rodzaju.

Wbiła puste i ponure spojrzenie w dno pustej szklanki. Zapadła znacząca cisza.

— Chciałam, żeby mnie kochał — wyznała.

Te słowa zadzwoniły mi w uszach niczym zatrzaskiwana pułapka. Chciałem uciec, ale Misty podniosła twarz i jej spojrzenie schwyciło mnie niczym ciężkie, metalowe zęby o tępych krawędziach, które mnie rozerwą, jeżeli tylko będę chciał uciec.

- Tata cię przecież kochał.
- Nie w taki sposób jak mamę.

Poczułem wilgoć w kroczu, a potem, jak przechodziła coraz wyżej po kręgosłupie, aż osiadła na zaskorupałym czubku głowy.

— To inny rodzaj miłości — powiedziałem, próbując opanować narastające we mnie obrzydzenie.

— Nigdy jej nie uderzył. Zastanawiałeś się nad tym w ogóle? Nigdy jej nie bił. Ani razu. Chyba dlatego nie obchodziło jej to, że nas bił.

To było to. Ostateczna odpowiedź. Widziałem ją pogrzebaną w mętnych oczach mojej siostry: ból, zagubienie i nienawiść kogoś opuszczonego. Nie było nigdy żadnej kazirodczej miłości, dla której pragnęła zabić. Nie było nigdy żadnej śmiertelnej lojalności wobec taty, który poświęcał jej czas, jeżeli jej akurat nie bił. Tata nie miał z tym nic wspólnego. Do zdrady doszło między matką a dzieckiem.

Misty, która przez lata obserwowała zwierzęta w dziczy, nauczyła się, czego może się spodziewać i co jej się należy. Jej własna matka pogwałciła najprostsze, najbardziej fundamentalne, instynktowne prawo natury. Nie udało jej się ochronić swoich młodych.

Oblizalem usta.

I mama wiedziała, że Misty poznała jej przewinienie. Wiedziała od dnia, kiedy Misty rzuciła u swych nóg zamordowaną kotkę i zaczęła nosić jej obróżkę niczym medal za odwagę.

Błada, piegowata twarz pomalowana Maybelline w wojenne barwy zwróciła się do okna.

— Ładny dzień. Nie wierzę, że Amber nie darowała sobie szkoły, żeby się opalać. I pewno ci żal...

Przewróciło mi się w żołądku i poczułem mleczne piwo w gardle. Przelknąłem je z powrotem. Znowu podeszło do góry. Oparłem się o krzesło. Misty chciała mnie terroryzować. Nie groziła, że zdradzi to, co działo się między mną a Amber, ale groziła, że będzie mnie do tego zachęcać. Pomyślałem o notatkach Jody i zachciało mi się płakać. Misty uczyła ją, że to jest w porządku. Wszystkie będą po stronie Amber. Zęby zaczęły mi dzwonić, więc mocno zacisnąłem szczękę. Widziałem moją przyszłość. I przyszłość Jody. Musiałem coś zrobić. Wtedy przypomniałem sobie, że Misty ma własny, straszny sekret.

— Wiem, co zrobiłaś — powiedziałem do niej.

Cały czas spoglądała przez okno.

— Słyszałaś?

Nic.

— Nie masz nic do powiedzenia?

Powoli oderwała spojrzenie od okna i skierowała je na mnie, pełne żalości wobec mojego ślepego, zwierzęcego losu, ale napawając się ślepym, zwierzęcym strachem.

— To ty powinieneś zrobić — powiedziała.

Tym razem, kiedy mleko i piwo podeszły, nie mogłem ich utrzymać. Rzuciłem się do zlewu. Misty zesłała mi z drogi.

Kiedy zacząłem wymiotować, nie mogłem przestać. Zupełnie jakby moje ciało odnalazło coś, w czym jest dobre. Przerwałem w pewnej chwili, żeby odpocząć, i położyłem policzek na chłodnym, stalowym kranie.

W pokoju włączono telewizor.

Doszedłem jakoś do siebie, gdy dojechałem do pracy. Poszło mi dobrze. Ze spokojem przyjąłem reprimendę szefa w Barclay's. Zgodziłem się z nim, że trudno jest znaleźć pracę i że jest ze mnie osioł, skoro ryzykuję utratę tej. Powiedziałem mu, że rozumiem, że jak jeszcze raz się spóźnię, to wylecę.

W trasie byłem najmilszym sukinsynem, który kiedykolwiek dowoził lodówki na terenie trzech stanów. Gawędziłem z każdą napotkaną gospodynią i jej szkrabem. Nawet uczestniczyłem z Rayem w komentarzach na temat cycków i dupy. Nie martwiłem się, kiedy różni ludzie w ciągu dnia mówili mi, że śmierdzą jak obora, i pytali, dlaczego noszę tę kurtkę.

Wracaliśmy z ostatniej dostawy, kiedy trafiło mnie; tak mocno, że nie przeżyłem. Sześć sekund według szacunkowych obliczeń; nawet nie dostałem dwóch. Nawet nie miałem okazji spojrzeć w górę i zobaczyć, jak niebo eksploduje tysiącami słońc. Moja eksplozja zdarzyła się w środku.

Prowadził Ray. Nie byłem świadom, jak zareagowałem, ale chyba źle, bo kazał mi wysiąść na ruchliwej szosie na przedmieściach, dobre osiem kilometrów od firmy. Kiedy ból w głowie przytępił się na tyle, że mogłem złapać oddech, a kończyny przestały się trząść i mogłem kontrolować ruchy, zacząłem iść.

Nie patrzyłem na samochody i ciężarówki, które mijaly mnie pędem. Nie patrzyłem na jasnoniebieskie niebo nade mną ani na długą, szarą linię ciągnącą się w nieskończoność pod nogami. Znalazłem gwiazdę w

oddali — zielono-pomarańczowe logo marketu 7-Eleven — i na nią nastawiłem swój celownik.

Poszedłem wprost do telefonów zawieszonych z boku sklepu i zadzwoniłem do Berty. Odezwała się automatyczna sekretarka; odsłuchałem wiadomość, że Betty jest w drugim biurze. Mogłem zostawić wiadomość albo tam zadzwonić. Powtórzyłem sobie podany numer. Zacząłem go wykręcać, ale zapomniałem. Ponownie zadzwoniłem do jej okręgowego biura. Powtórzyłem sobie numer. Zacząłem wykręcać i zapomniałem. Znowu zadzwoniłem. Skończyły mi się ćwierćdolarówki. Miałem w kieszeni dolara. Wszedłem do środka i rozmieniłem go na ćwierćdolarówki. Przeliczyłem je. CZTERY. Cztery monety. Świetnie, powiedziałem do kasjerki.

Wyszedłem na zewnątrz i znowu zadzwoniłem do biura okręgowego. Zapamiętałem numer. Wybrałem siedem cyfr i zamknąłem oczy. Zgłosił się następny automat, a ja zacząłem płakać. Nawet po sygnale dalej płakałem. Nie potrafiłem wymyślić lepszej wiadomości.

— Halo? Halo? — W słuchawce rozległ się prawdziwy głos Berty. — Halo. Kto mówi? Coś się stało?

— Potrzebuję pomocy — szlochałem.

— Kto mówi?

— Nie wiem.

— Harley?

— Tak. — Zamilkłem i pociągnąłem nosem. Wytarłem go w rękaw kurtki. — Zdaje się, że tak.

— Harley, gdzie jesteś?

— Nie wiem.

— Co się stało? Co ci jest?

— Potrzebuję pomocy.

— Co się stało?

— Ona...

— Kto?

— Ona...

— Jaka ona?

Piekielny ból rozdarł mi głowę, pozbawiając myśli, głosu i rozumu.

— Harley, gdzie jesteś?

Mogłem tylko płakać.

— Jesteś w domu?

Potrząsnąłem głową przed telefonem.

— Czy w pracy?
— W 7-Eleven — wyszeptalem.
— W 7-Eleven — powtórzyła. — W którymś ich sklepie?
Skinąłem głową do telefonu.
— W starym czy w nowym?
— W zielonym. — Pociągnąłem nosem.
— Harley. — Zaczęła się niecierpliwić. — Jest u mnie teraz pacjent.
— Prawdziwy pacjent — powiedziałem.
— Możesz do mnie przyjechać? Jestem w gabinecie.
— W prawdziwym gabinecie — powiedziałem.
— Jest mniej prawdziwy niż ten, gdzie się z tobą spotykam. Jest przy Saltwork Street 475. Między Maple a Grant. To duży, biały dom z jasnoczerwonymi drzwiami. Znajdziesz?

Odwiesiłem słuchawkę i znowu zacząłem iść.

Byłem zły potem, zanim dotarłem na miejsce.

Dom nie był duży. Był ogromny. Te sąsiednie były duże. Drewniana podłoga w środku też była bezmierna i tak wypolerowana, że wyglądała niczym rozlany płyn. Balustrada z tego samego drewna zawiodła mnie schodami na piętro. Na ścianach wyłożonych kremową tapetą wisiały obrazy z bladoróżowymi balerinkami. Po obu stronach drzwi stały dwa staromodne krzesła wyłożone aksamitem w prążki.

Cholera jasna, pomyślałem sobie.

— Halo — rozległ się kobiecy głos. Nie Betty.

Bąłem się zrobić krok z pluszowego dywanika w obawie, że utonę.

— Jest tam kto?

Z pokoju wyszła kobieta. Uśmiechała się miło, lecz nagle lekko rozdziawiła usta, a w oczach pojawiła się troska. — Jesteś Harley? — zapytała.

— Tak.

— Wejdz — powiedziała. — Doktor Parks chce się z tobą zobaczyć.

— Doktor Parks? — zdziwiłem się.

— To Betty — wyjaśniła kobieta.

Chciała mnie dotknąć, ale rozmyśliła się. — Zdejmiesz kurtkę?

— Nie, dziękuję.

Kazała mi iść za sobą, więc poszedłem do pokoju na końcu korytarza. Betty siedziała za prezydenckim biurkiem wielkości łóżka otoczona

niekończącymi się regałami pełnymi książek. Rozmawiała przez telefon. Natychmiast się rozłączyła.

— Harley, dzięki Bogu — powiedziała i wyszła z biurka.

Miała na sobie jasną biznesową spódnicę, nylonowe pończochy i buty na szpilkach, a do tego bluzkę bez rękawów z kremowego jedwabiu i perły. Żółtozłote, wypolerowane kwadraciki na uszach przeświecały przez nienaganną fryzurę, gdy tylko poruszała głową.

— Minęły prawie dwie godziny od twojego telefonu. Jak się czujesz?

— Ty nie potrzebujesz tamtej rządowej posady, co?

Podążyła za moim spojrzeniem ogarniającym pokój. — To zależy, co rozumiesz przez „potrzebować” — odpowiedziała. — Nie potrzebuję z powodów finansowych.

Fotele i kanapa w tym gabinecie były zbyt ładne, żebym na nich siedział, więc stałem. Nawet kiedy poprosiła mnie, abym usiadł. Nawet kiedy dodała: proszę.

Sama usiadła na napuszonym, skórzanym fotelu podobnym do gala-retki oblanej karmelem.

— Co się stało, Harley? Mówiłeś coś o jakiejś kobiecie. Nie byłeś u mnie po widzeniu z mamą. Jak poszło?

Zamrugalem oczyma, żeby pozbyć się potu. A może to nie był pot. Pamiętałem, że oczy zbudowane są z wody.

— Ona... — zacząłem jeszcze raz.

— Tak, Harley — przymilnie powiedziała Betty. — Ona, czyli kto?

— Ona... — powtórzyłem. — Ona... ona.

— Tak — Betty zachęcała mnie. — Ona.

Potrząsnąłem głową zdenerwowany.

— Kiedyś... — spróbowałem.

Betty pochyliła się do przodu. — Kiedyś... co?

— Kiedyś...

— Kiedyś co?

Upadłem na kolana i zakryłem twarz dłońmi. Betty przyłączyła się do mnie na podłodze. Poczułem jej ręce na plecach. Poczułem je przez kurtkę taty.

— Kto? — pytała.

— Amber.

Jej imię w końcu wyszło ze mnie niczym guz wycięty z pnia mózgu. Teraz mogłem myśleć i mówić.

— Kiedyś mnie dotykała. Jak byliśmy dziećmi. Pamiętam. Dotykała mnie. W łóżku. Przychodziła do mnie do łóżka i dotykała mnie.

— Gdzie cię dotykała? — pytała Betty.

— Wiesz gdzie! — krzyknąłem na nią.

— Sam musisz to powiedzieć.

— Nie, nie muszę.

— Tak, musisz. Musisz to powiedzieć głośno, żeby skonfrontować się z tym i zapomnieć.

— Nigdy nie zapomnę.

— Zapomnisz, prawie w ogóle nie będziesz pamiętał. Harley, naprawdę. Obiecuję.

Znowu schowałem twarz w dłonie.

— Gdzie cię dotykała?

Zastanowiłem się, z kim rozmawiam.

— Mojego penisa — wydobyłem z siebie chropowatym głosem.

— Miałeś od tego erekcję?

Nie odpowiadałem.

— Miałeś?

— Tak.

— A wytrysk?

Mocniej zakryłem twarz.

— Tak — szlochałem.

— A ty dotykałeś jej?

— Nie — jęknąłem i spojrzałem na nią. — Nie. Nie. Przysięgam, że nie. Nawet na nią nie patrzyłem. Ale była za mną. Przychodziła do mnie do łóżka.

— Dlaczego przychodziła do ciebie?

Rozplakałem się jeszcze bardziej. Nie mogłem przestać się trząść. Betty objęła mnie.

— Zastanów się — powiedziała.

— Bała się taty — wyplakałem jej w ramię.

— A ty pozwalałeś jej zostać?

Skinąłem głową.

— Dlaczego? — zapytała, kołysząc mnie na podłodze. — Pomyśl.

— Też się jego bałem.

— Posłuchaj mnie uważnie, Harley.

Puściła mnie i przysiadła z powrotem na piętach. Poczekala, aż na nią spojrzę.

— Nie jesteś zły. Nie jesteś wariatem ani zbrodnicem. Ani z tobą, ani z Amber nie działo się nic złego. Byliście dziećmi i tak reagowaliście na silne emocjonalne i fizyczne wykorzystywanie w jedyny znany wam sposób. Zwróciliście się do siebie, szukając wsparcia i przyjemności.

Znowu próbowałem zakryć twarz, ale Betty chwyciła mnie za rękę i przytrzymała je.

— Dlaczego to zapamiętałeś? Wiesz? Coś się wydarzyło?

— Nie mogę — odparłem, potrząsając głową.

— Możesz. Co się stało?

Odeszła ode mnie na chwilę i wróciła z kartonem chusteczek. Wyciągnęła jedną i podała mi.

— Była ze mną w łóżku — zacząłem niepewnie. — Jak spałem.

— Kiedy?

— Wczoraj w nocy.

— Dotykała cię?

— Nie wiem. Spałem.

Wytarłem oczy i wydmuchałem nos.

— Nie była ubrana — wyznałem z własnej woli.

— Miałeś erekcję?

Przebiegł mnie dreszcz od palców stóp po czubek głowy i z powrotem.

— Nie patrzyłem — powiedziałem.

Betty znowu westchnęła. Zmęczona. Spojrzałem na nią. Siedziała na podłodze, na nogach. Zostawiłem mokre plamy na jedwabnej bluzce. Zastanawiałem się, czy da się ją uratować.

— Jak zareagowałaś? — zapytała.

— To znaczy? — krzyknąłem na nią, wstając z podłogi i uciekając przed nią. — Co to za pytanie? Nie jestem jakiś chory.

Wycofałem się pod regały z książkami.

— Nie jestem jakiś chory.

— Nic takiego nie twierdzą.

Betty też wstała, ale nie podeszła do mnie.

— Myślę teraz o Amber — powiedziała.

— Hm?

— O Amber — powtórzyła. — Martwię się o to, jak się teraz czuje.

— Amber? — krzyknąłem. — To był jej pomysł. To ona chciała to zrobić.

— Harley, nie chciała. Postaraj się zrozumieć. Twoja siostra nie jest w tym winowajczynią. Ona cierpi tak samo jak ty. Może bardziej.

— Bardziej? — wykrzyknąłem.

— Jak zareagowałaś na jej zaloty?

— Zrzuciłem ją z siebie. Krzyczałem na nią. Uciekłem.

— I gdzie teraz jest Amber?

Wyrząłem przez okno. Słońce było już w połowie drogi do horyzontu. Miałem gdzieś być, ale nie pamiętałem gdzie.

— Nie wiem — odparłem. — Chyba poszła do szkoły. Dzisiaj jest ostatni dzień. Wyszły wcześniej. Czy to ważne? Potrafi zadbać o siebie.

Betty nie wyglądała na przekonaną.

— Teraz odczuwasz niechęć, wstyd, winę — instruowała mnie. — Amber też to wszystko odczuwa, a ponadto czuje odrzucenie.

Ruszyła do drzwi.

— Proszę, Harley, usiądź. Nigdy w życiu nie widziałam kogoś tak bardzo zmęczonego.

Wyszła. Ja spojrzałem na kanapę. Miała taki sam kolor co fotel, ale była bardziej aksamitna, nie lśniąca. Podszedłem do niej i sprawdziłem, czy nie mam spodni brudnych od ziemi albo potu. Usiadłem na samym brzegu i nagle wstałem, żeby sprawdzić, czy nie zostawiłem śladu.

Betty wróciła z jednorazowym kubkiem z wodą. — Siadaj — powiedziała, tym razem zdecydowanie.

Usiadłem. Podała mi wodę. Wypiłem.

— Połóż się tu, proszę, i odpocznij — dodała.

— Muszę gdzieś iść, tylko nie pamiętam gdzie.

— Do pracy? — zapytała.

— No właśnie — mruknąłem, zamykając oczy, i rzuciłem się plecami na oparcie. Wydawało się, że kanapa wypchana jest mgłą. — Wyrzuci mnie z Shop Rite. Z Barclay's też.

— Nie martw się tym. Mogę porozmawiać z kierownictwem.

— O, tak. — Zaśmiałem się. — To zawsze pomaga, żeby odzyskać pracę. Jak psychiatra zadzwoni i powie, że komuś tak bardzo odbiło, że nie może przyjść do pracy.

— Nie martw się tym teraz — powtórzyła. — Połóż się.

— Nie mogę ciągle spać.

— Tylko chwilę.

Znowu wyszła. Nie chciałem jej słuchać, ale kanapa wzywała mnie, abym położył się, tak samo jak świeże zaspy śnieżne wzywały, jak byłem mały. Rozciągnąłem się na niej.

Zbyt późno pomyślałem o brudnych butach. Byłem tu dziesięć minut i już zdążyłem zabrudzić jej kanapę i bluzkę. Dlatego ludzi takich jak ja przyjmowała w swoim drugim gabinecie, ubrana byle jak.

Wróciła z nową wodą. — Proszę. — Podała mi też tabletkę. — Pomoże ci zasnąć. Sama je biorę.

— Bierzesz tabletki? — zapytałem.

Skinęła głową.

— Myślałem, że jesteś dostosowana.

— Zdefiniuj: dostosowana — poleciła.

To już mi się nie podobało. Rozlało się w starcze zmarszczki wokół jej ust.

Wstała i podeszła do drzwi, gdzie zgasiła światło. — Spróbuj trochę odpocząć — powiedziała. — Będę pracować w sąsiednim pokoju.

Połknąłem tabletkę. Nawet się nad tym nie zastanawiałem. Przez okno jeszcze wpadało wystarczająco dużo światła, abym mógł się rozglądać dookoła. Miałem rację co do książek. Były ich tu setki. Sporo z psychologii, ale między niby-akademickimi tytułami były też jakieś dziwactwa.

Tysiąc przepisów z kuchni chińskiej. Sztuka Walta Disneya. Na co mieć nadzieję przy nadziei. Prawo mas mediów. Charlie i fabryka czekolady. 185 rocznica Laurel Falls. Ulisses. Przewodnik po roślinach dziko rosnących. Czarny Królewicz. Z zimną krwią.

Czułem, jak ogarnia mnie senność. Upadłem plecami jak w zasypkę, poruszając nogami i rękami, żeby narysować anioła. Spadałem, spadałem, bez końca. Śnieg nie stawiał oporu, aż zrozumiałem, że to chmura, a anioł, którego rysowałem, był prawdziwy i unosił się obok mnie.

Chwycił moją rękę i poleciliśmy do biednej wioski, uśpionej pośród niekończącego się morza piasku pomiędzy jaskrawobiałym księżycem jak perły Betty. Lecieliśmy od domu do domu, podążając za krystalicznym światłem, które wpadało do okien, wypadało z nich i przechodziło od łóżka do łóżka.

Minęło trochę czasu, zanim odkryłem, że to Bóg szuka dzieci.

Z początku nie rozumiałem. To był przecież Bóg. Wiedział, co czai się w sercach mężczyzn i kobiet. Nie musiał ani nikogo szukać, ani sprawdzać; On sam z siebie wiedział.

Zapytałem o to anioła, a on wyjaśnił mi, że cielesna miłość to jedyne uczucie, którego Bóg nie potrafił rozpoznać, uczucie nazbyt ludzkie, by pojął je ktokolwiek poza Człowiekiem. Zostawił mnie przy oknie, gdzie czarnowłosa dziewczynka spała nago na gołym materacu, z rozchyłonymi ustami i nogami, ze smukłymi ramionami wyciągniętymi zapraszająco. Spowijała ją poświata księżycy, sączyła się i spływała we wszystkie zakamarki i pory.

Wtedy wróciłem sam na chmurze. Nie potrafiłem zapomnieć tej dziewczyny. Czulem jej strach i radość. Wyczuwałem jej żal po straconej niewinności, ale także czulem, że chce być uwiedziona.

Ona była kobietą. On był Bogiem. Mógł mrugnąć okiem i zrobić syna, ale zamiast tego On poszedł do niej.

Na pewno wtedy aż promieniała od środka na zewnątrz. Na pewno od tego aż uniosła się nad łóżko, wijąc się i uśmiechając. Na pewno promienie srebrnego światła strzelały z opuszków palców rąk i stóp, i z każdego pasemka włosów.

Taką miałem nadzieję. Miałem nadzieję i modliłem się, aby tak było. To była jedna wredna próba przeżycia ekstazy, zanim stała się wieczną Dziewicą, i mam nadzieję, że tam dotarła.

Kiedy otworzyłem oczy, w gabinecie Betty było zupełnie ciemno. Zupełnie jakbym przebudził się w atramencie. Stoczyłem się z kanapy z łupnięciem i siedziałem sparaliżowany na podłodze, a walące serce podszło mi do gardła. Nie chciałem, aby wróciła.

Nie wróciła. Wstałem powoli i określiłem własną pozycję w przestrzeni. Przyćmione srebro światła wpadało z korytarza przez szparę w drzwiach. Ja jednak podszedłem do okna. Otworzyło się z łatwością i bez hałasu.

Księżyc wszedł wysoko. Był jasny, ale nie dawał światła. Wpatrywałem się w niego i wiedziałem, że Callie też na niego patrzy; myśli, że jest dziki w swym pięknie — jak mocne, szybkie pchnięcie zaostrozonym kijem. Pewnie nie wiedziała, gdzie ja jestem.

Sen oczyścił mi głowę. Dobrze było znowu śnić. Ruszyłem przed siebie. Czulem rytmiczne, spokojne uderzenia pod stopami, jakby to osłabione już fale ostatecznie uderzały o brzeg po tym, jak odległa motorówka dawno przepłynęła. Bogata dzielnica rozpływała się wokół mnie, ja odnalazłem się na szarym, miejskim chodniku biegnącym wzdłuż równych, nijakich domów, zwartych w rzędach żywoplotów jakby dla obrony.

Wiedziałem, gdzie jestem. Tata pokazywał te domy, kiedy tylko obok nich przejeżdżaliśmy. Zawsze mówił, że cieszy się z naszej małej działki na wsi i że nie musi tu mieszkać. Zgodziłem się. Odosobniony upadek zawsze był łatwiejszy do zniesienia.

Do Barclay's nie szedłem długo, a może długo. Straciłem poczucie czasu. Wsiadłem do samochodu i odjechałem. Całą drogę do Black Lick myślałem tylko o uwolnieniu. Nie o seksie. Seks był zbyt skomplikowany i mentalny. Myślałem nieokreślonymi, wirującymi szarościami bezsensowności INSTYNKTU i prostymi ideałami FIZYCZNYCH BODŹCÓW.

Nagle zrozumiałem, jak wiejskie wyrostki mogą to robić z owcami, a ojcowie z własnymi córkami. Pozbywali się tego, co ludzkie, jak zrzuca się skórę, i stawali się czymś nowym, surowym i pięknym we własnych, brzydkich oczach. Mnie od nich dzielił jedynie strach, że pod skórą odkryję coś okropnego i sponiewieranego.

Nie pojechałem prosto do domu. Zostawiłem wóz przy drodze, obrawszy prostą trasę na przełaj przez lasy do kopalni. Parę razy gałęzie chłostały mi twarz; skręciłem kostkę w norze świstaka, ale wiedziałem, że ona na mnie czeka. Martwi się o mnie. Ciekawe, czy przyniosła ciastka do opiekania na ognisku.

Światło bezużytecznego księżyca wystarczało, by wydobyć słaby poświat z kamieni przy torach. Rozciągały się jak rozsypane opiłki.

Myślałem, że będzie siedzieć na zewnątrz. Spodziewałem się snopa światła z latarki albo nawet ogniska. Nie wiedziałem, która godzina. Może było za późno. Może już wróciła do domu. Przyspieszyłem kroku. Puściłem się biegiem. Kiedy zbliżyłem się do biura, zobaczyłem jej plecak i przenośną lodówkę.

— Callie — powiedziałem.

Dyszałem o wiele ciężiej, niż to było konieczne.

— Callie — powtórzyłem i podszedłem do drzwi.

Chrzęst żwiru niósł mi się po głowie jak spięcie elektryczne. Wpatrywałem się w mrok i dostrzegłem bosą kostkę w białej, damskiej tenisówce. Leżała na boku, z czubkiem skierowanym na zewnątrz, zbyt nie naturalnie jak na żywą osobę.

Przesunąłem się o centymetry i zobaczyłem opuszki jej palców skurczone niczym ptasie szpony.

INSTYNKT rzucił mnie na kolana. Odruch samozachowawczy nie pozwalał mi dalej patrzeć. Psychopatia Amber otaczała mnie swoimi

niezliczonymi twarzami. Demoniczne jednorożce Misty skakały po niebie. Ten chłopięcy bankier Brad: czy on to zrobił? A jeżeli dowiedział się o nas?

Nie było mnie w domu, kiedy mama zastrzeliła tatę. Nigdy nie widziałem trupa — oprócz dziadków, którzy się nie liczyli, bo byli starzy i niekochani. Na pogrzebie taty trumna była zamknięta. Nigdy nie rozumiałem dlaczego, ale teraz, kiedy dowiedziałem się, co wujek Mike myślał o nim i Misty, wiedziałem, że tego zażądał, bo nie mógł znieść widoku taty. Szkoda, bo tata był niewinny, a wujek Mike po raz drugi stracił brata.

Wykonałem kilka głębokich wdechów pozbawionych powietrza. Może tylko jest ranna, powiedziałem do siebie.

Nie mogłem nijak iść. Zostałem na kolanach. Bliskość ziemi dodawała mi pewności siebie dziecka chowającego twarz w dłoniach i zerkającego przez palce.

— Callie — wyszeptalem. — Proszę.

Przedostałem się przez drzwi i czekałem na czworakach, spoglądając na jej martwe stopy. Wymiociny już podeszły mi do gardła, jeszcze zanim obejrzałem resztę ciała. Chciałem zwymiotować na dworze, ale zrobiłem to obok niej. Żle się z tym czułem.

Jej twarz znikła. Nie miała twarzy. Został fragment zuchwy z kilkoma zębami i roztrzaskana część czoła.

Wymioty przeszły w suche torsje. Myślałem, że się nie skończą, dopóki nie wyrócią mnie środkiem na zewnątrz. Było ciemno, ale zobaczyłem kość, mięso, mózg, włosy. Na powrót wbiłem spojrzenie w jej stopy w obawie, że zobaczę więcej, że zobaczę jej oczy, całe i nieokaleczone, spoglądające na mnie.

Wyciągnąłem rękę i dotknąłem jej kostki. Była lodowato zimna. Przesunąłem rękę do jej dłoni i próbowałem ją ująć.

Wtedy rozplakałem się. Nie tylko z żalu, ale też z ulgi. Teraz wiedziałem na pewno, że ludzie mają duszę. W jej martwej dłoni wyczułem coś więcej niż utratę ciepła i krwi. Nie było jej. Była czymś więcej niż tylko słowami, myślami i uczuciami. Była esencją.

Była gdzie indziej. To wszystko. Tak samo jak tata. On jeszcze się nie skończył. Może jeszcze była dla nas szansa. Postanowiłem dodać go do mojej listy zmarłych, z którymi chciałem się spotkać.

Ująłem jej dłoń i podniosłem do twarzy. Szło chałem w nią. Pachniała salami i musztardą. Zrobiła dla nas kanapki.

Kroki na zewnątrz nie przestraszyły mnie. Wiedziałem, że w końcu nadejdą. Nie przestawałem płakać ani nie puszczałem Callie.

Wiedziałem, że ona czeka tam na mnie.

Puściłem tę rękę, wstałem i podszedłem do otwartych drzwi.

Ogarnęło mnie jej spokojne, nieprzytomne spojrzenie, ale trzęsła się gwałtownie.

— Przepraszam — odezwała się i wstrząsnęła nią suchy, szorstki szloch. — Nie wiedziałam, co innego mogę zrobić.

Zrobiłem ruch, jakbym chciał do niej podbiec, ale nic się nie stało. Stopy ruszyły centymetr po centymetrze. Zachęcałem je, by ruszały się szybciej, ale były zanurzone we śnie albo morzu. W końcu dobrnąłem do niej i odebrałem jej karabin od wujka Mike'a.

— Co będzie ze mną? — zapytała urywanym szeptem.

Chciałem jej powiedzieć, że dla mnie jest samym dobrem i samym złem. Była moimi najlepszymi intencjami wymieszanymi z rzeczywistością tego, kim byłem. Była obietnicami, których nie mogłem dotrzymać. Lecz nie potrafiłem jej tego wytłumaczyć. Mogłem tylko powiedzieć: — Amber. — I nic innego.

W ciemnościach jej oczy były posiniaczone i fioletowe. Całego mnie ogarnął strach wypełniony spokojem. Mogłem jej dać jedynie to, co zostało. Co mi zostało, miałem pod skórą.

20.

Nie rozmawiam więcej z policją, bo jestem zmęczony. Jestem całkowicie pewien, że jestem skończony. Nie wiem, która godzina. Zawsze myślałem, że na posterunku wszędzie jest pełno zegarów. Wszystkie raporty zaczynają od podania CZASU. Histeryzującym ofiarom zawsze mówią, że mają CZAS. Aleja nigdzie nie mogę znaleźć żadnego wszawego zegara.

Rozważam, czy zapytać szeryfa o godzinę. Ma na rękę ładny zegarek. Jednak nie taki ładny jak bankier albo psychiatra, i to pewnie go wkurza, bo wie, że to jego robota jest ważniejsza. A poza tym bardziej niebezpieczna. Bankierzy rzadko kończą z rozwaloną głową. Chociaż czasami tak się dzieje z ich żonami.

— Chcę zadzwonić — tak właśnie nagle mówię i wszyscy patrzą na mnie, jakbym postradał zmysły.

— Jeszcze nie skończyliśmy — odzywa się szeryf ze swojego miejsca przy biurku. — Chcę to przejrzeć, zanim podpiszesz, wtedy będziesz mógł zadzwonić.

Amber kiepsko celuje. Dlatego Callie rozwalila mózg. Amber stała metr od niej z karabinem wyposażonym w profesjonalną lunetę i jeszcze chybiła jej piersi, trafiając w twarz.

Przeprosiła mnie za to, kiedy jechaliśmy do domu. Mówiła, że nigdy nie zrobiłaby tego celowo. Wiedziała, że Callie ma męża i dzieci, rodzinę i przyjaciół. Przysięgła mi też, że Callie nie miała czasu, aby się bać.

— Chcę teraz — mówię.

Bill, zastępca, który wcześniej uderzył mnie w twarz, znowu rusza do mnie, a szeryf wrzeszczy na niego, żeby się cofnął. Metalowy blat stołu przede mną pokrywają zmięte białe chusteczki przesączone jaskrawo-czerwoną krwią.

— Dobra — mówi szeryf i spogląda na zegarek. — Jesteś tu od dwóch godzin. Zadzwoni.

Unosi znad biurka swoje cielsko śmierdzące jak tamta kanapa, odwraca się, żeby splunąć tytoniem w starą puszkę po kawie, tak jak robił mój dziadek, wypływając resztki czarnych płuc. Podnosi słuchawkę ułożoną w taniej, plastikowej konsoli z tuzinem guzików w rzędzie z boku, z których część błyska czerwono. Podchodzi i rzuca ją przede mną.

— Mogę na osobności? — pytam.

— Nie — odpowiada.

— A to nie gwałci moich praw obywatelskich czy coś takiego?

Podnosi słuchawkę i wciska jeden z klawiszy. — Pewnie tak — rzuca.

Biorę od niego telefon, a on wraca do biurka. Zastępcy ziewają, przeciągają się i idą szukać jeszcze kawy, oprócz Billa. On siada niedaleko mnie i gapi się, jakby chciał złamać mi coś więcej poza nosem. Musiał ją znać. Może zatrzymał ją za przekroczenie prędkości i zaczęli wtedy rozmawiać o impresjonistach.

Wykręcam mój numer. Dzwoni cztery razy, zanim odbiera wujek Mike. Nie jest zadowolony, słysząc mój głos. Tłumaczę sobie, że to dlatego, że dzwonię tak późno, ale i tak łzy spływają mi po policzkach.

— Chcę rozmawiać z Jody.

— Jody? — powtarza. — Jody jest w łóżku, śpi.

Wśród zastępców szeryfa nie ma kobiety, więc musieli znaleźć jakąś policjantkę z Laurel Falls, żeby porozmawiała z dziewczynkami. Powiedziała, że muszą je oddać na noc do schroniska, dopóki nie zostanie przyznana rodzina zastępcza, albo mogą zostać pod opieką kogoś z rodziny. Amber zadzwoniła do wujka.

— Możesz ją obudzić?

— Nie mogę — odpowiedział twardo. — Po co tutaj dzwonisz? Odkąd policja pozwala dzwonić z aresztu?

— Można raz.

— To jest ten twój telefon?

— Tak.

Długa cisza.

— Jezu, Harley — mówi głosem roztrzęsionym, jakby zaraz miał się rozplakać. — Możesz dostać za to karę śmierci.

SĄDZONY JAK DOROSŁY SĄDZONY JAK DOROSŁY pulsuje mi przed oczyma jak zepsuty neon nad barem.

— Wiem.

— Masz prawo do jednego telefonu i dzwonisz do sześciolatniej dziewczynki?

— Właśnie.

Znowu cisza.

— Przepraszam — odzywa się wujek zdławionym głosem. — Nie mogę jej obudzić.

— A co z Amber?

— Wszyscy śpią.

— Trudno — mówię powoli, wpatrując się w jaskrawy neon ze słowami i zastanawiam się, czy w końcu pojawi się coś, co nie zniknie. — Chciałem tylko się upewnić, że z nią wszystko w porządku.

— W porządku. Nic jej nie dolega. — Znowu przerywa. — W takim małym mieście nic się nie ukryje. Ani przez sekundę. Ludzie już tu podejrzają, krzyczą i rzucają czym się da na podwórko w środku nocy. Zaraz z rana zabieramy dziewczynki stąd do nas do domu.

— A co z Elvisem?

— Nie biorę tego cholernego kundla.

— Musisz go zabrać — mówię. — Kto go będzie karmił? Jak zacznie się włóczyć i szukać jedzenia, to ktoś go zastrzeli. Albo wpadnie pod samochód. — Ogarnia mnie coraz większa panika. — To dobry pies. Zasługuje na lepszy los.

— Nie obchodzi mnie, na co zasługuje. To pies. I nie biorę go.

Zaczynam mocno płakać. Nie obchodzi mnie, że szeryf i Bill pomyślą, że ze mnie jest cipa.

— Musisz co miesiąc przynosić Jody ciastko z wróżbą i papierową parasolkę — jeszcze udaje mi się powiedzieć i rozłączam się.

Podchodzi szeryf, odsuwa telefon i siada na stole tak blisko mnie, że widzę małą rdzawo-brązową plamę na udzie, na szarych spodniach stróża prawa. To może być krew, ale wolę, żeby to był sos.

Sięgam po zakrwawioną chusteczkę, bo zużyłem pudełko, które mi dali, i wydmuchuję nos, zanim przypomina mi się, jak bardzo to boli. Z bólu płaczę jeszcze bardziej. On nie ma dla mnie współczucia. Nie spodziewam się. Ma ciężkie powieki, które upodabniają go do śpiącego żółwia.

— Harley, dużo wiesz o broni? — pyta mnie.

Po raz pierwszy w ciągu całej nocy użył mojego imienia. Przeważnie mówi do mnie „synek”.

— Trochę — odpowiadam.

— Wiem, że chodziłeś z tatą na polowania.

— Niedużo.

— Dosyć, żeby wiedzieć, jak się obchodzić z bronią — mówi. — Dosyć, żeby wiedzieć, jak celować i strzelać. Dosyć, żeby wiedzieć jak silne jest magnum czterdzieści cztery i jaką krzywdę może wyrządzić z bliskiej odległości.

Wstaje i zaczyna krążyć. Cieszę się. Nie lubię jego zapachu i widoku. Jego pas i kabura, i tanie buty skrzypią z każdym krokiem.

— Moje pytanie do ciebie jest następujące: dlaczego nie zastrzeliłeś jej z daleka? Masz niezłą lunetę na tym rugerze. Nie trzeba dobrze strzelać z taką lunetą. Wystarczy wycelować i pociągnąć spust.

Nic nie mówię. On staje, patrzy na mnie przez moment, potem znowu zaczyna chodzić.

— Mogłeś wejść na któreś ze wzgórz za torami i zastrzelić ją, jak bawiła się z dziećmi na podwórku. Albo nawet strzelić przez okno i trafić ją w środku domu.

Znowu staje.

— Znasz jej dzieci, co? — pyta mnie, chociaż wie, że znam. — Jej córka przyjaźni się z tą twoją siostrą, do której właśnie dzwoniłeś, tak? Teraz chyba trudno będzie się im przyjaźnić, hm?

Wiem, co robi; nie rozumiem tylko dlaczego. Ktoś zginął, a potem ja się do tego przyznaję. Ma ofiarę morderstwa. Ma mordercę. Po co w tym się grzebać? Nikt nie kwestionował wersji mamy.

Ręce znowu zaczynają mi się trząść. Siadam na nich.

— Do diabła, skoro tak to zrobiłeś, mogłeś powiedzieć, że to był wypadek na polowaniu, i w ogóle nie trafiłbyś do więzienia. — Znowu zaczyna chodzić i mówić. — To się ciągle zdarza. Nikt niczego by nie podejrzewał, bo nikt nie wiedział, co się działo między wami. Racja? Nikt nie wiedział. Jej mąż też nie.

— Powiedział mu pan? — zapytałem, czując mdłości.

Jeden z zastępców przychodzi z dwoma parującymi kubkami kawy.

— Nie — odpowiada szeryf, biorąc kubek. — Nie wychodziłem stąd, od kiedy się sam dowiedziałem. Ale rozmawiałem z nim, jak odkryliśmy ciało, i zdziwił się, że ciebie aresztowaliśmy. Mówił, że lubił jej żonę, a ona ciebie. Było jej ciebie żal. Powiedział, że kilka dni temu, w swoje urodziny, przyszedłeś do nich do domu, cały zdenerwowany po widzeniu z mamą, i ona poszła z tobą w ulewnym deszczu do samochodu, żeby porozmawiać i poprawić ci humor...

Popija łyk kawy.

— Poprawiła ci humor, Harley?

Wpatruję się w zakrwawione chusteczki. Od zapachu kawy robi mi się jeszcze bardziej niedobrze.

— Chyba już więcej nie poprawi ci humoru.

— Zamknij się — krzyczę, zaskoczony własnymi słowami.

Dziwię się też, że stoję. Tym razem Bill nie dochodzi do mnie; ten drugi się rusza.

To ten sam, który wcześniej przyniósł wyrok śmierci. Podczas zeznania powiedziałem im, jaka była piękna, a on powiedział, że zabicie pięknej kobiety, szczególnie matki małych dzieci, to najgorsza zbrodnia poza morderstwem samych dzieci. I że za to będę się smażył na krześle elektrycznym, chociaż w Pensylwanii używa się śmiertelnych zastrzyków. Chodzi mu o to, że będę zaszczipiony. Zapytałem go, czy dostałbym też karę śmierci, gdyby była gruba i brzydka, a on na to, że chyba tylko dożywocie. Ten sam facet powiedział mi, że za dużo oglądam telewizji, kiedy dzwoniłem w sprawie mamy. Poznają jego głos.

Zaciska mi wielką dłoń na ramieniu, a ja syczę z bólu, tak samo jak Amber, kiedy dotknąłem jej ramienia wieczorem. Kiedy zdjęła ubranie, miała tam siniak. Ruger potrafi kopnąć.

— Chcę iść do więzienia — krzyczę do nich wszystkich.
Zastępca, który mnie trzyma, spogląda na szeryfa; ten kiwa głową.
Zastępca puszcza mnie.
— Chcę iść teraz — mówię.
— Dobra, proszę bardzo — szeryf zgadza się. — Mam jeszcze tylko jedno pytanie do ciebie, potem możesz podpisać zeznanie i wsadźmy cię do celi, a za kilka godzin, jak prawnicy i sędziowie rozpoczną pracę, pojedziemy do prawdziwego więzienia.

Każę mi siadać. Stoję.

— Dlaczego ją zabiłeś? — pyta.

— Hm?

— Dlaczego ją zabiłeś?

Znowu ogarnia mnie panika. Myślę o Elvisie; pewnie uzna, że uciekłem od niego celowo i przez resztę życia będzie się miał za złego psa. Myślę o Jody i Esme, i o tym, że szeryf ma rację; już więcej nie mogą się przyjaźnić. Myślę o Amber i o tym, jak płakała, kiedy skończyliśmy, bo jednak nie tego chciała i teraz to wie.

— Co to ma znaczyć? — pytam go.

— Z tego, co do tej pory powiedziałeś, wynika, że byłeś w niej zakochany. Nie twierdzą, że ludzie nie zabijają tych, których kochają. Dochodzi tutaj do tego prawie tak często jak do wypadków na polowaniu. Ale przeważnie mają ku temu dobry powód.

Oblizuję usta.

— Chciałem się z nią ożenić — mówię. To nie jest kłamstwo.

— I...? — ponagla mnie.

— Nie chciała odejść od męża.

— Więc ją zabiłeś?

— Tak.

— Dobra.

Znowu siada na biurku. Popija kawę i odstawia kubek obok spluwaczki.

— Niech się upewnię, że dobrze cię rozumiem — mówi, drapiąc się po brodzie, jak intelektualista. — Masz się z nią spotkać, żeby się różnić, a zamiast tego strzelasz jej w łeb. Stoisz twarzą w twarz z kochaną kobietą na tyle blisko, że widzisz przerażenie w jej oczach, i robisz to. Strzelasz jej w głowę. Potem rzygasz tuż obok niej i układasz jej dłonie na piersi. Wsiadasz do wozu, jedziesz na policję, poddajesz się,

składasz przykładowie zeznanie, potem dzwonicz do domu, żeby zapytać o psa i małą siostrę. Tak ma być?

Głowa mnie boli. Twarz też. Skóra na głowie swędzi. Żołądek przewraca się. Ręce drżą. Krew w uszach pulsuje tak głośno, że jego słowa giną w tym hałasie.

— I teraz mój jedyny problem — szeryf mówi dalej. — Jedna z osób, które mi opisałeś, to zimnokrwisty psychopata-morderca. Drugi to przyzwoity, odpowiedzialny dzieciak z przesranym życiem. Wyłumacz mi, czy możesz być jednym i drugim?

KAPITALNIE unosi się ze spluwaczki niczym dżin z lampy Aladyna. Rozchodzi się po pokoju różowymi i fioletowymi literami w kształcie obłoków.

— Mam rozdwojenie jaźni — odpowiadam, znowu oblizując usta.

— Dlatego chodzisz do psychologa?

— Mniej więcej.

Amber miała dzisiaj usta pomalowane arbuzowym błyszczkiem. Maluje się nim od dzieciństwa. Jeszcze go czułem na języku.

— To ona może to potwierdzić? Mogę ją zapytać. Powiedz jeszcze raz: jak ona się nazywa? I tak muszę z nią porozmawiać.

Pocałowałem ją tylko raz, a potem powiedziałem, że więcej nie mogę. Nie mogłem jej dotknąć. Nic to jej nie obchodziło. Wsadziłem ręce w piach pod nią...

— Chcę iść do więzienia teraz. Mówiliście, że mogę.

— W porządku, Harley.

Przynosi mi trzy strony policyjnego raportu zapisanego maczkiem. Na samej górze podany jest CZAS, godzina, o której zaczęliśmy, i wypełnia rubrykę CZAS, kiedy skończyliśmy. Potem podaje mi długopis. Przerzuca kartki na ostatnią stronę.

— Podpisz tu — mówi do mnie.

Patrzy na mnie inaczej niż ktokolwiek tej nocy. Bez nienawiści, wściekłości czy obrzydzenia. Nawet bez współczucia czy zdenerwowania. Jest mną rozczarowany. Nie lubię tego faceta, ale nadal potrzebuję czyjegós zrozumienia. Musiałem to zrobić, to chcę mu powiedzieć. Musiałem wystrzelić w niej tej jeden raz w ekstazie. Tak było we śnie.

Szkoda, że nie doszła, ale rzadko tak się dzieje. Przynajmniej zaspokoila swoje pożądanie i wyrzuciła je z siebie; teraz nic jej nie będzie. Dlatego nie chcę spieprzyć jej życia więzieniem. Teraz jest bezpieczna.

Ja nie, chociaż wszystko sobie zablokowałem, nie pamiętam niczego poza tym, że nie miałem WYTRYSKU.

Problem z tym głównym jest taki, że choćbyś chciał zapomnieć, nie możesz. Czas nie leczy ran. Nie wiem, kto pierwszy powiedział, że leczy, ale na pewno nie Konfucjusz. Nigdy by nie powiedział czegoś tak głupiego.

Podpisuję. Zeznanie to zeznanie. Szeryf zabiera mi długopis, potem mówi coś dziwnego.

— Przepraszam, synu. Wiem, że musiałeś ją kochać.

Nie mówię mu, że nadal ją kocham. Nie zamierzam przestać tylko dlatego, że zabiła drugą osobę.

EPILOG

Nie jest tu aż tak źle. Jest wspaniały widok. Widok jak w kalendarzu bankowym. Zielone wzgórza ciągną się kilometrami i wyglądają niczym wielkie łoże dla olbrzyma, który zbłądził w dolinie i szukał miejsca do spania. Jedzenie mogłoby być lepsze, jak i towarzystwo, ale nie jestem szczególnie głodny ani spragniony kontaktów, więc nie ma to znaczenia. Nie wolno mi jeszcze widywać się z nikiem, ale mój nowy psycholog mówi, że niedługo będę mógł zobaczyć się z Jody. Tylko z nią chcę się widzieć. Tylko żeby zobaczyła, że nic mi nie jest.

Betty chce mnie zobaczyć, ale ja nie chcę. Jeszcze jestem na nią wściekły, że zdradziła Amber. Wiem, że chciała jak najlepiej dla nas czworga, ale nie ona powinna podjąć tę decyzję. Miałem swoje powody, żeby właśnie tak się zachować.

Powiedziałem jej to, kiedy zobaczyłem się z nią na posterunku dzień po aresztowaniu. Przyznała, że miałem powód, ale nie był dobry. Nie zabiłem Callie Mercer. Decyzja, aby spać ze mną, mogła ostatecznie i nierozważnie doprowadzić do okoliczności, w których straciła życie, ale nie ja pociągnąłem za spust.

Wtedy też powiedziała, że oszukam Amber, biorąc winę na siebie. Odebrała ludzkie życie. Odebrała matkę dzieciom. Żonę mężowi. Córkę rodzicom. Musiała zostać ukarana, jeżeli chciała się z tego UWOLNIĆ.

Ja UWALNIAM się teraz na ścianie. Mój nowy psycholog powiedział, żebym zapisywał słowa, które widzę w powietrzu. Poprzyklejałem ich

mnóstwo. Wolno nam tutaj je przyklejać. Nie musimy używać tapioki. Mam też sporo wróżb od Jody. Przysłała mi całą kopertę z WRUSZBAMI. Kiedy tylko patrzę na którąś, widzę ją, jak ostrożnie wyciąga pasek papieru, tak delikatnie, jakby prostowała skrzydła wróżce, i czuję się trochę lepię, a potem znowu gównianie.

Przysłała mi też list. Udało mi się go przeczytać tylko raz, ale zatrzymam go na zawsze, bo wiem, ile starań w niego włożyła. Próbowałem pisać do niej kilkanaście listów, a wszystkie zaczynały się od tego, jak jestem dumny z jej listu. Nigdy nie udało mi się skończyć. Oto jej list:

KOHANY HARLEY
JAK SIE MASZ? JA DOBŹE. MISTY TESZ.
WUJEK MAJK POZWOLIŁ MI ZABARĆ FSZYSTKE
DINOZAŁRY.
POWJEDZIAŁ ŻE DOSTANE NOWEGO NA GFIAZD-
KE.
MUFIE PACIESZ ZA CIEBIE CO WIECZUR I ZA DU-
SZE MAMY ESME.
CHCE ŻEBYŚ WRUCIŁ DO DOMU SZYPKO. TENSK-
NIE ZA TOBOM.
TFOJA SIOSTRA

JODY

Ciągle mam list od Skipa. Trzymam go w szufladzie z innymi rzeczami. To dobrze, że pozwalają trzymać OSOBISTE RZECZY, o ile mieszczą się w szufladzie. Album od Callie nie mieścił się, to nawet dobrze, bo był tylko pożyczony.

Mam Biblię mamy i jej mapę, i jeszcze zdjęcie ślubne mamy i taty. I lalkę zrobioną z włóczki. Pozwolili mi ją zatrzymać, bo nie wiedzą, do czego jej używam. Chyba już nigdy nie będę potrzebował żywej kobiety.

Poza tym wszystkim mam jeszcze w szufladzie kartkę od Churcha. Wiem, że sam ją wybrał, bo jest na niej pies z kreskówki ubrany w kapelusz na zabawę i krzyczy: „Wszystkiego najlepszego”. Po drugiej stronie jest napisane: „Tak trzymaj! Wiedziałem, że dasz radę!” Wiem, że jego mama podpowiedziałyby mu coś innego, gdyby poszli po kartkę razem. Chyba jego mama już nie uważa mnie za takiego miłego chłopca.

Nie jestem pewien, co mogło ją doprowadzić do takiego wniosku. Wersję Amber, nie moją, podano w telewizji, w wieczornych wiadomościach. Okazało się, że wcale nie posłali mnie do więzienia za morderstwo,

ale trafiłem tu, bo zacząłem się śmiać, kiedy powiedzieli mi, że to Misty zeznała policji, że Amber i ja żyliśmy w kazirodczym związku. Nic nie pamiętam. Pamiętam jedynie, że się zesrałem. Zesrać się przy obcych i jebać własną siostrę, tych dwóch rzeczy nigdy się nie zapomina.

Przynajmniej Betty nie odwróciła się do mnie plecami jak mama Churcha. Czasami myślę sobie, że nie powinienem mieć do niej żalu z tego powodu. I PRAWDE mówiąc, jeżeli będę się na nią wściekał za sprawę z Amber, to powinienem też być wściekły na Elvisa.

PRAWDA, to Betty poszła do szeryfa, kiedy dowiedziała się o moim aresztowaniu, i powiedziała im, że byłem w jej gabinecie prawie do północy i nie mogłem tego zrobić; ale samo z siebie to nic nie znaczyło. Nadal miałem czas, żeby zabić Callie. Na policji zjawiłem się dopiero o drugiej w nocy.

Betty zapytała szeryfa, czy mówiłem o swojej siostrze, ale to też nie miało znaczenia. On już miał moje podpisane zeznanie. Szeryf postanowił pojechać do naszego domu i wyjaśnił mi, że tam nikogo nie zastał poza wielkim mieszańcem owczarka leżącym na starej, spalonej kanapie; przeżuwał dziewczęce szorty pochłapane krwią. Amber nie potrafiła niczego zakopać, tak samo jak nie umiała celować.

Zmartwiłem się wiadomością, że wujek Mike dotrzymał obietnicy i po prostu zostawił u nas Elvisa. Betty też go nie chciała. Już zaczynałem ją błagać. Nawet prosiłem szeryfa i dwóch zastępców, żeby go wzięli. Ostatecznie Betty znalazła dla niego dom. Powiedziała, że mieszka u milej rodziny; w mieście, więc nie ma tyle przestrzeni, ale nadal jest bardzo szczęśliwy.

Gównu, powiedziałem jej. Budzi się codziennie, rozgląda się i myśli, co takiego strasznego popełnił, że ta jedyna osoba, którą bezwarunkowo kochał w życiu, odwróciła się do niego plecami. Tak sobie myśli, powiedziałem jej. Nieważne, że to tylko pies.

Ostatnio sam sporo myślę, ale tylko na wybrane tematy. Chyba taki zawsze byłem. Mój nowy psycholog mówi, że to w porządku; że to nie jest mój największy problem. Kłopoty zaczynają się dopiero wtedy, kiedy zaczynam myśleć o sprawach, o których myśleć nie chcę; kiedy nie RADZĘ sobie.

ASTEROIDY. Powiedziałem mu, że tak je nazywam. Spodobało mu się. Powiedział, że to wspaniała analogia. Zawsze w takich razach łąał jak pies. Zapytałem go kiedyś, czy ma w jakiejś ze swoich książek

rozdział pod tytułem: „Schlebiaj wariatom, a będą się z tobą przyjaźnić”. Zaśmiał się i powiedział, że jestem dowcipny i bystry.

Chyba po części mówi PRAWDĘ. Nadal, gdy tylko myślę o Misty, krzyczę. Nie potrafię myśleć o tym, co stało się z małym Zackiem i Esme Mercer. Nie mogę myśleć o liścikach Jody. Nie mogę myśleć o sześciu sekundach Callie.

Zawsze myślałem, że kiedy matka widzi, że nadciąga wielka asteroidea i niebo rozświetla się tysiącami słońc, w każdym z nich widzi twarz swojego dziecka. Callie myślała o swoich dzieciach, kiedy stanęła naprzeciw Amber. Nie myślała o sobie. Nie o swoim chłopięcym mężu-bankierze ani nie o dziadku, który podarował jej ukochane wzgórze. Ani nie o mnie, ani nie o Bogu, z którym szła się spotkać. Myślała o dzieciach i o tym, jak będą się budzić w środku nocy, jeszcze przez wiele lat, by wołać ją, a ona nie będzie mogła do nich przyjść.

Usłyszysz je. Obojętnie, gdzie skończy. W Niebie. W Piekło. A może w nicości między nimi. Usłyszysz ich wołanie. To najgorsze w tym wszystkim. Skazać Callie i jej dzieci na taki los. Zasługiwali na coś lepszego. Oni i Elvis.

Najdziwniejsze, że teraz MOGĘ myśleć o Amber. Nie o wszystkim. Ale o pewnych rzeczach. Staram się myśleć pozytywnie, kiedy rozważam jej przyszłość. Byłoby miło, gdyby miała proces jak O. J. Simpson, kiedy to wszyscy wiedzą, że to zrobiła, ale puszczają ją wolno, bo nie podoba im się fryzura prokuratora. Ale takie bzdury to tylko w telewizji.

Znowu mogę myśleć o naszym dzieciństwie, a nawet o tym, jak wtulała się we mnie z tyłu w nocy i że to były jedyne momenty spokoju, jakich zaznała w życiu.

Mój nowy psycholog mówi, że konkretne wspomnienie nie jest zdrowe dla mnie, bo tylko wspominam jego fragment. Nie wspominam całej PRAWDY, a wie, jak bardzo upieram się przy PRAWDZIE. Widział mój pokój.

PRAWDĘ widzę często w powietrzu. Zapisalem ją chyba ze sto razy i przykleilem do ściany.

„Ci, którzy znają PRAWDĘ, nie są równi tym, którzy ją kochają”. To powiedział Konfucjusz. To też sobie zapisalem.

Chyba zawsze kochałem PRAWDĘ, ale nieustannie ukrywałem ją przed sobą. Teraz wiem, że PRAWDĘ zawsze miałem przed oczyma, ale ignorowałem celowo, bo jej nie kocham.

PRAWDA, jak to PRAWDA, to bzdura. Tylko ludzie martwią się nią. Od Elvise różni się nie zdolnością zmierzenia się z nią albo zaprzeczenia jej, ale tym, że skazuję siebie na nią. Naprawdę staram się przestać tak myśleć. Ponieważ PRAWDA jest, że zmarnowałem sporo życia, okłamując siebie.

PRAWDA jest taka, że za każdym razem, kiedy Skip próbował zabić Donny'ego, swojego brata, brałem go za prawdziwego idiotę.